



**J. T.
Ellison**

**GRA
W ZABIJANIE**

J.T. Ellison

Gra w zabijanie

*Tłumaczenie:
Jacek Żuławnik*

Dla Davida Achorda, który mnie zainspirował.
I dla mojego Randy'ego.

*Istnieją trzy metody zdobywania mądrości: pierwsza to
refleksja – ta jest najszlachetniejsza; druga to naśladownictwo –
najłatwiejsza; zaś trzecia to doświadczenie – najbardziej gorzka.*

Konfucjusz

Naśladowanie to samobójstwo.

Ralph Waldo Emerson

5 listopada

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Boston, stan Massachusetts

Godzina 20:12

Do: troy14@ncr.tr.com

Od: bostonboy@ncr.bb.com

Temat: Boston

Troyu,

wszystko gra.

BB

Cisza, słyszeć tylko bicie serca.

Wreszcie wróciła do domu, w tym tygodniu koniec z przesiadywaniem do późna w biurze. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek przyjdzie. Nawet rozbawiła go ulga, którą poczuł, kiedy zobaczył ją, jak wlokła się ulicą noga za nogą, zgarbiona pod ciężarem wełnianego płaszcza. Przejął się bardziej, niż sądził. W końcu to tylko gra. Rozkoszna gra.

Minęła samochód, nawet go nie zauważając. Jeszcze kilka kroków i znalazła się na wysokości swojego domu. Furtka z kutego żelaza była zepsuta i lekko uchylona. Pchnęła ją lewą ręką i zaczęła wspinać się po schodkach. Przyglądał się jej z pochyloną głową. Wyjęła klucz, otworzyła drzwi i weszła do środka. Nie obejrzała się, nawet przez moment nie pomyślała, że może grozić jej jakieś niebezpieczeństwo. Popęłniła tysięczny błąd w tym tygodniu.

Postanowił, że odczeka jeszcze minutę, pozwoli jej wejść na górę. Sprawdził paczkę i elektroniczne urządzenie do kwitowania odbioru. Odliczał: jedna długa sekunda, dwie długie sekundy...

Kiedy dotarł do sześćdziesięciu, wysiadł z auta, podszedł do drzwi prowadzących do budynku, nacisnął biały przycisk i usłyszał przenikliwy dźwięk dzwonka. A po chwili rozległ się niewyraźny i brzękliwy kobiecy głos:

– Tak?

– Przesyłka dla June Earhart.

Wpuściła go, nie zadając więcej pytań. Drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem. Pchnął je na taką szerokość, by zmieścić się wózek z paczką. Poprawił czapkę i nasunął nisko na czoło. Chciał ukryć twarz. W holu, co wcześniej sprawdził, zainstalowano kamery.

Pomyślał o celu. June wpadła mu w oko. Brązowe włosy i oczy, metr sześćdziesiąt siedem wzrostu, trochę za dużo tłuszczu, ale tylko dlatego, że lubiła sobie podjąć i zaniedbywała ćwiczenia. Nie była leniwa, o nie, tylko... trochę puszysta.

Przez cały tydzień przyglądał się, co jadła na lunch. Poniedziałek – McDonald, wtorek – Subway, środa – dwie lukrowane oponki i przesłodzony owocowy smoothie w Dunkin' Donuts, w czwartek nie wychodziła, ale dziś po południu poszła na podwójną kanapkę z salami, szynką i serem, a do tego zamówiła frytki. Ciekawe, pomyślał, czy pachnie cebulą, czy też okazała się na tyle rozsądna, żeby wziąć gumę do żucia albo chociaż tic taca? Postawiłby na to drugie, bo pewnie wstydziłaby się żuć gumę przy wszystkich.

Na lunch zawsze chodziła piechotą, po drodze mijała knajpkę, w której miała do wyboru kanapki z pity, i bar sałatkowy, w którym mogła zamówić świeży sok i warzywa, ale i tak wybierała tłuste, tuczące jedzenie. Wiedział, że robiła to, ponieważ z jednej strony bała się być sama, a z drugiej potrzebowała mechanizmu obronnego, którym przed samą sobą usprawiedliwiała swój status singielki. Wiedziała, że co wieczór przesiadywała w byle jakim mieszkaniu, czytała czasopisma o jodze i fitnessie, marząc o gibkim, sprężystym ciele. Wiedziała, że gdyby je miała, gdyby się postarała, nie oparłby się jej żaden facet. To znaczy nie oparłby się ten asystent prawny z biura obok.

Ale ponieważ się bała, ograniczała się do marzeń i podstępnie czynkami kupowała sobie czas. Wiedział, że zamierza zapisać się na siłownię na początku roku. Była to jedna z pozycji na liście postanowień noworocznych, którą zmieła i wrzuciła do kosza w kuchni. Mógł się założyć, że co roku

obiecowała sobie to samo. June należała do kobiet, które już w listopadzie przygotowują listę postanowień, ale nigdy ich nie realizują. Była marzycielką, singielką, która bez pytania wpuszcza nieznanego do budynku, bo nie przychodzi jej na myśl, że mogłaby stać się ofiarą.

Lubił takie kobiety.

Wózek, który włókł za sobą, tylko go spowalniał. W dodatku stukał na progach. Gdyby June nie zamówiła wina, wniósłby paczkę zwyczajnie, po schodach. Ale hałasujący wózek niestety pasował do dostawcy i nie budził podejrzeń. Ktoś taki, skupiony na pracy, nie mógł stanowić zagrożenia.

Pierwsze piętro, budynek bez windy. Stał przed drzwiami mieszkania June. Poprawił czapkę, postawił wózek przed sobą i sprawdził przymocowaną do metalowej ramy drewnianą skrzynkę. Włożył rękę do kieszeni, sprawdził, że wszystko jest na miejscu. Przywołał na usta coś na kształt uśmiechu i zapukał.

June otworzyła. Zauważył, że nadal była lekko zdyszana po wspinaczce po schodach. Zdążyła zdjąć płaszcz, ale na szyi wciąż miała związany w ciasny węzeł szalik. Stojąc z nią twarzą w twarz, zamarł. Wyrwała go z osłupienia słowami:

– Trochę późno jak na dostawę.

Rozciągnął szeroki uśmiech i odparł:

– No tak, przepraszam, ale wie pani, mieliśmy małą obsuwę.

– Już myślałam, że nie dowieziecie. Proszę to tam postawić – powiedziała, pokazując pustą wnękę przed wejściem do kuchni. Był w tej wnęcie zeszłego wieczoru i patrzył, jak June ogląda telewizję. Nie zorientowała się. Wymknął się, gdy zasnęła.

Wtoczył wózek do przedpokoju i ruszył w stronę wnęki. Sięgnął do kieszeni, dotknął klawiatury telefonu i nacisnął przycisk „połącz”. Telefon June zaczął dzwonić. Zawahała się, potem wzruszyła ramionami, zamknęła drzwi wejściowe i poszła do salonu odebrać telefon. Zaatakował, gdy odwróciła się do niego plecami. Błyskawicznym ruchem włożył jej szalik do ust, żeby nie krzyknęła, po czym zaniósł ją do sypialni. Przynajmniej będzie im wygodnie.

Wrywała się, więc uderzył ją w ucho. Nie za mocno, chciał ją tylko ogłuszyć. Poskutkowało. Oczy June zasły mgiełką, panika się rozmyła. Rozebrał ją i rzucił na łóżko. Potem sam zdjął ubranie, powoli i dokładnie złożył brązowe spodnie wzdłuż szwów, koszulę rękawami ze sobą, a potem na pół. Po wszystkim będzie musiał ubrać kierowcę, dlatego nie chciał, żeby na jego stroju zostały jakieś ślady. June była półprzytomna, ale świadoma. Kiedy założył prezerwatywę i wszedł w nią, próbowała krzyczeć i stawiała opór. Był jednak dużo większy i silniejszy od niej. Nie miała szans. Wierzgała, więc skończył znacznie szybciej, niżby chciał. Potem złapał luźne końce szalika i mocno zacisnął na szyi June, po raz drugi czując przetaczającą się przez ciało rozkoszną falę.

Kiedy oczy wyszły jej z orbit, zacisnął szalik jeszcze mocniej i z zaciekawieniem patrzył, jak na skórze June pojawiają się czerwone plamy, a białka oczu nabiegają krwią. Po trzech długich, niezdolnych i przyjemnych minutach jej ciało zwiotczało.

Szybko się umył. Wkrótce ktoś zwróci uwagę na zaparkowaną nieopodal furgonetkę firmy kurierskiej. Gdy zyskał pewność, że wszystko jest na swoim miejscu, poluzował szalik i zawiązał w kokardę, a na koniec pocałował June w czoło. Szkoda, pomyślał, że nie zdążyła się zapisać na siłownię. Powoli ubrał się i wyszedł z mieszkania, zatraskując za sobą drzwi. Zdziwiło go, że zamknęły się prawie bezgłośnie, stając się milczącym strażnikiem martwej lokatorki.

Nocne powietrze było rześkie. Będzie padał śnieg, pomyślał. Postawił kołnierz i poszedł do samochodu, pchając przed sobą wózek. Miał szczęście, że prawdziwy kierowca furgonetki nosił jego rozmiar i uniform doskonale pasował. Wsiadł, ruszył i zaraz skręcił, wjeżdżając w pustą ślepą uliczkę. Przebrał się w soje ubranie, a następnie z pewnym mozołem ubrał kierowcę w brązowy uniform. Poklepał po głowie patrzącego martwym wzrokiem kuriera. Przypadkowa ofiara, ale konieczna.

Rozejrzał się. Uliczka była pusta, w domach po obu stronach nie paliły się żadne światła. Był pewien, że nikt go nie widział.

Wysiadł z furgonetki i zaczął gwizdać melodię, którą właśnie sobie przypomniał: *Strangers in the night... exchanging glances...*

Jedna odfajkowana. Przed nim jeszcze wiele.

Nowy Jork

Godzina 22:12

Do: troy14@ncr.tr.com

Od: 44cal@ncr.ss.com

Temat: Nowy Jork

Troyu, witaj. Sprawy idą zgodnie z planem.

44

Szeleściło. Czuł, że schowanie broni do papierowej torby to nie najlepszy pomysł. Przy każdym kroku rozlegało się cholerne szsz, szsz, szsz, bo torba tarła o spodnie. Jak tu się skradać w takich warunkach? Ale przecież nie mógł wsadzić pistoletu za pasek i paradować z nim jak gdyby nigdy nic. To w końcu Nowy Jork, gliny na każdym rogu, wszędzie pełno pstrykających zdjęcia turystów.

Instrukcje mówiły wyraźnie: ma być papierowa torba, w niej broń, a wszystko schowane w kieszeni.

Pies kazał mi to zrobić. Pies kazał mi to zrobić.

W porządku. Wczuł się w swoją postać.

Zaczął padać drobny śnieg. Widział go, ale nie czuł. Na łysej głowie miał czarną wełnianą czapkę. Gdyby nie ona, zmarzłby na kość. Przeciął Houston Street i potruchtał, omijając kałużę, w stronę Washington Square Park. Szsz, szsz, szsz. Może uciszyłby ten irytujący szelest, gdyby włożył rękę do kieszeni? Nie, to by wyglądało dziwnie i podejrzanie, gdyby szedł z ręką schowaną głęboko w kieszeni luźnych spodni z obniżonym krokiem.

Przypomniał sobie instrukcje:

„Nie zwracaj na siebie uwagi. Nie garb się, patrz w oczy przechodniom. Ludzie zapamiętują tych, którzy odwracają wzrok”.

Pies kazał mi to zrobić.

Spojrzał na przyszłe ofiary. Dwóch mężczyzn na zielonej ławce. Jeden blondyn, drugi brunet. Pochylają się do siebie. Nie wiedzą, co ich spotka. Serce zabiło mu mocniej. Wszystko szło

zgodnie z planem. Za plecami swych żon, które sądziły, że małżonkowie wyciskają siódme poty na siłowni – albo rzną w karty, albo siedzą w kinie, albo poszli na późną kolację, albo utknęli na długim spotkaniu, albo stoją w koszmarnym korku – mężczyźni codziennie wieczorem spotykali się na tej oto ławeczce. Siadali, rozmawiali i oddawali się marzeniom. Czasem, pod wpływem impulsu, bardzo ryzykując, ocierali się o siebie udami albo muskali dłońmi. Raz na pewien – nie za długi i nie za krótki – czas przychodził dzień, na który czekali z niecierpliwością. Wchodzili wtedy pojedynczo do niewielkiego, zapuszczonego mieszkanka, wynajmowanego wyłącznie na potrzeby tych rzadkich schadzek, kiedy uprawiali pośpieszną, fizyczną miłość, po czym wracali do swojego życia. Nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. I nikt nie wiedział.

Poza jedną osobą. Teraz już dwiema.

Pies kazał mi to zrobić.

Podszedł do cudzołożników, tych parszywych zboczeńców. Zatrzymał się w odległości metra od nich. Wyjął american spirita, zapalił, zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nosem. Wiedział, że wygląda jak smok. Zrobił to raz jeszcze, ot, dla drobnej przyjemności.

Byli tak zajęci rozmową, że nawet na niego nie spojrzeli. Poczul odrazę. Tak nie powinno być. Mężczyzn nie może łączyć... coś takiego. To dobrze, że byli zajęci sobą. Był zwyczajnym przechodniem, jakimś facetem, który zatrzymał się na papierosa. Dopalił american spirita, rozkoszując się gryzącym dymem, i rzucił peta w krzaki.

Rozejrzał się. Washington Square Park był dziwnie pusty. Zimno albo opatrność. Siedzący mu na ramieniu anioł pisnął, jednak zignorował intruza, jak to robił już od sześciu tygodni. Nudził się i był gotów się zabawić.

Mężczyźni siedzieli pochyleni do siebie.

Pociągnął nosem, jakby nie potrafił się zdecydować, co dalej. Wyjął pistolet z kieszeni, tłumik cicho zakasłał i z ran trysnęła krew. Po dwa strzały w głowę. Ledwie do nich dotarło, co się

dzieje, i już było po sprawie. Zmiał list i rzucił go na ciała. Grzesznicy na twardej, zimnej ławce opierali się o siebie, szary pot i czerwone mózgi mieszały się ze sobą, a krew powoli ściekała na cienką warstwę śniegu pod ławką. Przysiągłby, że odwracając się, usłyszał kapanie.

Pies kazał mi to zrobić.

Zdażył pokonać całą przecznicę, kiedy anioł na ramieniu poinformował go, że przestało szeleścić. Jasna cholera. Pomacał się po kieszeniach, ale znalazł w nich jedynie broń, papierosy i zapalniczkę. Papierowa torba musiała wypaść, kiedy wyciągał pistolet. Nie zwrócił na nią uwagi, bo skupił się na opętańczym wyciu anioła. Kurwa mać. Miał zostawić tylko list. Kurwa.

Wpadł ze swej roli. Poczul narastającą panikę.

A anioł mówił:

Oddychaj, właśnie tak. Oddychaj i idź przed siebie. To tylko zwykła brązowa, papierowa torba. Nikt nie będzie w stanie jej zidentyfikować.

Zanotował w pamięci, żeby na wszelki wypadek zaraz po powrocie do domu wyrzucić paragon za paczkę toreb, którą kupił z myślą o dzisiejszym zadaniu. Zamierzał pozbyć się wszelkich śladów, które mogłyby doprowadzić do niego policję. Rozkaz to rozkaz, prawda?

Anioł się rozgadał:

Jebany pies. Jak można winić za cokolwiek psa? Trzeba być nieźle pierdolniętym, nie? Pies kazał mi to zrobić – akurat!

To nie był dobry anioł.

Za plecami usłyszał syreny. Poczul, jak panika kamieniem ciąży w żołądku. Zbladł. Pomyślał, że musi biec. Uciec jak najprędzej. Już zrywał się do biegu, kiedy anioł wrzasnął mu do ucha:

Idź spokojnie, stary. Idź, nie biegnij.

Zatrzymał się i głęboko odetchnął. Przypomniał sobie zaskoczenie na twarzach mężczyzn. Wbił spojrzenie w okno baru akurat w chwili, kiedy ulicą pomknął radiowóz na sygnale, udając zainteresowanie tym, co za szybą. Ot, facet w drodze do domu

zastanawia się, czy nie wpaść na drinka. Uśmiechnął się, widząc swoje zarosnięte odbicie.

To jednak był udany wieczór.

San Francisco, stan Kalifornia

Godzina 23:00

Do: troy14@ncr.tr.com

Od: crypto@ncr.zk.com

Temat: San Francisco

Troyu, idzie mi całkiem nieźle. Dam znać, jeśli coś się posypie.

ZK

Pociły mu się dłonie.

Walczył z mdłościami. Przełknął gulę narastającą w gardle. Rękawiczki piły i drapały, czuł, że go krępują. Zdjął je szybkim ruchem, ignorując rozkazy. Pod wpływem chłodnego powietrza po wilgotnej skórze przebiegły ciarki. Teraz lepiej. Włożył rękawiczki do tylnej kieszeni czarnych dżinsów. Mocniej i pewniej chwycił rękojeść pistoletu. Metal był śliski i niemal parzył dłoń. Od dawna wyobrażał sobie, jak będzie wyglądał ten moment. Teraz miał szansę, prawdziwą szansę za jednym zamachem zrealizować marzenia i zarobić trochę forsy. Wyrwać się z kieratu, w którym tyrał dzień za dniem. Pieprzona robota, z której go wywalili. Pieprzony dom, który zajął bank. Pieprzony samochód, który nadal musiał spłacać, choć nie było go już na to stać. Był bezdomny, goły jak święty turecki i cholernie chciał spróbować morderstwa. Pieniądze będą bardzo miłym dodatkiem do imprezy. Okazja nadarzyła się w idealnym momencie.

Jakieś dwadzieścia metrów dalej dwie postaci kotłowały się na przednim siedzeniu toyoty tercel. Z ciemnej kabiny dobiegała przytłumiona muzyka. Okna były zaparowane, nie dało się dostrzec żadnych szczegółów. Ale wiedział, że w środku znajduje się para nastolatków, która wybrała się na wieczorne barszkowanie. Nieważne, jak się nazywają. Nieważne, co robią. Są rekwizytami. Złudzeniem.

Posuwał się naprzód, ostrożnie stąpając po żwirze. Droga

była stara, zaniedbana i wyboista, ale ani jej stan, ani intensywna woń stojącej wody pobliskiego jeziora jakoś nie zniechęcały amatorów przytulank. Zakątek – idealne miejsce, jeśli komuś zależało na odrobinie prywatności – nie bez powodu nazywano alejką zakochanych. Drogę oświetlał blask księżyca.

Jeszcze dziesięć metrów. Nudności powróciły ze zdwojoną siłą. Zatrzymał się i odetchnął głęboko przez usta. Próbował przekonać serce, by nieco zwolniło. Poczł adrenalinę, płynęła w żyłach, krążyła w nim całym i paliła niczym jad.

Oto ta chwila, o której marzył od lat. Wreszcie!

Pamiętaj, po co tu jesteś, upomniał sam siebie. Pamiętaj, jaka jest stawka. Pomyśl o świetlanej przyszłości.

Teraz lepiej. Nerwy minęły, dał się porwać chwili.

Nadszedł czas.

Ostatnie metry pokonał wypełniony radosnym podnieceniem. Wyjął latarkę z kieszeni kurtki i włączył ją. Już wyraźnie słyszał jęki dziewczyny, widział jej drobne ciało. Podskakiwała, siedząc okrakiem na kochanku. W górę i w dół, w górę i w dół. Poczł swędzenie w kroczu, takie samo, jakie go dopadało podczas oglądania pornosów. Uświadomił sobie, czym w istocie było nerwowe oczekiwanie na ten dzień: podnieceniem niemal seksualnym. Doszedł do wniosku, że bardzo mu się to podoba.

Zastukał latarką w okno od strony kierowcy.

Pisk. Zaskoczył ich. To dobrze. Przyłożył srebrną odznakę do szyby. Chłopak gwałtownie zbladł. Kilka szybkich ruchów – pewnie mieli alkohol albo prochy – i po chwili kierowca opuścił szybę. Z wnętrza wylała się muzyka, klasyczny kawałek do seksu. W oknie ukazała się wystraszona twarz chłopaka. Dziewczyna siedziała na miejscu pasażera i ukradkiem poprawiała spódnice.

Chłopak odchrząknął. W ostrym świetle latarki wyraźnie było widać jego krwistoczerwone usta.

– O co chodzi, panie władzo? Jakiś problem?

– Skądże – odparł i nacisnął spust.

Trafił chłopaka tuż pod lewym okiem. Doskonale! Wbił spojrzenie w zgrabną dziurkę w policzku i zdziwił się ilością krwi,

jaka popłynęła na fotel kierowcy. Zawahał się. Odgłos wystrzału był donośniejszy, niż się spodziewał, na pewno dużo głośniejszy niż na strzelnicy, gdzie przecież używało się słuchawek. Brzęczało mu w uszach, ale nie aż tak, żeby nie usłyszał krzyku. Ach tak, jeszcze dziewczyna.

Sprowadziła go na ziemię. Mocowała się z klamką, cholera, otworzyła drzwi. Szybko obszedł samochód od przodu. Dopadł ją, kiedy zerwała się do biegu. Płakała, wydawała z siebie paniczne, chaotyczne chrząknięcia. Obejrzała się przez ramię, a gdy zobaczyła, że się do niej zbliża, zaczęła biec tyłem i nagle wylądowała twardo na tyłku. Próbowwała uciec, stopami zaczepiała o suche gałęzie i mielila żwir. Wycelowwał i strzelił.

Pocisk trafił ją w pierś. Tępe „łup” i odrzuciło ją do tyłu. Upadła, płatanina rąk i nóg, ze wzrokiem utkwionym w niebo. Strzał prosto w serce. Umarła w ciągu minuty. Przez chwilę oddychała nierówno, spazmatycznie, dopóki nie uszło z niej całe życie. Zignorował zawodzący jęk dziewczyny i przyjrzał się krwi. Fascynująca ciecz – ta lepkość, ten kolor. Dotknął powiększającej się kałuży. Dłoń lśniła czerwienią.

Zorientował się, że ma potężną erekcję. Wyobraził sobie, że szkarłatną dłonią obejmuje stwardniały członek i porusza ręką. To wystarczyło.

Zaspokojony opanował oddech, schował broń do kieszeni i wyjął aparat fotograficzny. Pstryknął piętnaście zdjęć pod różnymi kątami i z różnej odległości, po czym wrócił do chłopca i zrobił to samo. Zerknął na zegarek. Minęła północ. Czas się zbierać.

Ruszył wydeptaną ścieżką prowadzącą do jeziora. Był zadowolony z nocnej wyprawy, myślami wybiegał już ku kolejnej. Po zdenerwowaniu nie został nawet ślad. Postanowił, że następnym razem użyje noża.

Nashville, stan Tennessee

Północ

Taylor Jackson zaczęła się budzić. Serce waliło jej w piersi. Rzadko miewała mocny i spokojny sen, ale tym razem naprawdę ją wzięło, bo czuła się, jakby pływała w gęstej szarej materii swego

mózgu. Próbowwała zmusić się do otwarcia oczu. Coś ją obudziło. Jakiś niedaleki i głośny dźwięk.

Sięgnęła pod poduszkę i poczuła zimną stal glocka. Starając się nie szeleścić pościelą, przysunęła broń do piersi, pewnie ujęła rękojeść i omiatając wzrokiem wypełniającą sypialnię ciemność, usiadła na łóżku.

Ponownie usłyszała ten dźwięk i przeszedł ją dreszcz. To sowa.

Padła na łóżko i schowała pistolet pod poduszkę. Położyła ręce na piersi i spróbowała uspokoić walące serce. Sufit wydawał się zawieszony niżej niż zwykle. Światło księżycy wędrowało po pomalowanej na jaskrawy kolor ścianie.

Kilka godzin wcześniej przyjaciółka, o ile Ariadne można było tak nazwać, powiedziała, że sowa jest totemem Taylor, jej duchem-przewodnikiem. I że pojawienie się sowy to dla niej znak. Nie to, żeby Taylor naprawdę wierzyła w całą tę abrakadabrę – pogańska kapłanka była mistrzynią przestroóg i pokrętnych odpowiedzi – ale słysząc już trzecie wyraźne pohukiwanie, poczuła pełznący po niej strach.

Gdyby naprawdę dawała wiarę słowom Ariadne, musiałyby uznać ptasi koncert za znak.

Nie potrzebowała pohukiwań sowy, by wiedzieć, że nie jest i nie będzie dobrze. Minęło zaledwie czterdzieści osiem godzin od zdarzenia, w którym okoliczności zmusiły Taylor do zastrzelenia nastoletniego chłopca. Czas nie zaleczył rany. Czowała się gorzej niż tuż po strzelaninie.

Przekręciła się na drugi bok, starając się zapomnieć twarz chłopca.

– Myśl o czymś innym – poradziła Ariadne – to poczujesz się lepiej.

Nieprawda, wcale nie czuła się lepiej. W rzeczywistości wszystko zmierzało ku gorszemu. Wiedziała, co się stanie. Czowała to w kościach. Nie potrzebowała ani pohukiwania sów, ani podpowiedzi czarownicy, by przewidzieć nadchodzące kłopoty. Instykt wysyłał jej silne sygnały ostrzegawcze.

Największy wróg Taylor postanowił wykonać ruch.

Spojrzała w sufit. Naśladowca, ten psychopatyczny sukinsyn, porwał Pete'a Fitzgeralda, sierżanta Fitza, jej bliskiego przyjaciela i wzór do naśladowania, przetrzymywał go i torturował, ale nie zabił. Umęczony Fitz miał być świadectwem siły Naśladowcy, jego władzy nad życiem i śmiercią. Doskonale zrozumiała, co drań chciał przez to powiedzieć:

– To samo mogę zrobić z tobą, Taylor, w dowolnym momencie, w dowolnym miejscu.

W starej przyczepie kempingowej w górach Karoliny Północnej zostawił prezent dla Taylor. Zadrwił ze zdolności pani porucznik i wysłał jej sygnał ostrzegawczy, karteczkę przyczepioną do wyłupionej gałki ocznej Fitza, a na niej wiadomość po hebrajsku: *ayin tachat ayin*, czyli „oko za oko”. Trudno o większą dosłowność.

Fitz przeżył, ale został okaleczony. Nie wiedziała, co jeszcze zrobił mu oprawca, ale wyobrażała sobie, że dużo gorsze rzeczy.

Wkrótce miała się dowiedzieć. Za kilka godzin polecą do Nags Head w Karolinie Północnej i sprowadzi sierżanta do domu.

Przewróciła się na drugi bok. Nogi zaplątały się w kołdrę, więc kopnięciem podrzuciła tkaninę i zaczęła, aż opadnie jak posłuszna chmura.

Znów wypełniła ją ciemność, a umysł pracował na najwyższych obrotach. Wróciło poczucie, że wszystko się rozpada. Ostatnie dwa dni należały do najgorszych w jej życiu. Dwa dni przeżywania całego zdarzenia sekunda po sekundzie: huk wystrzału, odrzut, pieczenie w nadgarstku po pierwszym strzale, drugim, trzecim, ogłuszające dzwonięcie w uszach, szok i nienawiść w oczach chłopaka. Po raz tysięczny zadała sobie pytanie: „Czy mogłam postąpić inaczej?”. Jasne, że nie, odpowiedziała, przecież celował do mnie z pistoletu. Śmierć na życzenie, jak to się mówi. Policjant wyręcza człowieka w samobójstwie. Zdesperowany podejrzany nie ma odwagi sam odebrać sobie życia, więc zmusza policjanta, by go zastrzelił.

Wróciła myślami do Fitza, do jego bólu. Wyobraziła sobie,

co czuje człowiek, któremu wyłupują oczy. Miała nadzieję, że Fitz był wtedy nieprzytomny. Poczła gulę w gardle. Wystarczyła krótka rozmowa, by wytrącić ją z równowagi. Kiedy zadzwonił, by powiedzieć, że żyje, pominął szczegóły. Przekazał Taylor wiadomość od Naśladowcy. Szyderczą i niejasną. Tylko jedno słowo.

– Kazał ci powiedzieć: „Zagrajmy”.

Przewróciła się na drugi bok, rozbiła poduszkę pięścią i położyła głowę na miękkiej powierzchni. Strzelanina i ból Fitz'a nie były jedynymi przyczynami niepokoju.

Zagrajmy.

Naśladowca nie wykazał się przesadną subtelnością. Ktoś dzwonił do niej do domu. Kiedy wyjechała z miasta w ślad za kolejnym szaleńcem – zawsze był jakiś kolejny szaleniec, lista się wydłużała – ktoś zostawił pocisk i liścik w skrzynce na listy. Nieustannie miała poczucie, że jest obserwowana. Zniknięcie Fitz'a i jego uwolnienie też było zakamuflowaną wiadomością.

– Widzisz, Taylor, jaką mam władzę? – pytał w ten sposób Naśladowca. – Jeśli zechcę, mogę w każdej chwili dopaść twoich najbliższych.

Ale dla Naśladowcy nękanie przyjaciół Taylor już nie wystarczało.

Zagrajmy.

Żałowała, że Baldwin musiał wyjechać do Quantico. Nie było go od dwóch dni. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo go potrzebowała, do jakiego stopnia stała się zależna od jego chłodnej logiki, jak usilnie szukała pociechy przy jego boku. Niedawno musiała stawić czoło jednemu z największych wyzwań swego życia, podjęła je i poradziła sobie. A teraz brakowało jej Baldwina. Zobaczą się już jutro, pomyślała w nagłym przypływie radości. O ile jego pobyt w Quantico się nie przeciągnie. O ile jutro w ogóle nadejdzie.

Na zegarze siedemnaście minut po północy.

Westchnęła głęboko i wstała z łóżka. Włożyła czarne dresy i wsunęła z tyłu za pasek glocka kaliber 40. Był tak ciężki, że

spodnie zaczęły się zsuwać. Poprawiła je, ściągnęła gumkę i zawiązała z przodu sznurek. Od razu lepiej.

Poszła korytarzem do pokoju, w którym stał jej ulubiony stół do bilardu. Włączyła starą podłużną lampę z zielonym kloszem, zalewając pomieszczenie niezwykłym, szmaragdowym blaskiem. Sięgnęła po pilota do telewizora. Odbiornik włączył się na kanale Fox News. Akurat leciał jeden z jej ulubionych programów, talk-show *Red Eye*. Zawsze dostarczał jej doskonałej rozrywki, zwłaszcza wstawka *Halftime Report* autorstwa Andy'ego Levy'ego. Skoro brak mi łez, niech się chociaż pośmieję, pomyślała.

Zdjęła pokrowiec ze stołu i zaczęła nieśpiesznie pocierać kij kredą, jednym uchem słuchając telewizora. Ustawiała bile, rozbiła je, wszystkie po kolei posłała do luzu, a potem zaczęła grę od początku.

O dziwo, sowa ją zaniepokoiła. Kto wie, może podświadomie postanowiła w końcu uwierzyć słowom czarownicy? Ariadne powiedziała, że podczas strzelaniny Taylor nie miała wyboru. Postąpiła słusznie, uratowała życie niewinnym ludziom. Przewidziała, że Fitz przeżyje, ale będzie ranny. Powtarzała, że losy Baldwina i Taylor są nierozzerwalnie splecione, toteż Taylor może, a nawet powinna na nim polegać. Ariadne wkradła się do jej życia pod nieobecność Baldwina, zastąpiła go w roli powierniczki, dlatego Taylor nie została sama ze swoimi zmartwieniami. To pomagało, zwłaszcza kiedy nie mogła się pozbyć wrażenia, że wszystko dokoła się rozpada. Naśladowca wybierał się po nią i wiedziała, że tym razem nie zadowolili się przelotnym kontaktem.

Nie wiedziała jednak, dlaczego teraz. Ani czemu wybrał właśnie ją. Był dla niej zagrożeniem, akurat tyle wiedziała. Nie zważał na alarmy, ochronę, broń – potrzebował jej i zamierzał do niej dotrzeć.

Zagrajmy.

W złości rozbiła bile tak mocno, że jedna z nich przeskoczyła przez krawędź stołu i z głuchym łupnięciem spadła na podłogę. Podniosła ją i położyła na zielonym suknie.

Czy jestem na niego gotowa? – pytała samą siebie.
Wszystko po kolei.
Najpierw pojedzie do Karoliny Północnej po Fitza.

6 listopada

ROZDZIAŁ DRUGI

Outer Banks, wyspy barierowe u wybrzeży Karoliny Północnej

Dyskrecja była jedną z najważniejszych cech stewardesy pracującej na pokładzie niewielkiego odrzutowca, zatrudniało ją bowiem Federalne Biuro Śledcze, a podlegała bezpośrednio jego wicedyrektorowi. Widziała rzeczy niewidoczne dla zwykłych śmiertelników. Widziała, jak szef rozmawiał z możnymi i potężnymi ludźmi tego świata. Widziała, jak samolot przewoził osoby, które z różnych względów nie mogły podróżować zwykłymi środkami transportu. Widziała lecące nim kobiety, które straciły mężów, i matki, które straciły synów. Widziała naprawdę bardzo dużo, ale nigdy z nikim o tym nie rozmawiała.

Niemniej jednak szarooka, siedząca w środkowej części kabiny na szerokiej, skórzanej sofie kobieta, obok której stała nietknięta kryształowa szklanka z wodą, była pewnym zaskoczeniem. Stewardesę – na imię miała Cici – z początku oczarował sympatyczny uśmiech nieznajomej. Pozwoliła zahipnotyzować się oczom, z których jedno miało ciemniejszy odcień niż drugie. Zauroczył ją jej południowy akcent, to typowo teksańskie przeciąganie samogłosek. Zwróciła uwagę na blond włosy związane w doskonale niechlujny kok. Przeczesała palcami swoje przywiedłe loki i pomyślała, że chciałaby mieć takie mocne, puszyste włosy. Ułożyć je raz i mieć święty spokój.

Zazdrościła nieznajomej wzrostu – metr osiemdziesiąt dwa bez szpilek – i prezencji: twarzowego kaszmirowego golfu, czarnej skórzanej marynarki, dopasowanych džinsów i czarnego płaszcza motocyklowki. Ze zdziwieniem dostrzegła przymocowane do paska kaburę i odznakę. Przecież ta kobieta w ogóle nie wyglądała na policjantkę! A jednak nią była, o czym Cici wiedziała, bo przeczytała listę pasażerów. Pani porucznik z Wydziału Zabójstw Policji w Nashville w stanie Tennessee.

Siedziała dziwnie nieruchomo, nie bawiła się niczym, nie

zakładała nogi na nogę, nie bębniła palcami o skórzany podłokietnik. Trzymała dłonie luźno na podołku, głowę miała lekko zwróconą w stronę okna. Brak ruchu ze strony pasażerki krępował i niepokoił Cici, toteż chodziła po kabinie na palcach, żeby jej nie przeszkadzać.

Wiedziała również, że łączą ją bliskie stosunki z doktorem Johnem Baldwinem, ulubieńcem szefa Cici. Baldwin nie dość, że był zabójczo przystojny – za tymi zielonymi oczami skoczyłaby w ogień – to na dodatek emanował ciepłem, troskliwością, przenikliwością. Był serdecznym przyjacielem szefa, synem, którego ten nigdy nie miał. Wiedziała o tym, ponieważ Garrett Woods zwierzył jej się, kiedy jeszcze pijał wysokoprocentową wodę przez „o” z kreską.

Baldwin prowadził mężczyzn i kobiety na bój, walczył z siłami zła, usiłował powstrzymać falę zbrodni i rozlew krwi powodowany okrucieństwem złoczyńców. Jednocześnie był rozbrajająco uprzejmy, i to do tego stopnia, że zastanawiała się, czy to aby nie poza. Jak można wiecznie być takim opanowanym? Takim jak ta nieznajoma pasażerka. Cici oczywiście nie była profilerką, ale studiowała psychologię i często się zastanawiała, co kieruje doktorem Johnem Baldwinem. Stwierdziła, że jego grzeczność to tylko fasada, pozory. Za nią kłębiły się i wierciły demony. Poczucie winy, wstyd, nienawiść. Jak u każdego, prawda?

Czuła, że podobna walka rozgrywa się w duszy pani porucznik. Poczucie winy, wstyd, nienawiść. Lecz w tej szarej, ciemnej jak dno jeziora głębi kryło się coś jeszcze, i o ile Cici się nie myliła – mówię od razu, powtarzała w duchu, że żaden ze mnie ekspert – był nim strach.

Taylor poczuła, jak wysuwa się podwozie samolotu. Po chwili koła dotknęły chłodnego asfaltu. Maszyna łagodnie wylądowała, po czym zatrzymała się. Baldwin załatwił przelot z Nashville do Karoliny Północnej odrzutowcem swojego szefa. Taylor musiała przyznać, że przemieszczanie się takim środkiem transportu mogłoby wejść jej w nawyk.

Stewardesa otworzyła drzwi i grzecznie się pożegnała. Taylor

nie żałowała, że lot się skończył. Stewardesa zachowywała się dziwnie, była blada, płochliwa jak sarna na łące i bacznie jej się przyglądała oczami niemal zupełnie pozbawionymi rzęs.

Taylor zeszła po schodkach na płytę lotniska. Z zaskoczeniem stwierdziła, że z sinoszarego nieba lecą drobne płatki śniegu. Czuła, że na głowie tworzy jej się biała skorupa. Potrząsnęła włosami i związała je w kucyk.

Baldwin już czekał. Kiedy ją zobaczył, jego ciemnozielone oczy zaślniły. Nie golił się od poniedziałku – od wyjazdu do Quantico – i wyglądał jak perfekcyjnie zaniedbany model, który uciekł z planu zdjęciowego reklamy. Przebudziło się w niej pożądanie, a czysta radość z przebywania w pobliżu Baldwina sprawiła, że usta ułożyły się w szeroki uśmiech. Odwzajemnił go, objął Taylor w pól i pocałował. Kiedy odkleili się od siebie, żeby zaczerpnąć tchu, odezwali się równocześnie:

– Jak lot?

– Jest Fitz?

Roześmieli się, po czym Taylor powiedziała:

– Ty pierwszy.

– Nie, nie ma go tutaj. Przesłuchują go agenci SBI, a po południu czeka go operacja. Przewiozą go do Duke.

– W Nashville też mamy chirurgów. Dlaczego nie możemy go zabrać do domu?

– Biuro chce go na razie zatrzymać pod swoją jurysdykcją. Zaangażowali w to trzy biura okręgowe. To dla nich duża, ważna sprawa, dlatego nie chcą wypuścić Fitz'a z rąk. Wiesz, jak jest. Poza tym chirurg z Duke należy do najlepszych w swoim fachu. Oczyszczy oczodół i umieści w nim tymczasowe wypełnienie, żeby nie dopuścić do opadnięcia mięśni ocznych. Na okres rekonwalescencji przewiozą Fitz'a do szpitala Uniwersytetu Vanderbilta. Widziałem się z nim, tyle że na krótko. Wiem, że się ucieszy, kiedy cię zobaczy.

Zobaczy mnie, pomyślała. Zobaczy... Przeszedł ją dreszcz.

– Biedne to oko. Bardzo go boli?

– Stan Fitz'a okazał się na tyle stabilny, że wypisano go z

oddziału ratunkowego i zabrano na posterunek na przesłuchanie. Na pewno odpowiednio się nim zajęli. Wiesz, to twarda sztuka, nic mu nie będzie. Lekarze powiedzieli, że uszkodzenie jest do naprawienia. Za miesiąc dostanie protezę.

– Chcę z nim porozmawiać. Może jednak wolałby wrócić do Nashville? To powinien być jego wybór. Przecież nie mogą traktować go jak podejrzanego.

Ruszyli w stronę terminalu. Prywatne lądowisko w Duck miało niewielkie rozmiary, przyjmowało tylko małe odrzutowce i samoloty jednosilnikowe.

– A oprócz tego co nowego?

– Kapitan portu znalazł łódź Fitz. Okazuje się, że od tygodnia albo nawet dłużej stała zacumowana w przystani. Kapitan poszedł wyegzekwować opłatę portową od właściciela, ale gdy wszedł do środka i zobaczył mnóstwo krwi, zawiadomił policję w Nags Head. W łazience funkcjonariusze znaleźli martwą Susie. Miała liczne rany kłute.

Tylor zrobiło się niedobrze. Susie McDonald – najśłodsza kobieta, jaką od dłuższego czasu Fitz spotkał na swej drodze. Tylor ją polubiła, a Fitz pokochał. Musi być zdruzgotany.

– Biedna Susie. Fitz już wie?

– Tylko tyle, że Susie nie żyje. Żadnych szczegółów. Ale był tam, kiedy umierała, więc pewnie sam się domyśla. Fitz jest w zdumiewająco dobrym stanie, zważywszy na to, przez co przeszedł. Bez oka można żyć. Choć zapewne boli jak cholera. Zresztą sam ci opowie.

– Czy na przystani są kamery? Zarejestrowały osobę, która opuszczała łódź?

– Kamery są, ale jeszcze niczego nie znaleźliśmy, za wcześnie na to. Sam dopiero co przyleciałem.

Taylor przyglądała się pełnemu gracji tańcowi śnieżnych płatków. Sporo napadało. Prognozowano osiem centymetrów, to sporo, jak na tę porę roku i ten zakątek kraju.

– Naśladowca nie jest głupi – powiedziała. – Próbuje mnie wywabić, to jasne. Celowo skrzywdził Fitz. Wie, że po niego idę,

a jeśli nie, wtedy on przyjdzie po mnie.

– Taylor...

– Poważnie. Koniec grzecznej Taylor. Chcę dorwać drania.
Baldwin głęboko westchnął.

– Właśnie dlatego odeślę cię do domu i przydzielę całodobową ochronę. Bo nie chcę, żeby on dorwał ciebie.

– Wiem, już mówiłeś. Nie potrzebuję nianieek.

Zatrzymał się przed drzwiami do terminalu, złapał Taylor za ramiona i obrócił w swoją stronę.

– Nie sprzeczasz się ze mną, koniec z żartami. To niedługo się skończy. Wiem, że ty też to czujesz. Musimy być ostrożni.

– Uspokój się, przecież jestem ostrożna. – Poklepała się po biodrze, po spoczywającym w kaburze glocku, a potem sięgnęła do przedniej kieszeni w spodniach i wyjęła pocisk dum-dum kaliber 40 ze strzelby winchester. – Widzisz? Noszę tę kulę, którą mi przysłał. Zamierzam mu ją odesłać.

Usta Baldwina drgnęły. Było widać, że walczy ze śmiechem.

– Co tam jest napisane? – spytał.

Podawała mu pocisk. Na łusce krzywymi literami napisała *hamsa*, czyli „ręka Fatimy”. Była to nazwa bliskowschodniego symbolu chroniącego przed „złym okiem”. Oko na dłoni było dla niej jak amulet. Wiedziała, że to infantylne, ale umieszczenie napisu na naboju dało jej sporo satysfakcji.

– Zamierzam pokazać Naśladowcy, że całkiem dosłownie potraktowałam to jego „oko za oko”.

Baldwin tylko pokręcił głową i westchnął ciężko.

Pociągnęła go za rękę.

– No już, idziemy. Co się wydarzyło od twojego przesłuchania? Dowiedziałeś się czegoś?

Zawahał się i odparł:

– Nie teraz, porozmawiamy, kiedy zostaniemy sami.

Coś było nie tak. Mówił wymijająco, a kiedy szli obok siebie, czuła, że się od niej odsuwa. Przesłuchanie w Quantico miało charakter dyscyplinarny. Chodziło o jakąś sprawę z przeszłości Baldwina, nic więcej nie wiedziała. Ale nie dociekała, nie

dopytywała się o szczegóły, bo próbowała uporać się z własnymi problemami. Być może popełniła błąd.

Zagryzła wargę i poszła za Baldwinem. Przeszli przez niewielki budynek terminalu i znaleźli się na parkingu. SBI, Stanowe Biuro Śledcze, przysłało auto. Od razu je rozpoznała: czarne, kanciaste pudło, już na pierwszy rzut oka przeznaczone do wożenia tajniaków. Pracowało na jałowym biegu, z rury wydechowej wydobywała się chmura spalin. Kierowca pomimo szarego nieba miał na nosie ciemne okulary. Na tylnym siedzeniu można się było ugotować. Baldwin poprosił agenta, żeby przykręcił ogrzewanie. Posłuchał, ruszył i powoli włączył się do ruchu. Drogi nie były oblodzone, ale padający śnieg sprawiał, że było dość ślisko.

Krajobraz za oknem wydawał się Taylor swojski i zarazem osobliwie egzotyczny. Ostatni raz była na Outer Banks jako mała dziewczynka. Zawsze przyjeżdżała tu latem. Jej oczom ukazał się hipnotyzujący widok – to śnieg pełzał po piasku. W myślach umieściła tę scenę na pocztówce i dopisała hasło: „Spędź zimę na plaży”. Pomyślała o wielkich ogniskach, radosnych, biegających po piachu psach i ubranych w grube wełniane swetry właścicielach stawiających czoło podmuchom zimnego wiatru. Bardziej to Północ niż Południe.

Z zaskoczeniem uznała tę wizję za pociągającą. Pochodziła z Nashville, a zatem nie cierpiała śniegu i jednocześnie uwielbiała go i cieszyła się z niego jak dziecko. Jeśli nie liczyć świątecznej burzy śnieżnej sprzed roku, w Nashville biały puch był bardziej anomalią niż normą. Lód, deszcz ze śniegiem – to owszem, ale nie puszyste wirujące płatki. One były czymś obcym.

Raczej by nie zniosła wiecznej zimy, ale śnieg w milczeniu padający na drobny piasek wydawał jej się całkiem na miejscu. Był niczym przebaczenie.

Baldwin wziął ją za rękę i lekko ścisnął, jakby czytał w jej myślach. Zawsze potrafił przedrzeć się przez skorupy i barwy ochronne i dotrzeć do dna duszy. Umiał to robić, bo był psychiatrą, ale w przypadku Taylor chodziło o coś więcej niż kolejną

diagnozę. Baldwin czuł ból, którego doświadczała. Zdawał sobie sprawę, że ilekroć używała broni, kruszyła się kolejna część jej duszy. Miała tylko nadzieję, że jeśli nadal będzie ją kochał, wówczas może, ale tylko może, uda mu się powstrzymać tę jej stopniową utratę człowieczeństwa.

– Spałaś? – spytał.

– Trochę – odparła z uśmiechem. – Chociaż nie dałam odpocząć stołowi do bilardu.

– Mogę ci coś przepisać. Ja albo Sam.

– Sam jest zajęta – odparła, umykając wzrokiem. – Ma dużo na głowie. Nie sądziła, że zajdzie w ciążę tak szybko po poprzedniej. To duże obciążenie dla niej i Simona.

– Znów się kłócicie?

– Nie. Ona... Po prostu nie chcę się faszzerować prochami. – Bo jeśli zasną kamiennym snem, a on po mnie przyjdzie, nie będę się mogła obronić, dodała w myślach.

Stosunki między nią a Sam Loughley były ostatnio napięte, ale nie chciała o tym rozmawiać z Baldwinem. Po co jeszcze bardziej go niepokoić. Poprzytykanie się z najlepszą przyjaciółką to nic przyjemnego, a jeśli w dodatku musisz z nią pracować niemal każdego dnia, ponieważ jest szefem patologów w zakładzie medycyny sądowej, to już w ogóle. Znały się od przedszkola, kłóciły się mnóstwo razy, zawsze jednak w końcu się godziły. Teraz też tak będzie.

Zacząło się, kiedy James „Memphis” Highsmythe ze Scotland Yardu, nowy współpracownik FBI z ramienia brytyjskiego pracodawcy, zaczął podrywać Taylor, a ona nieroztropnie podjęła grę. Sam natychmiast jej to wytknęła. Cała wina leżała po stronie Taylor, miała tę świadomość, ale sytuacja zaczęła ją męczyć. Nawet nie chciało jej się myśleć o Memphisie i była przekonana, że jeśli nie odwzajemni uczuć, to Memphisowi zadurzenie w koleżance szybko przejdzie. Kłótnia z Sam pokazała, że Taylor jednak nie wyrzuciła z pamięci ani Memphisisa, ani tym bardziej pocałunku, choć wydawało jej się, że jest inaczej. Nie miała ochoty o tym rozmawiać. Nie teraz, kiedy wszystko wokół

staje się niepewne.

Baldwin wziął ją za rękę.

– Już dobrze. Jak spotkanie z doktor Willig?

– Z Victorią? W porządku.

Wyczuł kłamstwo, ale powstrzymał się od komentarza. Po strzelaninie, po tych wszystkich trupach i odebranych niewinnych życiach, komendant Joan Huston, szefowa Taylor, przed ponownym dopuszczeniem do służby wysłała ją do psychologa. Regulamin tego wymagał po każdym użyciu broni palnej przez funkcjonariusza. Taylor spędziła u doktor Willig całe dziesięć minut. O tym też wołała nie mówić.

Popatrzyła na ocean, na fale rozbijające się o brzeg i utożsamiała się z nimi chyba trochę za mocno.

Baldwin zrozumiał, że to koniec rozmowy. Rozsiadł się wygodnie na skórzanym siedzeniu, sprawdził wiadomości na telefonie i zatopił się w myślach. Taylor cieszyła się, że przesłuchanie dobiegło końca. Nadal uczyła się, jak dzielić się swymi przemyśleniami z Baldwinem. Wystarczająco długo nie miała partnera, by przyzwyczać się do emocjonalnej samowystarczalności, więc fakt, że miała u swego boku bratnią duszę, kogoś bliższego niż przyjaciele z dzieciństwa, czasem wprawiał ją w zakłopotanie. Nadal ukrywała prawdziwe uczucia, nadal nie wszystko wyjawiała Baldwinowi. Doktor Willig powiedziałaaby, że to niezdrowe. Taylor była zaręczona z Baldwinem, wkrótce ostatnie bariery między nimi znikną. Na szczęście Baldwin był cierpliwym mężczyzną i wiedział, kiedy dać narzeczonej nieco przestrzeni.

Przez resztę drogi milczeli. Samochód skręcił na podjazd i zatrzymał się przed piętrowym posterunkiem policji w Nags Head. Dom cechowała swoboda typowa dla budowli w tym miasteczku. Dach składał się z szarych podniszczonych gontów wykończonych białymi listwami profilowymi, a całe piętro sprawiało wrażenie azylu na czas nieuniknionej powodzi w sezonie huraganów. Kierowca wysiadł, zapalił papierosa i bez słowa zniknął za rogiem.

Z budynku wyszedł mężczyzna i zaczął machać na

powitanie. Był szczupły, miał brązowe włosy i oczy, miał na sobie stosowne do pogody drelichowe spodnie i jasnobrązowy wełniany sweter.

Wysiedli z auta i ruszyli mu na spotkanie. Uśmiechnął się do Taylor, spojrzął na nią z dołu i powiedział:

– O rany, wysoka jak brzoza...

Baldwin stłumił wybuch śmiechu. Gdyby za każdym razem, gdy ktoś skomentował jej wzrost, pobierała honorarium, byłaby bogatą kobietą.

– ...ale nie głupia jak koza. Miło mi – odparła.

Podali sobie ręce.

– Steve Nadis, komendant posterunku. Jak samopoczucie?

– Porucznik Taylor Jackson, Nashville, Wydział Zabójstw.

Dobrze, a pana?

– Też, też. Co prawda przeżywamy mały nalot obcych policjantów i agentów federalnych, ale wszystko gra. Wchodźcie, wchodźcie, zaparzę kawy. Zimno jak na Uralu, co? Śnieg spadł strasznie wczesnie, tutaj to nietypowa pogoda. Miło znów pana widzieć, doktorze Baldwin.

– Nawzajem, komendancie.

W środku posterunek wyglądał swojsko, więc Taylor od razu poczuła się jak u siebie. Kiedy przebywała w towarzystwie policjantów, działo się z nią coś takiego... po prostu nie potrafiła zaufać ludziom, którzy nie są stróżami prawa. Oczywiście, że również wśród nich spotykała durniów i drani, ale z reguły w obecności policjantów czuła się swobodnie – czuła się sobą – wiedziała bowiem, że ma do czynienia z ludźmi myślącymi podobnie jak ona. Między innymi dlatego w jej związku z Baldwinem wszystko układało się tak, jak powinno.

Minęli drewniane biurko i pracującego za szybą funkcjonariusza zagłębionego w papierach, a następnie labiryntem korytarzy dotarli do drzwi, na których wisiała odbiegająca wyglądem od oficjalnych standardów brązowo-biała tabliczka z napisem: „Szef”.

W korytarzu unosił się przynoszący ukojenie zapach świeżo

zaparzonej kawy.

Nadis wskazał dwa krzesła naprzeciwko biurka.

– Wiem, że doktor B. lubi czarną. A pani, pani porucznik?

– A ja nie. Poproszę dużo śmietanki i cukru. – Nie przepadała za kawą, bo ta czasem urządziła jej rewolucję w żołądku, ale nie chciała być niegrzeczna. Poza tym było chłodno i czuła, że powinna wypić coś na rozgrzanie.

Nadis wyszedł, pogwizdując pod nosem, a Taylor uśmiechnęła się do Baldwina. Komendant posterunku w Nags Head skojarzył jej się z wesołym robaczkiem świętojańskim. Idealnie pasował na plażowego glinę. Już dawno zauważyła, że funkcjonariuszy pracujących w nietypowych warunkach cechuje nietypowa mentalność. Nie każdy nadaje się do mieszkania na plaży i nie każdy potrafiłby zapanować nad tutejszymi wolnymi duchami. Na przykład pani komendant, której podlegała, w takim wyluzowanym, relaksowym miasteczku jak Nags Head czułaby się jak ryba na lądzie.

Nadis przyniósł kawę, podał ją gościom, usiadł za biurkiem i przybrał poważny wyraz twarzy.

– U nas nieczęsto zdarzają się morderstwa. Mam czterech niezłych kryminalnych, ale zawiadomiłem SBI, bo wiedziałem, że biuro już wcześniej pracowało nad tą sprawą. Chyba nie macie mi tego za złe?

– Ależ skąd – zapewniła go Taylor. – Na pana miejscu zrobiłabym to samo. Proszę mi powiedzieć, czy macie... albo może oni mają jakieś tropy?

– Obawiam się, że nie. Jak już mówiłem doktorowi, zabezpieczyliśmy sporo śladów, ale teraz sprawę prowadzi stanowi. Wasz przyjaciel dużo przeszedł. To porządny facet, był świetnym gliną.

– Nadal jest. Myślę, że to zdarzenie nie zniechęci go do służby. – Zabrzmiało to ostrzej, niżby chciała.

Zrobiło jej się głupio, kiedy Nadis przepaszająco pokiwał głową.

– Oczywiście, że nadal jest. Proszę wybaczyć, nie to miałem

na myśli.

Wzruszyła ramionami. Nie szkodzi, są ważniejsze sprawy.

– Jak to się stało, że odnalazł się w Nags Head?

– Natknęliśmy się na niego wczoraj wczesnym rankiem.

Szedł poboczem w samym gatkach. Miał poranioną twarz. Nie potrafił powiedzieć, skąd się tu wziął.

– Przypuszczamy, że wypuścili go wkrótce po tym, jak zabili Susie – wtrącił Baldwin. – Kiedy kapitan portu natknął się na jego łódź, Susie nie żyła od co najmniej czterdziestu ośmiu godzin.

O Jezu, pomyślała Taylor.

Nadis zakołysał się na krześle.

– Parę dni temu w przyczepie niedaleko Asheville stanowi znaleźli oko. Należało do Fitz'a. To spory kawałek drogi, ponad siedem godzin jazdy samochodem, ale kierowca, czy też kierowcy Fitz'a mieli sporo czasu, żeby nam go podrzucić. Prawdopodobnie nafaszerowali go narkotykami.

– Albo przez cały ten czas był tutaj, w Nags Head, na łodzi. Oko znaleźli cztery dni temu. Być może sprawca zawiózł oko do Asheville tylko po to, żeby zmylić trop – powiedziała Taylor.

Nadis spojrzął na nią z uznaniem.

– To, co pani mówi, ma sens. Kiedy znaleźliśmy sierżanta Fitzgeralda, nie potrafił sklecić prostego zdania. Zawieźliśmy go do szpitala, gdzie go zbadano. Nie był w stanie powiedzieć, co się wydarzyło, powtarzał tylko swoje imię i numer odznaki. To oczywiste, był w szoku. Wiedzieliśmy, że jest poszukiwany, więc od razu zadzwoniliśmy do FBI. Potem przyleciał doktor Baldwin, a z samego rana zjawili się chłopcy z SBI. Na tę chwilę nic więcej nie wiemy.

– Dlaczego nie zatrzymaliście go w szpitalu?

– Spodziewałem się tego pytania. Otóż widzi pani, nasz szpital jest dość mały. Akurat wczoraj wieczorem mieliśmy przypadek ostrego zatrucia pokarmowego i było potrzebne wolne łóżko, a ponieważ stan Fitzgeralda był stabilny, więc przewieźliśmy go tutaj.

Taylor nie zdawała sobie sprawy, że nerwowo bębni palcami

o kubek z kawą. Zorientowała się, dopiero kiedy Baldwin postawił swój na biurku komendanta.

– Porucznik Jackson chciałaby się zobaczyć z sierżantem. Czy to będzie możliwe?

– Myślę, że to dobry pomysł. – Nadis zerknął na zegarek. – Stanowi maglują go już od dwóch godzin. Sądzę, że przydałaby mu się przerwa. Ale muszę panią ostrzec, pani porucznik. Sierżant Fitzgerald sporo przeszedł, widział dużo nieprzyjemnych rzeczy, więc gdyby pani mogła...

– Szefie – powiedziała z naciskiem – Fitz jest dla mnie jak ojciec. Proszę mi wierzyć, że nie zamierzam go zamećzać. Po prostu chciałabym się z nim zobaczyć. Pozwoli pan?

– Okej. – Nadis wstał i dał znak, by poszli za nim. Korytarz, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność, prowadził do stalowych drzwi. Nadis wystukał kod i wyjaśnił: – To nasz pokój przesłuchań połączony z taką, nazwijmy to, izdebką wytrzeźwień, w której pozwalamy miejscowym ochlapusom odespać zakrapianą imprezę. Nie mamy więzienia z prawdziwego zdarzenia, tylko areszt. Najbliższy zakład karny znajduje się dwa kilometry stąd.

Drzwi się otworzyły i weszli do środka. Zobaczyli kobietę, która stała z założonymi rękami i wpatrywała się w przeszkloną ścianę. Miała około metra sześćdziesięciu wzrostu i bujne brązowe włosy. Widać było, że jest silna i wysportowana. Nosila dobrze skrojony żakiet, z lewej strony pod pachą Taylor zauważyła wyraźnie odznaczający się kształt kabury.

Odwróciła się, zobaczyła gości i podeszła, żeby się przedstawić.

– Pani porucznik, prawda? Nazywam się Renee Sansom, pracuję w Stanowym Biurze Śledczym. Witam, doktorze Baldwin. Moi chłopcy rozmawiają z waszym człowiekiem. Chcecie go zobaczyć?

Taylor uściśnięła dłoń agentce Sansom i pokiwała głową.

– Tak, poprosimy.

– Dużo przeszedł – stwierdziła krótko, a następnie zastukała w grubą szybę.

Taylor doskonale wiedziała, że stoi przed lustrem weneckim, ale przyglądanie się Fitzowi, który nie mógł jej zobaczyć, wydawało jej się niestosowne.

Drzwi się otworzyły i z pokoju przesłuchań wyszło dwóch mężczyzn ubranych w identyczne granatowe garnitury i biało-czerwone krawaty w paski. Klony jak na rozkaz skinęły głową, a jeden z nich przytrzymał Taylor drzwi.

Odetchnęła głęboko i weszła do środka.

Fitz zmienił się, od kiedy widziała go po raz ostatni. Stracił na wadze i zaczął się garbić. Zwinął się i skurczył w sobie. Taylor wiedziała, że musi być wykończony. Bolało ją to.

Kiedy weszła, odwrócił się. Lewą stroną twarzy zasłaniał bandaż uciskowy, wokół którego rozlewała się żółta plama środka dezynfekującego na bazie jodiny. Gdy ją zobaczył, w tym jednym oku, które mu zostało, pojawił się błysk.

– Dobrze cię widzieć, malutka – powiedział łamiącym się głosem.

Rzuciła mu się na szyję i mocno go objęła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nashville, stan Tennessee

Colleen Keck sprawnie przebierała palcami po klawiaturze. Wprowadziła tytuł artykułu:

Nastolatek z Nashville nadal nieodnaleziony

Nie ma błędów, brzmi dobrze. Napisała się dietetycznej coli i zaczęła pisać:

Nashville wciąż nie może się otrząsnąć po makabrycznej zbrodni z zeszłego tygodnia, kiedy to w wieczór Halloween w Green Hills brutalnie zamordowano ośmioro nastolatków. Jeszcze nie pochowano wszystkich ofiar masakry, kiedy dotarły do nas kolejne przerażające wieści: zaginął siedemnastoletni Peter Schechter, uczeń Montgomery Bell Academy, członek sportowej reprezentacji szkoły. Jest obrońcą w drużynie piłkarskiej oraz kapitanem drużyny lacrosse. Nazajutrz po Halloween nie przyszedł na poranny trening i od tamtej pory nie dał znaku życia.

Jego samochód, srebrne bmw serii 5 rocznik 2006, znaleziono w sobotę rano na parkingu przed McDonaldem w dzielnicy West End. Według rodziców zaginionego, Winifred i Petera Schechterów, ich syn jest chłopcem odpowiedzialnym, pracowitym i prowadzącym regularny tryb życia. „To do niego niepodobne. Peter zawsze nam mówi, dokąd i na jak długo jedzie. Jesteśmy bardzo zżyci” – powiedziała ze łzami w oczach pani Schechter.

Znajomi Petera twierdzą, że w Halloween bawili się w centrum, w Lower Broadway, na imprezie dla dorosłych w nocnym klubie Subversion, ale żadne z nich nie pamięta, żeby odwoziło Petera. „Założyliśmy, że po prostu z kimś wyszedł – powiedział Brad Sandford, kolega Schechtera ze szkoły i z drużyny. – Pojechaliliśmy do domu bez niego”.

Policja uważa, że Schechter nie opuścił imprezy dobrowolnie, ale na razie milczy w sprawie szczegółów. Telefon Petera nie odpowiada. Z jego numeru nie wysłano żadnych

wiadomości. Osoba mająca wgląd w przebieg śledztwa, lecz oczywiście zastrzegająca sobie anonimowość, twierdzi, że policja rozpatruje najgorszy scenariusz. Trwają poszukiwania. Jeżeli ktoś zna miejsce pobytu Petera Schechtera, jest proszony o kontakt pod numerem 866-555-2010. Policja zapewnia pełną anonimowość.

Wasza Felon E

Colleen przeczytała to, co napisała, poprawiła parę przecinków i kliknęła „opublikuj”. Informacja o wpisie na blogu pojawiła się automatycznie na jej Twitterze. Z satysfakcją obserwowała, jak wiadomość rozprzestrzenia się w sieci, jak setki tysięcy śledzących jej aktywność internautów podają dalej informację o nowej notce. Pozwoliła sobie na delikatny uśmiech.

Felon E (podobieństwo pseudonimu do słowa *felony*, oznaczającego ciężkie przestępstwo, to nie przypadek), była jej dziełem, jej dzieckiem, jej światem. Choć każdego dnia grono blogerów piszących o zbrodniach powiększało się w postępie geometrycznym, Felon E utrzymywała się na szczycie, nadal była numerem jeden. Blog cieszył się ogromną popularnością przede wszystkim dzięki dokładności, wyczuciu i zdolności współodczuwania autorki.

Wykorzystywała wszelkie dostępne media społecznościowe, aby propagować swoją stronę, a resztą zajmowali się fani. Przeszła długą drogę od dziennikarki śledczej w „The Tennessean” do popularnej blogerki, tyle że nikt w sieci nie wiedział, kim tak naprawdę jest Felon E. Anonimowość pozwalała swobodnie korzystać z usług informatorów pracujących w różnych instytucjach. Jej sieć obejmowała, jeśli można tak to nazwać, najprzeróżniejsze „obszary kompetencji”. Policjanci, z którymi współpracowała, ufali jej, wiedzieli bowiem, że Felon E nigdy, ale to nigdy nie zdradzi swoich źródeł. Jej milczenie było złotem.

Stróże prawa podziwiali ją. Funkcjonariusze wielu wydziałów chętnie zaglądali na bloga i czerpali z niego informacje, na przykład dotyczące kontekstu sprawy, szczególnie jeśli była z gatunku beznadziejnych albo pilnych, a już zwłaszcza wtedy, kiedy ogłaszano poszukiwania zaginionych osób. Colleen nie oczekiwała

zapłaty za tego rodzaju usługi.

Utrzymanie się na szczycie wymagało starannego pielęgnowania rozległej sieci kontaktów. Zdecydowanie najwięcej zawdzięczała dyspozytorom telefonów alarmowych. Znała i dogadywała się z setkami ludzi zarówno w wielkich miastach, jak i w położonych na odludziu osadach. Sprawnie działająca siatka informatorów dawała jej przewagę nad konkurencją. Prowadziła stały nasłuch i podgląd częstotliwości policyjnych, miała zainstalowaną aplikację Emergency Radio na iPhone i pozostawała w stałym kontakcie ze znajomymi dyspozytorami w policji, którzy wiedzieli, jakie telefony najbardziej interesują Felon E. Przyjmowała również zgłoszenia od osób z zewnątrz, ale zawsze, bez żadnych wyjątków, potwierdzała informacje w dwóch źródłach.

Po tym, jak pewien sprawca napadu na bank napisał do niej list, w którym wyraził gotowość oddania się w ręce policji, media zainteresowały się Felon E i nie spuszczały jej z oka. Różne stacje, w tym te największe, wielokrotnie zwracały się do niej z propozycją występu przed kamerami i opowiedzenia o tym, jak udaje jej się utrzymać na topie w mocno konkurencyjnym świecie dziennikarstwa śledczego, ale konsekwentnie odmawiała. Nie robiła tego dla własnej sławy. Robiła to, ponieważ chciała pomóc.

A przynajmniej tak to sobie tłumaczyła.

Blog był dla niej źródłem zarobku. Dochody z reklam, których treść uważnie monitorowała, wystarczały na w miarę wygodne życie; przede wszystkim było ją stać na to, by posłać pięcioletniego syna Flynna do drogiej szkoły prowadzącej naukę metodą Montessori. Nigdy nie sądziła, że będzie mogła pozwolić sobie na taki luksus. Zresztą nadal nie zarabiała całej fury pieniędzy – po zapłaceniu rachunków i chesnego nie zostawało wiele – ale to nieważne, bo pracując w domu, przynajmniej nie musiała wydawać na kosztowne kiecki, benzynę i obiady na mieście. Brak męża – i brak ochoty na randkowanie – oznaczał z kolei, że nie musiała kupować koszmarnie drogich kosmetyków ani przesadnie dbać o włosy. Pasemka, które kiedyś z uporem

maniaka odświeżała co sześć tygodni, już dawno się zmyły, a pieniądze, które zaoszczędziła na fryzjerze, przeznaczyła na inne, bardziej przyziemne potrzeby. W przyrodzie musi być równowaga.

Starła się nie patrzeć na fotografię stojącą na skraju biurka. Na próżno. Nieposłuszne oczy co rusz zerkwały na wypłowiałe zdjęcie we wgniecionej srebrnej ramce. Na nim ciemnowłosy mężczyzna trzymał w ramionach niebieskie zawiniątko i uśmiechał się szeroko, promieniejąc rodzicielską dumą. Tydzień później już nie żył, zaś Colleen musiała zająć się opieką nad noworodkiem i załatwieniem spraw związanych z pogrzebem. Przełknęła ślinę i odwróciła wzrok, nie pozwalając, by załapała ją fala wspomnień.

Anioły i śmierć. Nieobecni ojcowie i udęczone matki. Przeszłość ścierająca się z terażniejszością.

Wiele razy tłumaczyła Flynnowi, że tata mieszka z aniołami, ale kiedy ma się tyle lat, co jej synek, jeszcze nie wszystko się rozumie. I nie sposób tęsknić za czymś, czego się nie zna, a przecież Flynn nigdy nie poznał uśmiechniętego, młodego mężczyzny, który go spłodził. Flynnowi zależało jedynie na tym, by matka zwracała na niego uwagę i zajmowała się nim wtedy, kiedy tego chciał. Ciągoty synka do niezależności martwiły ją i raniły jej delikatne uczucia, zwłaszcza gdy odpychał ją od drzwi swojego pokoju i mówił:

– Mamo, potrzebuję trochę spokoju.

I pizza – miał hopla na jej punkcie, zupełnie jak jego ojciec.

Tata Flynnna był młodym, dobrze zapowiadającym się policjantem. Zginął na służbie. Pif-paf i po człowieku. Powiedzieli, że wykazał się odwagą, że nie poczuł, co go trafiło, że umarł od razu. Widziała na własne oczy wystarczająco dużo miejsc zbrodni, by wiedzieć, że kłamali. Od rany postrzałowej rzadko umiera się natychmiast, najczęściej agonია trwa kilka minut, w czasie których organy jeden po drugim odbierają sygnał, że nie są już dłużej potrzebne, i się wyłączają. Ale tylko pokiwała głową i nie dopytywała o szczegóły.

Mordercy ojca Flynnna nie złapano.

Kiedy Tommy zginął, Colleen pracowała w gazecie,

zarabiała akurat tyle, że starczało na ratę kredytu i drobne fanaberie. Wprawdzie na koncie Tommy'ego w funduszu powierniczym, który założył razem z kolegami, pieniędzy było w bród, ale odkładał je z myślą o edukacji synka. Potrzeby samotnej matki okazały się na tyle duże, że Colleen szybko uzmysłowiła sobie, że nawet po otrzymaniu niemałych pieniędzy z polisy Tommy'ego, z dziennikarskiego etatu po prostu nie zdoła się utrzymać.

Świat zbrodni zawsze ją pociągał, co w istotny sposób zaważyło na tym, że wyszła na Tommy'ego. Śmiał się z niej, że poleciała na glinę, a mówiąc dokładniej, na informacje, które mógł jej sprzedać, ale przy kolacji zdawał relację ze służby. Po śmierci Tommy'ego koledzy z wydziału posłusznie zajęli jego miejsce przy kiwającym się kuchennym stole Colleen, pocieszali ją i opowiadali o pracy, podczas gdy ona, okutana kocem, niańczyła Flynna.

Kiedy smutek w końcu pozwolił dojść do głosu racjonalnemu myśleniu, Colleen doszła do wniosku, że aby utrzymać rodzinę, potrzebuje dodatkowego źródła pieniędzy. Była dziennikarką, potrafiła władać piórem, więc pomyślała, że napisze książkę. Mogłaby się przebić efektowną powieścią detektywistyczną, to szybki i prosty zarobek. Ale wtedy zmarł jeden z jej idoli, pisarz i dziennikarz śledczy Dominick Dunne. Colleen wykonała rachunek sumienia, trzeźwo przyjrzała się swojej dotychczasowej karierze i pomyślała, że jednak z książki raczej nic nie wyjdzie. Za to przyszedł jej do głowy pomysł bloga o tematyce kryminalnej, a gdy zastanowiła się głębiej, bardzo się jej spodobał. Tak, to jest to: ostre, bezkompromisowe dziennikarstwo, szybkie reagowanie i natychmiastowy odzew. Podobnie jak Dunne, mogłaby stać się głosem ofiar, a sama pozostałaby w cieniu. Nie chciała, by czytelnicy wiedzieli, kim jest. Nie chciała podpisywać się prawdziwym nazwiskiem, nie zależało jej na sławie i rozgłosie. Tak było lepiej. Bezpieczniej.

Colleen promowała Felon E na forach internetowych poświęconych tematyce zbrodni. Ledwie uruchomiła bloga, a

bardzo szybko stał się popularny. Nadal zdumiewało ją, jak dużą poczytnością się cieszył. Niespełna w rok od debiutu strony mogła zrezygnować z etatu i w całości poświęcić się prowadzeniu bloga. Nie doceniła gorliwości, z jaką publika lubi się wgłębiać w krwawe szczegóły zbrodni. Sama czuła fascynację przestępstwami, to prawda, ale trudno, żeby działało się inaczej, w końcu była żoną policjanta i dziennikarką śledczą. Miejsce zbrodni to jej świat. Jednak czytelnicy bloga byli zwykłymi ludźmi. Zwykłymi, tyle że spragnionymi makabry.

Czasem odzywały się świry, czasem przyciągała niezrównoważone typy, ale była na nich przygotowana. Tommy wiele ją nauczył. Sprawnie posługiwała się bronią, czego dowodem są świetne wyniki na strzelnicy, a dom miała opleciony siecią skomplikowanej instalacji alarmowej. Znała techniki samoobrony. Była sprytna i wiedziała, jak zachować anonimowość w sieci. Podczas studiów na Middle Tennessee State University jako przedmiot kierunkowy wybrała informatykę, ale na przedostatnim roku zmieniła ją na dziennikarstwo. Miała podwójną przewagę nad konkurentami z innych blogów poświęconych zbrodniom: potrafiła zastawiać zmyślne pułapki na tych, którzy próbowali zakraść się na jej stronę tylnymi drzwiami, a także mogła zajmować się witryną samodzielnie, co dodatkowo wzmacniało tak dla niej istotne poczucie anonimowości.

Ech, wystarczy tego rozpamiętywania. Uznała, że musi przestawić zdjęcie Tommy'ego w inne miejsce, bo ilekroć na nie spojrzy, w głowie pojawia się karuzela wspomnień. Musi, ale nie zrobi tego.

Wstała i przeciągnęła się. Poszła do kuchni – trzeba naprawić szafkę, bo ledwie trzyma się na zawiasach – i otworzyła lodówkę – maszynka do lodu nadal zepsuta. Wyjęła czwartą tego ranka dietetyczną colę i otworzyła ją. Zastanawiała się, jakim pójść tropem w sprawie zaginionego nastolatka i w jakim tonie pisać. W Nashville rzadko się zdarza, żeby znikali nastoletni chłopcy z dobrych domów. Potrzebowała czegoś, co nada historii pęd, potrzebowała solidnego materiału. Czegoś dużego. Czegoś

oficjalnego.

Usiadła przed komputerem, postawiła puszkę na biurku i otworzyła przeglądarkę internetową. Ponieważ starała się zamieszczać na blogu pięć nowych notek dziennie, a także uzupełniać już opublikowane, bardzo dużo czasu zajmowało jej przeczesywanie sieci i przetwarzanie spływających informacji. Kiedy zamykała jedną sprawę, natychmiast przechodziła do następnej. Dziś najważniejsza była sprawa zawierająca się w pytaniu:

Gdzie jest Peter Schechter?

Migała ikonka wiadomości, więc najpierw otworzyła pocztę. Otrzymywała tony korespondencji od maniaków zagadek kryminalnych z całego kraju, było tego tak dużo, że z ledwością to ogarniała. Aby pomóc sobie w przesiewaniu mejli, zaprogramowała pocztę tak, że pojawiające się w skrzynce wiadomości od najważniejszych informatorów program wyróżniał kolorem. Zobaczyła trzy listy podświetlone na czerwono i zaznaczone jako pilne: po jednym z San Francisco, Bostonu i Nowego Jorku.

Zaczęła od San Francisco, bo ten list przyszedł najwcześniej. Kiedy przeczytała mejla, momentalnie zapomniała o zaginionym chłopaku z Nashville. Serce jej podskoczyło. Przeczytała wiadomość raz jeszcze, po czym zamknęła ją i odchyliła się do tyłu. Czy to możliwe? Czy ona jako jedyna o tym wie?

Napomniała sobie, że nie powinna wpadać w przesadny entuzjazm, i by zająć myśli czymś innym, otworzyła list z Nowego Jorku.

Usłyszała dzwonięcie w uszach. To adrenalina buzowała w żyłach, stawiała nerwy na baczność.

Kliknęła wiadomość z Bostonu i prawie zemdląła.

– Jeśli to prawda, mamy do czynienia z grubszą sprawą – szepnęła do siebie. – Naprawdę grubą.

Prędko odpowiedziała wszystkim trzem informatorom, zadając dodatkowe pytania. Potem podeszła do regału, w którym przechowywała księgozbiór podręczny. Na trzeciej półce po lewej

stronie znalazła tom, z którego korzystała tak często, że luźne kartki przełamanego grzbietu trzymały się na słowo honoru.

Była to *Encyklopedia seryjnych morderców*.

Z nabożną czcią przejechała dłonią po okładce, a potem otworzyła książkę. Listę zbrodniarzy ułożono alfabetycznie według nazwisk, nie zaś pseudonimów nadanych opisanym na żółtych stronach przestępcom.

Musi podejść do sprawy metodycznie. Wszystko po kolei. Po chwili namysłu uznała, że zacznie od San Francisco. Znalazła stronę z oślimi uszami na samym końcu książki, gdzie autorzy encyklopedii umieścili opis jednego z tych zabójców, których zaszeregowali pod pseudonimem. Musieli tak zrobić, nie mieli innego wyjścia, ponieważ nigdy go nie złapano, a jego tożsamość nadal pozostawała tajemnicą.

Zodiak. Zacznie od Zodiaka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Outer Banks, wyspy barierowe u wybrzeży Karoliny Północnej

Spotkanie Taylor z Fitzem trwało dwadzieścia minut. Potem do drzwi zapukała Renee Sansom i oznajmiła, że czas zabrać sierżanta do Duke na operację.

Taylor zadawała pytania, ale Fitz dziwnie unikał odpowiedzi. Nie chciał mówić o tym, przez co przeszedł. Powtarzał w kółko:

- Nafaszerowali mnie narkotykami.
- Naprawdę nic więcej nie pamiętam. Wiem tylko tyle, ile ci powiedziałem.
- Kazał, żebym ci powtórzył: „Zagrajmy”. Ponoć będziesz wiedziała, co to znaczy.

Oczekiwała od niego otwartości, ale po dziesięciu minutach prób dotarcia do Fitz'a i słuchania, jak wciąż powtarza tę samą śpiewkę o rzekomej utracie pamięci, odpuściła sobie. Miała tylko nadzieję, że nie cierpi na zespół stresu pourazowego, a jedynie czuje się przytłoczony sytuacją i tak naprawdę pamięta więcej, niż mu się wydaje. Kiedy minie szok, wszystko sobie przypomni. Ale biorąc pod uwagę to, przez co przeszedł, to zapewne pobożne życzenia.

Dlatego postanowiła zmienić taktykę. Zapytała, czy nie chciałby wrócić do Nashville i tam poddać się operacji, na co odparł zaskakująco, że wolałby trzymać się ustalonego planu i pojechać do szpitala w Duke. Przyszło jej na myśl, że chce być blisko Susie, która leżała w kostnicy.

Zdała mu relację z tego, co działo się w Nashville. Powiedziała, że koledzy, detektywi Lincoln Ross i Marcus Wade, nie mogą się doczekać powrotu sierżanta. Opowiedziała o nowym członku Wydziału Zabójstw, który nazywa się Renn McKenzie, i o szefowej, pani komendant Joan Huston. Fitz'a wyraźnie ucieszyła zmiana tematu. Przez cały czas trzymał Taylor mocno za rękę, a ona czuła, jak się wzdryga, jak jego ciałem regularnie wstrząsają

spazmy strachu. Bał się, a to ją przerażało.

Śmigłowiec ze szpitala w Duke wylądował na parkingu przed posterunkiem. Fitz wyszedł z budynku i z pochyloną głową wsiadł do helikoptera. Taylor i Baldwin machali, aż maszyna znikła im z oczu. Taylor wolałaby polecieć z Fitzem, ale oczywiście nie mogła, za to obiecała być przy nim wieczorem. Postanowili z Baldwinem, że jak tylko Fitz wróci do siebie po operacji, zabiorą go odrzutowcem do Nashville.

Śnieg rozpadał się na dobre. Trzęsąc się z zimna, wrócili na posterunek, gdzie wreszcie znaleźli schronienie od zawiei i zamieci. Poszli do sali konferencyjnej, którą przygotował dla nich Nadis.

Sansom otaksowała Taylor wzrokiem i powiedziała:

– No dobrze. Czas, żebyście odpowiedzieli na kilka pytań. Przede wszystkim chcę się dowiedzieć wszystkiego, co wiecie o sprawcy. Wasz kolega ze mną nie chciał rozmawiać, ale przypuszczam, że pani się zwierzył, pani porucznik. Słucham więc.

Taylor pokręciła głową.

– Fitz nic mi nie powiedział. Twierdzi, że podano mu narkotyki i nic nie pamięta. Wierzę mu i uważam, że nie powinnam naciskać. Kiedy coś sobie przypomni albo zechce porozmawiać, na pewno go wysłucham. Na razie mogę panią wprowadzić w sprawę.

Sansom w milczeniu przyglądała się Taylor, wreszcie powiedziała:

– Przeprowadziliśmy wstępne badanie krwi. Nie wykazało obecności narkotyków.

Taylor zmierzyła ją wzrokiem.

– Na pewno pani wie, że pełna toksykologia krwi może zająć nawet kilka tygodni.

– To prawda. Ale może wasz sierżant stara się coś ukryć?

– Chyba nie sądzi pani, że Fitz miał z tym cokolwiek wspólnego? – Taylor nieudolnie próbowała powstrzymać rosnącą irytację. – Na miłość boską, przecież stracił oko! Zamordował swoją dziewczynę, wylupił sobie oko i podrzucił je przyczepie w

Asheville? – Zacisnęła pięści i zaczęła ciężko oddychać. Nawet nie poczuła, kiedy Baldwin położył dłoń na jej ramieniu. Tylko spokojnie. Łatwo powiedzieć! Oskarżanie Fitz'a o udział w morderstwie Susie to kompletny absurd.

Jednak Sansom nie odpuszczała:

– Nie wiem, pani porucznik. Proszę zwrócić uwagę, jak to się ładnie składa: mężczyzna kłóci się z partnerką, zabija ją, po czym zrzuca winę na szalejącego w okolicy przestępcę. Nie byłby pierwszym, który wpadł na ten pomysł.

– To piramidalna bzdura. A pani o tym wie!

Sansom miała czelność się uśmiechnąć.

– Taylor... – W głosie Baldwina czaił się ostrzegawczy ton. – Porozmawiajmy o tym, co udało nam się ustalić.

– W porządku. – Darowała sobie komentarz i spróbowała spojrzeć na sprawę z perspektywy osoby z zewnątrz. Owszem, ona i Baldwin instynktownie wiedzieli, kto zamordował Susie, ale osoby niewtajemniczone w to, czego już dokonał Naśladowca i nieznające szczegółów tych jego dokonań, miejsce zbrodni mogło wprowadzić w błąd. Dobry śledczy musiał rozważyć wszystkie możliwości. Tak właśnie postępowała Sansom.

Kiedy Taylor uświadomiła to sobie, poczuła, że ciśnienie krwi, które Sansom skutecznie jej podniosła, nieco opada.

We trójkę usiedli przy długim stole, który w normalnych okolicznościach musiał służyć zespołowi Nadisa do wspólnego spożywania lunchu, o czym świadczyła wciąż jeszcze wilgotna plama po musztardzie. Przesunęła się nieco w bok, żeby nie włożyć w nią łokci.

Dołączyła do nich para agentów towarzyszących Sansom. Nazywali się Wally Yeager i Eliot Polakis. Położyli przed sobą czyste żółte notatniki i uzbroili się w długopisy.

– Baldwin, może zaczniesz? – zaproponowała Taylor.

– W porządku. Mniej więcej od roku pracuję nad profilem Naśladowcy. Niestety, profil wciąż się zmienia, bo Naśladowca jest jak kameleon. Dostosowuje się, kopiuje, imituje, a potem znika. Wbrew temu, co sądzicie na temat sprawy sierżanta Fitzgeralda,

jestem przekonany, że to robota Naśladowcy. Zasztyletowanie Susie McDonald i porzucenie jej ciała na łodzi, porwanie Fitz, wyłupienie mu oka, a następnie puszczenie wolno... to dopiero druga z jego, że tak to nazwę, oryginalnych zbrodni, o których wiemy, co naturalnie po raz kolejny zmienia nasze postrzeganie jego osoby. Mogę jednak stwierdzić z dużą pewnością, że Naśladowca jest ponadprzeciętnie inteligentny, choć zarazem, jak sądzę, nie jest osobą wykształconą. Wychowywał się w wielu domach, najprawdopodobniej w rodzinach zastępczych.

– Dziecko z rodziny zastępczej – powiedziała Sansom. – Hm.

– Przemieszcza się, zmienia miejsce zamieszkania, co oczywiście czyni go jeszcze bardziej nieuchwytnym. Ma trzydzieści kilka lat, brak mu pewności siebie, podejmuje pracę zarobkową wyłącznie po to, żeby mieć pieniądze na zaspokajanie podstawowych potrzeb. Nieźle sobie radzi z komputerami, potrafi poruszać się w gąszczu for dyskusyjnych w sieci. Uważa siebie za badacza zbrodni, specjalistę od seryjnych morderców. Zapewne gromadzi książki i inne materiały na temat seryjnych zabójców. Ma się za eksperta. Fascynuje go krew, co może mieć swoje źródło we wczesnym dzieciństwie. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że zabił już w młodym wieku, być może zgładził swoje rodzeństwo. Ma zdolności manualne, jest miły, uczynny, czarujący i pociągający. W dążeniu do celu potrafi zwrócić na siebie uwagę albo wtopić się w tłum.

Zapadła cisza. Baldwin dał czas, by słuchacze przetrawili to, co właśnie usłyszeli, a potem pochylił się nad stołem i powiedział do Sansom, nie referując już normalnym tonem, ale kładąc nacisk na każde słowo:

– W kontaktach z Naśladowcą należy nieustannie mieć się na baczności. To bardzo ważne. Ten człowiek nie ma uczuć. Nie można mu przemówić do rozsądku. Zabija bez wahania, a osaczony zrobi wszystko, dosłownie wszystko, by się wymknąć. On nie ma nic do stracenia, dlatego sądzę, że będzie niezwykle trudno schwytać go żywego. Nie chodzi mu o rozgłos, nie zależy mu na tym, by przeczytać o sobie w gazetach. Jest czystej krwi

socjopatą, który uwielbia zabijać na różne sposoby.

Sansom nawet nie drgnęła. Taylor pomyślała, że to dziwne. Sama widziała Naśladowcę, a przynajmniej sądziła, że to on. Zdarzyło się to przed rokiem w Nashville, w barze Control, na jej niedoszłym wieczorze panieńskim. Taylor poczuła od niego cuchnącą woń zła, która przypominała kwaśny odór potu w gorący letni dzień.

– No dobrze. To od czego zaczniemy? – spytała Sansom.

Baldwin odchylił się na krześle i skrzyżował nogi.

– Od wiadomości, którą znaleźliśmy w przyczepie w Asheville. Napisano ją odręcznie. Skontaktowałem się z jedną z najlepszych na świecie grafologek, która specjalizuje się w piśmie socjopatów. Zgodziła się przyjrzeć naszej notce. Przy odrobinie szczęścia zdoła powiedzieć o sprawcy coś, czego nie wiemy.

Sansom zwróciła się do Taylor:

– W porządku, macie więc coś, od czego możecie zacząć. Ja muszę się uporać z morderstwem i porwaniem. Zatem do pracy. Podzielę się z wami wynikami śledztwa, o ile będę mogła liczyć na wzajemność. Co jeszcze wiecie o Naśladowcy? Jak go złapać? Pani porucznik, chciałabym usłyszeć, jaki pani zdaniem będzie jego następny krok.

– Jego następny krok? – Taylor roześmiała się. – Ja jestem jego następnym krokiem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Taylor miała przy sobie pendrive'a z prezentacją w PowerPoincie, którą pokazała swojemu zespołowi, kiedy pracowali nad sprawą terroryzującego Nashville naśladowcy zabójcy nazywanego Królewną Śnieżką. Oryginał w latach osiemdziesiątych zabił w Nashville dziesięć dziewcząt, po czym przysłał na policję list, w którym poinformował, że sprawowane przez niego rządy terroru dobiegły końca.

Naprawdę zamilkł i nie dawał znać o sobie przez ponad dwadzieścia lat, po czym w ostatnie Boże Narodzenie niespodziewanie przebudził się. Zagięły cztery dziewczynki, znaleziono je martwe. Zostały zamordowane w stylu Królewny Śnieżki. Porucznik Taylor Jackson wraz z zespołem doszła do wniosku, że sprawcą jest przestępca wzorujący się na zbrodniach z lat osiemdziesiątych, i częściowo miała rację. To był jej pierwszy kontakt z Naśladowcą. Ale Naśladowca istniał dużo wcześniej, nim ich drogi się przecięły.

Umieściła pendrive'a w porcie laptopa Sansom. Za jej plecami stanęli Yeager i Polakis.

Gdy Taylor zaczęła opowiadać, przeszedł ją dreszcz. Ostatni raz słyszała te informacje z ust Charlotte Douglas, agentki FBI i profilerki. Wykorzystała je, żeby postawić Taylor w złym świetle, ale plan się nie powiódł.

Wiedziała, że nigdy nie zapomni tamtego widoku. Gdy przyjechała na miejsce zbrodni, ujrzała krwistoczerwone włosy Charlotte zmieszane z prawdziwą krwią, która skapując, utworzyła kałużę. A w tej kałuży krwi odbijały się promienie zachodzącego na czerwono słońca.

Przesuwała slajdy, ze szczegółami opowiadając o zbrodniach Naśladowcy. Zanim uderzył w Nashville, miał na swoim koncie już osiemnaście potwierdzonych ofiar. Biorąc przykład z Królewny Śnieżki, zabił cztery osoby, po czym wypadł z roli i zamordował jeszcze trzy dziewczynki. Został raniony i zbiegł. Łącznie z

Charlotte dawało to listę dwudziestu sześciu ofiar.

Taylor usłyszała echo przeszłości, znów dopadł ją triumfalny głos Charlotte:

– Te cztery zabójstwa w Nashville łączą się bezpośrednio z pozostałymi osiemnastoma morderstwami. Macie do czynienia nie ze zwykłym naśladowcą, ale z nieprzyzwoicie płodnym seryjnym mordercą z ofiarami w pięciu stanach. Wyniki z CODIS są jednoznaczne. Te zbrodnie układają się w pewien wzór. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wasz morderca przeniesie się do innego stanu i zabije jeszcze więcej dziewcząt, jeżeli nie powstrzymacie go tu i teraz, w Nashville.

Taylor musiała przyznać, że Charlotte Douglas, choć wypowiadała się z irytującym poczuciem wyższości, miała rację. Nie zatrzymali Naśladowcy. I oto rezultat.

– Susie McDonald jest jego dwudziestą siódmą ofiarą – powiedziała, przekładając pilota z ręki do ręki. – Oczywiście o ile potwierdzą to wyniki ekspertyzy sądowej.

– Wydawało mi się, że jest pani absolutnie pewna, że za tym zabójstwem stoi Naśladowca. Przecież macie naocznego świadka... który twierdzi, że nic nie pamięta – skomentowała Sansom.

Taylor zignorowała ostatnią uwagę, odparła natomiast:

– Doskonale pani wie, że nie dysponujemy żadnym niezbitym dowodem, że mamy do czynienia z Naśladowcą. Potrzebne są wyniki badania DNA i rezultaty ekspertyzy zakładu medycyny sądowej. Dopiero wtedy będziemy pewni na sto procent.

Sansom otworzyła teczkę i wyjęła z niej portret pamięciowy.

– Sądziłam, że pani go widziała. Dysponujemy takim oto portretem. Według waszego sierżanta chodzi o tego mężczyznę.

Taylor spojrzała na rysunek i przypomniała sobie, jak podawała rysopis Naśladowcy. Okrutne, świdrujące spojrzenie. Kwadratowa szczeka. Włosy ciemnoblonde obcięte na jeża. Pospolite rysy.

– Fitz powiedział, że mu się wydaje – podkreśliła to słowo –

że to on, ale nie zdołał dobrze przyjrzeć się twarzy. Podał rysopis człowieka, którego widział przez ułamek sekundy z odległości trzystu pięćdziesięciu metrów, korzystając z lornetki. Być może, ale tylko być może widział tego samego mężczyznę, którego widziałam w Nashville. Ale tak naprawdę w żaden sposób nie jesteśmy w stanie udowodnić, że ta osoba jest Naśladowcą. Musimy powiązać ze sobą zbrodnie, opierając się na rzeczywistym materiale dowodowym i na badaniach DNA. Jedynym sposobem, by to zrobić, jest schwytywanie Naśladowcy.

– W porządku, rozumiem. Proszę opowiedzieć o jego wcześniejszych... dokonaniach. Interesują mnie szczegóły.

Taylor kliknęła kolejny slajd.

– W Los Angeles kopiował zabójcę z Santa Any z lat pięćdziesiątych, który ćwiartował ciała zamordowanych kobiet i zostawiał je na pustyni. W Denver wzorował się na zabójcy z LoDo, czyli Lower Denver, który polował na prostytutki. Dusił je, a ciała porzucał na rogach ulic, układając w różnych pozach. W Minneapolis imitował mordercę o pseudonimie Classified Ads, czyli „ogłoszenia drobne”. Nie wiem, czy go pamiętacie. To ten starszy pan, który w latach siedemdziesiątych ogłaszał w „Star Tribune”, że zatrudni sekretarkę. Kobiety, które się zgłaszały, zabijał i patroszył.

– Tak, znam tę sprawę – powiedziała Sansom z zagadkowym błyskiem w oku.

– To dobrze. W Nowym Jorku został Dusicielem znad Prospect Lake, który zabijał swoje ofiary i porzucał ciała w parku na Long Island. – Taylor położyła pilota na stole. – Rzecz w tym, że wydarzenia w Nashville wyłamują się ze schematu. Zabójca o pseudonimie Królowna Śnieżka był jedynym nieujętym mordercą, którego kopiował nasz Naśladowca, wszystkich pozostałych zbrodniarzy złapano, osądzono i skazano. Na dwóch wykonano karę śmierci. Wcieliwszy się w Królowną Śnieżkę, Naśladowca zaczął improwizować.

– Dlaczego?

– Dobrze pytanie... – Do rozmowy włączył się Baldwin. –

Niestety nie znamy na nie dobrej odpowiedzi. Między tymi mężczyznami rozwinęła się więź na zasadzie mistrz – uczeń. Naśladowca uczył się fachu od Królowy Śnieżki, tak jak malarz albo rzeźbiarz studiuje pod okiem swojego mentora. Prawdziwy zabójca popełniał zbrodnie według pewnego scenariusza, którego imitator nie chciał realizować, sądził bowiem, że potrafi wymyślić coś lepszego, przewyższy Królową Śnieżkę. Wtedy straciliśmy go z oczu.

Na Sansom najwyraźniej zrobiło to wrażenie. Przez chwilę siedziała nieruchomo, wpatrując się w ekran komputera.

– Czemu zmienił schemat? – powiedziała w końcu.

Taylor i Baldwin wymienili spojrzenia.

– Tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć – odparł Baldwin. – Naśladowca poszukuje, eksperymentuje. Sprawdza, jaki sposób zabijania najbardziej mu odpowiada. Jego *modus operandi* jest prosty. Uwielbia naśladować i od wielu lat skutecznie podszywa się pod innych morderców. Zachowuje się jak aktor grający metodą Stanisałwskiego, to znaczy wciela się w rolę, wiernie naśladowując oryginał. Jestem pewien, że nie porzucił tej drogi, wróci na nią. Ale to nie wszystko. Jest jeszcze jego słabość do porucznik Jackson, ten nieprzewidziany, burzący plan czynnik. Odnoszę wrażenie, że Naśladowca pragnie zrobić na niej wrażenie.

– Szczęściara – skomentowała Sansom.

– Jeszcze jaka! – odparła Taylor.

– Zagroził pani bezpośrednio?

– Kilka razy. Chyba zależy mu na tym, żebym doceniła jego... pracę. W przeszłości przypominało to zabawę w kotka i myszkę. Próbował zbliżyć się do mnie. Dla mnie to już sprawa osobista.

Baldwin postukał ołówkiem w portret pamięciowy.

– On czuje się odrzucony przez panią porucznik, bo nie podjęła jego gry. To go zdenerwowało, więc wyładował złość na osobach z jej najbliższego otoczenia.

– Hm – mruknęła Sansom. – Jak pani sypia?

– Niespokojnie. – Taylor wzruszyła ramionami. – O ile w

ogóle.

Zapadła cisza. Sansom wydawała się podekscytowana tym, co usłyszała, jakby to, czego właśnie dowiedziała się o Naśladowcy, motywowało ją i pobudzało do działania. Skinięciem głowy odprawiła swoich agentów, a kiedy zamknęli za sobą drzwi, uśmiechnęła się do Taylor i Baldwina.

– Wygląda na to, że trafiliśmy na odpowiedni moment, by go dopaść. Jak wam się wydaje, dlaczego darował życie sierżantowi Fitzgeraldowi? I dokąd się teraz uda?

– To było ostrzeżenie – powiedziała Taylor. – Fitz jest dla niego narzędziem, sposobem na zwrócenie mojej uwagi. Dokąd się uda? Możemy jedynie zgadywać. Mówiliśmy już o tym, zapomniała pani? Nie ma przewidywalnego schematu.

– Skoro tu jesteście, ostrzeżenie spełniło swoje zadanie – zauważyła Sansom.

– Na to wygląda – odparła Taylor.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Sansom przez chwilę przyglądała się Taylor, po czym przysunęła się do niej razem z krzesłem.

– Zależy mi na tym, żebyście o wszystkim mnie informowali. Chcę wam pomóc go wytropić. Powiem wam, czym dysponujemy, i dalej pociągniemy tę sprawę razem.

– Wątpię, żeby nadal przebywał na terytorium Karoliny Północnej – odezwał się Baldwin. Zabrzęczał jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz i nagle się wyprostował.

Nie uszło to uwadze Taylor. O co chodzi? – dopytywała się w duchu.

Sansom również wyczuła tę zmianę. Pochyliła się i powiedziała, podkreślając słowa stukaniem paznokciem o teczkę:

– Proszę mnie posłuchać, doktorze Baldwin. Przynajmniej na tę chwilę zakładamy, że morderca znajduje się na terytorium Karoliny Północnej. Moi technicy sprawdzili każdy centymetr kwadratowy łodzi i rozebrali przyczepę na części pierwsze. Chcecie wyniki ekspertyzy? Dam je wam, ale w zamian za możliwość udziału w śledztwie.

Baldwin podniósł wzrok znad telefonu i odchrząknął, a Taylor od razu wyczuła, jak bardzo jest spięty.

– Agentko Sansom, to nie jest gra – powiedział. – A już na pewno nie taka, w której to pani ustala reguły. Nie może pani handlować istotnymi dla śledztwa informacjami, pani obowiązkiem jest przekazać mi je dobrowolnie, a następnie usunąć się i pozwolić, by sprawą zajęła się moja ekipa. Jeśli go złapiemy, zasługi pani i pani zespołu na pewno zostaną docenione. Proszę się nie niepokoić, nagroda pani nie ominie. Teraz proszę nam wybaczyć, ale pani porucznik i ja musimy się udać na kolejne spotkanie.

– Nie ma ważniejszej sprawy niż ta! – Sansom nie kryła oburzenia. – Mogę was powołać na świadków, na ważnych świadków, ale chyba nie będzie takiej potrzeby. Po prostu chcę pomóc. Potrzebujecie mnie. Moi przełożeni już wyrazili zgodę na to, bym dołączyła do waszej grupy zadaniowej.

Taylor widziała, jak w łagodnych, zielonych oczach Baldwina rodzi się wściekłość. W normalnych okolicznościach propozycja współpracy ze strony kompetentnej agentki, a Renee Sansom na taką wyglądała, spotkałaby się z jego aprobatą, ale akurat ta agentka źle się do tego zabrała. Było oczywiste, że Baldwin jej nie ufał. A skoro jej nie ufał, to lepiej sobie poradzą bez niej.

– Nie powołaliśmy grupy zadaniowej i raczej nie powołamy. A zatem dziękujemy, agentko Sansom, ale nie potrzebujemy pani. Nasza ekipa już pracuje, wszystkie miejsca są obsadzone. Dziękujemy.

Sansom i Baldwin mierzyli się wzrokiem, sprawdzając, które pierwsze umknie spojrzeniem. Zadzwoił telefon Baldwina, ale zignorował go. Taylor sądziła, że mimo wszystko odbierze, ale aparat brzęczał przez dłuższą chwilę, po czym zamilkł i zapikał, co oznaczało, że ktoś zostawił wiadomość na poczcie głosowej. Kiedy przestał dzwonić, zaraz zaczął od nowa.

Sansom uśmiechnęła się, a Taylor poczuła, że coś tu nie gra. I to bardzo. Zerknęła na Baldwina i zobaczyła, że jego prawa dłoń

spoczywa na rękojeści pistoletu. Nawet nie zauważyła, kiedy przesunął rękę. Jej zmysły zostały postawione w stan najwyższego pogotowia. Sansom przesunęła się, a Taylor zakaszła, chcąc zagłuszyć dźwięk odpinanego paska kabury. Mimo to od ścian odbiło się echo kliknięcia.

Sansom zareagowała błyskawicznie. Ze zwinnością, o jaką Taylor nigdy by jej nie podejrzewała, pchnęła stół, który uderzył Taylor w brzuch, i rzuciła się w stronę drzwi. Baldwin w jednej chwili zerwał się z krzesła i pobiegł za nią. Taylor momentalnie się otrząsnęła i popędziła za Baldwinem, sięgając po broń. Sansom miała jednak przewagę. Niewielką, ale jednak miała, bo ich zaskoczyła. Wybiegła na korytarz i pognęła przed siebie, stukając obcasami po twardym linoleum. Baldwin i Taylor pędzili za nią.

– Gdzie jej ludzie? – krzyknęła Taylor.

– Nie wiem. Ale uważaj.

– Co tu jest grane?

Sansom wypadła przez ciężkie stalowe drzwi z zamkiem wymagającym podania kodu. Taylor zauważyła, że ktoś je wcześniej uchylił i podparł tak, że wystarczyło je pchnąć, by się wydostać. Rozległ się huk wystrzału, potem krzyk i kolejne strzały. Zobaczyli kapitana Nadisa. Osunął się na podłogę. Kula trafiła go w pierś. Usiadł w kałuży ciemnej krwi.

– Zostań z nim! – zawołał Baldwin.

Taylor klękła obok Nadisa i zaczęła gorączkowo szukać pulsu. Nie znalazła go. Komendantowi posterunku nic już nie mogło pomóc.

Baldwin zatrzymał się przy wejściu do recepcji. Taylor wytarła o spodnie czerwoną od krwi rękę i stanęła po drugiej stronie. Ostrożnie wyjrzała, ale nikogo nie zauważyła. Natomiast dostrzegła wystającą spod biurka nogę recepcjonistki.

– Droga wolna – powiedziała cicho.

Baldwin skinął głową i ruszył do wyjścia, a wtedy zawył silnik i rozległ się chrzęst opon na żwirze. Ktoś ewakuował się w wielkim pośpiechu. Wybiegli przed budynek w samą porę, by ujrzeć tył odjeżdżającego czarnego sedana. Samochodem

zarzuciło, kiedy próbował włączyć się do ruchu.

Nie było sensu strzelać do uciekającego auta, lecz mimo to każde z nich posłało kilka pocisków w jego kierunku. Kule ze świstem przecięły chłodne powietrze i z metalicznym brzdęknięciem wbiły się w karoserię. Samochód nie zatrzymał się, tylko przeciwnie, przyśpieszył, a po chwili zniknął za zakrętem, biorąc go z piskiem opon.

– Musimy ich gonić! – krzyknęła Taylor, jednak Baldwin opuścił pistolet i złapał ją za rękę. – Co ty wyprawiasz?! – gorączkowała się. – Jedziemy!

– Taylor, nie trzeba – powiedział cicho. – Daleko nie uciekną. Usłyszała charakterystyczny odgłos łopat wirnika śmigłowca i spytała:

– To ten, co zabrał Fitza?

– Nie, jeden z naszych.

Sypał gruby śnieg. Osiadał na ciemnych włosach Baldwina i momentalnie topniał.

Baldwin spojrzał na Taylor chłodnym wzrokiem.

– Kiedy rozmawialiśmy z Sansom, odebrałem wiadomość od Garretta. Na plaży dwadzieścia minut temu znaleziono trzy trupy. Kobietę i dwóch mężczyzn. Agent SBI twierdzi, że to ich ludzie.

– Nie rozumiem.

– Ci ludzie – Baldwin pokazał za siebie – z którymi rozmawialiśmy, byli podstawieni. Prawdziwi Renee Sansom, Wally Yeager i Eliot Polakis nie żyją.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nashville, stan Tennessee

Colleen Keck siedziała zatopiona w lekturze materiałów o Zodiaku, kiedy nagle komputer ożył. Podniosła głowę i zobaczyła hasło: „Nags Head”. Karolina Północna? Włączyła skaner nasłuchowy online na odpowiednim kanale. W myślach przetwarzała informację, próbując skojarzyć ją z wcześniejszymi wiadomościami. Który seryjny morderca działał w Karolinie Północnej? Czy to ciąg dalszy wczorajszych zabójstw? A może przesadza? W końcu była blogerką kryminalną i seryjnych przestępców widziała na każdym rogu. Tommy powiedziałby, żeby przestała szukać dziury w całym.

Była głęboko wdzięczna nowemu protokołowi obowiązującemu w wielu wydziałach policji, który zdjął z funkcjonariuszy obowiązek posługiwania się kodem i zalecał używanie prostych, zrozumiałych komend. Wprawdzie Colleen bez problemu rozszyfrowywała kod używany w największych miastach, ale mniejsze okręgi nie zawsze się stosowały do reguł ogólnokrajowego żargonu policyjnego i wymyślały własne hasła. Przystawienie się na standardowe zwroty wielu osobom ułatwiło życie.

Skaner zatrzeszczał, po czym rozległo się:

– Strzelano do policjantów. Potrzebne wsparcie. Podaję pozycję.

Co to za pozycja? – zastanawiała się, szybko notując słowa. Oczywiście używała dziennikarskich skrótowców.

Ktoś mówił dalej, opisywał miejsce:

– Poprawka. Siedmiu funkcjonariuszy, dwie strzelaniny. Razem siedmiu zabitych. Potrzebujemy wsparcia. Podaję pozycję. Poszukiwany czarny lincoln town car, tablice z Karoliny Północnej, zarejestrowany na SBI. Podejrzani uzbrojeni i niebezpieczni, powtarzam: uzbrojeni i niebezpieczni. Ostatnio kierowali się na zachód autostradą numer 64. Postawcie blokady

przy zjeździe na dziewięćdziesiątkępiątkę. Przełączam się na kanał osiemnasty, kod trzy, kod trzy. Przełączam się. – Skaner zamilkł. Przełączyli się na prywatny kanał, żeby ktoś taki jak Colleen nie mógł ich podsłuchać.

Nie miało to dla niej większego znaczenia, ponieważ w pokoju rozlegał się już tylko jej głos:

– O mój Boże... – Zabrakło jej tchu.

Gdy usłyszała słowa „zabici policjanci”, natychmiast cofnęła się do przeszłości. Doskonale pamiętała, jak się czuła, gdy Tommy... Siedmiu policjantów zginęło na służbie. Siedem rozbitych rodzin. Siedem.

Wspomnienia opanowały ją, ścisnęły za gardło i sparaliżowały tak, że ledwie zdążyła dobiec do łazienki. Pochyliła się nad sedesem i zwymiotowała. Łzy zmieszały się z zimnym potem.

Och, Tommy, pomyślała. Tommy, czemuś mnie opuścił? Dlaczego musiałeś być takim chojrakiem?

Po kilku minutach płacz przeszedł w ciche łkanie i Colleen zaczęła brać się w garść. Przepłukała usta zimną wodą, obmyła twarz, przy okazji usuwając wysuszony dwudniowy tusz do rzęs. Papierem toaletowym wytarła czarne strużki pod oczami. Nie ma miejsca dla słabości. Bo słabość to wróg, żyjąca w piersi bestia z groźnymi szponami, która tylko czeka, by wbić dziób w serce Colleen. Wiele razy chciała się poddać, ale wtedy myślała o Flynnie – kochanym słodkim synku, wiernej kopii Tommy’ego – i czuła, jak wracają jej siły. By walczyć z bestią i jej bazylijszkowym spojrzeniem w duszę.

Pusta. Czuła się koszmarnie pusta. Im mniej miała, tym mniej bolało.

Zadzwoił telefon.

Poczuła uderzenie irracjonalnego strachu – dzwoni policja, coś się stało Flynnowi – ale opanowała się. O tej porze? Pewnie jakiś telemarketer. Nie odebrała, pozwoliła, żeby ten ktoś, kto dzwoni, zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce. Faks piknął.

Pociągnęła nosem, podeszła do lodówki i nalała do szklanki soku pomarańczowego. Potem otworzyła szafkę nad kuchenką, tę starannie zabezpieczoną przed ciekawskimi rączkami synka. Między starymi środkami przeciwbólowymi a nieotwartym opakowaniem pigułek antykoncepcyjnych – miały zaczekać, aż po urodzeniu Flynna będą mogli z Tommym wrócić do regularnych stosunków małżeńskich – stała nieduża fiołka ativanu, leku psychotropowego z grupy benzodiazepin. Wysypała na dłoń dwie tabletki i połknęła, zanim zdążyła zmienić zdanie. Następnie odgarnęła włosy z twarzy i odetchnęła głęboko. Skupić się!

W Karolinie Północnej coś się wydarzyło. Coś grubego. Pomyślała o raportach z Kalifornii, Massachusetts i Nowego Jorku i uznała, że ma obowiązek wyjaśnić, co się dzieje. Była pewna, że istnieje związek między tymi sprawami. Intuicja podpowiadała jej, że to jeszcze nie koniec. Wręcz przeciwnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Outer Banks, wyspy barierowe u wybrzeży Karoliny Północnej

Taylor czuła, jak chłód wsącza się jej do żołądka. Nic dziwnego, że Fitz nie chciał z nią rozmawiać. Zapewne wyczuł, że coś jest nie w porządku z Sansom i jej zbirami.

Czy Fitzowi nic nie grozi? Czy ponownie trafił w ręce Naśladowcy? Chyba nie, bo przecież przestępca nie wypuściłby policjanta tylko po to, by znów go porwać. Odetchnęła głęboko, by uspokoić myśli. Była pewna, że śmigłowiec, który zabrał sierżanta, nosił oznaczenia szpitala w Duke.

Ale nie zamierzała ryzykować.

– Myślę, że dla bezpieczeństwa helikopter, który zabrał Fitz, powinniśmy przekierować do Nashville – powiedziała.

Baldwin patrzył na nią przez chwilę, po czym odparł:

– Zgoda. – Sięgnął po telefon i wybrał numer.

Taylor usłyszała w słuchawce głos Charlainie Shultz, jednej z głównych profilerek Baldwina. Obiecała natychmiast się tym zająć.

Usłyszeli jęk syren. Nad ich głowami przeleciała maszyna SBI, wzbijając chmurę śniegu wymieszanego z pyłem. Przybyła odsiecz.

Baldwin położył rękę na ramieniu Taylor.

– Zastanówmy się, co im powiemy. Wkrótce zaroi się tu od agentów i będziemy musieli wyjaśnić, jak wygląda sytuacja.

Jak zawsze był przewidujący. Taylor wcale nie miała ochoty się zatrzymywać. Tłumaczyć wszystko kolejnemu oficerowi? Nie, lepiej ścigać to przeklęte auto. Ale posłusznie wróciła z Baldwinem na posterunek. W środku było gorzej, niż sądziła. Nadis i recepcjonistka leżeli w kałuży krwi. W jednym z pomieszczeń znaleźli uduszonego kierowcę z SBI i jednego z funkcjonariuszy posterunku w Nags Head. Taylor z trudem rozpoznała milczącego palacza, który odebrał ich z lotniska. W

powietrzu wisiał zapach śmierci.

Kiedy tak stała nad martwymi ciałami i przyglądała się cienkiemu, sino-krwistemu wiankowi na szyjach policjantów, przeszedł ją dreszcz. Wróciła myślami do innego mordercy, który już od dawna nie żył. Jego znakiem firmowym było uduszenie. Z trudem przełknęła ślinę.

– W tym samym czasie, gdy rozmawiała z nami fałszywa Sansom, fałszywi Yeager i Polakis zajęli się pozostałymi – powiedziała Taylor.

– Na to wygląda. Popatrz, tutaj są ślady. Ciągnęli ich. – Baldwin pokazał czarne rysy na białym linoleum, prowadzące do niewielkiego pomieszczenia socjalnego, w którym znaleźli zwłoki dwóch mężczyzn.

– Zdjęli jednego po drugim, a potem umieścili w tym pokoju. Jak im się to udało?

– Nie wiem. Ale spisali się doskonale. Gdyby nie ostrzeżenie od Garretta, na pewno byśmy się nie zorientowali. I skończylibyśmy tak jak ci tutaj. – Pokazał na pomieszczenie socjalne.

Taylor usłyszała chrzęst opon. Mieli towarzystwo. Poczła dziwny ucisk w żołądku. Był to efekt spadku poziomu adrenaliny. Zmysły wracały do normy. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje, ale zwalczyła mdłości kilkoma głębokimi oddechami. Ich miejsce zajęła narastająca wściekłość.

– Zakładam, że przyszli po mnie?

Baldwin pokręcił głową.

– Nie sędzę. Przecież w każdej chwili mogli nas porwać albo zastrzelić. Wygląda mi na to, że fałszywa Sansom miała przeniknąć do naszej ekipy i donosić o jej poczynaniach. Wodzić nas za nos, być może doprowadzić w określone miejsce o określonym czasie, by nasz wróg zyskał miażdżącą przewagę.

– Przekazaliśmy jej mnóstwo informacji.

– Ale raczej nic, co byłoby dla niej nowe. W prezentacji Charlotte nie widzę nic takiego, czego podstawiona Sansom by nie wiedziała.

– To wszystko zorganizował Naśladowca. Ma wspólników.
– Tak. – Kiedy Baldwin zacisnął zęby, zagrały mięśnie szczęki. – Ktoś mu pomaga. I to skuteczniej, niż moglibyśmy przypuszczać.

Taylor po raz kolejny odetchnęła głęboko i zaraz tego pożałowała. Powietrze uderzyło jej do głowy. Oparła się o ścianę, żeby nie upaść.

– Zorganizował transport Fitza do Nags Head, żeby kontrolować sytuację. Zostawił łódź tak, by bez trudu można było ją znaleźć. Pomyślał o wszystkim. Wystawił nas.

– Tak.

– Musi mieć swoich ludzi w naszych szeregach... Cholera, też tak uważasz? – gorączkowała się Taylor.

– Niestety, ale tak.

– Wiedział, że przyjadę do Fitza, że wpadnę prosto w jego łapy.

– Też tak myślę.

– Wolałabym, żebyś nie zgadzał się ze wszystkim, co mówię.

– Nie zgodzę się, kiedy przestaniesz mieć rację – odparł z krzywym uśmiechem.

Odrobina lekkiego tonu wystarczyła, by napięcie trochę opadło. Taylor przez wiele lat przygotowywała się na takie sytuacje. Wprawdzie zbrodnie Naśladowcy były w coraz bardziej oczywisty sposób skierowane przeciwko niej, była jednak pewna, że w ostatecznym rozrachunku dobro zatriumfuje. Dobro zawsze zwycięży zło, nawet jeśli po drodze zostanie wdeptane w ziemię.

Usłyszeli krzyki na zewnątrz. Spojrzeli po sobie. Lepiej nie ryzykować. Baldwin wyjął broń, po chwili Taylor poszła w jego ślady.

– Bądź gotowa – szepnął.

Przywarli do ściany.

Głosy zbliżały się, były silne, donośne, z lekkim południowym akcentem. Ktoś zawołał:

– Doktorze Baldwin? Pani porucznik Jackson? Nazywam się Roddie Hall, jestem agentem SBI. Rozumiem, że boicie się i nie

ufacie mi. Na dowód, że jestem tym, za kogo się podaję, rzucę wam swoją odznakę. Obejrzyjcie ją. Wiem też od Garretta Woodsa, że w lewej dolnej szufladzie biurka trzyma butelkę Johnniego Walkera White Label. Podobno będzie pan wiedział, o co chodzi, doktorze.

Taylor poczuła, że Baldwin się rozluźnił.

– Rzucaj – powiedział.

Odznaka wylądowała na podłodze przy prawej nodze Taylor. Baldwin dał znak. Taylor schyliła się, podniosła skórzane etui i podała Baldwinowi, który obejrzał odznakę i z aprobatą pokiwał głową. Wyszli z za rogu, Taylor wyprostowana, Baldwin pochylony i z bronią wycelowaną w mężczyznę, który stał pośrodku recepcji z podniesionymi rękami. Pod pachą miał pustą kaburę.

– Pana szef – zwrócił się Hall do Baldwina – jest na mnie wściekły. Obawiam się, że nieprędko napijemy się tej whisky.

– No raczej – odparł Baldwin.

– Mogę opuścić ręce?

– Tak, ale powoli.

Hall odetchnął z ulgą. Był dobrze zbudowanym, siwiejącym mężczyzną, miał na sobie o rozmiar za duży zmięty brązowy garnitur. Na białej koszuli widniały plamy krwi. Zerknąwszy na umazane krwią dłonie Taylor, zrezygnował z podania jej ręki.

Znacznie już spokojniejszy Baldwin i Taylor schowali broń.

– Co się stało? – spytał Baldwin. – Jak im się udało zdjąć waszych agentów?

– Jeszcze nie wiemy. Cała trójka zginęła od strzałów w tył głowy, jakby wykonano na nich egzekucję. Ciała zakopano na plaży w płytkim grobie. Znalazł je facet, który wyszedł z psem na spacer. No i pies odkopał zwłoki, jak to często bywa. A wy jak? Cali i zdrowi?

– Nic nam nie jest, ale na posterunku jest czterech martwych funkcjonariuszy. Trzech to policjanci z Nags Head i jeden wasz człowiek.

Hall zamknął oczy, jakby walczył z ogromnym bólem. Taylor doskonale go rozumiała. Miała wrażenie, że cały jej świat został

uwikłany w konflikt, a na każdym rogu czai się ktoś, kto pragnie zburzyć jego spokój.

Ale tym razem Naśladowca się przeliczył. Zabijając siedmiu funkcjonariuszy, ściągnął na siebie gniew wszystkich stróżów prawa w Stanach. Od tej chwili jego tropem będą podążać nie tylko Taylor i Baldwin, lecz również każda służba, każda agencja stanowa i federalna, dla wszystkich priorytetem stanie się schwytanie mordercy policjantów i agentów. Sam założył sobie pętlę na szyję.

Właściwie czego chce ten głupiec? Podjął cały ten trud, zaangażował tyle środków po to tylko, żeby odstawić efektowny show? Dla zabawy chciał zrobić z nich idiotów? Tylko taki cel mu przyświeca? Co za koszmarny absurd... Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Najchętniej usiadłaby, podparła głowę rękami, zasnęła i obudziła się, kiedy będzie po wszystkim.

Ale nie ma tak łatwo.

– Agencie Hall, proszę powiedzieć, co pan wie – odezwała się.

– Niewiele. – Bezradnym gestem potarł czoło. – Zdecydowanie zbyt mało. Mam jedynie ogólne informacje. Waszego sierżanta, Pete'a Fitzgeralda, znaleziono wczoraj rano, jak szedł drogą. Z tego, co mi powiedziano, od ponad tygodnia nie dawał znaku życia. Nasi agenci odnaleźli jego oko i zaalarmowali pozostałe wydziały. Przeczესaliśmy cały stan w poszukiwaniu sierżanta Fitzgeralda, ale bezskutecznie. Jak się okazało, sam się znalazł. Większość dnia i całą noc spędził w szpitalu, oczywiście pilnowany, po czym miejscowe władze przetransportowały go tutaj, na posterunek w Nags Head. Doszliśmy do wniosku, że tak będzie łatwiej...

– ...traktować go jak podejrzanego – dokończyła Taylor.

Hall prychnął z irytacją, po czym skontrował podniesionym głosem:

– Mieć go na oku i zapewnić mu bezpieczeństwo. To prawda, że musieliśmy go przesłuchać, ale gdyby coś takiego przytrafiło się na waszym terenie, postąpilibyście tak samo. Gdyby nie to, że

zarządzono poszukiwania i wszyscy tutejsi policjanci znali sierżanta ze zdjęcia, nie cackaliby się z nim, tylko od razu zakuli w kajdanki i wsadzili do paki. Zastanówcie się: facet cały umazany krwią, bez oka, bełkocze o swojej martwej dziewczynie. Skąd mieli wiedzieć, co jest grane?

– Uspokójcie się oboje. Nikt nikogo o nic nie oskarża. – Baldwin zgromił Taylor wzrokiem i zwrócił się do Halla: – Proszę mówić dalej.

Hall westchnął ciężko i przeczesał palcami rzadkie włosy.

– Nie bardzo jest o czym. Z samego rana wysłaliśmy trójkę agentów, którzy mieli się spotkać z sierżantem. Widocznie po drodze zastawiono na nich pułapkę. Nie mam pojęcia, co się mogło wydarzyć. Kiedy znaleźliśmy łódź, utajniłmy sprawę, ale o przeciek nietrudno. Doktorze Baldwin, o której godzinie spotkaliście się z podejrzanymi? Czy fałszywi agenci byli już na miejscu, kiedy przyjechaliście?

– Tak. Było wcześniej, około siódmej rano. Zjawili się przed nami, zdążyli rozejrzeć się po posterunku. Osoby, które widziały ich odznaki, nie żyją, więc nawet nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy cokolwiek wzbudziło w nich jakieś wątpliwości. Mogli się posłużyć fałszywkami. Wyglądali jak agenci. Cholera, nawet nie poprosiłem ich o pokazanie odznak. Mój błąd... Sansom dała mi swoją wizytówkę. – Ostrożnie wyjął ją z portfela.

Hall dokładnie obejrzał kartonik, po czym zawołał technika.

– Wydaje mi się, że to prawdziwa wizytówka Renee. Może uda się zdjąć odciski palców. – Trzymając za róg, odebrał ją od Baldwina, poinstruował technika, po czym zadał następne pytanie: – Czy sprawiali wrażenie pewnych siebie?

– Tak – odparł Baldwin. – Musieli wiedzieć, że wasi agenci przyjadą, żeby przejąć Fitzę. Zrobili zasadzkę, zaskoczyli ich. Kto wpadł na pomysł przewiezienia Fitzę do Duke?

– Ja – przyznał Hall. – Znam okulistę w Duke, świetnego specjalistę, razem studiowaliśmy. Uznałem, że w szpitalu w Duke Fitzgerald będzie miał lepszą opiekę.

– Doceniam to. – Taylor wyraźnie zmiękła. –

Przekierowaliśmy śmigłowiec do Nashville. Mam nadzieję, że pan to rozumie. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby porozmawiał pan z Fitzem w Nashville.

– No tak, jasne, że rozumiem. Nie mogę mieć do was pretensji. To my daliśmy ciała. Nie pojmuję, jak to się stało.

Taylor złożyła ręce na piersi, po czym powiedziała w miarę delikatnie:

– Sugeruję przyjrzeć się swoim ludziom. Przykro mi to mówić, ale macie w SBI kreta.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Taylor i Baldwin niemal przez godzinę omawiali szczegóły sprawy z agentem Hallem, ale niewiele z tej dyskusji wynikło.

Taylor musiała przyznać, że Hall był dobrym gliną, dokładnym i metodycznym. Też sporządzał listy i odhaczał zrealizowane zadania. Lubił Pracować w swoim tempie i przechodził do następnego punktu, dopiero kiedy nic więcej nie dało się wycisnąć z poprzedniego.

Wszyscy czuli się beczelnie i koncertowo wykiwani, dlatego SBI wprost obsesyjnie bało się popełnić kolejny błąd. Taylor doskonale to rozumiała, toteż starała się nie okazywać zniecierpliwienia. Martwiła się o Fitzę, chciała jak najszybciej wrócić na własne podwórko, gdzie miała pewność, że będzie w stanie się obronić.

Siedmioro funkcjonariuszy. Nie zazdrościła Hallowi, który będzie musiał poinformować rodziny policjantów o śmierci najbliższych, ale dopiero wtedy, gdy technicy przetrząsną miejsce zbrodni wszczepić i wzdłuż.

Przyszła jej do głowy szalona myśl. A może osoba podająca się za agentkę Sansom to Naśladowca? Czyżby tych wszystkich przestępstw dokonała kobieta?

Jednak wydało jej się to zbyt naciągane. Dysponowali materiałem DNA zebrany podczas badania miejsc zbrodni Naśladowcy, ale przecież genetyczne ślady mogły zostać podrzucone. Poza tym Taylor widziała, jak fałszywa Sansom chłonęła szczegóły morderstw, jak oczy jej lśniły, kiedy słuchała makabrycznych opisów. Teraz tę reakcję zidentyfikowałyby bardziej jako podziw dla uwielbianego mistrza niż satysfakcję z własnych dokonań.

Czyli to fałszywy trop. Owszem, możliwy, ale tak mało prawdopodobny, że postanowiła porzucić ten pomysł. Naśladowca jest szaleńcem, który wysługuje się kobietami, po czym pozbywa się ich, wyrzuca jak śmieci.

Kiedy agent SBI podziękował im za rozmowę i zajął się nadzorowaniem pracy techników, Taylor zadzwoniła do komendant Joan Huston i zdała relację z wydarzeń. Rozmowa z szefową pomogła Taylor uspokoić myśli i poukładać je w głowie, bowiem komendant Huston była osobą pragmatyczną, świetnie zorganizowaną i nade wszystko ceniła konkrety. Zapewniła Taylor, że Fitz dotarł do Nashville cały i zdrowy. Dodała, że jeszcze dziś po południu będzie operowany na oddziale okulistycznym szpitala Uniwersytetu Vanderbilta. W tej chwili jest z nim Lincoln Ross.

Taylor wreszcie mogła spokojnie odetchnąć. Fitz jest bezpieczny, a to było najważniejsze. Może więc całkowicie się skoncentrować na pozostałych problemach.

Posterunek policji w Nags Head przypominał pobojuwisko. W budynku krzżeli się technicy. Materiału dowodowego było tak dużo, że wciąż jeszcze nie zabrano ciał. Z jednego z pomieszczeń wyleciała samotna, opita krwią mucha. Taylor machnęła ręką, ale nie trafiła. Zaklęła, gdy mucha umknęła do przewodu wentylacyjnego. Wróci, pomyślała Taylor, i przyprowadzi wygłodniałych krewnych i znajomych. Miała nadzieję, że ona i Baldwin szybko się uporają z formalnościami i opuszczą to miejsce.

Udali się do osobnych pomieszczeń, żeby pomóc przy sporządzeniu portretów pamięciowych podejrzanych. Taylor tęskniła za czasami, kiedy przygotowywał je prawdziwy rysownik, bo choć praca nad portretami w programie komputerowym trwała znacznie krócej i była wygodniejsza, to jednak rysunkom brakowało czegoś nieuchwytnego, ale bardzo ważnego, co można by nazwać „ludzkim pierwiastkiem”. Sprawny rysownik potrafił go oddać jednym pociągnięciem ołówka.

Kiedy tak siedziała, podawała policjantowi rysopisy sprawców i czekała, aż funkcjonariusz wprowadzi dane do komputera, sytuacja wydała się jej dziwnie znajoma. Przypomniała sobie, jak siedziała naprzeciwko innego plastyka i ze szczegółami opisywała mężczyznę, który, jak sądziła, był Naśladowcą.

Ta sprawa, ta cholerna sprawa pełna znaków zapytania,

gdybania i kluczenia. Musiała powstrzymać mordercę. To jest najważniejsze.

Potem poszli na kolejne spotkanie z Hallem i znów znalazła się w tym samym pomieszczeniu, w którym rozmawiali z fałszywą Sansom.

– Właśnie się dowiedziałem – zaczął Hall – że przy autostradzie numer 64 w okolicach Plymouth znaleziono zwłoki. Z opisu wynika, że chodzi o mężczyznę, który podawał się za Eliota Polakisa.

– Jak zginął? – spytała Taylor.

– Od strzału w głowę. Ktoś go wyrzucił z samochodu. Leżał na poboczu, wyglądał... no, jak ktoś, kogo wyrzucono z auta.

– A więc w samochodzie powinny być ślady krwi.

– To niemal pewne, ale przekonamy się o tym, jeśli znajdziemy ten wóz. Bo akurat to wcale nie jest pewne. Tutaj jest bardzo dużo bocznych dróg, mostów, wiejskich przecinek, po prostu mnóstwo miejsc, w których można porzucić samochód, niepostrzeżenie go zmienić i mieć pewność, że co najmniej przez tydzień go nie odnajdziemy.

– Skaczą sobie do gardeł. To dobrze. Może wyeliminują się nawzajem i oszczędzą nam pracy – powiedział Baldwin.

– Nadzieja matką głupich – z kwaśnym uśmiechem skomentowała Taylor. – Myślę, że to było zaplanowane. Gdzie kucharek sześć i tak dalej. Pamiętajcie, że mamy do czynienia z mordercą, który nie lubi się dzielić władzą i sławą.

– Przerażasz mnie, dziewczyno – stwierdził Hall. – Powtórzmy to raz jeszcze.

Zaczął Baldwin. Opowiedział, o czym rozmawiali z fałszywą Sansom i jak się zmieniła, kiedy stało się jasne, że nie jest osobą, za którą się podaje.

– Pani porucznik Jackson, proszę powiedzieć, jakie wrażenie zrobili na pani oszuści – poprosił Hall.

– Wszyscy troje to dobrzy aktorzy. – Miała cały ranek, żeby się nad tym zastanowić. – Nawet bardzo dobrzy, bo nie wzbudzali najmniejszych podejrzeń. Przyznaję też, że Sansom zirytowała

mnie, kiedy zasugerowała, że Fitz jest odpowiedzialny za śmierć Susie, i wtedy przestałam zwracać uwagę na wszystko inne. – Z jej tonu przebijała skrucha.

– Tak bywa... – Hall przyjął przeprosiny skinieniem głowy.

W myślach wróciła do rozmowy z Sansom i dodała, poprawiając kucyk:

– Gdy teraz się nad tym zastanawiam, to wydaje mi się, że Sansom była zbyt gorliwa, do tego skupiała się nie na tym, co trzeba. Poza tym źle używała języka ciała. Pochylała się do przodu, kiedy powinna była odchylić się do tyłu, oblizywała usta, kiedy powinna była się wzdrygnąć i tak dalej. – Nagle przeszedł ją dreszcz. – Miałam do czynienia z tym potworem i boję się go jak diabli, natomiast ona w ogóle nie wydawała się poruszona prezentacją. Teraz powiedziałabym nawet, że była pełna podziwu dla tych... dokonań. To powinno dać nam do myślenia, ale nie dało. Nie zauważyłam, że coś jest nie w porządku. Fitz próbował mi coś przekazać, ale nie słuchałam go. – Mówiła coraz bardziej nerwowo.

Hall spojrzał na nią przyjaźnie i starał się ją pocieszyć:

– Spokojnie, pani porucznik, oni nas wszystkich wyprowadzili w pole. Nikt nie jest winny, proszę nie brać tego do siebie.

Jednak nie pocieszył jej.

– Łatwo panu mówić, agencie Hall. Gdybym w porę się zorientowała, co się święci, cztery osoby nadal by żyły. Musimy działać. Siedzenie i gadanie o mordercy nic tu nie zmieni. Wracamy do Nashville, bo tam uderzy Naśladowca, jestem o tym przekonana.

– Dlaczego? Skąd ta pewność?

Nie patrząc na Baldwina, odparła łamiącym się głosem:

– Ponieważ wszystko, co jest dla mnie najdroższe, znajduje się w tym pokoju... albo w tamtym mieście. Musimy jechać, i to natychmiast.

Hall wyprostował się na krześle i posłał Taylor długie spojrzenie. Zerknął na Baldwina, który tylko kiwnął głową.

– No dobrze, niech będzie. Jedźcie, ale pamiętajcie, że w każdej chwili mogę was wezwać. Dziękuję za pomoc. – Uścisnął im dłonie. Zatrzymał się dłużej przy Taylor. W jego głosie nie było już śladu irytacji. – Muszę się spotkać z rodzinami zamordowanych agentów i powiedzieć im, że już nigdy ich nie zobaczą. Proszę na siebie uważać, dobrze?

Taylor i Baldwin wsiedli do radiowozu policji Nags Head. Młody funkcjonariusz bez skrępowania przyglądał im się zaczerwienionymi oczami. Taylor pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „Daj spokój, o nic nie pytaj”. Nie miała ochoty na rozmowę o ostatnich wydarzeniach, zwłaszcza z kimś, kto znał ofiary. Siedem trupów, osiem, licząc z Susie, a dziewięć łącznie z jednym ze sprawców. Tego dnia ziemia Karoliny Północnej spłynęła krwią. Każda z tych śmierci ciążyła Taylor na duszy. To nie powinno było się zdarzyć. Czemu nie uważała? Czemu nie wyczuła, że coś jest nie tak? Pograżyła się w bólu po zastrzeleniu nastolatka, zagrzebała się w smutku tak głęboko, że nie zauważyła oczywistych znaków ostrzegawczych. Widocznie Naśladowca znał ją lepiej, niż sama znała siebie.

Kierowca wyjechał z parkingu przed posterunkiem i skierował się w stronę lotniska. Baldwin cały czas rozmawiał przez telefon, dzięki czemu Taylor mogła oddać się ponurym rozmyśleniom.

Kwadrans później siedzieli na pokładzie odrzutowca pod czujnym okiem stewardesy o imieniu Cici i pod opieką pilota, który dostał pozwolenie na start. Baldwin poprosił Cici, żeby nie przeszkadzała, pochylił się nad Taylor i powiedział ponurym głosem:

– Pietra przysłała mi SMS-a. Trudno w to uwierzyć, ale materiały zebrane przez techników nie mogą zostać wykorzystane.

– Jak to?!

– Ktoś zniszczył dowody zebrane przez agentów SBI na łodzi i w przyczepie. Na przykład pomieszał próbki krwi i uzupełnił je... wybielaczem. Do diabła, nawet jeśli uda się wyizolować DNA, w sądzie to nie wystarczy.

Pietra Dunmore była ekspertką w dziedzinie medycyny sądowej, zaufaną współpracowniczką Baldwina w Quantico. Uchodziła za żywą legendę kryminalistyki, była błyskotliwa, kompetentna i lojalna wobec Baldwina.

W głowie Taylor zaroilo się od pytań.

– Do cholery, jak on to robi? – spytała w końcu z bezradną wściekłością. – Przecież to tylko jeden człowiek!

– Naprawdę nie rozumiesz? Pewnie omotał kolejną kobietę i namówił ją, by wykonała za niego czarną robotę. W jego przypadku to żadna nowość.

Prawda. Kolejne trupy to niestety też nic nowego. Taylor nerwowo poprawiła kucyk i spytała:

– Myślisz, że zrobiła to kobieta, która podszywała się pod Renee Sansom?

Baldwin, jakby naśladowując jej gest, przeczesał palcami potargane włosy, po czym odparł:

– Pamiętasz, co powiedziałaś wcześniej? Że to nie Fitzo wozili po stanie, ale jego oko... To wszystko mogło być na pokaz, również wiadomość dla nas. Jeżeli dla Naśladowcy pracuje kilka osób, niewykluczone, że wcale nie napisał tego liściku własnoręcznie. Znów naprowadził nas na fałszywy ślad.

– Ale w jaki sposób oszuści uzyskali dostęp do materiałów? Przecież agenci SBI zebrali je w zeszłym tygodniu i na pewno przechowywali w bezpiecznym miejscu.

– Hall powiedział, że przewieziono wszystko tutaj, żeby jego ekipa mogła przeprowadzić analizę materiałów. Mają jedno laboratorium na cały stan. Trzeba sprawdzić, kiedy zarejestrowano przybycie materiałów i kto miał do nich dostęp, ale czuję, że to strata czasu.

– Myślisz, że tę kobietę łączy z Naśladowcą coś głębszego? Są kochankami? Czy też jest pierwszą lepszą naiwną, którą wykorzystuje? Wydaje się, że ma talent do znajdowania i zjednywania sobie ludzi.

– To ktoś mu bliski. Ktoś, kto chciał mu zaimponować. Czuję to.

Taylor wzięła go za rękę.

– Baldwin, czy jesteś pewien? Na pewno nie reagujesz emocjonalnie?

Silnik samolotu zawył i ryknął, po chwili siła odrzutu wcisnęła ich w fotele. Maszyna wzniosła się, schowała podwozie i skręciła ostro w lewo. Kiedy wyrównała lot, a Cici zaczęła krążyć po kabinie, Baldwin wrócił do rozmowy.

– Nie, Taylor, nie reaguję. Jestem po prostu bardzo ostrożny. Poprosiłem Kevina Salta, żeby sprawdził dla mnie prawdziwą Renee Sansom i spróbował dowiedzieć się, dlaczego Naśladowca wybrał akurat ją. Dlaczego do tej sprawy wyznaczono akurat tę kobietę i tych dwóch mężczyzn? Czy przestępca rekrutuje ludzi w naszych szeregach? Jak to robi? W jaki sposób udaje mu się działać szybko i sprawnie? Taka operacja wymaga planowania i wielkiej przeczności.

– Straciliśmy go z oczu rok temu. Miał dużo czasu na przygotowania.

– Tak. I powiem ci coś. Myślę, że nie możemy ufać nikomu z zewnątrz.

– W naszych ekipach są osoby, których jesteśmy pewni, którym możemy zaufać – odparła po długim namyśle. – Na moje pytania Fitz odpowiadał wymijająco. Miałam wrażenie, że nie chce rozmawiać przy SBI. Widocznie coś podejrzewał.

– Jak najbardziej. To bystry facet. Może coś zobaczył albo podsłuchał?

– Wyzdrowieje, prawda?

– Ależ tak. Rekonwalescencja zajmie sporo czasu, ale wyjdzie z tego, zapewniam cię.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Znowu zostaliśmy tylko my dwoje – szepnęła Taylor.

Baldwin otoczył ją ramieniem, co wcale nie było takie proste, zważywszy na to, jak daleko od siebie stały fotele.

– Tak jak lubię – powiedział.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie była to prawda. Baldwin nie lubił czuć się wykluczony, a w tej chwili towarzyszyło mu takie właśnie uczucie.

Taylor w milczeniu patrzyła przez okno. Spojrzał na nią zaniepokojony. Wyczuwał napięcie. Zamykanie się w sobie było jedną z najskuteczniejszych broni w jej emocjonalnym arsenale i wyglądało na to, że w tej chwili wytoczyła najcięższe działa. Wydarzenia ostatniego tygodnia powoli zaczynały ją przytłaczać.

Zresztą sam też nie miał lekko. Naśladowca od roku nie dawał spokoju obojgu. Po raz pierwszy nawiązał kontakt wkrótce po rozwiązaniu sprawy morderstw wzorowanych na zbrodniach Królowej Śnieżki. Przesłał list, który zawierał dwa groźne zdania:

Nie jestem już uczniem.

Możecie mnie nazywać Naśladowcą.

Jak na narcystycznego socjopatę przystało, sam sobie nadał przydomek. Takich przestępców zazwyczaj udawało się złapać.

Zazwyczaj.

Naśladowca zamilkł na pewien czas, po czym nagle wyskoczył niczym opętany diabeł z pudełka. Dopiero wtedy zastraszenie ruszyło pełną parą: telefony do domu i na komórki, kolejne listy. Zaczął pojawiać się w sprawach prowadzonych przez Taylor, zawsze gdzieś w tle, na marginesie, ale był stale obecny. Stał się nieodłączną częścią ich życia, groźną, wciąż przypominającą o sobie, najwyraźniej mającą nieograniczony dostęp do informacji.

Falszywej Renee Sansom Baldwin nie powiedział wszystkiego. Na przykład tego, że Naśladowca dysponował rozległą siecią kontaktów w internecie, że porozumiewał się z mordercami, sadystami, miłośnikami przemocy i okrucieństwa. Podając się za nekrofila – o nicku Necro90 – nawiązał znajomość z międzynarodowym duetem nekrosadystów, Il Macellaio i Dyrygentem. Podpuścił ich, podrzucił dowody na miejscu jednej ze zbrodni popełnionych przez Dyrygenta i dopilnował, by Taylor

dowiedziała się, że zawdzięcza mu pomoc.

Uwielbiał poczucie kontroli wynikające z manipulowania innymi. Czerpał z niego bodaj tyle samo przyjemności, co z zabijania.

Taylor i Baldwin nie dawali sobą dyrygować. Walczyli jedyną znaną im bronią, czyli literą prawa. Dla Baldwina odnalezienie i aresztowanie człowieka, który groził jego kobiecie, było zadaniem najwyższej wagi. Z tego też powodu częściowo prowadził własną grę i nie wtajemniczał Taylor we wszystko, co sam wiedział.

Kevin Salt, najlepszy komputerowiec w zespole Baldwina, odnalazł sieciową sygnaturę Naśladowcy i śledził jego ruchy w internecie. Kevin podążał za nim dosłownie wszędzie. Adresy IP, z których korzystał przestępca, od kilku miesięcy cechowała zaskakująca konsekwencja. Salt wszystko dokumentował i kreślił profil geograficzny sprawcy, z którego stopniowo wyłaniał się pewien niepokojący schemat: adresy fizyczne komputerów używanych przez Naśladowcę uparcie wskazywały na Nashville. A zatem drań przyczaił się naprawdę blisko.

Macki przestępcy sięgały coraz dalej. Atak na agentów SBI wymagał czasu i planowania. Naśladowca znajdował współników, rekrutował żołnierzy, którzy zgadzali się dla niego pracować, znając jego plany, albo byli jedynie pionkami w ręku psychopaty.

Był gotów. Niezależnie od tego, jak szaloną strategię sobie ubzdurał, zaczął wprowadzać ją w życie. To było pewne.

Ilu ludzi musi zginąć, aby Naśladowca poczuł się usatysfakcjonowany?

Znowu zaatakował na dużą skalę. Baldwin wiedział, że Taylor będzie próbowała wziąć na siebie winę za te śmierci. Naśladowca odgrywał krwawy spektakl, którego miała być widzem. Wokół niej ścielił się trup. O to mu chodziło, robił to specjalnie, miała patrzeć w oczy ofiarom. A jeśli dodać do tego zrozumiałe poczucie winy po niedawnej strzelaninie... Baldwin zastanawiał się, kiedy Taylor się załamie.

Napięcie narastało. Baldwin miał poczucie, że spirala się

nakręca, że ziemia obraca się o jedną dziesiątą szybciej i jeśli nie znajdzie punktu zaczepienia, jeśli nie chwyci się czegoś mocno, to zostanie wyrzucony poza orbitę. Nie, tak nie może być. Trzeba opanować sytuację, uspokoić nerwy, przemówić do rozumu sobie i Taylor, ponieważ jeśli ona się załamie, to on tego nie zniesie. Widząc, jak narzeczona cierpi, czuł tępe pulsowanie w żołądku, a za każdym razem, gdy Naśladowca kpił z niej, opanowywała go zaślepiająca rozsądek wściekłość.

Cicho zabrzączał telefon stojący obok oparcia fotela. Tylko jedna osoba wiedziała, że Baldwin i Taylor znajdują się w tej chwili na pokładzie samolotu. Był to Garrett Woods.

Taylor zerknęła na Baldwina i posłała mu uśmiech pełen otuchy, w każdym razie miał nadzieję, że właśnie to wyrażał.

– Cześć, Garrett – powiedział do słuchawki.

– Lecicie do Nashville?

– Tak. Dzięki, że udało ci się zmienić trasę śmigłowca. Będę spokojniejszy.

– Nie ma sprawy. Słuchaj, co tam się dzieje? Oświeć mnie.

Baldwin szybko zdał relację, po czym zapytał:

– Coś nowego?

– Niech się zastanowię. Poza tym, że dyrektor żąda odpowiedzi na pytanie, dlaczego zawieszony agent bierze udział w tragicznej strzelaninie, to nie.

– Cholera... – Baldwin zmełł dalsze przekleństwa. – Dowiedział się?

– Chłopie, cały kraj wie! Trąbią o tym w telewizji. Kamera uchwyciła ciebie i Taylor, jak wychodziliście z posterunku.

– Aha.

– No właśnie. Powiedziałeś jej?

– Nie.

– Baldwin, nie powinienem ci tego mówić, ale i tak powiem, bo najwyraźniej coś ci się poprzestawiało w głowie. Musisz jej powiedzieć. O wszystkim. I to natychmiast.

Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, tyle że kompletnie nie wiedział, od czego zacząć.

O czym najmniej chciałyby usłyszeć? Może o tym, że został zawieszony, kiedy zgłębiali sprawę będącą jedną z jego największych porażek, przypadek Harolda Arlena z 2004 roku, kiedy to popełnił gigantyczny błąd i nie doniósł na swoją protegowaną, Charlotte Douglas, gdy dowiedział się, że podrzuciła materiał dowodowy na miejscu zbrodni? Albo o tym, że okazał się na tyle głupi, by... zbliżyć się do Charlotte, przez co zginęło trzech dobrych agentów? Albo o tym, że w trakcie rozpracowywania najważniejszej sprawy w całej swojej karierze zrobił Charlotte dziecko? Że dopiero przed rokiem dowiedział się, iż wcale nie usunęła ciąży, jak twierdziła, ale urodziła chłopca i oddała go do adopcji? Że nie ma pojęcia, co się dzieje z jego synkiem ani nawet jak ma na imię?

Niby jak ma powiedzieć swojej narzeczonej, kobiecie najdroższej sercu, że z inną połączyła go ta najintymniejsza, nierozrwalna więź, czyli dziecko? Nie zdradził Taylor, nie, ale czy to ważne? Czyby mu wybaczyła?

Spojrzał na surowy, zimowy krajobraz za oknem. Ponura, jałowa kraina.

– Zrobię to, Garrett, obiecuję.

– Baldwin, mówię serio. Masz wspaniałą kobietę. Nie schrzań tego. Chroniłem twój tyłek, ale dłużej tak nie można. Po powrocie do Nashville masz z nią poważnie porozmawiać.

– Tak jest, szefie. Czy... coś jeszcze?

Garrett pomagał Baldwinowi odnaleźć syna, właśnie minął rok bezowocnych poszukiwań. Baldwin wciąż nie potrafił się otrząsnąć. Po śmierci Charlotte w szufladzie jej biurka Garrett znalazł dokumenty, między innymi akt urodzenia chłopca z przekreślonym nazwiskiem Baldwina oraz zdjęcie dwulatka. Dziś chłopiec powinien mieć pięć lat.

Baldwin wiedział tylko tyle, że ma syna. Co do ojcostwa nie było wątpliwości, bo chłopiec wyglądał jak zdjęta z niego skóra, tylko włosy miał inne, płomiennorude, po matce. Po ojcu odziedziczył zielone kocie oczy.

Nie wiedział, jak synek się nazywa. Charlotte nawet nie

raczyła nadać dziecku imienia, na świadectwie widniało więc „Baby Doe”, jak określa się bezimienne dzieci. Baldwin kochał malca, choć nigdy go nie poznał. Zrobiłby wszystko, by go odzyskać.

Poczuł ból w piersi. Czy chłopiec rośnie zdrowy, czy jest kochanym, dobrym dzieckiem? Czy charakterem przypomina jego, czy raczej Charlotte? Miała rodzinę jak z horroru: ojca mordercę i oszpeconego brata, a sama była socjopatką cierpiącą na psychozę. Czy dzieciak miał szansę na normalne życie?

Garrett głośno westchnął.

– Nie, nic nowego. Wiesz, że gdy tylko czegoś się dowiem, natychmiast dam ci znać. No dobrze... Obiecujesz, że będziesz grzecznym chłopcem?

– Oczywiście. Dzięki za informacje. – Odłożył słuchawkę, a gdy Taylor pytająco uniosła brwi, pokręcił głową. – Nic nowego. Media donoszą o Nags Head.

– Super – odparła. – Poza tym wszystko w porządku?

– Tak, tak, wszystko gra. – Skłamał, znów skłamał.

Kłamstwo powoli stawało się jego drugą naturą.

Poczuł lekkie szarpnięcie, znak, że zbliżali się do domu.

Wziął Taylor za rękę, a jej silne palce oplótły się wokół jego dłoni.

Równowaga. Musi znaleźć równowagę.

Istniał tylko jeden sposób, by uwolnić się od tego koszmaru. Tylko jeden sposób, będący pogwałceniem przysięgi, którą składał, wstępując w szeregi FBI. Stojący w opozycji do wszelkich zasad moralnych.

Musiał odnaleźć Naśladowcę i go zlikwidować, zrobić to w taki sposób, by Taylor nie była szybsza.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Naśladowca odbierał mejle w regularnych odstępach czasu. Cechowało go wyjątkowe poczucie dyscypliny, zaszczerpione przez dawnego mistrza. Królowna Śnieżka zawsze wymagał pełnego raportu po wykonaniu zadania. Siedział w zatęchłym, przeżartym wilgocią i dymem biurze, palił ohydne cygara, trzymając je koślawą dłonią, i czekał jak przyuczajony pająk.

Żaloszny typ. Wywrzaskiwał rozkazy, a sam nie był w stanie robić tego, co do niego należało. Potrzebował następcy, który realizowałby jego fantazje. Kiedy Charlotte poznała ich ze sobą, przez chwilę był przekonany, że spełniły się jego marzenia. Ale sen szybko zamienił się w koszmar.

Troy – tak go ochrcziła Charlotte. Była przekonana, że popisuje się intelektem, nadając mu imię mitycznej Troi. Martwa suka, martwa suka, martwa suka. Bez niej czuł się wolny, o wiele bardziej wolny. Sam o wszystkim decydował, poznawał nowe sposoby spełniania swych fantazji. To było jak awans z kuchcika na restauratora. Teraz on był mistrzem, to on otaczał się gronem własnych uczniów.

Pseudonim zachował, bo tak było prościej.

Pierwszy etap zakończony, czas na drugą falę. Dalszy ciąg planu. Wszystko szło doskonale. Wręcz idealnie.

Włączył piosenkę, zapętlil ją w iTunes. Przypominała o celu, do którego dążył. Był samotny. Pragnął.

Musiał zająć czymś myśli, więc postanowił zaparzyć herbatę. Wykonywanie dobrze znanych czynności uspokajało go: wyjąć filiżankę z cienkiej porcelany, zagrzać wodę, ale tak, żeby się nie zagotowała, odmierzyć porcję delikatnej zielonej herbaty i umieścić w sitku, parzyć dokładnie jedną minutę. Odłożył sitko pełne nasączonych liści, wsypał odrobinę cukru do filiżanki i usiadł przed komputerem. Nowa wiadomość. Kiedy zobaczył adres nadawcy, serce mocniej mu zabiło. Udało się?

Kliknął temat. Wiadomość była krótka:

Porażka.

Westchnął głośno i postawił filiżankę na spodku, aż zabręczała. Wymamrotał przekleństwo. Próba rzeczywiście była ryzykowna. Ta przeklęta agentka FBI była zbyt wrażliwa, zbyt czuła i czujna. Powinien zachować większą ostrożność. Przeniknięcie do jej zespołu było niesamowicie trudne, ale nie niemożliwe.

Sącząc herbatę, zastanawiał się nad następnym ruchem. Powinien wysłać wiadomość. Fałszywa Renee Sansom zawiodła. Należała jej się kara. Powinien wdrożyć przemyślany i sprawdzony plan. Wystarczyły dwa kliknięcia, rozkaz zostałby wysłany, zabójca przystąpiłby do działania. Do wieczora zaginałby po niej wszelki ślad, jakby nigdy nie istniała. Nikomu nie udałoby się powiązać jej zniknięcia z jego osobą.

Zbyt dużo zmiennych, zbyt wielu graczy, by mógł pozwolić sobie na błędy. Wyeliminowanie członka grupy stanowiłoby ostrzeżenie dla pozostałych, że porażka nie wchodzi w grę.

Kusiło go, żeby zabić.

Sam jednak nie mógł się tym zająć, przynajmniej nie teraz. Cóż, szkoda. Byłoby miło się zabawić. Baba z jajami, gotowa wmieszać się w szeregi wroga, zabić i podszywać się pod agentkę stanową.

Chyba jednak byłoby szkoda ją wyeliminować. Mogła się jeszcze przydać. Była wykształconą kryminolożką. W nowym przebraniu – wystarczyło zmienić włosy, kolor szkieł kontaktowych, postawę – mogłaby ponownie wykorzystać swoje zdolności. Z niechęcią musiał przyznać, że potrzebował jej. Pomagała mu odgrywać swoją rolę.

Zawiesił palec nad przyciskiem myszy. Drżał z podniecenia.

Rozważył ryzyko. Opracował kilka scenariuszy, jak się jej pozbyć, tak samo jak już dotąd wielu się pozbył. To było takie łatwe. Najprostsza wersja zakładała, że samochód, którym będzie jechała ze swoimi towarzyszami, wypadnie z drogi, rozbije barierkę i wyląduje w lodowatej wodzie. Służby ratownicze nie przyjadą na czas. Utopi się.

Hm. Wyobraził sobie, jak bezradnie macha rękami i stara się utrzymać na powierzchni wody.

Palec zadrgał i musnął mysz. Odsunął ją od siebie zdecydowanym ruchem.

Powiedział sobie, że przestał już być dzieckiem. Impuls jest pragnieniem, które w ułamku sekundy przeradza się w zachciankę. Zachcianka, zachcianka, zachcianka, a właśnie przez zachcianki mali chłopcy wpadają w tarapaty.

Niemniej jednak należało ją ukarać.

Nie pozostawił niczego przypadkowi.

Niczego.

Zegar po dziadku wybił godzinę i wyrwał go z zamyślenia. Koniec przerwy na lunch. Pora wracać do pracy. Do tożsamości, którą sobie stworzył.

Tyle ma do zrobienia. Tak dużo sznurków, za które trzeba pociągać. Zaangażował wielu ludzi, pchał ich ku wielkiemu finałowi. Za późno, by się wycofać, gra w toku, piłka w grze. Znudził się zabawą w kotka i myszkę. Samo wyzwanie przestało wystarczać. Chciał imponować. Chciał nauczać. Wciąż mu było mało. Dlatego podniósł stawkę.

Zakładając smycz z kluczami na szyję, zastanawiał się, czy Taylor się boi. Dzielna dziewczyna, musiał przyznać, ale na pewno zaczyna odczuwać napięcie. Kazał Fitzgeraldowi przekazać wiadomość po to, by miała świadomość, że gra się rozpoczęła. Był przekonany, że sierżancik posłusznie wywiązał się ze swego zadania. Gorąco go do tego namawiał...

Wychodząc, zamknął dom. Podróż do pracy zajmie tylko kilka minut. Zastanawiał się, co się dziś wydarzy.

Uwielbiał swoją robotę.

Po drodze do biura wstąpił na pocztę i wysłał kartkę, którą przygotował trzy miesiące wcześniej.

Będzie zaskoczona.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nashville, stan Tennessee

Colleen Keck zerknęła na zegarek. Niedługo będzie musiała odebrać Flynną ze szkoły.

Od lat nie widziała czegoś takiego. Skrzynka pocztowa Felon E nie nadążała z przerabianiem nadchodzących wiadomości. Wciąż napływały nowe doniesienia, a także potwierdzenia tych, które przysły chwilę wcześniej. Również faks przeżywał obłędzenie. Ludzie przysyłali listy nazwisk i szkice z miejsc zbrodni. Wiedziała, że nie chodzi o zwyczajne morderstwa. Kryło się za nimi coś więcej. Potrafiła wyczuć dobry materiał, w końcu miała doświadczenie w oddzielaniu tematów wartościowych od nadających się do kosza. Istniał łącznik między niedawnymi morderstwami. Kroiło się coś dużego.

Miejsce porannej tragedii w Karolinie Północnej pozostawało poza jej zasięgiem. Denerwowało ją milczenie źródeł w sprawie strzelaniny w Nags Head, zwłaszcza że przed posterunkiem policji warowali reporterzy telewizyjni, jak zwykle prowadząc relację na żywo z miejsca zdarzenia i właściwie niczego nie pokazując. Mogła to wykorzystać. Jedyne, co dobre, to że nikomu, żadnym mediom, nie udało się przebić przez policyjny kordon. Rozmawiała z dziennikarzem z jednego z oddziałów CBS, ale też nie powiedział jej nic, czego już by nie wiedziała.

Poirytowana zadzwoniła do znajomej dyspozytorki w Nags Head i dowiedziała się, że policja wstrzymuje się z ujawnieniem listy ofiar, ponieważ nie jest w stanie skontaktować się z żoną jednego z zabitych funkcjonariuszy, która wyjechała z dziećmi do Disneylandu.

W dobie internetu nie zawsze udawało się poinformować rodzinę o śmierci najbliższej osoby, zanim dowiedział się o niej cały świat. O strzelaninie w Nags Head huczało na Twitterze, ale również tam nie pojawiały się żadne nowe wieści. Jakiś typ pojechał na miejsce zbrodni, ustawił się przy taśmie policyjnej i

zaczął pstrykać fotki, które udostępnił na stronie foursquare.com pod nagłówkiem „Jestem burmistrzem Nags Head Truposz!”.

Skrzywiła się i odpuściła sobie przeglądanie. W Nags Head prószył lekki śnieg, flesze odbijały się od białej ziemi i wyglądałoby to bardzo ładnie, wręcz urokliwie, gdyby nie okoliczności. Niestety, zdjęcia w żaden sposób nie poszerzyły jej wiedzy na temat zdarzenia.

Colleen czuła, że powoli odzyskuje pewność siebie. Ativan podziałał i znów mogła się skupić. Później wróci do Karoliny Północnej.

O jej artykule o mordercy-naśladowcy w mediach na razie panowała względna cisza. Postanowiła wrócić do tematu i przyjrzeć mu się raz jeszcze z różnych punktów widzenia.

Napiła się dietetycznej coli i zabrała do przeglądania materiałów, do tego, co już wiedziała i czego udało jej się dowiedzieć w różnych wydziałach policji. Zeszłego wieczoru w San Francisco w Kalifornii dokonano podwójnego morderstwa. Na miejscu zbrodni znaleziono symbol używany przez Zodiaka. Dziś rano do redakcji „San Francisco Chronicle” przyszedł list, zakodowany i podpisany charakterystycznym krzyżykiem w kółku, znakiem Zodiaka.

Morderca powrócił – albo ktoś perfekcyjnie go naśladował. W przeszłości dochodziło do wielu fałszywych alarmów. Miała świadomość, że klikając przycisk „opublikuj”, rozpęta burzę, ale zamierzała ubiec gazety. Wtedy liczba odsłon bloga osiągnie niebotyczny poziom. Czytelnicy lubili czytać o Zodiaku. Wszyscy przepadali za historiami z nim w roli głównej.

Wszyscy poza ofiarami...

Odsunęła od siebie tę myśl. Jeśli zacznie rozważać takie problemy i dylematy, znów się załamie, tak jak rano. Musi pisać, a nie myśleć o ofiarach i ich rodzinach. Nie teraz.

Ich strata nie była ani mniej, ani bardziej bolesna niż strata poniesiona przez rodziny funkcjonariuszy zabitych w Karolinie Północnej. Była po prostu... inna.

Napisała pierwsze słowo, a potem już poszło. Potwierdziła i

sprawdziła posiadane informacje. Wieści rozejdą się lotem błyskawicy.

Wybrała prosty, ale zarazem przez swą budowę intrygujący tytuł:

Zodiak? Powrócił...

Opublikowała tekst na blogu, przez chwilę obserwowała, jak informacja o artykule rozprzestrzenia się po sieci, a następnie niechętnie wyłączyła komputer. Wychodząc po syna, myślała o tym, co zrobi po powrocie do domu.

Morderstwo w Bostonie, potem w Nowym Jorku. Będzie mogła popracować, kiedy Flynn zamknie się w swoim pokoju. Potwierdzenie wszystkich informacji dotyczących sprawy z San Francisco zajęło prawie trzy godziny. Miała nadzieję, że z Bostonem pójdzie szybciej; pomyślała zawczasu i rozesłała mejle do zaufanych źródeł. To samo z Nowym Jorkiem, tyle że akurat tamtejszy informator pracował na drugą zmianę, więc by się z nim skontaktować, będzie musiała poczekać co najmniej do siedemnastej. Wkrótce będzie wiadomo coś więcej o wydarzeniach w Karolinie Północnej.

No, czyli zaplanowała dzień.

Czy to naprawdę możliwe, że trzech seryjnych morderców powróciło tego samego dnia? Czy to tylko jej fantastyczne rojenia? I kto odpowiada za jatkę w Karolinie Północnej?

Czyżby ktoś prowadził zabójczą grę?

Pokręciła głową. Głupie pomysły.

Postanowiła wrócić do tego później.

Włożyła cienki bawełniany sweterek i spojrzała w lustro. Włosy nieumyte, ale nie szkodzi, zasłoni je czapką. Wróciła do gabinetu i znalazła ulubioną, starą i zniszczoną bejsbolówkę z logo FBI. Po setkach prań granat spłowieał i wyglądał jak ciemnoszary, a złote litery były postrzępione. Pasowała jak ulał. Zdobyła ją sto lat temu podczas wycieczki do Quantico, a mąż mawiał z kpiącym uśmiechem:

– Widzę, kochanie, że zdradzasz mundurowych.

Daj mi spokój, Tommy, przegoniła w myślach jego ducha.

– Skup się, Colleen – szepnęła. – Odebrać Flynną, dać mu coś do jedzenia, położyć go spać i do roboty.

Gdy wsiadła do auta, przez chwilę nie mogła sobie poradzić z umieszczeniem kluczyków w stacyjce, bo wciąż ze zdenerwowania trzęsły jej się ręce. W końcu się udało. Uznała, że dla niej lepszy byłby samochód, w którym silnik uruchamia się przez wciśnięcie guzika. Hm. Ciekawe, ile by to kosztowało.

Silnik hondy civic posłusznie zamruczał. Colleen wrzuciła wsteczny i zaczęła się cofać. Nagle zdała sobie sprawę, że się uśmiecha. To dobrze. Zbyt rzadko to robiła. Flynn się ucieszy, kiedy zobaczy mamę w dobrym humorze. Może powinna częściej łykać pigułki, skoro tak doskonale na nią działają?

Wyjeżdżając z garażu, nie zwróciła uwagi na obserwującą ją postać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Do: troy14@ncr.tr.com

Od: bostonboy@ncr.bb.com

Temat: Pittsburgh

Troyu, wszystko idzie zgodnie z planem. Nic nie bój.

BB

Wysłał mejla i zadał sobie pytanie, ile czasu minie, zanim zostanie zgłoszona kradzież samochodu. Godzina? Kwadrans? Chociaż próbował się dowiedzieć, nadal nie wiedział, jak się rejestruje czas dostarczenia paczki. Czy przetwarza się tę informację elektronicznie na bieżąco, czy też kierowcy aktualizują dane hurtem pod koniec zmiany? Numer paczki doprowadził go do konkretnego wozu. Powinien był wypytać kuriera o zasady działania systemu, zanim go zabił. Hm. Następnym razem.

Czy zmierzając na przyszłe miejsce zbrodni, nie powinien dostarczyć kilku przesyłek? Nie, wolał nie ryzykować. Ktoś mógłby zapamiętać jego twarz. Jeżeli wśród odbiorców byli stali klienci, mogli zacząć się dopytywać, dlaczego tym razem odwiedza ich inny kurier. Dziś nie miał w planach zabijania przypadkowych świadków.

Nie, dziś z przyjemnością odwiedzi pannę Frances Schwartz.

Frances pracowała w firmie finansowej w śródmieściu jako maklerka giełdowa. Choć na zewnątrz prezentowała się całkiem inaczej, bywała kapryśną osobką i miewała niestabilne nastroje, dlatego uwielbiała zakupami poprawiać sobie humor, co było jej słodką tajemnicą. Jednak z tego powodu zadłużyła się po uszy, o czym w pracy nikt nie wiedział. Wszyscy uważali ją za cudowną, stylową i dobrze poukładaną młodą kobietę o silnym charakterze. Koleżanki nawet trochę się na niej wzorowały.

Wkrótce wróci do domu. Trzeba zająć pozycję. Niedaleko budynku, w którym mieszkała, był stary parking. Pusto, popękany asfalt, brak kamer. Idealne miejsce.

Z zaskoczeniem stwierdził, że nie czuje zmęczenia. Sądził, że

dziewięciogodzinna nocna jazda pozbawi go sił. Kiedy po raz pierwszy pokonywał tę trasę jako próbę generalną przed dzisiejszym dniem, oczy same mu się zamykały. Ale teraz czuł się wypoczęty. Widocznie płynął na fali udanej akcji w Bostonie. Było miło. To uderzenie adrenaliny, gdy zabijał...

Oczywiście cały czas był świadom, że są inni mordercy, z którymi musi się ścigać. Miał pewne wątpliwości, przystępując do tych igrzysk, a kiedy liczba zawodników stopniała z czternastu do trzech, kilka razy rozważał wycofanie się z gry i był bliski podjęcia takiej decyzji. Ale ponieważ szło mu nieźle, uznał, że jednak nie zrezygnuje.

Przynajmniej miał co robić. Sam nie wybierał ofiar, tylko dostawał nazwiska i musiał zabijać w stylu wylosowanego przez zawodnika mordercy. W jego przypadku był to Dusiciel z Bostonu, który, co do tego nie miał żadnych wątpliwości, bez dwóch zdań był chorym pojebem.

By dobrze wykonać kolejne zadanie, zbierał materiały, planował, wielokrotnie sprawdzał przyjęty scenariusz. Chodziło o to, żeby zabójstwa dokonać w ściśle wyznaczonym czasie i nie dać się przy tym złapać. Pokazanie się świadkom oznaczało dyskwalifikację. Gdyby jego rysopis trafił do mediów, natychmiast wypadłby z gry. A gdyby wpadł w ręce policji... no, to chyba oczywiste.

Kradzież samochodu firmy kurierskiej UPS była wyzwaniem, ale poradził sobie bez problemów za pierwszym i drugim razem. Jego *modus operandi* był dla niego powodem do dumy. Nikt nie zwracał uwagi na brązowy wóz dostawczy. Przed wyjazdem z Bostonu osobiście nadał przesyłki do Pittsburgha, Cincinnati i Indianapolis. Prześledził drogę każdej z paczek, dzięki czemu precyzyjnie określił, kiedy każda z nich dotrze do adresata. Plan był prosty jak budowa cepa: paczka wędruje do furgonetki, auto wyrusza w trasę, zostaje przechwycone, a kierowca zdjęty, na koniec zapakowana i obwiązana tasiemką z wielką kokardą paczka zostaje dostarczona.

Roześmiał się z własnego dowcipu. Doskonale zdawał sobie

sprawę z wagi gry, ale to przecież tylko gra. Jeśli nie wygra, trudno się mówi i żyje się dalej. Nie wystartował w zawodach dla pieniędzy, bo akurat tych miał dużo. Długo lat żył w samotności, nie mając pojęcia, jak wielu jest takich jak on. Dzięki Bogu za internet. Dzięki niemu mógł znaleźć osoby dowolnego rodzaju, w każdym rozmiarze i kolorze, mające różne upodobania. Kiedy po raz pierwszy natknął się na ogłoszenie o grze, wyrzucił je do kosza, ale wracał do niego myślami. Pomysł trafił na podatny grunt i szybko zakiełkował. Nudził się, szukał wyzwania. Jak na ironię, gra pozwalała poznać nowych ludzi. Do tej pory za bardzo się izolował.

Zerknął na zegarek. Frances powinna się zjawić lada moment. Zawsze wracała do domu punktualnie o siedemnastej trzydzieści pięć. Przebierze się w ładny obcisły strój z lycry, napije się proteinowego shake'a, zje banana, a potem pójdzie pobiegać albo pojeździć na rowerze. Bo Frances trenowała do dwuboju. Była silna. Kobieta nie do końca w jego typie. Może będzie stawiała opór? Podniecająca myśl.

Wziął pudło pod pachę i wysiadł z auta. Czas pożegnać się z Frances.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Taylor i Baldwin przylecieli do Nashville na tyle wcześnie, by zdążyć dotrzeć do szpitala Uniwersytetu Vanderbilta, zanim Fitz obudził się po operacji. Taylor była wykończona, nie dość bowiem, że dla niej dzień zaczął się o wpół do szóstej, to jeszcze tej i poprzedniej nocy ledwie zmrużyła oczy. Poziom adrenaliny, który gwałtownie wzrósł podczas porannych wydarzeń w Nags Head, powoli opadał. Kiedy szli na parking, ze zmęczenia wsparła się, a właściwie uwiesiła się na ramieniu Baldwina.

– Chcesz kawę albo colę na pobudkę? – spytał. – Możemy wstąpić do Starbucksa.

– O tak! Oczy mi się zamykają.

– W takim razie ja poprowadzę. Spróbuj się chwilę zdrzemnąć.

– Super. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Tylko coś muszę zrobić. – Otworzyła tylne drzwi toyoty 4runner, wyjęła torbę sportową, poprzeczowała znajdujące się w niej rzeczy i wyciągnęła parę czystych dżinsów.

Gdy Baldwin zasłonił ją przed spojrzeciami ciekawskich przechodniów, zdjęła buty, zsunęła dżinsy i włożyła czyste. Poczowała się o niebo lepiej. Nie wytrzymałaby ani chwili dłużej, nosząc ubranie ubrudzone krwią Nadisa.

Położyła torbę na tylnym siedzeniu, brudne spodnie rzuciła na wycieraczkę i przekazała kluczyki Baldwinowi. Wsiadli do auta i odjechali w stronę centrum.

W Nashville śnieg nie padał, ale panowało przenikliwe zimno, dokuczliwe nawet dla tych, którzy jak Taylor nosili kurtki z owczej wełny. Podkręciła ogrzewanie i wsunęła dłonie pod uda. Od rana były lodowate.

– Naprawdę sądzisz, że on jest w Nashville? – Nie musiała dodawać, kim był „on”.

– Nie wiem. – Baldwin wzruszył ramionami. – Ale nie przychodzi mi do głowy żadne inne miejsce. Musimy się

dowiedzieć, kim on jest, co to za człowiek. Im lepiej poznam jego przeszłość, wykształcenie, środowisko, z którego pochodzi, tym większe istnieje prawdopodobieństwo, że uda mi się przewidzieć jego kolejny ruch. Jest bardzo ostrożny, długo rozważa każdy krok. Może byłoby warto zadziałać radykalniej?

– Chodzi ci o to, żeby go zwabić, używając mnie jako przynęty, prawda? – powiedziała i odwróciła głowę.

– Ależ nie, Taylor, na Boga! – zawołał, skręcając w stronę West Endu. – Nie zrobię z ciebie przynęty. Przeciwnie, myślałem raczej o czymś, co odwróciłoby jego uwagę i zapewniłoby ci większe bezpieczeństwo.

– Aha, czyli ktoś inny byłby tą przynętą. Baldwin, mało ci jeszcze trupów? – Gdy spojrzała na niego, zobaczyła, że patrzy przed siebie z ponurą miną. Położyła mu dłoń na kolanie. – Nie, Baldwin, tak nie można. To ja jestem tą osobą, na której mu zależy. Przyjdzie po mnie albo zwabi do siebie. Powiedział Fitzowi, że prowadzi grę. Myślę, że wkrótce wykona ruch, niezależnie od tego, kto będzie przynętą.

– Zgadza się. Ale nie dostarczę mu twojej głowy na talerzu. Uważam, że nie powinnaś zwracać na siebie uwagi.

W milczeniu wbiła spojrzenie w zimny asfalt i gołe gałęzie drzew rosnących wzdłuż drogi. Taylor wiedziała, że im dłużej to będzie trwało, tym częściej Naśladowca będzie atakował bliskie jej osoby. Nie zamierzała mu na to pozwalać.

Baldwin skręcił na parking za Starbucksem, podjechał do okienka i zamówił dwie duże cafe latte. Gdy je odebrał, wrócił na drogę prowadzącą na West End, prawie rozjeżdżając studentkę, która ubrana w dres truchtała po chodniku. Kiedy wdusił hamulec i samochód zatrzymał się niemal w miejscu, odrobina gorącej kawy chlapnęła Taylor na rękę. Zakląła siarczyście i o dziwo, natychmiast poczuła się lepiej. Powrót do Nashville powinien pomóc. Tutaj nic jej nie groziło.

W witrynie sklepu z wędlinami HoneyBaked wisiała wielka reklama szynki na Święto Dziękczynienia. Taylor poczuła, jak cienkie jej śliska, i uświadomiła sobie, że jest potwornie głodna.

Napiła się kawy, żeby oszukać burczenie w żołądku. Nawet nie zauważyła, że zbliżają się święta, bo przez porwanie Fitz'a i masakrę w Halloween zupełnie straciła poczucie czasu. Na Święto Dziękczynienia przeważnie jeździła do Sam. Sprawdzić, czy to aktualne, zapisała sobie w pamięci. Jeśli nie, sama będzie musiała coś ugotować. Zaprosi Fitz'a, to na pewno. Może McKenzię i Bangor. I Lincolna i Marcusa, a także Daphne. O rety, gdzie ona ich wszystkich pomieści?

Baldwin skręcił w Dwudziestą Pierwszą, a potem w Pierce Avenue, która doprowadziła ich pod wejście do szpitala Uniwersytetu Vanderbilta.

Nie chciało jej się wychodzić z ciepłego auta, a kiedy już to zrobiła, z miejsca pożałowała, bo lodowaty wiatr szczypał w policzki.

Twarz Baldwina zrobiła się ciemnoróżowa. Postawił kołnierz i zgarbił się. Taylor przypomniała sobie, że nadal nie poruszyli tematu przesłuchania w Quantico. Odnosiła wrażenie, że Baldwin nie ma ochoty rozmawiać o tym, co się tam wydarzyło.

Przebiegli przez ulicę i weszli do budynku. Ach, ciepło. Oddział chirurgii pomalowano na przyjemny, uspokajający jasnożółty kolor, zupełnie inny od typowej szpitalnej szarości.

Taylor pokazała w recepcji odznakę i powiedziała:

– Szukamy Petera Fitzgeralda.

Pielęgniarka sprawdziła ich dane i porównała z informacjami zapisanymi w notatniku.

– Czy mogę zobaczyć państwa prawa jazdy? – poprosiła uprzejmie.

Taylor wyjęła z tylnej kieszeni spodni cienki składany portfel, który kilka lat wcześniej kupiła jako prezent dla taty i postanowiła zatrzymać dla siebie. Był lekki, miał niewielkie rozmiary i zawierał tylko to, co niezbędne: banknot dwudziestodolarowy, dwie karty kredytowe, prawo jazdy i kartę z numerem ubezpieczenia. Gdyby miała paradować z torebką... Baldwin pokazał swoje prawo jazdy. Pielęgniarka porównała zdjęcia z fotografiami z odznak FBI, spisała nazwiska i oddała

dokumenty.

– Przepraszam za taką procedurę – powiedziała z uśmiechem – ale kazano nam bardzo dokładnie sprawdzać wszystkie osoby przychodzące w odwiedziny do pana Fitzgeralda.

– Słusznie. – Taylor też się uśmiechnęła. – Jak on się czuje?

– Niedawno wrócił z operacji. Leży w pokoju trzysta dwadzieścia trzy na trzecim piętrze. Wkrótce przyjdzie do niego lekarz.

– Czy operacja się udała?

– Niestety nie wiem. Musicie państwo zasięgnąć informacji u lekarza. – Uprzejmie kiwnęła głową na pożegnanie i wróciła do pracy.

Baldwin nacisnął przycisk. Drzwi otworzyły się ze świstem. W krępującej ciszy pokonali długi korytarz i dotarli do pokoju, w którym leżał Fitz. Zanim weszli, Taylor złapała Baldwina za rękę.

– Wiesz, jak łatwo zabić kogoś w szpitalu? Ta pielęgniarka postąpiła słusznie, sprawdzając nasze dokumenty, ale przecież morderca bez trudu by ją obezwładnił. A gdyby już znalazł się na terenie szpitala, nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Baldwin, Fitz nie jest tutaj bezpieczny.

– Kochanie, wątpię, żeby jeszcze interesował Naśladowcę. Rola Fitz'a dobiegła końca. Przekazał wiadomość od oprawcy, a ja jestem przekonany, że to była cała ta rola, Naśladowcy chodziło tylko o to. Poza tym przy Fitzu jest Lincoln. Ale jeśli chcesz, poproszę o całodobową ochronę.

W głębi duszy wiedziała, że miał rację. Bała się, choć może niekoniecznie tego, że Naśladowca zrobi jeszcze większą krzywdę Fitzowi. Został okaleczony, pozbawiony oka, przeżywa śmierć ukochanej kobiety, całe jego życie legło w gruzach... Po prostu nie chciała, żeby w takiej chwili był sam. Nie teraz, kiedy nie mogła siedzieć przy nim, trzymać za rękę i zapewniać, że wszystko się ułoży. Naśladowca skończył z Fitzem, ale Fitz nigdy nie skończy z Naśladowcą. Nigdy, to znaczy do czasu, kiedy obaj wciąż będą na tym świecie.

Gdy podeszli do drzwi, Taylor zadała pytanie, które gnębiło

ją przez całe popołudnie:

– Nie musisz wracać do Quantico?

Zatrzymał się. Zobaczyła w jego oczach coś niepokojącego, jakiś tajemniczy błysk.

– Zrobię sobie trochę wolnego – odparł po chwili. –

Potrzebujesz mnie.

Patrzyła mu w oczy, szukając dalszych oznak tej dziwnej konsternacji, ale nie znalazła ich. Uśmiechał się, a po przestrawieniu, który wydawało jej się, że dostrzegła, nie pozostał ślad.

– W porządku. – Wołała się nie przyznawać, jak bardzo jej ulżyło. Chciała, żeby był przy niej, i on, i wszyscy najbliżsi jej ludzie, by cały czas mogła mieć ich na oku.

Otworzyły się drzwi do pokoju Fitz'a. Wyszedł Lincoln Ross, poprawiając spięte w kucyk dredy.

– Dobrze, że jesteście. – Uściskał Taylor. – Słyszałem, że mieliście ciężki ranek.

– Można tak powiedzieć.

– Wybaczcie, ale muszę lecieć. Wzywają mnie.

– Do czego? – Tętno Taylor raptownie przyśpieszyło.

– Spokojnie, to zupełnie inna sprawa. Dostaliśmy zgłoszenie o zwłokach nad Percy Priest Lake.

– Trochę zimno na pływanie – zauważył Baldwin.

– Co ty nie powiesz? – z uśmiechem skomentował Lincoln.

– Trzeba znaleźć kogoś, kto będzie czuwał przy Fitz'u.

– Już załatwione. Rozmawiałem z Huston. Obiecała czterech ludzi, będą go pilnowali na zmianę. Pierwszy powinien pojawić się lada moment.

– Dzięki, Linc, równy z ciebie gość.

Błysnął białymi zębami z przerwą między jedynekami.

– Nie zapomnij o tym, kiedy będziesz wnioskowała o podwyżkę. Na razie. – Ruszył szybkim krokiem.

Taylor delikatnie zapukała do drzwi, po czym nacisnęła klamkę i weszli do środka. Fitz leżał na łóżku. Zdrowe oko miał zamknięte, a chore było zabandażowane. Oczyszczono mu ranę i wymieniono opatrunek.

– Cześć – powiedziała cicho.

Nie spał. Spojrzał na nią, wykrzywiając usta w półuśmiechu.

– Cześć. – Głos miał zachrypnięty po znieczuleniu. – Co się stało? Dlaczego jestem w Nashville? Obudziłem się i zobaczyłem Lincolna. Dopóki się nie odezwał, myślałem, że tylko mi się śni. – Zaczął kasłać.

Baldwin nalał wody do szklanki i podał ją Fitzowi razem ze słomką. Gdy się napił, kaszel przeszedł.

Taylor przysunęła krzesło, usiadła i dotknęła ramienia Fitz.

– Jak się czujesz? – spytała. – Co mówią lekarze?

Odchrząknął – brzmiało to, jakby ktoś darł prześcieradło – i powiedział:

– Cholerne znieczulenie. Nie wiem, nic nie zrozumiałem, medyczny bełkot. Dotarło do mnie tyle, że za miesiąc dostanę nowiusieńkie, lśniące oko. Operacja chyba się udała.

– Boli cię?

– Nie, ale jestem na prochach. Kiedy przestaną działać... Ale powiedzcie, co się właściwie stało.

Taylor opowiedziała mu o wydarzeniach w Nags Head.

– Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko przetransportować cię do Nashville – dodała na koniec. – Nie mogłam ryzykować, bo kto wie, czy to nie była pułapka.

Fitz zagwizdał.

– Cholera, domyślałem się, że coś jest nie w porządku. Sądziłem, że to z powodu prochów, ale mógłbym przysiąc, że już wcześniej słyszałem głos tej Sansom. Wcześniej, to znaczy na łodzi. Wydawało mi się to bez sensu. No bo jak, najpierw była na łodzi, a teraz na posterunku? Ale nie miałem jak wam tego powiedzieć. Przepraszam. Gdybym to zrobił, być może nie doszłoby do masakry. Sam nie wiem, co wtedy myślałem...

– Nie obwiniaj się. – Wzięła go za rękę. – Fałszywi agenci mieli jasno sprecyzowany cel. Gdybyś podzielił się ze mną wątpliwościami, niewykluczone, że od razu by nas zabili. Teraz możesz o wszystkim opowiedzieć. Czuję, że w Nags Head nie chcesz mówić, tylko nie wiedziałam dlaczego.

Fitz odwrócił głowę z ciężkim westchnieniem, a nakrochmalona poszewka poduszki zaszeleściła.

– Jeśli nie jesteś jeszcze gotowy... – zaczęła Taylor, czując, jak od przepełnionego smutkiem gestu Fitz'a ściska ją w żołądku.

– Nie, w porządku. Okropnie mi jej brakuje, wiesz? To moja wina, że wszystko tak się... – Mówił cichym, zmęczonym głosem.
– Pamiętasz, jak na Barbadosie zepsuła się nam turbina?

– Tak – odparła Taylor. – Zadzwonileś do mnie, bo wydawało ci się, że obok Susie widziałeś Naśladowcę.

Fitz wzdrygnął się, słysząc jej imię.

– No tak. Potrącił ją. Upuściła zakupy. Przyglądałem się temu przez lornetkę. Sukinsyn pomógł pozbierać rzeczy, a potem się odwrócił i zsalutował mi! Doskonale wiedział, kim jestem. Potem zniknął. Następnego dnia odebraliśmy brakującą część silnika, naprawiliśmy usterkę i pożeglowaliśmy na północ. Dopadli nas w Miami. Było ich czterech, mieli czapki, takie jakie noszą terroryści. Jak one się nazywają? Zapomniałem...

– Kominiarki – wtrącił Baldwin.

– Właśnie. Tyle że te miały nadrukowaną czaszkę. Wyglądały przerażająco, jak martwy czerep z żywymi oczami.

Pokręcił głową i skrzywił się z bólu, fizycznego czy emocjonalnego, tego Taylor nie umiała powiedzieć. Martwiła się o niego, okropnie się martwiła.

– To moja wina – odezwał się po chwili. – Zostawiłem Susie na łodzi i poszedłem do portu po zakupy. Kiedy wróciłem, siedziała przywiązana do krzesła, a oni celowali do niej z pistoletu.

– Fitz... – zaczęła Taylor.

– Muszę to powiedzieć! – przerwał jej gwałtownie. – To moja wina. Naprawdę moja. Nie powinienem był zostawiać jej samej. – Zamilkł i odwrócił głowę. – Czy oni...

Baldwin położył dłoń na jego ramieniu.

– Umarła szybko.

Fitz załamał się i zaczął płakać. Taylor nigdy nie widziała go we łzach... ulgi, frustracji, bólu? Chore oko też płakało, łzy wsiąkały w bandaż.

Gdy ścisnęła jego dłoń, uspokoił się. Podała mu chusteczkę, a on ze wściekłością wytarł twarz i kilka razy pociągnął nosem. Taylor spojrzała na Baldwina, który stał za jej plecami, i w jego oczach ujrziała gniew i nienawiść.

– Przerwijmy to. Później opowiesz, co było potem – powiedziała do Fitz’a.

– Nie! Muszę dokończyć. Potrzebujecie informacji. – Zakasłał, opróżniając płuca z resztek środka znieczulającego. – Był tam krótko. Używał imienia Troy. Pozostali trzej traktowali go z wielkim szacunkiem. Zamroczyli Susie, nafaszerowali mnie narkotykami. Resztę pamiętam jak przez mgłę. Tylko pojedyncze sceny. Byłem nieprzytomny, kiedy wyłupiali mi oko. Obudziłem się cały we krwi, czułem potworny ból. Powiedział mi, co mam ci przekazać, i znowu straciłem przytomność. Następne, co pamiętam, to że wyrzucili mnie na poboczu. Nie wiem, ile czasu minęło. Dwa dni? Tydzień? Przeszedłem spory kawałek, zanim znaleźli mnie policjanci.

Baldwin odchrząknął.

– Z tego, co udało nam się ustalić, od usunięcia gałki ocznej do odnalezienia ciebie minęły przynajmniej trzy doby, ale niestety nie jesteśmy w stanie stwierdzić, kiedy dokładnie straciłeś oko. Susie już od pewnego czasu nie żyła.

– Jak?

– Fitz...

– Jak, do jasnej cholery?!

– Podcięli jej gardło – z trudem odparła Taylor.

Twarz Fitz’a kolorem przypominała płótno, ale gdy to usłyszał, zbladł jeszcze bardziej.

– Tak myślałem. Słyszałem, jak to robią. Tak mi się zdaje. Miałem nadzieję, że to tylko zły sen. – Zamilkł, zamknął się w sobie.

Taylor wiedziała, że powinni zostawić go sam na sam z myślami. Wyglądało na to, że zasnął. Szczeka lekko mu opadła, sprawiał wrażenie starego, bezsilnego, załamane go człowieka. Serce pękało. Wstała, pochyliła się nad nim i szepnęła:

– Wrócimy niedługo, dobrze? Złapiemy go, Fitz, przyrzekam ci to. Znajdziemy go i dopadniemy.

Idąc do auta, nie rozmawiali. Taylor nie wiedziała, co robić. Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli. Nie potrafiła wyrzucić z myśli udręczonej twarzy Fitz'a, jego złamanego serca i przytłaczającej samotności. Wyobraziła sobie, co ma przed oczami: białą salę szpitalną, pościel, ściany – i wszystko to otacza go, dusi, krzyczy. Nie wiedziała, jak zdjąć z jego barków choćby część poczucia winy.

Bo przecież Susie nie zginęła przez niego.

To ona była winna jej śmierci. Tylko i wyłącznie ona.

Nagle zatrzymała się i poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Baldwin obejrzał się i zawrócił.

– Wszystko w porządku?

Pokręciła głową, głośno przełykając ślinę. Dobry Boże. Tak długo czekała, aż Naśladowca wykona kolejny ruch. Pozwalała, by grał z nią w kotka i myszkę. I jak to się skończyło? Nie wolno beczynnie czekać. Trzeba zacząć działać!

Baldwin czekał na reakcję. Dzień się kończył, czerwono-złote promienie zachodzącego słońca odbijały się od szyb budynków. Wkrótce niebo zaleje głęboka czerwień, a potem zrobi się ciemno.

– Tak – bąknęła.

– Chodź, pojedziemy do domu. To był długi dzień.

– Nie, nie mogę. Ja... muszę pracować. Mam dużo do roboty. Muszę to wszystko jakoś... ogarnąć. Jedź, przyjadę później. Możemy coś zjeść. Spróbować coś zjeść.

– Na pewno? Też mam trochę roboty. Możemy razem zostać w biurze.

– Nie, w porządku. Dam sobie radę.

– Chcesz pobyć sama, prawda? – Powiedział to bez złości, po prostu stwierdził fakt.

Zdobyła się na słaby uśmiech. Spojrzała mu w oczy. Starła się sprawić, by nie dojrzał w nich niepokoju.

– Znasz mnie... Tak, muszę pomyśleć w samotności. Dobrze

mnie to, co się przytrafiło Fitzowi.

– Robota papierkowa ci w tym pomoże?

– Tak, bo nie wymaga myślenia. Daj mi godzinę, dobrze?

Objął ją i przytulił. Przeszedł ją dreszcz. Biło od niego ciepło. Zawsze emanował ciepłem. Był taki dobry, taki prawy.

– W porządku, Taylor. Skoro tego chcesz. Podrzucić się?

– Tak, dziękuję.

Chciała zapamiętać to przynoszące ulgę uczucie, którego doznała w ramionach Baldwina, i zachować je na czarną godzinę. Skupiła się na poczuciu bezpieczeństwa, na sile jego przywiązania i świadomości, że zrobiłby dla niej wszystko. Na razie to musiało wystarczyć.

Ponieważ kiedy skończy z Naśladowcą, nie będzie już tą samą Taylor.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Do: troy14@ncr.tr.com

Od: crypto@ncr.zk.com

Temat: Denver

Troyu, podróż trochę trwa, ale niedługo będę na miejscu. Nie przewiduję opóźnień.

ZK

Był zmęczony długą jazdą. Odgłos opon sunących po asfalcie doprowadzał go do szału. Był za wysoki do tego samochodu. Niewielkie, poobijane, plastikowe autko, które wynajął, do niczego się nie nadawało. Nie znosił prowadzić. Prościej i szybciej byłoby polecieć samolotem. No, ale musiał dokładnie wypełniać polecenia. Pojechał najkrótszą trasą: szosą I-5 na południe w stronę Los Angeles, a potem I-15 na północny wschód. Jechał nocą, nad ranem w kierunku wschodzącego słońca, które świeciło mu w oczy. W Las Vegas stracił dwie godziny, bo w labiryncie identycznych domków na przedmieściach miasta hazardu znalezienie miejsca zamieszkania ofiar okazało się niełatwym zadaniem. Ale udało się. Odnalazł tych ludzi i zlikwidował ich, tak jak od niego oczekiwano.

Zabić i porzucić – tak brzmiała zasada. Żadnej zabawy z ciałami. Szkoda. W San Francisco, zabijając tę parę, poczuł się... ciekawie. Intrygowało go, co by było, gdyby... Ciała nieruchome, bo martwe, ale wciąż jeszcze ciepłe, prawda?

No, ale to by było pogwałcenie zasad, i to dosłownie, roześmiał się w duchu.

Ta monotonia. Włączył radio dla towarzystwa. Najbardziej lubił dyskusje konserwatywnych polityków. Zawsze miał ochotę chwycić za telefon, zadzwonić do stacji i nawtykać tym sukinsynom. Powiedzieć, co by z nimi zrobił, gdyby dorwał ich w swoje ręce. Poćwiartowałby. Powoli, kawałek po kawałku. Mieli wszystko: kasę, prochy, laski. Na przykład taki Limbaugh. Który to już raz się ożenił? Dwudziesty? Na jego weselu grał ten

angielski chujek, Elton John. Zawsze mu się wydawało, że Elton John to liberał. W końcu jest miękki, nie? Ale widać każdego można kupić.

Jechał, snując teorie i złorzecząc na radio.

We wstecznym lusterku słońce zachodziło czerwienią. Wschodził okrągły, ciężki księżyc. Niebo najpierw było niezdecydowane, wyczekujące, po czym spod czarnej jak atrament pościeli zaczęły jedna po drugiej wyglądać migoczące gwiazdy. Przez kilka godzin światła samochodu mieszały się z blaskiem księżycy, oświetlały długie kilometry pustej, samotnej, prostej jak strzała drogi. W końcu księżyc zniknął. Korony drzew pochylały się nad szosą, tworząc pusty, zapomniany tunel.

Przekroczył Góry Skaliste. Słońce przebijało się przez poranną virgę, na wysokich szczytach zalegał śnieg, a powietrze zrobiło się rześkie. Deszcz, który zostawił w San Francisco, przemieszczał się. Wieczorem będzie burza. Wykonać zadanie i ruszyć dalej, byle nie zasiedzieć się w mieście, bo to wybija z rytmu, a tego by nie chciał. Zerknął na zegarek. Jeszcze ma czas.

Zatrzymał się w Conifer, żeby zatankować i coś przegryźć. Musiał się rozbudzić, bo powoli zasypiał za kierownicą. Dziś kolejna osoba do zabicia. Zaskoczyło go, jak banalna wydała mu się ta myśl. Rutyna, nuda... ale nie do końca. Pierwszy raz, w San Francisco, no, to było coś. Miał ochotę zostać dłużej, nacieszyć się chwilą. Przypomniawszy sobie moment strzału, zdumienie na twarzach ofiar. Powąchał. Nie wiedział, że trup będzie tak pachniał. Woń spalonego mięsa, delikatny powiew miedzi, nutka uryny.

Jednak nie było mu dane napawać się triumfem. Miał plan, którego trzeba się trzymać. Należało wysłać wiadomość. Cele zlikwidowane. Sam do końca nie wiedział, czy podoba mu się ta gra. Czuł się zagoniony. To ciągle przemieszczanie się. Od śmierci do śmierci. Część satysfakcji odbierało to, że nie mógł sam wybierać ofiar.

No, ale zgodził się grać według zasad. A te mówiły, że nie wolno dać się złapać. Mówiły też, że jeśli wygra, stanie się niezależny, będzie zabijał po swojemu. Pistolet wydawał się taki...

bezosobowy i łatwy. W Las Vegas podobało mu się to, że mógł użyć noża. Jeszcze cztery ofiary do zastrzelenia i znów będzie mógł wykorzystać nóż.

Zjadł batona i wypił colę. Wsiadł do auta, ruszył i zaczął marzyć.

Wolność. Jeżeli wygra, długo nie zabraknie mu forsy. Nie potrzebował wiele. Wystarczyłby niewielki domek z piwnicą, położony gdzieś na uboczu, z dala od wścibskich sąsiadów. Może przygarnąłby kota. Lubił psy, ale należało je wyprowadzać, a nie lubił się pokazywać ludziom. Nie, kot będzie lepszy, przyjazna dusza, która dotrzyma mu towarzystwa.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za towarzystwo będzie miał też kilka przestraszonych, nieżyczliwych twarzy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Usiadła w biurze i spojrzała za okno. Noc szybko zapadała. Taylor przyglądała się sygnalizacji na skrzyżowaniu. Zielone, żółte, czerwone. Zielone, żółte, czerwone. Zwróciła uwagę, że wraz z postępującym zmierzchem zmieniał się odcień światła. Zielone nabierało barwy świeżo skoszonej trawy, żółte wyglądało prawie jak bursztyn, a czerwone pulsowało intensywnym szkarłatem. Krwawym szkarłatem.

Zawsze to ciekawsze niż przekopywanie się przez stos papierów, tych wszystkich dokumentów, notatek, zmian w grafiku, nowych informacji o sprawie. A naprawdę dużo tego zaległo na biurku. Z przegródki na korespondencję wysypywały się listy, papiery zajmowały nawet krzesła dla gości po drugiej stronie biurka. Nie było jej raptem parę dni, a miała wrażenie, jakby minęły tygodnie, zaś gabinet wyglądał, jakby nie zaglądała tu od kilku miesięcy. Nie powinno jej tu teraz być, ale potrzebowała cichego miejsca, gdzie mogłaby pomyśleć.

Baldwin podwiózł ją na posterunek, z poważną miną poinstruował, że powinna zadbać o własne bezpieczeństwo przez tę godzinę, gdy będzie sama, a potem odjechał. Chciał zorganizować dodatkową ochronę, co bardzo jej się nie podobało. Woląca nie zwracać na siebie uwagi. Nie z powodu zagrożenia – Naśladowca na pewno zaatakuje, co do tego nie miała wątpliwości – ale ze względu na odpowiedzialność.

Ponieważ nigdy wcześniej nie planowała morderstwa.

Nie zamierzała oszukiwać samej siebie. Przyznała się otwarcie, że chce dokonać morderstwa. Pierwszego stopnia. Z premedytacją.

Jeżeli zostanie złapana, wybroni ją Julia Page, asystentka prokuratora okręgowego. To nie będzie wyglądało na nieumyślne spowodowanie śmierci, lecz zastosowanie obrony koniecznej. Przecież jest policjantką, a policjanci na służbie używają broni i czasem zabijają, prawda? Większość osób z kręgu jej najbliższych

znajomych wiedziała o zagrożeniu ze strony Naśladowcy, o groźbach. Jeżeli wszystko pójdzie po myśli Taylor, będzie się liczyło jej słowo przeciwko... niczyjemu słowu, bo trupy milczą. Ważne, żeby nie było świadków. I wycucie czasu też jest niezwykle istotne. Sedno w tym, by nikt nie widział, jak zabija bydlaka, i żeby wszystko wskazywało na obronę konieczną. Żeby to nie wyglądało na egzekucję.

Mimo wszystko to będzie morderstwo z zimną krwią.

Odebranie człowiekowi życia oznaczało zmaganie się z konsekwencjami tego czynu do końca swoich dni. Doskonale знаła to uczucie. O trzeciej nad ranem, gdy nie mogła spać, duchy ludzi, których zabiła – gnijące postaci, kości lśniące w blasku księżyca – siadały w nogach łóżka i patrzyły na nią pustym, pełnym dezaprobaty wzrokiem. Koszmary były karą.

Jaka kara spotka ją za to, co planowała zrobić?

Z zaskoczeniem stwierdziła, że nie dba o to. Po prostu chciała zakończyć tę sprawę raz na zawsze.

Co pomyśli Baldwin?

Wierciła się na krześle i bawiła włosami.

Baldwin też zabijał. Doskonale wiedział, jak wielkim ciężarem dla duszy jest odebranie życia drugiemu człowiekowi. Nie łagodzi go ani przebaczenie, ani żadne usprawiedliwienie. Czy będzie miał jej za złe, że wzięła sprawy w swoje ręce? Będzie ją podziwiał? Czuli, że myślą podobnie, aczkolwiek nigdy go o to nie spytała. Nie potrafiła, nie mogła powiedzieć tego na głos. Nie Baldwinowi.

Wolałaby użyć któregoś z zapasowych pistoletów. Miała kilka niezarejestrowanych sztuk broni, które idealnie by się nadawały. Nie chciała kalać służbowego pistoletu prywatną krwawą zemstą. Bo przecież jeżeli uda jej się wcielić plan w życie, nadal będzie miała pracę i obowiązki, wciąż będzie nosiła odznakę. I codziennie będzie musiała dotykać broni, wiedząc, co nią uczyniła. Z zimną krwią zabiła człowieka. Nigdy nie zdoła o tym zapomnieć. Może właśnie taka jest stosowna kara?

Z daleka czy z bliska? Zmusiła się do absolutnej szczerości.

Jasne, że z bliskiej odległości. Chciała patrzeć Naśladowcy w oczy, kiedy będzie umierał. Tylko wtedy zyska pewność, że to rzeczywiście koniec.

Zignorowała nagłe uderzenie adrenaliny. Poczwała mieszaninę pożądania i strachu na samą myśl, że miałyby stanąć oko w oko z Naśladowcą. Nie poznawała siebie. Ale to on ją do tego doprowadził. Do tego, że z całego serca zapragnęła śmierci drugiego człowieka i była gotowa złamać wszelkie zasady obowiązujące ją jako istotę ludzką i policjantkę. Przysięgała bronić i służyć, a nie szukać zemsty.

Raniąc najdroższe jej osoby, przekroczył granicę. To było... nie do przyjęcia. Naśladowca postanowił pójść tą drogą, a Taylor była jedyną, która mogła go powstrzymać, zanim stanie się krzywdą kolejnym osobom z jej otoczenia. Fitz, Sam, Lincoln, Marcus, a nawet McKenzie, oni wszyscy byli kimś więcej niż kolegami i koleżankami, więcej niż przyjaciółmi. Byli jej rodziną, tak jak Baldwin, a może nawet bardziej.

Wytropić sukinsyna. Znaleźć go i doprowadzić do kilku bezcennych minut sam na sam. Wtedy koszmar dobiegnie końca.

Musiała zaplanować operację w najmniejszych szczegółach. Nie mogła sobie pozwolić, by agenci federalni zagłądali jej przez ramię. Woląa liczyć na funkcjonariuszy własnej służby, na przyjaciół, którzy w razie potrzeby przymkną oko.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer domowy swojego byłego szefa Mitchella Price'a.

Odebrał po trzecim dzwonku.

– Witam, panno Jackson! Jak się pani miewa w ten piękny wieczór?

– Dziękuję, nieźle. Wiesz, że znaleźliśmy Fitz'a?

– Tak, słyszałem. Byłem u niego w szpitalu. Biorąc pod uwagę, co go spotkało, trzyma się całkiem nieźle. Muszę ci się przyznać, że postanowiłem to uczcić.

Taylor uśmiechnęła się pod nosem. Faktycznie mówił jak wstawiony facet. Na szczęście ubzdryngolił się na wesoło.

– To słysząc.

- Aż tak?
- Nieee, skąd. Znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że wy, Irlandczycy, zawsze mówicie w taki sposób.
- Aha. To dobrze. Jak ci mogę pomóc? Czyżbyś w końcu postanowiła zdradzić policję i dołączyć do mojej radosnej kompanii?
- Raczej nie. Chciałam z tobą porozmawiać o interesach.
- Muzyka grająca w tle ucichła. Price odchrząknął i odezwał się poważnym głosem:
- Śledztwo czy ochrona?
- Mówiąc szczerze, to drugie. Baldwin tak bardzo się o mnie boi, że chce ustawić armię agentów przed moimi drzwiami. A ja bym wolą, żeby nikt mi nie przeszkadzał. Mam coś do zrobienia i nie chcę, żeby chodzili za mną faceci w czerni.
- Chyba nie wybierasz się na łowy, co?
- Price znał ją zbyt dobrze, dlatego odparła wymijająco:
- Jesteśmy niemal pewni, że następny ruch Naśladowcy będzie związany ze mną. Potrzebuję dodatkowego wsparcia, osobistej ochrony. Nie masz wolnych dwóch ludzi? Nie pożyczylibyś mi ich na tydzień?
- Tylko tydzień?
- Jeśli sprawa potrwa dłużej, będzie to znaczyć, że się pomyliłam – odparła łagodnie.
- Price zamilkł, a ona wstrzymała oddech. Na pewno się zgodzi, pomyślała. I miała rację.
- W porządku, Taylor, załatwię ci dwóch ludzi. Najlepszych, jakich mam. Korzystam z ich usług w sprawach wymagających największej dyskrecji.
- Dyskrecja. Właśnie o to chodzi.
- Super. Kiedy mogliby zacząć?
- Choćby dzisiaj, jeśli chcesz. Tylko daj mi dwie godziny.
- Chciałabym, żebyśmy sobie coś wyjaśnili. Naśladowca jest mój. Jeśli się zbliży, mają mnie ostrzec i zapewnić ochronę, ale nic więcej. Okej?
- Taylor... – W tonie jego głosu pojawiło się ostrzeżenie.

– Zależy mi na tym, żeby osobiście go zaaresztować. To wszystko.

Price burknął coś pod nosem, ale darował sobie komentarz. Rozłączyła się i odchyliła na krześle. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Zrobiła pierwszy krok. Pora zająć się następnym.

Poczuła w sobie mrok, ciemność wijącą się jak wąż w ciepłym gnieździe. Znieczulenie duszy postępowało z wiekiem i doświadczeniem. Każda śmierć oznaczała więcej krwi na rękach i kolejny ukruszony kawałek duszy. Czemu tym razem miałoby być inaczej? Naśladowca stanowił zagrożenie, a zagrożenia należy neutralizować. Proste jak drut. Wiedziała, że może to zrobić. Że jest do tego zdolna.

Chodzenie do kościoła odpuściła sobie przed wieloma laty, ale nadal modliła się do niewidzialnego, niepoznanego Boga, niemal bezgłośnie poruszając ustami:

– Wszechmocny, błagam, niech to będę ja. Spraw, żebym to ja położyła temu kres.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Taylor nagle się obudziła. Cholera. Przymknęła oczy ledwie na chwilę i od razu odpłynęła.

Przetaczała się przez nią fala emocji. Działać, wciągnąć do płuc nocne powietrze, znaleźć mordercę. Miło śnić o tropieniu i rzucaniu wyzwania Naśladowcy, ale w rzeczywistości to on decydował, kiedy i gdzie dojdzie do starcia.

Naraz pomieszczenie wydało jej się zbyt małe. Wstając, zawadziła kaburą o tackę z listami, która przechyliła się i spadła na podłogę, rozsypując zawartość.

– Kurwa mać!

Spojrzała na bezładną stertę papierów na podłodze. Zupełnie jak moje uczucia, pomyślała.

Bądź łowcą lub zwierzyną.

Wiedziała, którą możliwość wybierze, kiedy przyjdzie co do czego.

Uklękła i zaczęła sprzątać. Była zajęta układaniem listów i dokumentów w trzy mniej więcej równe kupki, kiedy zadzwonił telefon stojący na biurku. Wyciągnęła rękę i spojrzała na wyświetlacz. Połączenie wewnętrzne, przez centralę.

– Porucznik Jackson – powiedziała do słuchawki, niezdrowe myśli odsuwając na bok.

– Mówi Marcus. Słuchaj, wyjechałem do zgłoszenia i natknąłem się na coś, co koniecznie powinnaś zobaczyć.

Łypnęła na zegarek. Było jedenaście po dziesiątej. Cholera, Baldwin będzie się wściekał. Poza tym komendant Huston nie spodoba się to, że Taylor, na razie przynajmniej teoretycznie przywiązana do biurka, pojawi się na miejscu... czego? Zbrodni? Nie wiedziała, w jakiej sprawie dzwonił Marcus Wade, ale ponieważ nie był człowiekiem skłonny do dramatyzowania, lecz opanowanym, poważnym i konkretnym, uznała, że jeśli postanowił się z nią skontaktować, to widocznie miał ku temu istotny powód.

Nie zawadzi rzucić okiem, a jeśli Naśladowca obserwuje...

Strzał w ciemno?

– Późno już. Czemu druga zmiana nie przyjęła zgłoszenia?

– Z Lincolnem przyjęliśmy je jeszcze na naszej zmianie. Od kilku godzin próbujemy wyciągnąć ciało z wody. Jest do czegoś przywiązane, nurkowie starają się je uwolnić.

Fakt, Lincoln wspomniał, że dostał wezwanie. A teraz telefon od Marcusa...

– Ustaliliście tożsamość topielca?

– Wydaje mi się, że to Peter Schechter.

Jęknęła w duchu. Kolejny martwy nastolatek, kolejna pogrążona w smutku rodzina. Dziewięcioro nastolatków z Nashville zabitych w ciągu niespełna tygodnia, nie licząc tego, którego sama zastrzeliła. Jak miasto miało sobie z tym poradzić? Jak ona sobie z tym poradzi?

– Czy to ofiara masakry w Halloween?

– Nie wiem. Możesz przyjechać? Jestem na przystani w Hamilton Creek Park nad Percy Priest Lake. Właśnie przyjechała Sam.

– Będę za dziesięć minut. Powiedz Sam, żeby się wstrzymała, dopóki nie rzucę okiem na ciało, okej?

– W porządku. Dzięki, Taylor. – Rozłączył się.

Zgasiła światło i ruszyła na parking. Kiedy biegła po spiralnym wjeździe, buty głośno stukały o beton. Do diabła z papierkami. Była potrzebna swojej ekipie.

Otworzyła pierwszy z brzegu nieoznakowany radiowóz, usiadła za kierownicą i pojechała na zachód.

Percy Priest Lake było największym zbiornikiem wodnym w hrabstwie Davidson, długość linii brzegowej wynosiła ponad trzysta czterdzieści kilometrów, miało pięć dużych przystani, trzydzieści trzy pochylnie dla łodzi, a wokół całe mnóstwo szlaków, ścieżek i tras wycieczkowych. To cud, że znaleziono ciało Schechtera. Taylor przypominała sobie, jak przed laty Robert Trice, szef wodnej ekipy ratunkowej, powtarzał, że prędzej czy później każde ciało wypływa na powierzchnię. Robert zmarł zdecydowanie zbyt młodo i Taylor bardzo go brakowało.

Zaparkowała i wysiadła. Po lewej stał Marcus i rozmawiał z Sam. W normalnych okolicznościach, kiedy księżyc odbijał się w wodzie, widok na jezioro był piękny, ale dziś wiało grozą. Nie podobało jej się to ani trochę. Wyraźnie coś wisiało w powietrzu, i to od kilku tygodni. Musiała poważnie zastanowić się nad swoim życiem. Bronić i służyć... O tym marzyła, prawda?

Jakoś niewiele osób udawało jej się obronić.

Podeszła do zajętych rozmową Marcusa i Sam.

– Jak go znaleźli? – spytała.

– Zobaczył go mężczyzna, który przyszedł do łodzi – odparł Marcus. – Zauważył coś czerwonego na powierzchni wody, stwierdził, że to kurtka puchowa, i zadzwonił pod numer alarmowy.

– Mieliśmy szczęście. Ciało mogło jeszcze długo pozostawać pod wodą. Oby udało się znaleźć jakieś ślady.

– Przywiązano go do gałęzi. Miał obciążoną kurtkę, ale za słabo. Pewne jest to, że sprawca nie chciał, żeby ciało zbyt prędko znaleziono. – Sam odgarnęła z twarzy zbyt długie kosmyki włosów. – W sumie dobrze, że przywiązano go do gałęzi. Gdyby nie to, wypłynąłby bliżej środka jeziora, daleko od brzegu. – Nagle zmieniła temat: – Taylor, jak Fitz?

– O tyle, o ile. Dużo przeszedł.

– Ty też. – Sam obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem. – Zastanów się nad dłuższym urlopem. Zresztą teraz też powinnaś siedzieć w domu. Co tu robisz?

– Marcus zadzwonił i poprosił, żebym przyjechała. Czuję się dobrze, naprawdę. Praca mi pomaga. Jeszcze jeden dzień beczynności i zwariuję. Obiecuję, że nie będę niczego dotykała.

– Rano się nie nudziłaś – powiedziała Sam tak cicho, że tylko Taylor ją usłyszała. – Słyszałam, co się stało. Wszystko w porządku?

– Tak. – Taylor pokiwała głową. – Sam, mam do ciebie prośbę. Uważaj na siebie, dobrze? Nie chciałabym, żeby któremukolwiek z moich przyjaciół coś się stało. Wystarczy, że Naśladowca wciągnął Fitzę w swoje gierki.

– Ładne mi gierki – odparła Sam z ponurym uśmiechem.

Rozległ się plusk wody i okrzyk:

– Mamy go!

Zapadła cisza. Nurkowie powoli i ostrożnie wyciągali ciało. Od razu było widać, że zwłoki leżały w wodzie od dobrych kilku dni. Pokrywał je tłuszczowosk, gęsta, gumowata substancja będąca produktem pośmiertnej przemiany tkanki tłuszczowej. Trup był wzdęty od gazów, które wypchnęły go na powierzchnię i sprawiły, że unosił się na wodzie jak boja.

Nad brzegiem jeziora stały nosze, które na rozstawionych nogach wyglądały jak metalowy pająk. Ekipa przygotowała plastikowy worek na zwłoki. Czterech mężczyzn umieściło ciało na noszach.

Sam cmoknęła i podeszła do zwłok. Taylor zawahała się, nie chciała bowiem przeszkadzać Sam, i ruszyła się, dopiero kiedy ją zawołała:

– No chodź. Przecież wiem, że chcesz zobaczyć.

Taylor podeszła i starając się nie oddychać, pochyliła się nad twarzą topielca, a raczej nad tym, co kiedyś nią było. Był to na pewno mężczyzna, młody, pewnie nastolatek, osiemnaście, dziewiętnaście lat. Skóra szara i gumowata, mokra od wody i wzdęta. W brązowych włosach wodorosty. Twarz została uszkodzona w zbyt dużym stopniu, by na miejscu potwierdzić tożsamość ofiary, ale Taylor była przekonana, że odnaleźli Petera Schechtera. Instynkt czy logika? Był jedyną poszukiwaną zaginioną osobą, a zwłoki pasowały do rysopisu.

– To chyba on – powiedziała Sam. Wiedziała, o kogo chodzi. Petera szukano od pięciu dni, a to wystarczająco długo, żeby każdy glina w mieście nauczył się jego twarzy na pamięć.

– Coś ci się rzuca w oczy? – spytała Taylor.

– Przecież wiesz, że to tak nie działa. Trzeba go otworzyć.

– Wiem, ale i tak pytam.

Sam sięgnęła do torby i wyjęła termometr.

– Na razie wiem tyle, że możesz dzwonić po księdza. Nie zamierzam przeciągać tego dłużej, niż to będzie konieczne.

– Myślisz, że uda ci się go zidentyfikować jeszcze dzisiaj?
– W biurze mam dane o uzębieniu. Po drodze zadzwonię do Mike’a Tabora, może będzie mógł wpaść i rzucić okiem. Późno już, ale Mike prosił, żeby go informować, jeśli natkniemy się na coś ciekawego. Jeżeli rzeczywiście wyłowiliśmy tego dzieciaka, wypadaloby powiadomić rodziców, zanim zaczną o tym pisać gazety.

– Masz rację. – Taylor odsunęła się i pozwoliła Sam pracować. Poczowała dojmujący smutek. Szkoda chłopaka. Jedyny plus był taki, że nie wyglądało to na robotę Naśladowcy. Nie wiedziała, czy jej sumienie udźwignęłoby kolejną ofiarę.

Skupiony Marcus robił notatki. W powietrzu unosiła się woń rozkładającego się ciała. Topielcy są najgorsi. Odór rozkładu miesza się ze stęchlizną stojącej wody, tworząc jedyny w swoim rodzaju zapach, przeciw któremu buntują się nawet najodporniejsze żołądki. To jakby wachać rozjechanego trzy dni wcześniej zwierzaka zawiniętego w wilgotny, zapleśniały koc.

– Sam postara się zidentyfikować ciało jeszcze dzisiaj. Dzwoniłeś do ojca Victora? – spytała.

– Tak, przed chwilą – odparł Marcus. – Wie, że będzie potrzebny.

– To dobrze. Pojadę z Sam do kostnicy, popracujemy nad identyfikacją. Zostań tutaj, rozejrzyj się. Nie musisz się śpieszyć.

Było widać, że mu ulżyło. Zapowiadała się długa noc, ale podział obowiązków oznaczał, że będzie choć trochę krótsza.

– Jesteś pewna?

– Tak. Zadzwonię, kiedy będziemy coś wiedziały.

– Dzięki, Taylor. Jestem ci dłużny.

– Jasne, jasne. – Klepnęła go w ramię.

Wróciła do samochodu i wyjęła komórkę. Zadzwoni do Baldwina i powie mu, co się wydarzyło. Nie będzie zadowolony, ale trudno. Potrzebowała czegoś, co pomoże jej oderwać myśli od morderstwa, które zamierzała popełnić.

Na przykład może to być inne morderstwo.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Baldwin odebrał po pierwszym dzwonku. Miał zmęczony głos. Wysłuchał, co Taylor miała do powiedzenia, i westchnął. Kolejny trup. Owszem, to okrutne, wiedział o tym doskonale, ale ucieszył się, że znalazła zajęcie. Oderwanie się od uporczywych myśli dobrze jej zrobi. Nowa sprawa zawsze ją uskrzydlała, dodawała sił. Lubił patrzeć, kiedy zamieniała się w wulkan energii.

Siedział w domu i czekał na nią. Nie podobało mu się to, ale cóż, gdyby próbował cokolwiek jej narzucić, poczułaby się przytłoczona i z pewnością by go odepchnęła. Silna dziewczyna, wojowniczką. Jednak czasem przydałoby jej się wsparcie. W tej chwili do Nashville zmierzało czterech doskonale wyszkolonych agentów. Działać będą w cieniu, bacznie obserwować, a w razie konieczności zainterweniują. Będzie bezpieczna, przynajmniej na razie.

Kiedy rozmawiał z Taylor, telefon zapikał, znak, że ktoś próbował się do niego dodzwonić. Zignorował to, bo słuchał kobiety, którą uwielbiał. Mówiła, że niestety wróci późno, więc niech nie czeka na nią z kolacją. Powiedział, że ją kocha, i rozłączył się.

Odłożył komórkę i przeczesał włosy palcami. Ta czynność zawsze pomagała mu myśleć, zaczął więc raz za razem pocierać głowę dłonią, w efekcie czego na czubku sterczało splątane gniazdo i podrapał skórę paznokciami.

To się musi skończyć. Naśladowca musi wpaść. Baldwin wiedział, że chodzenie po linii – jeśli szybko nie znajdą rozwiązania albo przynajmniej nie zaczną kontrolować sytuacji – skończy się źle zarówno dla niego, jak i dla Taylor.

Wiedział też, co może się okazać skutecznym rozwiązaniem, ale nawet nie chciał o tym myśleć. Bał się, że pomysł przerodzi się w rzeczywistość i wciągnie go jeszcze głębiej w tę otchłań, w której powoli się pograżał. Jego przyszłość w FBI była niepewna. Gdyby do tego zastrzelił podejrzanego – w dodatku formalnie

będąc zawieszonym – byłby to dla niego ostatni gwóźdź do trumny. Trzeba to jakoś obejść. Schwycić, nie wyeliminować. Wówczas wróci do pracy i do prawdziwego związku z Taylor. Ani jednego, ani drugiego nie chciał wypuścić z rąk. I nie zamierzał pozwolić, by ten pieprzony gnojek pozbawił go wszystkiego, o co walczył. Od dawna, od bardzo dawna nie zaznał spokoju.

Poszedł do kuchni i nalał sobie mleko, wsypał saszetkę kawy rozpuszczalnej i wlał syrop czekoladowy. Włożył kubek do mikrofalówki i zaprogramował urządzenie. Potrzebował cukru, energii. Zaczeka na Taylor, choć mówiła, żeby poszedł spać. Wiedział, że po powrocie będzie głodna i spragniona... może jedzenia, może bliskości. Zjadł banana i wypił kawę, czując rozlewające się po ciele ciepło. Lodowatymi palcami objął gorący kubek.

Wrócił do salonu i sprawdził, kto do niego dzwonił, kiedy rozmawiał z Taylor. Ucieszył się, kiedy zobaczył numer na wyświetlaczu. Wreszcie odezwała się Wendy Heinz, grafologka, którą poprosił o przyjrzenie się liścikowi znalezionemu w przyczepie. *Ayin tahat ayin*. Do bólu dosłowny przekaz.

Ucieszył się jeszcze bardziej, kiedy odsłuchał wiadomość. W głosie Wendy wyczuł radosne podniecenie:

– Zapoznałam się z materiałami i znalazłam coś niewiarygodnego. Bardzo proszę o telefon najprędzej, jak to możliwe.

No proszę!

Zerknął na zegarek. Wpół do jedenastej. Niby noc, ale Wendy lubiła pracować do późna i była kobietą o niespożytej energii. Oprócz tego, że była ekspertem sądowym i często zeznawała w sądzie, to jeszcze wykładała grafologię na Uniwersytecie Kalifornijskim i pisała świetne podręczniki na temat grafologii, a w wolnych chwilach pracowała nad powieścią! W wolnych chwilach, czyli nad ranem i późno w nocy, kiedy mogła liczyć na ciszę, spokój i chwilę oddechu od codziennych zajęć.

Wybrał jej numer. Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Doktorze Baldwin! – odezwała się radosnym tonem. –

Cieszę się, że tak szybko pan oddzwania.

– Nie mogłem zlekceważyć takiej wiadomości. Zamieniam się w słuch.

Najpierw usłyszał szelest papierów, a potem:

– Znalazłam coś ciekawego. Ma pan długopis pod ręką?

– Mam tylko nadzieję, że nie będę musiał niczego analizować.

– Spokojna głowa, doktorze – odparła rozbawiona. – Już mówię, o co chodzi. Otóż list, który dostałam do analizy, jest wprawdzie zbyt krótki, by mógł nam dużo powiedzieć... no, może poza tym, że pochylone w prawą stronę litery sugerują osobę mającą problem z kontrolowaniem impulsów i często wpadającą w gniew... ale nie w tym rzecz. Zajmuję się grafologią od bardzo dawna, widziałam całe mnóstwo różnych stylów pisma, pracowałam jako ekspert przy niezliczonej liczbie spraw. Analiza tej krótkiej wiadomości zajęła mi dużo czasu, ponieważ musiałam przejrzeć archiwum i poszukać materiałów z pewnej starej sprawy. Ponieważ pismo tej osoby wydało mi się... znajome.

Baldwin poczuł dreszcz ekscytacji. Serce zabiło mu mocniej.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że wydawało mi się, że już je kiedyś widziałam. I nie pomyliłam się.

– Proszę zaczekać. Powiedziała pani, że chodzi o jakąś starą sprawę. Czyli miała już pani do czynienia z pismem naszego zabójcy?

– Nie potrafię tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością, ale z bardzo dużym prawdopodobieństwem. Poprosiłam o konsultację kolegę, który potwierdził moje przypuszczenia. Możemy założyć, że rzeczywiście jest to pismo mordercy. Oczywiście nie potrafię tego w żaden sposób udowodnić, chyba że każe pan temu człowiekowi ponownie napisać to zdanie. Tylko wtedy otrzymamy niezbity dowód. Ale mówiąc krótko, zgadza się, znam ten styl pisma. Długopis w rękę?

– Tak!

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku

pracowałam nad pewną sprawą w Karolinie Północnej. Chodziło o kobietę z zastępczym zespołem Münchhausena. Choroba od dłuższego czasu dawała objawy, kobieta raniła wszystkich wokół siebie, rodzinę, przyjaciół. Kiedy zabiła swojego męża, ktoś wreszcie poszedł po rozum do głowy i zdecydował, że należy ją odizolować od społeczeństwa. Proces był krótki. Podczas rozprawy, na której miał zapaść wyrok, odczytano list z błaganiem o litość, napisany przez drugiego z trzech synów kobiety. Dzieciak miał wtedy czternaście lat. I rzeczywiście, sąd okazał wyrozumiałość i zamiast na śmierć, skazał ją na dożywocie. Matka trafiła za kratki, a syn do rodziny zastępczej, a potem do pogotowia opiekuńczego. Był agresywny i sprawiał kłopoty, ale w pewnym momencie zrobiło się o nim cicho.

– Mówi pani, że napisał list do sądu.

– No właśnie. Moim zdaniem pismo tego chłopca i pismo autora listu znalezione w przyczepie są identyczne.

Baldwin słabo znał się na grafologii, liznął zaledwie podstawy na kursie, ale wiedział, że sposób kreślenia liter pozwala wejrzeć w psychikę osoby, której pismo się analizuje. Pismo odręczne, gryzmoły, rysunki, obrazy, na podstawie tego wszystkiego można wyodrębnić pewne charakterystyczne cechy osobowości autora. Oczywiście im lepszy fachowiec, tym analiza jest dokładniejsza i bardziej wiarygodna.

Poprosił Wendy o krótki wykład, a ona z zapałem spełniła prośbę. Odkrycie dotyczące listu bardzo ich ucieszyło. Co prawda dopiero miało się okazać, czy informacje, które Baldwin uzyskał od Wendy, pozwolą aresztować Naśladowcę, ale czuł, że wreszcie stawia duży krok na drodze do odkrycia tożsamości mordercy. Czyżby sprawca wreszcie popełnił błąd?

Wendy była dobrą wykładowczynią, mówiła zwięźle i zrozumiale:

– Dzięki stylowi pisma możemy poznać zarówno stałe cechy osobowości człowieka, takie jak jego iloraz inteligencji, skłonności, temperament, jak i zmienne, na przykład zdolności, poglądy, nastroje, motywy działania i stan fizyczny. Dysponując

odpowiednią próbką, możemy wywnioskować naprawdę wiele. Pismo jest bowiem równie wyjątkowe dla każdego z nas, jak odciski palców i uzębienie. Najważniejsze w życiu człowieka są trzy aspekty: fizyczny, umysłowy i emocjonalny, i wszystkie znajdują swoje odbicie w piśmie. No, ale zbaczam z tematu. Przyczyną, dla której rozpoznałam styl pisma z listu w tej starej sprawie, było to, że po raz pierwszy na własne oczy zobaczyłam tak zwane „d” szaleńca.

– „D” szaleńca. Miał je Charles Manson, o ile dobrze pamiętam. Chodzi o to, że kreseczka małego „d” pochyla się bardzo mocno w prawo, tak?

– Zgadza się. Charles Manson, Zodiak, a nawet O.J. Simpson. W taki sposób „d” piszą niemal wyłącznie psychopaci i mordercy, brutalni przestępcy, najbardziej niebezpieczni ludzie. W liście chłopaka znalazłam „d” szaleńca. Ale to nie wszystko. List napisano, jak to mówimy, niestałą pochyłością. Większość ludzi kreśli litery tak, że pochylają się albo w prawo, albo w lewo, albo są proste. Stopień pochyłości zależy od nastroju, osobowości i tego, czy autor jest prawo- czy leworęczny, ale zasadniczo jesteśmy konsekwentni i praktycznie zawsze pochylamy litery albo w prawą, albo w lewą stronę. Tymczasem ten chłopak pisał i tak, i tak. Chaotycznie. Choć miał do dyspozycji papier w linie, nie trzymał się ich, stawiał litery, gdzie popadło, w ogóle nie zwracał uwagi na marginesy, nie przestrzegał żadnych reguł. Lewy margines nazywamy linią społeczną, a on go zignorował. Litery były ściśnięte, tekst na stronie napisano tak gęsto, że w kilku miejscach papier się przedarł. Analiza dość szybko wykazała, że autor listu jest osobą nie zrównoważoną. – Przerwała na moment. – Niezrównoważoną, lecz zarazem bardzo inteligentną, o czym świadczyło wyszukane słownictwo i spójna argumentacja. Niemniej jednak rozchwianie pisma pozwoliło mi wysnuć przypuszczenie, że mam do czynienia z osobą nie poczytalną. Powiedziałam o tym sędziemu, próbowałam go przekonać, ale wtedy do ekspertyz grafologów podchodzono z dużo większą nieufnością niż obecnie. – Roześmiała się cicho. – Nie to, żeby

dziś wszyscy traktowali je śmiertelnie poważnie. Krótko mówiąc, nie było łatwo zwrócić czyjąkolwiek uwagę. Pamiętajmy też, że mówimy o kryminalnym zdarzeniu w niewielkim miasteczku w Karolinie Północnej. Chłopak miał czternaście lat, był ofiarą przemocy, czuł się samotny. W tamtych czasach nie było zbyt wiele programów niosących pomoc młodym ludziom przeżywającym trudności, już nie mówiąc o programach skierowanych do społecznych synów morderców. Po tym, jak chłopak trafił do pogotowia opiekuńczego, ślad po nim zaginął. W aktach sprawy nie ma nic więcej. I to by było na tyle.

– No nie! Żartuje pani.

– Owszem, tylko tyle. – Roześmiała się. – Wiem, że zależy panu na nazwisku.

– E tam, to przecież w ogóle nieistotne...

– Ewan Copeland.

– Ewan Copeland, Ewan Copeland... Brzmi jakoś znajomo...

– Jego ojciec nazywał się Roger Copeland. Był bejsbolistą, przez prawie całą karierę grał w Minor League, na rok załapał się do Major League, do drużyny Atlanta Braves.

– Jasna cholera! Pamiętam! Roger Copeland został zamordowany tuż po zakończeniu sezonu. Policja podejrzewała jego żonę. Czy chodzi o tę sprawę?

– Tak. Jego żona, Betty Copeland, rzeczywiście go zabiła. Była chora psychicznie. Dziwię się, że nie znajdowała się pod stałą opieką psychiatryczną. Miała fatalnego adwokata. Powinien był ją wybronić, używając argumentu o niepoczytalności. A tak Betty odsiaduje w Atlancie wyrok więzienia. Popelniła morderstwo, więc sędzia nie miał żadnych wątpliwości.

– Czy ona jeszcze żyje?

– Nie wiem. Kiedy ostatni raz sprawdzałam, żyła i siedziała za kratkami. Odmówiono jej zwolnienia warunkowego. Informacje o niej dołączyłam do materiałów, które wysłałam panu kurierem.

– Podsumowując, z dużym prawdopodobieństwem może pani powiedzieć, że osoba, która napisała liścik znaleziony przez nas w

przyczepie, jest tą samą osobą, która napisała do sądu list z prośbą o litość dla swojej matki, która zamordowała męża?

– Tak.

– Jak ja się pani odwdzięczę?

– O, na pewno będę kiedyś potrzebowała przysługi.

Wysłałam wszystko, co udało mi się znaleźć na temat tej sprawy, na pański domowy adres. Rano powinien pan dostać materiały.

Mam nadzieję, że okażą się przydatne.

– Och, na pewno. Nie wiem, jak pani dziękować.

– Coś wymyślimy, doktorze Baldwin. Jeszcze jedno. Proszę pamiętać, że w następstwie tragicznych wydarzeń u tego chłopca nastąpiły zaburzenia osobowości. Jego rodzina się rozsypała.

Został sam jak palec. Jeśli... powtarzam, jeśli właśnie on jest tym poszukiwanym mordercą, to widać wyraźnie, że z biegiem czasu stał się osobą całkowicie nieprzewidywalną, niestabilną i groźną ponad wszelkie wyobrażenie.

– To już wiemy. Od pewnego czasu usiłujemy określić jego profil psychologiczny i wciąż nam się to nie udaje.

– Nie dziwię się. Ten człowiek w przeszłości nie miał żadnego oparcia i wygląda na to, że do tej pory nie udało mu się go znaleźć.

– Raz jeszcze dziękuję, nawet pani nie wie, jak bardzo...

– Wiem – weszła mu w słowo. – Powodzenia, doktorze.

Baldwin odłożył telefon i otworzył mapę na laptopie. Szybko zlokalizował miejscowość. Forest City w Karolinie Północnej znajdowało się niecałe sto kilometrów na południowy wschód od Asheville. Trochę ponad godzinę drogi samochodem. Teraz, kiedy stało się już jasne, co łączy mordercę z Karoliną Północną, pewne rzeczy zaczęły się układać w logiczną całość. Copeland podrzucił oko Fitz'a nieopodal swego rodzinnego miasta. Czyżby pragnął dać się złapać? Czy zmęczyła go gra? Czy wymyślił masakrę w Nags Head tylko po to, by naprowadzić policję na trop swojej prawdziwej tożsamości? Może kierowało nim podświadome pragnienie ujawnienia, że morderca znany jako Naśladowca w rzeczywistości nazywa się Ewan Copeland.

Baldwin obliczył w pamięci, że dotarcie do Forest City zajmie sześć godzin. Zanim uda się załadować samolot i zanim przyleci do Nashville, by przetransportować ich do Asheville, będą już na miejscu. Skorzystanie z odrzutowca wprawdzie kusilo, ale musiał przyznać, że Garrett Woods jest tylko człowiekiem, a nie cudotwórcą, i nawet on nie może dysponować samolotem na każde zawołanie zawieszzonego agenta. Pozostawało więc usiąść za kółkiem. Jeżeli wyruszą teraz, dotrą do Forest City przed świtem.

Tyle że powinien poczekać na materiały od Wendy. Cholera.

Zaczął chodzić po pokoju, zastanawiając się, czy jednak nie czekać na przesyłkę i od razu ruszyć w drogę, ale w końcu podjął jedyną rozsądną decyzję. Kilka godzin nie zrobi żadnej różnicy, a wyspać się trzeba. Wreszcie wszystko zaczęło się układać. Był przekonany, że sprawa zmierza ku szczęśliwemu finałowi.

Postanowił zadzwonić do Taylor. Z uśmiechem na ustach sięgnął po telefon.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Do: troy14@ncr.tr.com

Od: 44cal@ncr.ss.com

Temat: Waszyngton

Troyu, wszystko gra. Jestem w mieście. Zbliżam się.

44

Korek. Znowu korek. Wiecznie w korku. Codziennie dojeżdżał do pracy godzinę w jedną stronę, godzinę w drugą. Wziął tydzień urlopu, by zagrać w grze, i cieszył się jak dziecko, że nie musi uczestniczyć w ogłupiającej wędrówce lemingów, stać w sznurze ruszających się w żółtym tempie aut. Ale oto znalazł się na obwodnicy. Spóźniony. Niedobrze. Harmonogram to rzecz święta.

Cholera, cholera, cholera. Jeśli nie popełni kolejnego zaplanowanego morderstwa i nie złoży raportu, zostanie wyeliminowany.

Nerwowo poruszył nogą i nagle samochód wystrzelił do przodu. W ostatniej chwili zdołał nacisnąć hamulec, zanim wjechał w kufer eleganckiemu infiniti. Uf. Było blisko.

Anioł szeptał do ucha:

*Nie zwracaj na siebie uwagi. Musisz być niewidzialny.
Niewidzialny, niewidzialny, niewidzialny.*

Nie znosił tego. Wcale nie chciał się ukrywać i być niewidzialnym. Przeciwnie, pragnął trafić na pierwsze strony gazet, być wielki, sławny. Chciał mieć rzesze fanów, żeby kobiety rzucały się mu na szyję i proponowały małżeństwo, żeby dziewczyny przysyłały swoją bieliznę. Chciał zostać celebrytą z celi skazańców. Życie za kratami nie jest takie złe. Niedługo po tym, jak przekroczył dwudziestkę, odsiedział kilka lat i nic się nie stało. Wielkie halo. Fakt, zakład o zastrzonym rygorze to nieco inna bajka, ale bez przesady, więzienie to więzienie, co za różnica, gdzie śpisz i kto cię karmi? Był nawet dość przystojny, z zarostem wyglądał jak Seth Rogen, więc więzienne ciotki powinny pożerać

go wzrokiem.

Najlepiej, gdyby trafił do celi śmierci. Wyroki wykonywano rzadko, skazańcy dwadzieścia, trzydzieści, a nawet czterdzieści lat czekali na egzekucję, nie musząc pracować i stać w pieprzonych korkach. Mieli komputery, książki, trzy posiłki dziennie i czas na ćwiczenia pod gołym niebem. Żyć, kurwa, nie umierać. Nie musiałyby mieć do czynienia z ludźmi. Gdyby chciał, mógł całe dnie siedzieć w samotności, nic nie robiąc. To jest to. Doskonałe rozwiązanie. Ucieczka. Nie obchodziło go, czy kiedykolwiek opuściłby mury więzienia. Utrata życia, no, byłoby warto.

No, ale umrzesz, stary. A co wtedy ze mną, hm? Gdzie mam się podziąć, kiedy ciebie posadzą na krześle elektrycznym?

Zamknij się, zamknij się, zamknij się.

Jeśli będzie się trzymał planu, jeśli postąpi ściśle według wskazówek, zdobędzie tę wolność. Wpadnie w szal zabijania. Szal szalów. Pozabija ich wszystkich, całe trzecie piętro spłynie krwią. Na koniec nie stchórzy i nie odbierze sobie życia, o nie. Podczas ogłaszania wyroku będzie się śmiał z sędziego i nie okaże skruchy. Będzie największą sensacją, jaką widział świat.

Tak lepiej. Idź do domu wariatów. Powiedz im, że masz głowę pełną szaleństwa. Pozwalają palić i pieprzyć się. Prochów w bród. Sanitariusze, rozumiesz? Kumas, o czym mówię, nie?

Tak, tak, załapałem.

Spojrzał na zegarek na desce rozdzielczej. Dwudziesta czterdzieści. Otworzył okno i zapalił american spirita. Dym z papierosa wymieszał się z chłodną mgłą na autostradzie. Jeśli chce dopaść ofiary, musi do dziesiątej dotrzeć na lądowisko. Samochody wreszcie ruszyły, najpierw powoli, ospale, ale po chwili przyśpieszyły. Boska interwencja.

Skręcił w George Washington Memorial Parkway. Park był za śródmieściem, jak wyczytał z mapy. Teraz samochody są wyposażone w nawigację, super, ale mimo to czasem się gubił – *gównie tam, po prostu chory z ciebie pojeb*, dopowiedział anioł – a tego zjazdu za nic nie chciał przegapić. Było ciemno jak w dupie, w parku trzeba po omacku szukać ścieżek.

Dotknął tłumika, wyczuł chropowatą powierzchnię tam, gdzie go spiłował, żeby pasował do pistoletu. Uwielbiał te chwile przed wykonaniem zadania. Usuwanie degeneratów z powierzchni ziemi było czystą przyjemnością, dlatego bardzo się ucieszył, kiedy trafiła mu się ta kategoria celów. Co z tego, że sam miał ukryte skłonności i wieczorami fantazjował o facetach?

Spokojnie, stary, nie jesteś pedrylem. No sam powiedz, czy pozwoliłbym, żeby mój najlepszy kumpel był ciotką? Nie, mój ziomal nie jest homo.

Anioł się roześmiał, rżał ze śmiechu, trzymając się za brzuch, tak że spadł mu z ramienia. Oparł się o siedzenie i prawie go zgniótł. Usłyszał tylko pisk.

Ożeż ty chujku.

Nikt nie musi wiedzieć o tej... słabości. To była tajemnica, nie zwierzył się z niej nawet aniołowi, który, łapiąc oddech, wspinał się po plecach z powrotem na jego ramię.

Nie masz przede mną tajemnic, stary. Wiem, co z ciebie za jeden.

Morda w kubek!

Kiedy trafi za kratki, wtedy będzie sobie dogadzał. A tymczasem będzie eliminował zboczeńców obnoszących się ze swym pożądaniem.

Po prawej zauważył wjazd do parku. Skręcił na parking. Obliznął usta. Anioł złapał się jego ucha, by nie stracić równowagi. Obaj się uśmiechnęli. Jest dobrze. Naprawdę dobrze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Colleen Keck była na skraju wytrzymałości. Flynn wreszcie zasnął. Musiał wyczuć, że matka się martwi, ponieważ na cały wieczór uczeplił się jej jak rzep psiego ogona. Położenie go spać wymagało niezłej gimnastyki. Koniecznie chciał, żeby go ponosić. Nie miał ochoty ani na czytanie ulubionej książeczki, ani na oglądanie telewizji, ani nawet na odrobinę samotności. Ilekroć próbowała położyć go do łóżka, zaczynał wyć. W końcu nie miała innego wyjścia, jak z poczuciem winy zostawić go płaczącego w poduszce. Poprosiła ducha Tommy'ego o opiekę nad Flynnem, o pogłaskanie go po główce. Chyba podziałało, bo mały zasnął kilka minut po dziesiątej.

Między napadami płaczu Flynnna przez cały wieczór odpowiadała na pytania o tragiczne zakończenie sprawy zaginięcia Petera Schechtera. Około dwudziestej zadzwonił informator z policji, jeden z najbardziej zaufanych. W wodach Percy Priest Lake znaleziono topielca. Opis pasował do syna Schechterów: nastolatek rasy białej, ciemne włosy. Oczywiście nikt nie zamierzał wyciągać pochopnych wniosków, ale logika wskazywała, że to musi być Peter. Obecnie w tym regionie nie poszukiwano innych osób, które pasowałyby do rysopisu.

Zawsze przeżywała sprawy, w które były zamieszane dzieci. Odczuwała nieustanny niepokój, co u kogoś, kto miał taką pracę, raczej nie powinno dziwić, ale była podenerwowana bardziej niż zwykle. Schechter, list Zodiaka, raporty od kontaktów w Bostonie i Nowym Jorku – wszystko to wskazywało na aktywność naśladowców Zodiaka, Syna Sama i Dusiciela z Bostonu. Dużo ofiar, głośnych i spektakularnych zbrodni. Idealna przykrywka. Od samego rana umieszczała swoje dociekania na blogu, a teraz trąbiły o sprawie wszystkie najważniejsze media. Wiedziała, że jako pierwsza o tym napisała, a oni tylko przekazują okrojona, zubożoną wersję jej przemyśleń, co kwadrans podają wiadomości z ostatniej chwili, w których nie ma nic nowego i które

niepotrzebnie nakręcają panikę. A producenci i dziennikarze oczywiście twierdzą, że to oni jako pierwsi wpadli na trop. Typowe.

Jak często się zdarza, że tego samego dnia dochodzi do trzech morderstw będących kopiami zbrodni dokonanych przez słynnych seryjnych zabójców? Nikt się oczywiście nie zająknął, że Felon E jako pierwsza zauważyła związek pomiędzy zdarzeniami w trzech miastach. Może powinna napisać do producentów i wyraźnie podkreślić, że pierwszeństwo należy się jej? Stronie przydałby się dodatkowy rozgłos, zwiększyłby się ruch, co z kolei przełożyłoby się na większe wpływy z reklam. Mogła naprawdę dużo zarobić.

Zastanowiła się, czy również Peter Schechter padł ofiarą naśladowcy słynnego seryjnego mordercy, ale wycofała się z tego pomysłu. Niepotrzebnie ponosi ją wyobraźnia. Schechter nie należy do tego szaleństwa. Jedynym seryjnym zabójcą dużego kalibru, którym mogło się „pochwalić” Nashville, był psychopata kryjący się pod pseudonimem Królowna Śnieżka, a on nie zabijał chłopców. A zatem nie, Schechter jest raczej kolejną ofiarą masakry w Halloween. Takie wytłumaczenie ma więcej sensu.

Jej misją było pisanie prawdy i tylko prawdy. Właśnie zamierzała to uczynić. Wystukała tytuł:

Czy odnaleziono Petera Schechtera?

Podpięła linki do wszystkich czterech artykułów, które napisała na temat sprawy. W krótkiej notce wyraziła współczucie dla rodziny chłopca i zaznaczyła, że więcej napisze jutro. Kliknęła „opublikuj”. Dzień pracy dobiegł końca.

Nalała kieliszek wina i przeniosła laptopa do salonu. W ciągu dnia zdołała przebić się przez oficjalną skrzynkę pocztową Felon E. Co prawda nie była jeszcze całkiem pusta, ale już do ogarnięcia. Za to na prywatnym mejlu zero wiadomości. Jak zwykle.

Jedynymi jej znajomymi byli przyjaciele Tommy’ego, którzy po jego śmierci szczerze obdarzali ją wyrazami współczucia i łączyli się w bólu, ale dość szybko zaczęli się wykruszać i przestali się odzywać. Sama celowo odsunęła się od ludzi, wołała egzystować

w pewnej izolacji. Święty spokój pomagał jej rozwijać postać Felon E. „Co z oczu, to z serca”, jak to się mówi. Ludzie po prostu wrócili do swoich zajęć i tyle.

O przeszłości należy zapomnieć.

Nadal się zdarzało, że ta czy inna żona policjanta pisała do niej, próbowała wciągnąć do kręgu przyjaciółek wymieniających się przepisami, tego typu rzeczy, ale Colleen to nie interesowało. Gdy człowiek należy do pełnej rodziny, to jedno, a zupełnie co innego, gdy jest samotną głową rodziny. Niezależnie od tego, co słyszała z ich ust, nie mogła pozbyć się wrażenia, że ludzie zadają się z nią z poczucia winy, z litości, a nie ze szczerego pragnienia nawiązania przyjaźni. Męczyło ją to.

Napiła się wina. Lepiej być samemu. Samotność to bezpieczeństwo. Samotność jest... samotna. Blog nie pozwalał Colleen zwariować.

Wieczorem, zanim zaległa na kanapie przed telewizorem i położyła się do łóżka, by spróbować zasnąć, miała w zwyczaju przeglądać komentarze do wpisów z poprzedniego dnia. Wiedziała, że to ważne i że miałyby dużo do nadrobienia, gdyby sobie odpuściła choćby przez dwa dni. Napiła się wina, otworzyła kokpit bloga i przystąpiła do lektury. A było co czytać. Każdego dnia pod wpisami pojawiały się tysiące komentarzy, a kiedy ktoś rozpoczynał dyskusję, było ich znacznie więcej, co zdarzało się często.

Komentarze z zeszłego dnia nie zawierały niczego nietypowego. Przejrzała je w poszukiwaniu trolli, ale wszystko wydawało się w porządku. Już miała zamknąć program, kiedy zauważyła, że liczba komentarzy pod pierwszą dzisiejszą notką na temat Zodiaka jest wyjątkowo wysoka. Ziewając, otworzyła zakładkę, żeby zobaczyć, skąd to nieoczekiwane zainteresowanie. Lubiła odczekać jeden dzień przed lekturą uwag internautów – w ten sposób dawała szansę wypowiedzenia się osobom mieszkającym w różnych strefach czasowych – ale zaintrygowała ją liczba komentarzy: ponad siedemset pod jednym postem! Kliknęła link i zaczęła przeglądanie.

Jedna z wypowiedzi przykuła jej uwagę:

Wiem, kim jesteś.

Serce zaczęło jej walić. Postawiła komputer na ławie i poszła sprawdzić okna i drzwi. Zamknięte, jak powinno być. Głupio się zachowuję, stwierdziła. W sieci nie brakowało wariatów i dowcipnisiów, którzy przy byle okazji próbowali grać jej na nerwach. Cóż miała poradzić, że zawsze się ich bała?

Dla pewności zresetowała alarm i ustawiła go na najwyższy poziom czułości. Kiedy tylko ktoś dotknie drzwi lub okien domu, system natychmiast powiadomi policję. Poprawiła zasłony i zajrzała do Flynna. Zmęczony synek spał kamiennym snem, głęboko oddychając. Jego mała pierś rytmicznie podnosiła się i opadała. Kiedy tak patrzyła na tę czystą, niewinną istotkę, czuła miłość i strach. Przymknęła drzwi, zostawiając jedynie wąską szczelinę, by mogła go usłyszeć, jeśli w nocy zacznie płakać, i wróciła do laptopa.

Wiem, kim jesteś.

Z sercem w przetyku zaczęła przeglądać wiadomości. Kilkaset komentarzy zawierających te trzy słowa. Wszystkie pozostawione przez anonimowego internautę pomiędzy wpół do pierwszej a wpół do drugiej po południu.

Otworzyła statystyki strony i sprawdziła adres IP autora komentarzy. Nashville, stan Tennessee.

Kilka kliknięć pozwoliło jej się zorientować, że wiadomości wysłano z prywatnego serwera w tymczasowym punkcie dostępowym, ale to wszystko, czego się dowiedziała.

Zaczęła ogryzać skórkę przy paznokciu na kciuku. Gryzła, dopóki nie została czerwona krwawa plamka. Ssała ranę, aż ból zmusił ją do wyjęcia palca z ust. Już dostawała wiadomości z pogrózkami, ale zawsze było to puste, głupie pieniactwo, które przede wszystkim miało ją wkurzyć i sprowadzało się do pomstowania na nią i na teksty. Czasem robiła to rodzina ofiary przestępstwa, której nie podobała się działalność Felon E, czasem poruszony fan. Ale nigdy coś takiego jak to. Tym razem – Colleen wyraźnie to czuła – groźba była prawdziwa.

Sprawdziła komentarze pod dzisiejszymi postami. Wszędzie to samo, pod każdą notką te same trzy słowa, przerażające, choć z pozoru niewinne:

Wiem, kim jesteś.

A przecież nikt nie wiedział, kim naprawdę była Felon E. Nikt. Colleen dołożyła wszelkich starań, by ukryć prawdziwą tożsamość swego internetowego wcielenia. Po to, żeby Felon E mogła kontaktować się ze światem, otworzyła dla niej skrytkę pocztową zarejestrowaną na zupełnie inne nazwisko i kupiła drugi telefon, który doładowywała tylko wtedy, gdy musiała z niego skorzystać jako Felon E, czyli praktycznie nigdy. Zadbala o to, by ani operator komórkowy, ani poczta nie byli w stanie powiązać Colleen Keck z Felon E. Prawdę mógłby ktoś odkryć tylko wtedy, gdyby śledził ją fizycznie i przekonał się na własne oczy, że odbiera przesyłki przeznaczone dla Felon E.

Chyba że w systemie siedział ktoś, kto porównywał dane z billingów z adresami IP. Nie, to raczej niemożliwe, przekierowywała bowiem ruch przez liczne anonimowe serwery, przy każdym logowaniu się do sieci dynamicznie zmieniała IP. Przeszukała system i odetchnęła z ulgą, gdy stwierdziła, że nie ma nieproszonych gości.

Skąd więc to nieodparte wrażenie, że akurat ten świr mówi poważnie?

Wiem, kim jesteś.

Zaczęła przeszukiwać komentarze i znalazła, zagrzebane w dziesiątkach wpisów, coś jeszcze bardziej niepokojącego: krótką wiadomość od jednego z bywalców o nicku texasmassacre:

Hej, słyszeliście o kittykrimie i chaosmasterze z San Francisco? Dostali po kulce.

Pozostali zareagowali różnie, od przerażenia do złośliwości. Nagły strach chwycił Colleen za żołądek i mocno ścisnął. Zajrzała na forum i przekonała się, że toczy się na nim rozmowa o dwóch stałych czytelnikach strony, zastrzelonych zeszłego wieczoru w San Francisco. Otworzyła panel sterowania forum i sprawdziła nazwiska internautów – kittycrime nazywała się Vivi Waters, a

chaosmaster Ike Sharp.

Nie musiała zerkać do notatek. Znała te nazwiska. Poranne ofiary naśladowcy Zodiaka.

Wiem, kim jesteś.

Panikować czy zachować spokój? Zdołała wybąkać tylko dwa słowa, które wydawały jej się najlepszym komentarzem do sytuacji:

– Kurwa mać.

Tym razem nie mogła zachować tego dla siebie. Musiała się ujawnić. Nie na blogu, nie w formie artykułu i spekulacji. Musiała zgłosić się na policję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ciemne fale leniwie obmywały brzeg. Z otaczającego jezioro lasu dobiegały odgłosy zwierząt. Poza tym na przystani panowała cisza. Miejsce było odludne, położone na uboczu, z dala od szlaków. To dlatego morderca je wybrał.

Taylor usłyszała znajomy dźwięk. Gdzieś w tle pobrzmiwało cykanie, ledwie przebijało się przez szmer rozmów i żarty techników.

Świerszcze. Świerszcze zimą. Na pewno istnieje jakiś przesąd odnoszący się do tego zjawiska. Świat się zatrzyma, Sam urodzi chłopca albo kot przespaceruje się po grobie pani porucznik Taylor Jackson.

Powinna spytać czarownicę Ariadne, na pewno będzie знаła odpowiedź, jak zawsze.

Taylor przyglądała się, jak Sam nadzoruje załadunek ciała do furgonetki techników. Marcus prowadził śledztwo. Nie musiała dłużej zostawać na miejscu zbrodni, ale mimo to postanowiła przeciągnąć powrót do domu jeszcze o kilka minut. Miała fałszywe poczucie odpowiedzialności, a może raczej poczucie winy. Bez sensu, bo przecież w żaden sposób nie była odpowiedzialna za śmierć syna Schechterów.

Dobijało ją, że zginął kolejny młody człowiek. Kiedy to się skończy? Czy popełniła jakiś błąd, zrobiła coś złego? I dlaczego Naśladowca, skoro jest taki wszechwiedzący, nie korzysta z okazji? Zapewne rajcuje go to, że zaprzęga gliniarzy do pracy. Samotnie krążyła wokół miejsca zbrodni. Specjalnie tak robiła. Jeśli ją teraz obserwuje, może wykona kolejny ruch. W ciemności i ze sporej odległości mógł co najwyżej oddać strzał w tułów. Wtedy pocisk zatrzymałaby kamizelka kuloodporna.

Uzmysłowiła sobie, co niejako automatycznie założyła. To mianowicie, że zabójstwo Petera Schechtera miało jedynie odwrócić jej uwagę. I taka z pewnością była prawda. Stała się jeszcze bardziej czujna.

Pula śmierci nigdy się nie wyczerpie.
Wrzała w niej wściekłość.
No dawaj, sukinsynu! – nawoływała w duchu Taylor. Zrób coś!

Odpowiedziała jej cisza, przerywana jedynie cykaniem świerszczy i głosami techników.

Na przestrzeni kilku ostatnich miesięcy liczba morderstw w Nashville znacznie wzrosła. Wprawdzie akurat ekipa Taylor mogła się pochwalić wykrywalnością na poziomie osiemdziesięciu, osiemdziesięciu trzech procent, czyli wyższą niż pozostałe grupy w wydziale i znacznie przewyższającą średnią krajową, ale wzrost liczby przestępstw oznaczał więcej spraw i większe obciążenie dla funkcjonariuszy. A gdzie dużo pracy, tam pojawiają się nerwy. Naśladowca mocno przyczynił się do takiego stanu rzeczy, swymi czynami windując wskaźnik morderstw aż o piętnaście procent, ale przecież nie tylko on zabijał. W Nashville popełniano niezbyt, nazwijmy to, wyszukane przestępstwa. Zwykle były związane z narkotykami, prostytutką i działalnością gangów, i właśnie tutaj należałoby się spodziewać wzrostu.

Jednak Taylor przyciągała szaleńców jak magnes.

Był to kolejny powód, dla którego należało jak najszybciej zakończyć tę sprawę. Jeśli wyeliminuje Naśladowcę, fala przestępstw opadnie. Komendant Joan Huston będzie zadowolona, Delores Norris, szefowa Biura Odpowiedzialności Zawodowej, przestanie wisieć jej nad głową, Fitz wróci do pracy, cała ekipa znów będzie razem i życie wróci do normy.

Tak, wyeliminowanie Naśladowcy było kluczem do wszystkiego.

– Jesteśmy gotowi – powiedziała Sam, wyrywając ją z zamyślenia. – Tabor spotka się z nami na miejscu.

– Wyglądasz na wykończoną – powiedziała Taylor do swojej najlepszej przyjaciółki. – Wydaj polecenia technikom i pojedź do domu odpocząć.

Sam była w siódmym tygodniu ciąży. Miała podkrążone oczy, na twarzy odbijało się zmęczenie.

– Nie trzeba. Simon opiekuje się bliźniakami, a ja czuję się dobrze. W tym tygodniu mam drugą zmianę, co mi odpowiada, bo poranki to koszmar. Nudności dają mi się we znaki dużo bardziej niż przy bliźniakach. Z nimi do drugiego miesiąca nawet nie wiedziałam, że jestem w ciąży!

– Tym bardziej powinnaś odpocząć. Ale w porządku, rozumiem. Widziałam, że kilka osób wisiało na telefonie. Mam nadzieję, że nikt nie puścił pary. Przypilnuj, żeby nic nie wyciekło do prasy, okej?

– Jasne. Do zobaczenia.

– Sam, zaczekaj. Czy mogłabym do was dołączyć?

Na twarzy Sam pojawiło się zaskoczenie, ale pokiwała głową i odpowiedziała:

– Oczywiście. Przyda się towarzystwo. Spotkamy się na miejscu.

Sam wsiadła do białej furgonetki zakładu medycyny sądowej. Taylor podeszła do Marcusa, poinformowała go, że będzie się zbierała, i wsiadła do auta. Wyjęła telefon. Chciała zadzwonić do Baldwina i powiadomić go, że jedzie z Sam, ale wyczerpała się bateria. Niedopatrzenie. Nigdy do tego nie dopuszczała, ale tego dnia wydarzyło się tak wiele – masakra w Karolinie Północnej, spotkanie z Fitzem, topielec – że po prostu zapomniała. Baldwin będzie wściekły i zrobi jej wykład. Będzie miał rację, bo to głupi błąd.

Postanowiła zadzwonić z komórki Marcusa, więc wysiadła. Technicy ustawili własne oświetlenie, nie musiała używać latarki. Kiedy mijała jedną z lamp, kątem oka dostrzegła coś pomarańczowego. Gdy zatrzymała się i spojrzała uważniej, dostrzegła namalowany na drzewie kształt.

– Iles, możesz tu przyjść? – zawołała technika stojącego najbliżej.

Iles był inteligentnym i kompetentnym funkcjonariuszem. Milczek, ale rzeczowy i skuteczny. W sumie go lubiła, choć nie bez pewnych zastrzeżeń. Podszedł, posyłając jej szeroki uśmiech. Idealnie białe zęby kontrastowały z opaloną skórą. Ciekawe, czy

chodzi na solarium, czy używa samoopalacza, pomyślała Taylor. Opalenizna zimą? Coś jej przeszkadzało w metroseksualnych mężczyznach. A mówiąc wprost, nie miała zaufania do facetów, którzy szykując się do wyjścia, spędzają w łazience więcej czasu niż ona. Wyjątkiem był Lincoln. Jego fascynacja ciuchami intrygowała Taylor. Miał dobry gust i wyczucie stylu, nie był pozerem, ale koneserem, może nawet artystą mody.

– Słucham, pani porucznik?

– Co to jest? – Wskazała palcem drzewo.

Iles poświecił latarką. Rysunek, wykonany fluoroscencyjną pomarańczową farbą, wyglądał jak trójwymiarowy. Dziwne. Ktoś sprejem narysował pentagram. Na korze zostały krople farby, punkciki, które ciągnęły się aż do samego dołu i spływały na ziemię. Taylor powąchała i poczuła ostry zapach acetonu. Rysunek nie był całkiem świeży, ale farba nie zdążyła jeszcze do końca zaschnąć.

– Uważa pani, że to ma coś wspólnego z miejscem zbrodni?

– Mamy martwego nastolatka, tak? I pentagram. Albo jedno z drugim jest powiązane, albo ktoś ma chore poczucie humoru. – Zawołała Marcusa.

– O co chodzi? Znaleźliśmy plecak ukryty pod złamaną gałęzią. Wygląda na to, że należał do chłopaka. Obawiam się, że zejda nam jeszcze ze dwie godziny.

– Widziałeś to?

Spojrzał na drzewo.

– Nie. – Zwrócił się do Ilesa. – Zrób zdjęcia.

– Po co ktoś miałby rysować pentagram na drzewie? – spytał Iles. – Wydawało mi się, że pani porucznik zastrzeliła dzieciaka, który urządził masakrę w Halloween, a całą resztę pozamykała.

– Oby był to tylko ktoś z chorym poczuciem humoru – mruknęła.

Do zakładu medycyny sądowej dojechała w całkowitej ciszy. Zamierzała jak najszybciej zadzwonić do Baldwina. Było dawno po godzinach i lobby tonęło w ciemności, więc poruszała się po omacku. Na pamięć, jak ślepiec, użyła karty, by wejść do środka.

Ktoś przyglądający się z zewnątrz mógłby pomyśleć, że to kolejny atak na nią. Stawała się coraz bardziej świadoma własnych słabości. Mogła się wystawić, zagrać przynętę. Nie byłoby to trudne. Musiałaby pokazać, że jest pewna swego i na tyle nieświadoma powagi sytuacji, że pozwala sobie na opuszczenie gardy. Żeby wywabić sukinsyna z kryjówki, musiałaby wejść na cienki lód, zaryzykować zdrowie i życie najbliższych.

Od dwóch godzin była całkiem sama. Czemu nie wykonał ruchu? Na co czekał?

Szczękniętą zamek, drzwi się otworzyły i weszła do środka. W recepcji oczywiście nikogo nie było. Kris, radosna i pełna życia dziewczyna, już dawno poszła do domu.

Taylor przysunęła sobie jej fotel i usiadła przy biurku. Gdy sięgnęła po telefon, przypomniała sobie, że z samochodu wzięła komórkę i ładowarkę, więc ją podłączyła. Zerknęła przy tym na przyklejone taśmą do obudowy monitora zdjęcie, które przedstawiało Kris i Barclaya Ilesa w kostiumach kąpielowych. Obejmowali się, byli opaleni i szczęśliwi. Ach, a więc stąd się wzięła opalenizna Ilesa. Nie wiedziała, że się spotykają. Kris miała ewidentną słabość do niegrzecznych chłopców, natomiast Iles sprawiał wrażenie łagodnego jak baranek. Hm, ciekawe...

Wybrała domowy numer, ale od razu włączyła się sekretarka. Baldwin rozmawiał na drugiej linii. Nagrała się, poinformowała, gdzie jest, opowiedziała o pentagramie i dodała:

– Kocham cię.

Dobra wiadomość, uznała, zwięzła i treściwa. A przynajmniej dobrze się kończyła.

Raz jeszcze rzuciła okiem na zdjęcie Kris i Barclaya Ilesa, potem wstała, podeszła do drzwi broniących wstępu do dalszej, zastrzeżonej części budynku i przesunęła kartą przez czytnik. Do bloku, w którym wykonywano sekcję zwłok, prowadził długi korytarz. Uśmiechnęła się, mijając gabinet Sam. Drzwi były uchylone, wewnątrz świeciła się czerwona chińska lampka, wypełniając pomieszczenie miękką poświatą. Wszystko na swoim miejscu. Sam miała obsesję na punkcie porządku, wręcz

graniczącą z nerwicą natręctw. W jej gabinecie zawsze panował nienaganny ład, nie przypominał biur kolegów, które wyglądały, jakby przeszedł przez nie huragan. Między innymi dzięki temu była tak wyśmienitą specjalistką w dziedzinie kryminalistyki. Perfekcyjnie poukładana, prawie nic nie było w stanie ująć jej uwadze.

Taylor weszła do przebieralni dla kobiet, spięła włosy w kok i włożyła fartuch. Nie zamierzała wchodzić na salę w codziennym ubraniu. Topielcy byli najgorsi, wystarczyła chwila nieuwagi przy oględzinach ciała i człowiek śmierdział przez cały tydzień.

Sam, ubrana w ołowiany fartuch do ziemi, stała w drzwiach i piła zieloną herbatę. Towarzyszył jej odontolog doktor Michael Tabor. Oglądał zdjęcie rentgenowskie. Stuart Charisse, wierny asystent Sam, robił ciału – jeszcze ubranemu – zdjęcia.

Tabor uściskał Taylor. Zawsze lubiła z nim pracować. Był znanym dentystą, a także jednym z najbardziej doświadczonych odontologów w Stanach. Działał na terenie całego kraju, od Los Angeles po Nowy Jork, brał udział w identyfikacji ofiar zamachów z 11 września. Przez kilka tygodni intensywnie pomagał przy ustalaniu tożsamości bezimiennych strażaków, policjantów i cywilów, którzy zginęli pod gruzami wież. Taylor wiedziała, że to doświadczenie odcisnęło na nim trwałe piętno. Podziwiała Tabora i szanowała jego ciężką pracę.

Stuart przygotowywał prześwietlenie zębów topielca, Tabor przeglądał bazę wzorów uzębienia. Wprawdzie wystarczyło mu jedno spojrzenie na porównywane zdjęcia, by stwierdzić, czy pokazują zęby tego samego człowieka, i wcale nie musiał sprawdzać w bazie, ale trzeba przestrzegać procedur.

Na papierze identyfikacja zwłok na podstawie uzębienia wydaje się banalnie prosta. Ot, wystarczy zestawić rentgen zrobiony przed śmiercią – i umieszczony w prowadzonej przez FBI bazie danych – ze zdjęciem pośmiertnym. Problem polegał na tym, że mechanizm porównawczy bywał zawodny. Wprowadzanie nowych wzorów do bazy powinno stanowić jedną z podstawowych czynności w oddziałach biura i na posterunkach w całym kraju, ale

nie stanowiło. Funkcjonariusze w mniejszych miejscowościach i na wsiach zaniedbywali obowiązek przede wszystkim dlatego, że... ludzie nie chodzili do dentysty. Zaś w dużych miastach stróże prawa narzekali na przeładowanie obowiązkami i wprowadzanie do bazy zdjęć uzębienia na pewno nie było dla nich priorytetem. Przez to system nie działał płynnie.

A tymczasem jego założenia były naprawdę nieskomplikowane. Kiedy wpływało zgłoszenie o zaginięciu, policjant prowadzący sprawę zwracał się do rodziny poszukiwanego z pytaniem, czy w ciągu ostatnich kilku lat ta osoba była u dentysty. Jeśli tak, stomatolog udostępniał stróżom prawa zdjęcia rentgenowskie i dane na temat uzębienia pacjenta, które następnie wprowadzano do bazy.

Kiedy odnajdywano ciało i stwierdzano, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż jest to ciało zaginionej osoby, odontolog badał je i wykonywał pośmiertne prześwietlenie zębów, po czym wprowadzał do komputera, a system porównywał obraz z danymi istniejącymi w bazie. Jeżeli udawało się zidentyfikować zwłoki, rodzina zmarłego zyskiwała stuprocentową pewność.

W przypadku Petera Schechtera sprawa była prosta. Poszukiwano go dopiero od pięciu dni. Rodzice bardzo szybko dostarczyli zdjęcia rentgenowskie zębów chłopca, które zresztą figurowały w bazie danych. Tabor przygotował porównanie.

Taylor przyglądała się im podczas pracy. Tabor kiwał głową i cmokał. Miał twarz pokerzysty, nie dawał po sobie poznać, czy już znalazł pasujące do siebie profile, czy jeszcze nie. Sam zabrała się do roboty papierkowej.

Taylor podeszła do niej.

– Nie wiedziałam, że Kris i Barclay Iles chodzą ze sobą – powiedziała.

Sam zmarszczyła brwi, bo nie lubiła, gdy jej przerywano, i odparła, nie przestając pisać:

– A tak, pochwalili się jakieś dwa miesiące temu.

Zatrudniłszy Ilesa dzięki Kris, sama przyniosła mi jego CV. Jak dla mnie, to on jest nawet zbyt wysoko wykwalifikowany do tej

pracy. Dwa lata studiował medycynę, potem zrezygnował. Trochę się zdenerwowałam, kiedy się dowiedziałam, że są parą, ale wydaje mi się, że nie wpływa to na jakość ich pracy. Pomyślałam, że skoro ty i Baldwin tak dobrze ze sobą współpracujecie, pozwolę sobie nagiąć reguły i przytknąć oko na Kris i Ilesa.

– Posłużyłaś się mną i Baldwinem jako przykładem?

– Pewnie. Bo wiesz, ja i Simon za żadne skarby nie możemy pracować razem. Skręciłabym mu kark, a wtedy by się ze mną rozwiódł. Oboje kochamy mieć ostatnie słowo. Za to wy świetnie się uzupełniacie, tworzycie zgrany zespół, nie wchodzicie sobie w paradę. Podoba mi się to.

Miała rację. Taylor rzeczywiście dobrze się pracowało z Baldwinem. Zresztą tak jak z całym zespołem. Ale w sumie to nic dziwnego. Sama dobierała sobie współpracowników, przezornie kierując się nie tylko kwalifikacjami, ale również cechami charakteru i ogólnym obrazem osobowości, by wspólna praca nie prowadziła do konfliktów. Niemniej jednak Sam słusznie zauważyła, że nie zawsze łatwo pracuje się z ukochaną osobą.

– To on – powiedział Tabor.

– Na sto procent? – spytała Sam.

– Tak. Nie ma żadnych wątpliwości. Zdjęcia idealnie pasują. Przykro mi. Pozwolicie, że robotę papierkową załatwię rano? Natomiast jeśli chcecie, możecie już teraz powiadomić rodzinę. – Spakował się, skinął głową na pożegnanie i wyszedł.

Sam odstawiła herbatę i powiedziała:

– No dobra. Stuart, robieramy go.

Taylor przyglądała się, jak zabierają się do rzeczy. Kiedy zdjęli topielcowi mokrą koszulę, doznała dojmującego poczucia ulgi.

Zadzwoiła do Marcusa. Odebrał po pierwszym sygnale.

– To Schechter? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– Tak. Tabor porównał dane o użębieniu.

– Cholera. W takim razie jadę do jego rodziców. Czy Schechter to jedna z ofiar masakry w Halloween?

– Nie widzę żadnych ran kłutych. Myślę, że śmierć

Schechtera nie ma związku z tamtym wydarzeniem. Nic na to nie wskazuje, aczkolwiek nigdy nic nie wiadomo, sam wiesz. Jadę do domu. Przekaż jego rodzicom, żeby stawili się na identyfikację zwłok około... – spojrzała na Sam, która pokazała dwa razy cztery palce – ...około ósmej rano. Aha, Marcus, kiedy od nich wyjdiesz, pojedź prosto do domu i prześpij się, dobrze? Miałeś bardzo długi dzień.

– Nie da się ukryć. Do zobaczenia jutro.

– Trzymaj się.

– Ach, jeszcze jedno. Taylor, czy już wiadomo, jaka była przyczyna śmierci? Rodzice na pewno będą chcieli wiedzieć.

– Zaczekaj... Sam, jaka przyczyna śmierci?

Sam, która właśnie pomagała Stuartowi umyć ciało, odparła:

– Jeszcze nie wiadomo. Widzę ślady na szyi, więc być może uduszenie, ale dopiero rano będę mogła powiedzieć więcej. Niech gra na zwłokę, przepraszam za wyrażenie.

– Słyszałeś? – spytała Marcusa.

– Tak – mruknął z westchnieniem.

Spotkanie z rodziną, by oficjalnie powiadomić ją o śmierci ukochanej osoby, należało do najbardziej niewdzięcznych zadań policjanta. Nie pomagała nawet obecność wydziałowego kapelana, który według przepisów musiał towarzyszyć funkcjonariuszowi. Kiedy rodzinie przekazywało się najstraszliwsze z możliwych wieści, które zmieniają całe jej życie, było to po prostu druzgocące. Choć w pracy policjanta takie sytuacje były na porządku dziennym, żaden z nich z tym sobie nie radził.

– Powodzenia – powiedziała. – Widzimy się jutro.

Taylor wyszła z kostnicy i rozejrzała się, szukając wzrokiem opiekunów od Price'a. Przysłał mejlem zdjęcia jej nowych aniołów stróżów, żeby przypadkiem nie pomyliła ich z Naśladowcą lub jego ludźmi. Zobaczyła jednego z nich. Czarny cień na rogu budynku zasalutował, po czym rozpląnął się w nocy. Drugiego nie zauważyła. Jeśli Naśladowca się zorientuje... potraktuje ich jak dodatkowe wyzwanie.

Wsiadła do samochodu i zastanowiła się. Spojrzała na

zegarek. Była już prawie północ. Czas wreszcie wrócić do domu. Aniołowie pojedą za nią. Wy tłumaczy Baldwinowi, że przyjechała z własnymi ochroniarzami. Nie będzie się kłócił, bo przecież zadbała o swoje bezpieczeństwo, prawda?

Na ulicach nie było żywej duszy, tylko ona i opiekunowie, którzy jechali za nią w dyskretnej odległości. Wjechała na I-65, skierowała się na południe, a potem skręciła na I-40 i ruszyła na zachód. Zamrugwały do niej światła Nashville. Uwielbiała miasto nocą, przychodziło jej na ratunek jak ład marynarzowi, który zbyt długo przebywa na morzu. Miasto ze swymi światłami odbijającymi się w oknach pustych budynków było jej azylem. Poczwała błogi spokój, na przekór śmierci, która tego dnia zebrała obfite żniwo. Pomyślała o Schechterze.

Martwi nie mieli przed nią tajemnic. Jej pracą, jej misją było dotarcie do prawdy, znalezienie w przeszłości człowieka wskazówki, choćby nawet najdrobniejszej i przez to z pozoru nieistotnej, i podążenie jej tropem do celu. Jakie sekrety skrywał Peter Schechter? Jakie miał grzeszki na sumieniu? Czy zrobił coś albo był świadkiem czegoś, co spowodowało na niego śmierć?

Pentagram... Uparcie powracała do niej myśl, że symbol na drzewie nie był żartem i nie znalazł się tam przypadkowo, lecz był podpowiedzią, wiadomością.

Wyjęła telefon i wystukała numer, którego niedawno nauczyła się na pamięć. Poczwała się trochę głupio, że dzwoni do czarownicy.

Minęło kilka chwil, zanim w słuchawce odezwał się cichy i łagodny kobiecy głos:

– Taylor, jak się masz?

– Dobrze, Ariadne. A ty?

Ariadne nosiła w sobie dziecko poczęte przemocą. Taylor poczuła ciężar odpowiedzialności, ale Ariadne, wyczuwając jej nastrój, pośpieszyła z pocieszeniem:

– Bogini obdarzyła mnie swoją łaską. Jak zawsze. Mamy się dobrze. Bardzo się cieszę, że odnalazłaś swojego sierżanta. Mówiłam ci, że tak będzie. Jak sobie radzisz?

Taylor wyobraziła sobie Ariadne. Siedziała z podwiniętymi nogami na sofie przed kominkiem, w którym strzelały polana, a długie czarne włosy opadały jej na ramiona niczym peleryna. Pragnęła takiego spokoju, jakiego ucieleśnieniem była Ariadne.

– Cieszę się, że Fitz jest bezpieczny. A co do mnie, to cóż, powiedzmy, że ujdzie – odparła Taylor. – Posłuchaj, znalazł się chłopak, który zaginął w Halloween.

– Nie żyje – powiedziała Ariadne i nie było to pytanie. Tak wiele po prostu wiedziała.

– Nie żyje – cicho powtórzyła Taylor. – Na drzewie nieopodal miejsca, w którym wyłowiliśmy ciało, odkryliśmy pentagram namalowany farbą w spreju.

– Czy na ciele były jakieś znaki?

– Nic takiego nie zauważyłam. Wydaje mi się, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim, ale mogę się mylić.

– Nie łudź się, Taylor. Instynkt nigdy cię nie zawodzi.

– Wiesz, że prześladowuje mnie pewien człowiek, morderca. Zastanawiam się, czy w ten sposób nie próbuje zwrócić na siebie uwagi, wywabić mnie.

– Przecież chcesz, żeby to zrobił.

Cholera. Może ten telefon to jednak nie był najlepszy pomysł?

– Posłuchaj, Ariadne, muszę wiedzieć, czy śmierć chłopca jest w jakiś sposób związana z wcześniejszą sprawą.

– Zaczekaj chwilę.

Zapadła cisza, potem Ariadne westchnęła i powiedziała:

– Nie sądzę, żeby był ofiarą masakry w Halloween.

– Też tak myślę. Dziękuję ci. Do zobaczenia wkrótce.

– Taylor?

– Tak?

– Posłuchaj... – W głosie Ariadne pojawiło się wahanie. – Uważaj na siebie. Coś może się na tobie zemścić. Coś... Bo istnieją sytuacje... nieodwracalne.

Czarownica odpływała w świat innym niedostępny. Niesamowite, że przez telefon potrafiła czytać w Taylor jak w

otwartej księdze.

– Będę uważała. Miłej nocy.

– Niech cię Diana błogosławi, siostrze.

Taylor spojrzała na zimny księżyc i się uśmiechnęła. Potem rozłączyła się, odsunęła ostrzeżenie Ariadne na bok i wróciła myślami do sprawy Schechtera.

Chłopak zaginął w piątek, czyli przed pięcioma dniami. Dla Naśladowcy to mnóstwo czasu. Może miał pomocnika, podobnie jak w Nags Head? Coraz bardziej przemawiała do niej teoria, że istnieje gangu zabójców, którzy uczestniczą w chorej grze.

Śmierć Petera Schechtera łatwo powiązać z Naśladowcą. Taylor była gliną, nie wierzyła w zbiegi okoliczności. Pentagram na drzewie obok ciała martwego chłopca to zapewne także nie przypadek. Również tę niewiadomą będzie musiała uwzględnić w równaniu. W końcu Naśladowca był tylko imitátorem.

Ale kiedy naśladował słynnych zabójców, robił to z niebywałą dbałością o szczegóły. To morderstwo może się okazać zupełnie przypadkowe, niezwiązane z pozostałymi.

Biedny Peter Schechter. Niezależnie od tego, w jaki sposób doszło do jego śmierci, nie zasłużył na nią.

W ostatniej chwili zauważyła swój zjazd. Dom... Nagle poczuła, że bardzo pragnie się tam znaleźć. Baldwin pomoże przegnać czającą się w jej duszy ciemność. Nocą ulice były puste, dotarcie na miejsce zajęło jej niecałe dziesięć minut.

Skrećiła na podjazd. W całym domu paliły się światła. Uśmiechnęła się pod nosem. Jasne, że nie poszedł spać. To dobrze. Unosiła się na wzburzonych falach, potrzebowała bezpiecznej przystani. Był nią Baldwin.

Czekał na nią w kuchni. Przywitał ją szerokim uśmiechem i wziął w ramiona.

– Cieszę się, że wróciłaś – powiedział.

– Ja też.

– Zrobiłem rosół. – Zaczął bawić się jej włosami, nadal się uśmiechając.

– Hm... Czuję.

Pocałował ją, najpierw delikatnie, potem namiętnie.

Trafiłam do nieba, pomyślała. Oto wraca do domu, do mężczyzny, którego kocha, w kominku płonie ogień, a w domu czuć kuszący zapach jedzenia. Czy byłaby gotowa zaryzykować to wszystko? Cii, upomniała się w myślach, nie zawracaj sobie tym teraz głowy.

Odwzajemniła pocałunek i objęła Baldwina za szyję. Był od niej wyższy, doskonale do siebie pasowali. Jej myśli powoli oderwały się od ciepłej zupy i podryfowały ku ciepłemu łóżku...

– Nie teraz – powiedział nagle.

– Myślałam, że moglibyśmy... – Przeczesała włosy palcami.

– Później. Najpierw muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Usiądź. – Zaprowadził ją do stołu, poszedł do kuchni, nalał zupę, przyniósł ją, idąc powoli i ostrożnie, żeby nie rozlać, i postawił przed Taylor. – Jedz – polecił.

Nie ośmieliła się sprzeciwić. Czowała, że Baldwin ma w zanadrzu coś ciekawego. Zanurzyła łyżkę w przejrzystym płynie, spróbowała i mruknęła. Ale dobre. Zjadła kilka łyżek, ale ciekawość wzięła górę.

– No powiedz już. Wyglądasz jak siedmiolatek na urodzinach, który nie może się doczekać tortu.

Baldwin uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Wiem, kim on jest.

– Wiesz, kim on jest? – powtórzyła... i dopiero wtedy dotarło do niej, co to oznacza. Zabrakło jej tchu.

Baldwin pokazał notatki z rozmowy z grafologką.

Natychmiast zapomniała o zupie.

7 listopada

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Powtórz.

Kurier z paczką od Wendy Heinz przyjechał o wpół do ósmej rano. Kwadrans później Taylor i Baldwin byli już w drodze. Mieli dotrzeć do Forest City o czternastej miejscowego czasu, w sprzyjających warunkach mogli zaoszczędzić dodatkowe dwadzieścia minut. Baldwin usiadł za kierownicą, a kiedy ruszyli, Taylor przeczytała na głos zawartość teczek przysłanej przez Wendy.

Minęli Knoxville. Niebo miało kolor grafitu. Gonił ich deszcz, który w górach Karoliny Północnej zamieni się w śnieg. Pasma Błękitne przywitało ich, stosownie do nazwy, niewyraźnym horyzontem w kolorze błękitu kobaltowego.

Taylor wróciła do pierwszej strony i zaczęła czytać od nowa:

– Ewan Copeland urodził się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku jako drugi z trzech synów Elizabeth, czyli Betty, jak do niej mówiono, i Rogera. Betty pochodziła z Forest City. Jej ojciec, Edward Biggs, prowadził grillownię, która po jego śmierci przeszła w posiadanie córki. Miała wtedy dziewiętnaście lat. Rogera Copelanda poznała w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku. Grał na trzeciej bazie w Richmond Braves, drużynie satelickiej Atlanta Braves. Pobrali się. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku urodziło im się pierwsze dziecko, które dostało na imię Edward po ojcu Betty. Dwa lata później na świat przyszedł Ewan, a w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku Errol. Dziwne. W materiałach brakuje jakichkolwiek informacji o losach najmłodszego z braci po zakończeniu procesu Betty. Ciekawe, co się z nimi stało.

– Popytamy, zobaczymy. Na pewno ktoś wie.

– Jak to czytam, dostaję gęsiej skórki. On ma swoją przeszłość, życie, nie jest zawieszony w próżni.

– Oczywiście, jak każdy przestępca. Tyle że dowiadujemy się o tym, dopiero kiedy ta przeszłość zamienia się w kocioł wrzącej

nienawiści, z którego zdesperowani zbrodniarze próbują się wyrwać. Oni wszyscy mają swoje korzenie, skądś pochodzą, i wszyscy do pewnego momentu byli niewinnymi istotami, niezależnie od tego, czy urodzili się z morderczymi instynktami, czy też są skutkiem wychowania.

– Ewan Copeland nigdy nie był niewinny – odparła z naciskiem.

Baldwin uważał inaczej, ale powstrzymał się od komentarza. Natura kontra wychowanie. Czy gdyby Ewana urodziła zdrowa matka, dziś byłby normalnym człowiekiem? Może grałby w bejsbol, jak jego ojciec?

Taylor milczała, patrząc za okno, gdzieś w dal. Baldwin dotknął jej dłoni.

– O czym myślisz?

– O tym, że zatrudniłam dwóch ludzi Price’a do ochrony. Nie odstępuję mnie na krok i nie potrzebuję, żeby dodatkowo pilnowali mnie agenci FBI.

Do diabła. Domyślał się tego. Od samego Nashville siedział im na ogonie niebieski sedan jadący cztery samochody dalej. Nawet nie próbowali się ukryć. Taylor wiedziała, że Baldwin nie będzie się wściekał, bo ufa Price’owi jak swoim ludziom.

Manipulatorka...

– Dzięki, że mi o tym mówisz.

– Nie jesteś zły?

– Nie, nie jestem.

– Aha. No to w porządku. Zastanawiam się też, kiedy mi powiesz, co naprawdę wydarzyło się w Quantico.

– Mówiłem ci, że...

– Baldwin, ja wiem.

Pokonywali wyjątkowo ostry i stromy zakręt, toteż Baldwin ścisnął kierownicę tak, że zbieleły mu kostki. Jeszcze chwila i na szarym skórzanym obiciu kierownicy trwale odcisną się jego linie papilarne.

W radiu Sarah McLachlan śpiewała *Angel*. Pasuje na ścieżkę dźwiękową tej naszej wyprawy, pomyślał Baldwin. Oto szansa,

wielki przełom, trop, dzięki któremu być może uda się ostatecznie rozpracować sprawę Naśladowcy.

– Co takiego wiesz? – odezwał się w końcu, powoli cedząc słowa.

Taylor wyłączyła radio.

– Proszę cię, przestań bawić się ze mną w kotka i myszkę. Widziałam list od grafolożki. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego o tym, że zostałeś zawieszony, muszę się dowiadywać od obcych ludzi? I dlaczego ci obcy ludzie wiedzą o tobie coś, czego ja nie wiem?

Odetchnął z ulgą. Z zawieszenia mógł się jakoś wytłumaczyć, ale Charlotte, ale syn... Na ten temat nie był jeszcze gotowy.

– Nie ukrywałem tego przed tobą, po prostu nie chciałem cię martwić. Masz wystarczająco dużo na głowie. Zawieszenie jest tymczasowe, Garrett już pracuje nad tym, żeby przywrócili mnie do służby.

– Bądź łaskaw wyjaśnić mi, za co cię zawiesili. Przecież jesteś pupilkiem biura.

– Wolne żarty! Nie jesteś zła?

– Zaskoczona, że nie uznałeś za stosowne podzielić się ze mną tą informacją.

Ani nie, ani tak. Patrzyła przenikliwym wzrokiem, wbijała w niego zdumione i zbolące spojrzenie szarych oczu. Od trzech godzin tłumila w sobie rozdrażnienie. Poczul się fatalnie. Rzeczywiście powinien był jej powiedzieć.

– Taylor, przecież wiesz, że ci ufam. Zawieszenie naprawdę jest tymczasowe. Próba sił. Pewien agent, Tucker, wziął się na mnie i tyle. To długa historia.

– Mamy mnóstwo czasu. – Machnęła ręką na szeroką wstęgę drogi.

Opowiadanie o śmierci kolegów przed komisją było bolesnym doświadczeniem. Powtórzenie tego kobiecie, którą kochał... Z jednej strony nie był gotowy, a z drugiej czuł, że nie może dłużej tego przeciągać. Związek z Taylor zbyt dużo dla niego

znaczył. Głupio zrobił, że od początku nie był z nią szczery.

Opowiedział jej ze szczegółami o sprawie Harolda Arlena. Wspomniał o tym, jak Arlen wykiwał agentów, uciekając tunelem przez piwnicę. Jak połączył siły z innym pedofilem i prowadził grę w chowanego ciałami małych dziewczynek. Jak Charlotte Douglas podrzuciła materiał dowodowy i zwierzyła się z tego Baldwinowi, a on, niczym ostatni głupiec, nikomu o tym nie powiedział. Jak zaniedbanie, które wypłynęło sześć lat po sprawie, zaprowadziło go przed oblicze komisji dyscyplinarnej.

Taylor słuchała uważnie, nie zadawała pytań, pozwalała Baldwinowi zrzucić ciężar z serca. Nie odezwała się, kiedy łamiącym się głosem opowiadał o strzelaninie, w której zginęło trzech agentów, a także Harold Arlen, którego siódma ofiara przeżyła. Marne, ale zawsze jakieś pocieszenie.

Wcześniej nie rozmawiali o tej sprawie. Taylor wiedziała to i owo, ale Baldwin nigdy nie wchodził w szczegóły, nigdy nie przyznał się, że gdyby wykazał się większą czujnością, owego tragicznego dnia być może nikt by nie zginął. No i zawsze pomijał rolę Charlotte.

Przez chwilę milczała, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Nic nie powiedziała, nie musiała. Poczuli siłę jej przebaczenia... Skrzywił się, bo nie zasługiwał na nie, dopóki cała prawda nie wyjdzie na jaw. Dopóki na stół nie zostaną wyłożone wszystkie karty.

Kilka minut jechali w ciszy, w końcu Taylor powiedziała:

– To nie była twoja wina. Przecież wiesz o tym. Musi być coś jeszcze. Kochanie, znam cię na tyle dobrze, że czuję, kiedy próbujesz coś przede mną ukryć. Po prostu mi powiedz. Wiesz, że możesz mi powiedzieć wszystko, a ja i tak będę cię kochała. Zawsze.

Doskonale go znała. Być może miała rację. Może rzeczywiście nadeszła pora, by wyznać całą prawdę. Ułożył sobie słowa w głowie i pomyślał je, żeby sprawdzić, jak brzmią. „Mam syna. Jego matką była Charlotte”. Odetchnął głęboko i otworzył usta, żeby...

Nagle zadzwonił telefon i chwila przepadła.

– Zaczekaj – mruknął i odebrał, rzucając do słuchawki burkliwie: – Słucham.

– Doktor Baldwin? Nazywam się Buddy Morgan. Jestem szefem policji w Forest City. Rozumiem, że mogę się was dzisiaj spodziewać?

– Witam pana, komendancie. Cieszę się, że pan dzwoni. Jesteśmy już niedaleko. Powinniśmy dotrzeć na miejsce około czternastej.

– Jedliście coś?

– Nie – już pogodniejszym tonem odparł Baldwin. – Wyjechaliśmy z samego rana i nie mieliśmy czasu.

– W takim razie spotkajmy się w drogerii U Smitha. Ja stawiam. Posiedzimy, zjemy coś i pogadamy. Podzielę się z wami tym, co wiem o Copelandach. To długa historia. Mam nadzieję, że wam się nie śpieszy.

– Nie, zostajemy na noc. Zarezerwowałem pokój w Holiday Inn.

– A, to dobrze. W takim razie do zobaczenia wkrótce. – Rozłączył się.

– Szef policji w Forest City zaprasza nas na lunch. W drogerii, wyobraź sobie.

– Urok małych miasteczek.

– Taylor, posłuchaj...

– Nie szkodzi. Jutro czeka nas sześciogodzinny powrót do Nashville. Wtedy mi powiesz.

Telefony komórkowe Taylor i Baldwina częściej traciły, niż łąpały zasięg, który w górach Karoliny Północnej, na granicy stanów, był wyjątkowo niestabilny. Kiedy zasięg wrócił na dobre, komórki zabrzęczały powiadomieniami o nieodebranych połączeniach, więc zajęli się własnymi sprawami. Baldwin poczuł ulgę, jako że uzyskał krótkie odroczenie. Jednak wkrótce prawda musiała wyjść na jaw, czy tego chciał, czy nie.

Przebaczenie to rzecz delikatna. Miał nadzieję, że dla dobra ich obojga Taylor jest do niego zdolna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Przedmieścia Forest City były świadectwem unifikacji miejskiego krajobrazu Ameryki. Przy obwodnicy, z której zjazd prowadził do centrum miasta, stały niezliczone bary szybkiej obsługi – same sieciówki – na zmianę z supermarketami budowlanymi, również należącymi do wielkich sieci. Betonowe centra, wszystkie zbudowane według takiego samego wzoru i przeznaczone dla takiego samego typu klientów. Doskonale bezosobowe. Typowy widok wzdłuż tras przecinających przedmieścia średniej i dużej wielkości miast.

W sercu miasta było zupełnie inaczej, a w odczuciu Taylor dużo lepiej. Z miłym zaskoczeniem stwierdziła, że wzdłuż głównej ulicy działają liczne tradycyjne, przekazywane z ojca na syna sklepiki, a także stare kino, drogeria, o której wspomniał Buddy Morgan, a która z daleka bardziej przypominała kameralną knajpkę, oraz wiele specjalistycznych sklepów, w tym wyglądająca zachęcająco przyklejona do drogerii księgarnia.

Baldwin jechał powoli, a Taylor z uśmiechem przyglądała się porośniętemu drzewami trawnikowi rozdzielającemu pasy ruchu.

– O co chodzi? – spytał Baldwin.

– Wypatruję George’a Bailey’a. Wiesz, bohatera *Tego wspaniałego życia*.

Baldwin przyjrzał się raz jeszcze, a potem wybuchnął śmiechem.

– Faktycznie! Zupełnie jak w Bedford Falls!

– Prawda?

– Szkoda tylko, że film kręcili na planie w wytwórni, a nie w prawdziwym miasteczku. Ten sielski rynek... Zawsze uważałem, że fajnie by było zamieszkać w małym miasteczku. Wiesz, mieć swoje przyzwyczajenia, codziennie jadać śniadanie w tej samej knajpce, wszędzie chodzić piechotą, witać się z ludźmi, których człowiek zna całe życie...

– O nie, to nie dla mnie! – Energicznie potrząsnęła głową. –

Pewnie bym zwariowała. Nashville jest dla mnie wystarczająco małe. Zresztą i tak wszyscy mnie tam znają. – Gdy się zatrzymali, wysiedli i rozejrzeli, dodała w zadumie: – To miejsce jest urocze, nawet do przesady, nie uważasz? Jakoś nie potrafię wyobrazić tu sobie Ewana Copelanda. Uroczo... i do bólu normalnie. Tak, Forest City jest do bólu normalne. Zbyt normalne.

Baldwin zobaczył mężczyznę w mundurze, który stał w drogerii i machał do nich przez szybę.

– O, komendant już czeka. Chodźmy.

Przecisnęli się pomiędzy ukośnie zaparkowanymi autami i weszli do środka, gdzie ujrzeni wyposażenie z czerwonego winylu i lśniącego chromu. Poczuli rozkosznie zniewalający zapach smażonych hamburgerów.

– Witam kolegów z Nashville. – Komendant podał rękę najpierw Baldwinowi, potem Taylor, i zaprosił ich do boksu przy oknie.

Był zadbanym mężczyzną średniego wzrostu i z siwymi włosami. Miał pomarszczoną, ogorzałą twarz, widomy znak, że nie przesiedział całego życia za biurkiem. Taylor dawała mu jakieś pięćdziesiąt pięć lat.

– Po czym pan poznał, że my to my, komendancie? – zapytała z uśmiechem Taylor.

– Po tym, że znam w mieście wszystkich, którzy noszą broń. Poza tym po masakrze w Nags Head pokazywali was we wszystkich wiadomościach. Stróże prawa w Karolinie Północnej przeżywają ciężkie dni. Oby tylko najgorsze było za nami. No, chyba że wasze odwiedziny wywołają kolejną burzę.

– Mamy nadzieję, że nie – odparła Taylor.

– To dobrze. Jakoś nie jestem w nastroju do uganiania się za złoczyńcami. – Uśmiechnął się szeroko. Po prawej stronie brakowało mu trzonowca. Wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki. Taylor od razu go polubiła.

Usiedli w boksie. Podeszła młoda kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. W lewej brwi nosiła srebrny kolczyk, a włosy miała ufarbowane na czerwono. Henna albo jakaś tania farba, pomyślała

Taylor. Kolor pasował do kremowej, bladej skóry i brązowych oczu dziewczyny.

– Mają tu dobre bułeczki. Hamburgery też niczego sobie – powiedział Morgan.

Kiszki Taylor zagrały marsza. Dopiero teraz sobie uświadomiła, że od rana nic nie jadła, bo po drodze nigdzie się nie zatrzymywali.

– Poproszę hamburgera, dobrze wysmażonego, z serem i frytkami. I dietetyczną colę.

– Może być pepsi? – spytała kelnerka.

– Jeśli nie ma nic innego, to tak.

– No nie ma. A dla pana?

– To samo – odparł Baldwin, składając nieduże papierowe menu i odkładając je na miejsce obok stojaka na serwetki.

– Weźmiemy trzy hamburgery, Amy. Do mojego dodaj, proszę, dodatkowy gruby plaster boczku.

Kelnerka skinęła głową i odeszła. Morgan śledził ją wzrokiem.

– Rodzina Amy prowadzi tę drogerię już od ponad stu lat. I jak przed wiekiem można tu kupić kosmetyki, środki czystości, podstawowe medykamenty, a także nieźle sobie podjąć. Na ścianie za tamtym rzędem stolików, po drodze do toalety, możecie obejrzeć mural przedstawiający główną ulicę Forest City w tamtych czasach. Same staroświeckie szyldy. Przez lata sporo się zmieniło, ale kilka miejsc przetrwało. Przyjechali spece z ochrony zabytków, pokazali, co trzeba zachować, a czego nie, po czym załatwili fundusze z kasy hrabstwa i stanu na utrzymanie budynków. Na przykład ta księgarnia po sąsiedzku... Kapitalnie ją odrestaurowali, prawda? To najwyższy budynek w mieście. – Złożył ręce na piersi. – No, ale nie przyjechaliście rozmawiać o zabytkach. Chodzi wam o Copelandów.

Taylor usłyszała w jego głosie mieszaninę odrazy i smutku. Przygotowała się na ponurą historię, którą komendant zaraz im opowie. Nie będzie to historia grzeczna i pozytywna, lecz dołująca. Mieli nadzieję poznać źródło dręczącego ich od dłuższego czasu

koszmaru. Taylor odruchowo przełknęła i poczuła, że ma suche usta. Szczęśliwie właśnie przyszła Amy i przyniosła napoje. Taylor włożyła słomkę do styropianowego kubka i pociągnęła spory łyk, ignorując chemiczny posmak pepsi.

Morgan przeciągnął palcami po nasadzie nosa, zastanawiając się, od czego zacząć.

– Elizabeth Biggs Copeland już od najmłodszych lat była dziewczyną z problemami. Jak to się u nas na wsi mówi, była delikatna, czyli po prostu szurnięta i na dodatek wiecznie pełna żółci. Wszyscy się jej bali, zwłaszcza my, którzy chodziliśmy z nią do klasy. Możecie sobie wyobrazić, co mówiliśmy o Betty Biggs za jej plecami.

– Świetnie ją sobie wyobrażam – mruknęła Taylor.

– No właśnie... Nie była z gruntu zła, nie, po prostu przydarzały się jej różne... rzeczy. Na przykład ginęły koty, po czym właściciele zwierzaków znajdowali je martwe na swojej posesji. Betty podejrzewano też o podpalenia. Zaczęło się niewinnie, od koszów na śmieci, ale kiedy podrosła... – Pokręcił głową. – W środku nocy spłonęły do szczętu domy dwóch kolegów Betty. Za pierwszym razem miała zaledwie osiem lat, a w płonącym domu szczęśliwie nikogo nie było. Za drugim Betty miała cztery lata więcej, a w pożarze zginęła dziewczynka o imieniu Tabitha i jej ukochany pies. Tego dnia, kiedy to się stało, w szkole Betty pokłóciła się z nią. Niestety nie pamiętam już, o co poszło. Pewnie o jakiegoś chłopaka. Nastoletnią Betty łączyły, nazwijmy to, intensywne relacje z płcią przeciwną.

Baldwin pochylił się nad stołem i spytał:

– Mówi pan, że ją podejrzewano. Nie postawiono jej zarzutów?

– Nie, ponieważ nie istniały dowody wiążące ją z podpaleniami. Przede mną komendantem tutejszej policji był mój ojciec, a wcześniej jego ojciec. Byli dobrymi policjantami, ale nie dysponowali nowoczesnymi technikami zbierania materiałów. Musieli polegać na zeznaniach świadków, w dodatku świadków mało wiarygodnych, bo przecież po pierwsze, byliśmy dziećmi,

które śmiertelnie bały się kłopotów, a po drugie, Betty budziła w nas przerażenie. Byliśmy przekonani, że jeśli piśniemy choćby słówko, to obedrze nas ze skóry. Zasadniczo nie mieliśmy styczności z przemocą, inaczej niż dzieci w mieście. Obecnie przestępczość w Forest City sprowadza się głównie do narkotyków. Wiecie, jak to jest, młodzież z nudów upala się, kiedy tylko może. Ale w tamtych czasach, proszę mi wierzyć, prawie nikt nie łamał prawa, a jeżeli już, były to raczej drobne przewinienia. Oskarżać młodą dziewczynę o to, że zamordowała swoją przyjaciółkę? Nie, to było nie do pomyślenia.

– To znaczy, że sprawę zamieciono pod dywan? – upewniła się Taylor.

– Niezupełnie. Po podpaleniach ludzie zaczęli omijać Betty szerokim łukiem, a rodzina Tabithy wyprowadziła się. O sprawie rozmawiało się szeptem. Niemniej jednak to zdarzenie chyba porządnie wstrząsnęło Betty, bo jakby się uspokoiła, a wokół niej prawie nie dochodziło już do dziwnych zdarzeń. Skończyła liceum bez kolejnych podejrzanych wypadków na koncie. W ostatniej klasie zaczęła spotykać się ze starszym od niej o dwa lata Rogerem Copelandem. Był też lokalną gwiazdą sportu. Grał w Minor League, miał widoki na awans do Major League. Kluby się o niego starały, bo był naprawdę świetnym graczem. Nie mam pojęcia, co takiego zobaczył w Betty, która miała opinię puszczałskiej. Była niebrzydka, owszem, ale jakaś taka pusta, wiecznie nieobecna. I miała w spojrzeniu coś, od czego przechodziły mnie ciarki.

– To też mogę sobie wyobrazić – mruknęła Taylor.

– Betty zaszła w ciążę tuż po zakończeniu nauki. Pobrali się, urodziła Edwarda, potem Ewana i na koniec Errola. Wydawało się, że w rodzinie wszystko jest w porządku. Ot, pozory... Rodzice Betty leżeli już w grobie, restauracja przynosiła niezłe zyski, Betty sprawiała wrażenie dobrej matki. Nie dało się jednak nie zauważyć, że wszyscy trzej chłopcy byli chorowici. Wiecznie coś im dolegało i nie były to typowe choroby wieku dziecięcego, jak na przykład ospa wietrzna, ale dużo poważniejsze dolegliwości. Jeździli po szpitalach na jakieś tajemnicze operacje albo

przechodzili drogie badania na choroby, o których nikt nigdy nie słyszał. Powiem wam szczerze, że w życiu czegoś takiego nie widziałem. No, ale Betty nie robiła nic złego. Na pierwszy rzut oka naprawdę wszystko grało.

Morgan zamilkł. Kelnerka doskonale wyczuła moment i zjawiała się z talerzami. Zabrali się do jedzenia. Taylor musiała przyznać, że hamburgery rzeczywiście były wyborne, soczyste i odpowiednio doprawione, a cienkie frytki idealnie chrupiące, takie jak lubiła.

Baldwin wytarł usta serwetką.

– Świetny wybór, panie komendancie.

– Cieszę się, że smakuje. – Położył na talerzu zjedzonego do połowy hamburgera. – Na czym to ja skończyłem? Ach tak, dzieciaki Betty wiecznie chorowały, a kariera sportowa Rogera nie układała się po jego myśli. Powtarzano mu, że jeszcze nie teraz, że jego czas wkrótce nadejdzie, ale wiecie, jak to jest: obietniki cacanki, a głupiemu radość. Popijał w samotności, spiknął się z barmanką, Stephanie Sugarman, i zrobił jej dziecko. Kiedy Betty się dowiedziała, wpadła w szal. Kompletnie jej odbiło. Zaczęła grozić Stephanie i Rogerowi. Publicznie prała rodzinne brudy, zrobiła z tego całe przedstawienie. Roger skorzystał z okazji, że rozpoczynał się sezon. Po miesiącu od rozpoczęcia rozgrywek został obrońcą trzeciej bazy w drużynie Braves, to była ta jego wielka szansa, by się wybić, i całe miasto było z niego dumne. Więc jak już powiedziałem, skorzystał z okazji i się zmył, zostawiając Stephanie, Betty i chłopców. – Ugryzł hamburgera i dokładnie wytarł usta, zanim podjął opowieść. – Betty naturalnie nie zamierzała pozwolić, by coś takiego jak kariera męża przeszkodziło jej w osiągnięciu celu. Zadręczyła go niemal na śmierć. Słała listy, dzwoniła, jeździła na mecze do Atlanty i urządziła sceny. W końcu Roger musiał wystąpić o sądowy zakaz zbliżania się dla Betty i poprosił prawnika o przygotowanie dokumentów rozwodowych. Mówiło się, że chce poślubić Stephanie. Nie było mu dane.

Znów przerwał na moment, a Taylor i Baldwin siedzieli w

milczeniu. Obraz psychologiczny Betty został jasno zarysowany, w kryminalistyce jest takich na pęczki.

– Betty nie poddawała się łatwo – podjął Morgan. – Nie powstrzymał jej ani zakaz, ani areszt, do którego trafiła po złamaniu zakazu. Wróciła do dawnych przyzwyczajęń i ze złości spaliła dom Stephanie, która pracowała wtedy w barze Point and Shoot i wyłącznie szczęściu może zawdzięczać to, że nie zginęła w pożarze. Owego dnia miała zostać w domu, ale zmieniła plany, ponieważ jedna z barmanek się rozchorowała i szef poprosił Stephanie o zastąpienie koleżanki.

– Co się działo z chłopcami przez cały ten czas? – zapytał Baldwin.

– Chorowali jak zawsze, a nawet bardziej. Pamiętam, że raz moja mama poszła zaopiekować się Edwardem i Ewanem, tuż przed śmiercią tego pierwszego. Obaj nabawili się zapalenia płuc, a Betty siedziała w ciupie. Ktoś ze szkoły zadzwonił do mojego taty i powiedział mu o chłopcach. W tamtych czasach nie mieliśmy rozwiniętej opieki społecznej, polegało się głównie na życzliwości sąsiadów albo znajomych z organizacji kościelnych. Copelandowie nie mieli pieniędzy na szpital. Betty sprzedała grillownię i wydała wszystko na opiekę medyczną. Moja mama zajęła się chłopcami. Ewan wyzdrowiał, ale Edward zmarł po tygodniu. Lekarz powiedział, że miał wyniszczony organizm, który nie poradził sobie z wirusem. Mama się załamała. Pamiętam, że kiedy Edward umarł, wylała rzekę łez.

– Czy to możliwe, że Ewan był odpowiedzialny za śmierć brata?

– Raczej nie, chyba że go specjalnie zaraził. Ale nic o tym nie wiem. Sekcja zwłok wykazała obecność płynu w płucach Edwarda, jak gdyby się utopił. – Gdy Baldwin uniósł brwi, komendant pokręcił głową i dodał: – Nie sądzę, żeby to było możliwe. Moja mama była przy nich przez cały czas i na pewno by zauważyła, gdyby coś działo się nie tak. Obaj byli bardzo słabi.

– Rozumiem. Proszę mówić dalej.

– Mama powiedziała, że chłopcy mieli blizny po operacjach,

a ich brzuchy wyglądały jak sieci. Najmłodszy, Errol, chudy jak szczapa anorektyk, ważył około trzydziestu pięciu kilogramów. Umieścili go w szpitalu psychiatrycznym, co prawdopodobnie ocaliło mu życie. Natomiast Betty oszalała, kiedy się dowiedziała o Edwardzie. Dostała przepustkę na pogrzeb syna, ale miała do odsiedzenia jeszcze dwa miesiące, więc na cmentarz przywieźli ją w kajdankach. Biedny Roger prawie spalił się ze wstydu. Obwiniął ją o śmierć ich dziecka, to oczywiste. Wywiązała się pyskówka, rzucili się sobie do gardeł, trzeba było ich rozdzielić. Okropna historia.

– Horror w uroczym miasteczku – cicho skomentowała Taylor.

– Lepiej bym tego nie ujął – mruknął Morgan. – Kiedy Betty wyszła z więzienia, od razu pojechała do Atlanty. To było tuż przed końcem sezonu. Była wściekła. Zaczekała, aż Roger opuści stadion po treningu, i strzeliła do niego z bliskiej odległości. Nie miał najmniejszych szans, zginął na miejscu, a Betty uciekła. Z początku nie było wiadomo, kto zabił Rogera, jednak policjanci z Atlanty dotarli do nagrania z monitoringu w pobliżu stadionu, na którym widać biegnącą Betty dwie minuty po zdarzeniu. Znaleźli ją w podłym motelu na peryferiach miasta. Nadal miała przy sobie broń. Oczywiście wsadzili ją za kraty. Tym razem trafiła tam na dobre. Proces trwał zaledwie dwa dni, sprawa była prosta jak drut. Z początku oskarżenie domagało się kary śmierci, ale w końcu prokurator okręgowy przystał na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Pewnie wiedział, że gdyby obrona się odwołała, sąd kolejnej instancji mógł uznać Betty za niepoczytalną. Sędzia zgodził się na ugodę między stronami i skazał Betty na sto kilka lat, czyli faktycznie na dożywocie. Zamknęli ją w więzieniu stanowym w Atlancie, gdzie trzymają skazańców z zaburzeniami psychicznymi. – Zanurzył kilka frytek w keczupie i zjadł je.

Taylor cierpliwie czekała, aż przełknie, a potem spytała:

– Co się stało z Ewanem i Errolem?

Nie odpowiedział od razu. Przekrzywił głowę na prawo, potem na lewo i cicho stęknął, najwyraźniej ucieszony tym, że

gimnastyce karku towarzyszyło głośne strzelanie kręgów. Wyjął wykałaczkę z przedniej kieszeni munduru i włożył ją do ust.

– No więc – odezwał się po chwili – chłopcy zostali w Forest City. Ewan miał czternaście lat, kiedy matka trafiła do zakładu. Errola wypisano ze szpitala, ale choć dobrze go tam odżywili, nadal wyglądał jak chuchro. Edward był najstarszy z trójki i kiedy umarł, nie było komu zająć się pozostałą dwójką. Ewan i Errol znaleźli się pod opieką kuratora stanowego. Errol był niezwykle delikatnym dzieckiem, toteż nie wytrzymał długo i zabił się niespełna rok później. Pogotowie opiekuńcze, do którego trafili, było przygnębiającym miejscem, pełnym niechcianych, odrzuconych dzieci. Dyrektor pogotowia przypadkiem znalazł Errola, gdy wisiał na drążku w szafie. Nie żył od ponad doby. Chłopak zniknął i nikt nie zainteresował się jego losem. Żadnych poszukiwań, nic. Mógłby tam wisieć jeszcze długo.

– Biedaczyna. Zabił go rozpad rodziny. To się często zdarza przy zespole Münchhausena. Ofiary nie potrafią znieść piętna wstydu – powiedział Baldwin. – Chyba że do śmierci brata przyłożył się Ewan...

– Tego nie wiem. Errol miał ciężką depresję. Po co Ewan miałby go zabijać? Albo Edwarda? Dla nas to był ogromny szok.

– Jesteśmy przekonani, że mordercze skłonności Ewana objawiły się dość wcześnie. Kiedy był nastolatkiem, uwielbiał innym zadawać ból. Zamordowanie rodzeństwa pasowałoby do jego profilu.

– Tak, rozumiem – odparł Morgan. – Ale to jeszcze nie wszystko. Z trójki braci został tylko Ewan. Sprawiał wrażenie grzecznego chłopca, lecz to tylko powierzchowna opinia, pozory. Nie był głupi, dobrze sobie radził z komputerami, posłusznie chodził do szkoły i unikał kłopotów, ale coś z nim było nie tak. Miał w sobie jakieś skrzywienie. Zachowywał się, jakby na coś czekał, jakby trwał przyczajony niczym wąż przed atakiem. Miałem kiedyś boa dusiciela. Cwana bestia. Potrafił długo pozostawać bez ruchu, pozwalał myszy skakać po sobie, usypiał jej czujność, i dopiero kiedy myszy wydawało się, że jest

bezpieczna, wąż atakował. Tak samo było z Ewanem Copelandem. Czekał na właściwy moment. Robił z nas durniów, patentowanych durniów.

– Już jako dzieciak zrobił coś szczególnego, co wyszło na jaw? – Taylor była przekonana, że zaraz usłyszy kolejną przerażającą opowieść.

– Kiedy miał szesnaście lat, zgwałcił jedną z dziewczynek w pogotowiu opiekuńczym. Był to gwałt ze szczególnym okrucieństwem. Pociął jej brzuch nożem. Trafił do poprawczaka, z którego zwolnili go, kiedy skończył osiemnaście lat. Potem zniknął i ślad po nim zaginął. Cisza. Aż do teraz.

– Aż do teraz – powtórzyła Taylor i odsunęła od siebie talerz. Historia rzeczywiście smutna i ponura, ale jakoś nie było jej żal człowieka, który prześladował ją jak najgorszy koszmar.

– Brutalny gwałt idealnie pasuje do jego profilu. Czy to jedyne jego przestępstwo, po którym został ślad w papierach? – zapytał Baldwin.

– Tak. – Komendant podał mu teczkę z dokumentami. – Tylko tyle udało mi się znaleźć. Nie dajcie mi zbyt wiele czasu.

Taylor wzięła teczkę, położyła ją na stole pomiędzy sobą a Baldwinem i otworzyła. Teczka była cienka, ale przynajmniej zawierała zdjęcie Ewana Copelanda. Taylor podniosła je do światła, by dobrze się przyjrzeć. Widniał na nim młody człowiek. Miał brązowe włosy, niebieskie oczy i chudy podbródek. Jego twarz nic jej nie mówiła. Spróbowała w myślach postarzyć chłopaka z fotografii, oczami wyobraźni ujrzała pełniejsze policzki i zarost. Nie, to na nic, niech zajmą się tym specjaliści. Młody Ewan Copeland w niczym nie przypominał mężczyzny, którego rok wcześniej widziała w Nashville w barze Control. I w żaden sposób nie przypominał postaci z portretu pamięciowego.

Poczuła się zawiedziona, ale szybko pozbyła się tego uczucia. To, że dysponują nazwiskiem i historią podejrzanego, nie oznacza, że zaraz wszystko elegancko złoży się w całość. Byłoby zbyt prosto, a w przypadku Naśladowcy nic nie jest proste.

– A co z Betty? Chciałbym z nią porozmawiać, o ile to

możliwe – powiedział Baldwin.

– Przykro mi. Umarła.

– Szkoda. Co ją zabiło?

– Rak piersi, jak u matki. Zmarła pół roku temu. W gazecie ukazał się nekrolog.

Opowieść komendanta zajęła prawie godzinę. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Zimą dni w górach bywają krótsze niż na nizinach. Taylor chciała wyjść, pojeździć po mieście, chłonąć atmosferę miejsca, w którym wychował się Naśladowca... nie, wróc, Ewan Copeland.

Baldwin to wyczuł.

– Komendancie, chciałbym panu bardzo podziękować za to, że zechciał pan przybliżyć nam tę historię. Zanim pojedziemy do hotelu, chcielibyśmy rozejrzeć się po mieście.

– Oczywiście. Jeśli będę mógł wam jeszcze jakoś pomóc, to dzwońcie. Dziś w nocy mam służbę. Teczkę zatrzymajcie, to kopia, oryginał jest u mnie. Jeżeli zgłodniejecie, polecam nowo otwartą restaurację z grillem, niecałe półtora kilometra stąd. – Pokazał palcem w prawo.

– Dziękujemy.

Wstali i zaczęli się ubierać. Kiedy Baldwin pomagał Taylor włożyć kurtkę, Taylor zauważyła, że Amy stała w kącie i cała roześmiania rozmawiała z pomocnikiem kelnera. Przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Komendancie – odezwała się – a co się stało ze Stephanie Sugarman?

– Teraz nazywa się Anderson. Urodziła dziecko Rogera, dziewczynkę, i rok później wyszła za właściciela Point and Shoot. Dorobili się niezłej gromadki, mają nawet wnuki.

– Czyli nadal mieszka w Forest City?

– Tak, i nawet dość blisko, kawałek na północ, na prawo od posterunku. Ma ładny dom, największy w okolicy, trudno go nie zauważyć. Dwa piętra, czerwona cegła, brązowe okiennice, duża biała weranda. Kto wie, może Stephanie akurat jest w domu?

Popołudniami opiekuje się wnukami.

– A jej córka?

– Ma na imię Ruth. Bardzo miła dziewczyna, teraz już kobieta, rzecz jasna. Nie mieszka w Forest City, ale czasem wpada z wizytą. Wie pani, jak to jest, kiedy dzieci dorosną.

– Rozumiem, że Point and Shoot dobrze prosperuje? – spytał Baldwin.

– Nawet bardzo dobrze. Współpraca doskonale nam się układa: bar zarabia na gościach, a ja zgarniam tych, którzy zaczynają się tłuc na parkingu. Nic wam tu nie grozi.

Pożegnali się, a Taylor odprowadziła komendanta wzrokiem. Wolnym krokiem poszedł do radiowozu, po drodze witając się z parą, która chwilę wcześniej wyszła z księgarni.

Ależ historia, pomyślała, ale nie czuła się zaskoczona. Było dla niej oczywiste, że Naśladowca musi mieć swoją mitologię, swój mit założycielski, z którego się wziął. Nie mógł przecież być zwyczajnym szaleńcem, pospolitym popaprańcem. O nie, do szaleństwa musiała go doprowadzić chora psychicznie matka. I to był właśnie ten mit założycielski, który przekona każdy sąd. A poza tym doskonale pasował do profilu Naśladowcy.

Wiedziała, że wbrew temu, co mówił Baldwin, Naśladowca nigdy nie był niewinnym dzieckiem.

– Cienka ta teczuszka – zauważył Baldwin.

– Ano. Przydałoby się zebrać więcej informacji.

– Porozmawiajmy ze Stephanie Anderson, może pojawi się coś nowego. Dam znać swoim ludziom, czego się dowiedzieliśmy.

– Okej.

Poszli do auta. Taylor rozglądała się, patrzyła na przechodniów, na samochody, na sklepy przy głównej ulicy. Czy wiedzieli, że w tym mieście mieszkało zło? Co zrobi Naśladowca, kiedy się dowie, że policja i FBI znają jego przeszłość?

Miał przyrodnią siostrę. Rodzeństwo... Boże, przecież Ruth Anderson mogła być jego kolejnym celem!

Aż ugięły się pod nią kolana, kiedy to sobie uświadomiła. Koniecznie musieli odnaleźć Ruth.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Do: troy14@ncr.tr.com

Od: bostonboy@ncr.bb.com

Temat: Indianapolis

Troyu, to było nieprzyzwoicie proste. Liczę, że masz dla mnie trudniejsze wyzwania.

BB

Musiał przyznać, że stek był dobry. Atmosfera w St. Elmo Steak House, gdzie podawano najlepszy koktajl z krewetek, też niczego sobie. Przytulnie, ciepło, ściany z gołych cegieł. Lubił cegły. Podobała mu się kelnerka, która paradowała po sali na wysokich obcasach i rzucała figlarne spojrzenie, ilekroć przechodziła obok. Blond włosy, brązowe oczy. Obcisła czarna spódniczka i zapinane na guziki body. Miał kiedyś dziewczynę, która chodziła w takich wdziankach. Rozpinały się na cipie. Łatwy dostęp. Nie musiała się nawet rozbierać, kiedy opierał ją o ścianę i posuwał.

Napił się wyśmienitego bordo i westchnął. Kelnerka nie należała do tej gry. Będzie musiała poczekać na swoją kolej. W Indianapolis już załatwił, co miał do załatwienia. Zabił kobietę o imieniu Mary Jane. Słodką Mary Jane Solomon. Ładniutką, prostą dziewczynę. Zawiązał jej kokardkę. Podrapała go jak wściekła kocica, rozorała całe ramię, ale zanim wyszedł, wyczyścił jej paznokcie szczoteczką do zębów, a potem, przed wyjściem na kolację, przebrał się w koszulę z długim rękawem. Uniform UPS pobrudził krwią, więc musiał go spalić. Wypędził demona DNA (czyli DemoNA! – uradował się w duchu ze swego żartu), no więc wypędził go ogniem i pastą do zębów. Gliniarze z Indianapolis znajdują nagiego kuriera i pomyślą, że ktoś ma osobliwy fetysz.

Uśmiechnął się pod nosem. Oczy Mary Jane zapłonęły, kiedy stanął w drzwiach. Rzadko dostawała przesyłki, mieszkała sama i miała niewielu znajomych. Z wyboru, tak, tak, oczywiście. Ładniutka, nieskomplikowana, koszmarnie nieśmiała. Sssię

jająkała, biedactwo. Zadzwoił do drzwi Mary Jane i zmienił jej życie. W śmierć.

Jeszcze jeden kęs mięsa. Było pyszne, rozpływało się w ustach. Po brodzie ciekła mu tłusta strużka. Lubił, kiedy stek pływał w maśle – tak mu go podawała mamusia – bo wtedy stawał się soczysty.

Zerknął na zegarek. Dopiero dwudziesta druga. W Nashville miał się stawić w południe następnego dnia. Trochę wyprzedzał plan. Miał czas na deser i flirt z kelnerką. Może zdobędzie jej numer telefonu albo adres mejlowy, albo, o ile naprawdę mu się poszczęści, dziewczyna wyjmie smartfona i doda go do znajomych na Facebooku. Mając numer telefonu, bez trudu namierzy adres domowy. Mając adres mejlowy, będzie mógł śledzić jej poczynania w sieci. Ale jeżeli znajdzie się wśród jej znajomych na fejsie, to tak jakby wsadził łapę w jej majtki. Te głupiutkie dziewczątka na swoich profilach umieszczają wszystkie informacje o sobie: datę urodzin, półnagie zdjęcia robione na bani i tak dalej. Po prostu ogłaszają wszem wobec, gdzie są i co robią. Same się proszą. Uwielbiał nowoczesne technologie, bo znacznie ułatwiały robotę.

Pokazał kelnerce, że prosi o rachunek. Pora na ostatni etap gry. Pora na wielką wygraną. Miał ochotę na spokojną noc. Chciał już wrócić do domu, ale po drodze trochę pokraży po Indianapolis i zaprosi jakieś dziewczę na... randkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Komendant mówił prawdę. Nie dało się nie zauważyć domu Andersonów. Był imponująco wielki, zbudowany w typowo południowym stylu, wyglądał niczym wielki dom dla lalek. Na podwórzu stały trójkołowe rowerki, wałały się zabawki i rękawiczki, a jakiś mały chłopiec zaparkował autko na baterie przed samymi drzwiami. Słysząc było śmiech i radosne okrzyki, od których Taylor zakręciło się w głowie. Kiedy ostatni raz czuła się tak beztroska i niewinna jak te dzieci? Tak szczęśliwa?

Gdy zatrzymali się przed budynkiem, zza rogu wybiegła grupa chłopców. Bawili się w kowbojów i Indian.

Taylor się uśmiechnęła. Uwielbiała dzieci, choć raczej cudze.

Wysiedli z auta i podeszli do drzwi. Jeden z chłopców, świński blondyn z jasnoniebieskimi oczami, zatrzymał się i zmierzył ich spojrzeniem. Kiedy Taylor posłała mu szeroki uśmiech, pokazał język i pobiegł za dom.

– Urocze – skwitowała.

– Jak to chłopcy – stwierdził Baldwin.

Dosłyszała w jego głosie osobliwą nutkę. Popatrzyła pytająco. Wyglądał na zamyślonego. Od dwóch dni zachowywał się dziwnie, a Taylor była pewna, że nie miało to nic wspólnego z zawieszeniem, co wcale jej nie uspokajało, wręcz przeciwnie. Był taki moment, kiedy w samochodzie spojrział na nią kątem oka, a jej przemknęło przez głowę: „Może ma romans?”. Tyle że to głupia myśl, bo Baldwin nie należał do facetów, którzy potrafią prowadzić podwójne życie. Ale z całą pewnością coś było na rzeczy, choć Taylor na razie odpuściła, bo mieli inne, poważniejsze zmartwienia na głowie. Uznała, że kiedy Baldwin będzie gotowy, wtedy na pewno ze wszystkiego się wypowiada.

Weszli na ganek i zapukali do drzwi. Taylor poczuła zapach palonego w kominku drewna i nagle zrobiło jej się zimno. Włożyła dłonie pod pachy. Podczas lunchu z komendantem Morganem mogła poprosić kelnerkę o kubek gorącej herbaty albo czekolady

na wynos.

Otworzyła kobieta o ciemnobrązowych włosach przetykanych siwymi pasemkami. Trudno było jednoznacznie określić jej wiek, mogła mieć od czterdziestu do sześćdziesięciu lat. Wokół oczu miała kurze łapki. Jej twarz złobiły głębokie zmarszczki, od górnej wargi biegnące pionowo w równych rzędach. Był to stygmat wieloletniej palaczki. Taylor w myślach pogratulowała sobie, że rok temu odstawiła papierosy, między innymi właśnie dlatego, że wyobraziła sobie, jak będzie wyglądała ze zmarszczkami.

– Pani Anderson? Stephanie Anderson? – spytała.

– Tak, to ja – odparła z uśmiechem. – W czym mogę państwu pomóc?

Otwarta, prostolinijna. Może pomysł z zamieszkaniem w małym miasteczku jednak nie był taki zły. Taylor wyjęła odznakę, Baldwin pokazał swoją.

– Porucznik Taylor Jackson z policji w Nashville. Agent John Baldwin z FBI. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. Czy możemy wejść?

Uśmiech zniknął z twarzy Stephanie Anderson. Zawahała się, ale po chwili powiedziała:

– A o co chodzi, jeśli można wiedzieć?

Baldwin przełączył się na tryb uprzejmego, czarującego agenta federalnego.

– Zbieramy informacje o jednym z byłych mieszkańców Forest City. Obiecuję, że nie zajmiemy pani dużo czasu.

Anderson zmrużyła oczy, ale otworzyła przed nimi drzwi.

– W takim razie zapraszam do środka. Właśnie przygotowuję dzieciom kolację. Pozwolicie państwo, że będę odpowiadała na pytania, krzątając się w kuchni.

Poszli za nią do ciepłej, zachęcającej, typowo wiejskiej kuchni. Były tu dębowe przeszklone szafki, tapeta w różyczki, falbaniaste zasłony, w kącie stał sporej wielkości piec. Taylor od razu do niego podeszła i grzejąc sobie ręce, stwierdziła:

– O, jak przyjemnie.

Anderson zmarszczyła brwi i powiedziała, nie kryjąc niepokoju:

– Ma pani czerwony nos. Nie wiedziałam, że zrobiło się aż tak zimno. A mieliśmy takie ładne popołudnie. Dzięki piecowi w kuchni jest ciepło. Wie pani, jak to jest z dziećmi. Lubią bawić się na chłodzie, przychodzą, żeby się ogrzać, i znowu biegiem na dwór. Może powinnam je zawołać, bo się poprzeziębują?

Kiedy Taylor była dzieckiem, zimy w Nashville z reguły były bardzo śnieżne. Wraz z Sam godzinami zjeżdżały na sankach, a po zabawie ewakuowały się do domu jednej z nich, piły gorące kakao i tajały. Poczują tęsknotę za dawnymi czasami, ale szybko wzięła się w garść.

– Może jednak zechciałaby pani chwilę poczekać? Lepiej nam się będzie rozmawiało w spokoju, bez dzieci.

– Ach, oczywiście. Rozumiem. – Anderson podeszła do kuchenki i zdjęła pokrywkę z kamionkowego garnka.

Buchnęła para, a Anderson zamieszała drewnianą łyżką. Taylor poczuła zapach chili. Zaburczało jej w brzuchu, choć niedawno zjadła obfity posiłek. Ale uwielbiała dobre chili.

Anderson rozgadała się o chłopcach, swoich wnukach, rozpluwając się nad ich zaletami. Baldwin oglądał wiszące na ścianie zdjęcia, które pokazywała palcem, i kiwał głową ze zrozumieniem. Cóż, gospodyni grała na zwłokę, ale była to zwykła strata czasu. Pora zburzyć tę sielanekę.

Taylor usiadła na stołku przy blacie i powiedziała:

– Wyjaśnię pani, po co tak naprawdę tu się zjawiliśmy. Chcemy porozmawiać o Rogerze Copelandzie.

Anderson zastygła, tylko jak automat poruszała dłonią, w której trzymała łyżkę, i nadal mieszała w garnku. Dwukrotnie pociągnęła nosem, po czym wyjęła łyżkę z garnka, ostukała ją i starannie odłożyła na ceramiczną podstawkę w kształcie kalafiora. Odrobina chili kapnęła na nieskazitelnie biały blat. Plamka czerwonego sosu wyglądała jak krew.

– Roger od dawna nie żyje – powiedziała cicho i łagodnie.

– Wiemy o tym. Przykro nam, że zmuszamy panią do czegoś,

co z pewnością budzi złe wspomnienia.

– Ależ to są dobre wspomnienia – powiedziała z uśmiechem.
– Bardzo kochałam Rogera, wprost bez pamięci. I on kochał mnie. To straszne, co go spotkało z rąk tej kobiety.

– Betty Copeland – dopowiedziała Taylor.

– Tak, Betty... Wredna i szalona. Roger mówił, że go omotała, rzuciła na niego jakieś zaklęcie, a kiedy się ocknął, było już za późno. Trzech synów, świrnięta żona, sypiąca się kariera. Często wyjeżdżał, to mu pomagało. Kiedy się poznaliśmy, pragnął od niej odejść, tyle że nie wiedział, jak to zrobić. Bał się jej, i okazało się, że słusznie.

Taylor zerknęła na Baldwina, który uniósł brwi. Coś w tym jest, mówiło jego spojrzenie, a ona się z tym zgadzała. Milczeli, patrząc, jak zamyślona Anderson zagryza wargę. W końcu na jej ustach pojawił się pełen ciepła uśmiech.

– Przynajmniej mam Ruth, ona mi go przypomina. Oczywiście nigdy bym o nim nie zapomniała, ale czas rzeczywiście leczy rany. Szkoda tylko, że Ruth nie poznała ojca. To cudowna, bystra młoda kobieta. Jest do niego bardzo podobna. To dobrze, bo Roger był szalenie przystojny.

Baldwin usiadł obok Taylor i spytał:

– Pani Anderson, czy utrzymuje pani kontakt z Ewanem Copelandem?

– Z Ewanem? – Chwyciła się za gardło. – Nie, skądże... To biedny chłopak. Prawdziwy nieszczęśnik. Miał nie po kolei w głowie, tak jak matka. I roilo mu się w tej głowie... Wiecie, że zgwałcił dziewczynę, kiedy miał szesnaście lat? Jak to możliwe, że chłopiec w jego wieku... Skąd wiedział? Pewnie z filmów i z pisemek dla panów. Ale szybko go złapali i wsadzili do więzienia. Od tamtej pory o nim nie słyszałam.

– Ci chłopcy, którymi się pani opiekuje, to dzieci Ruth? – zapytała Taylor.

– Nie, nie. Ruth nie mieszka w Forest City. Zresztą nawet nie ma męża, chociaż wiercę jej dziurę w brzuchu, żeby w końcu znalazła sobie odpowiedniego kandydata. Uczyła się w Raleigh i

tam pracuje.

– A co takiego robi? – spytał Baldwin, wierząc się na stołku.

– Pracuje w laboratorium kryminalistycznym, ale co dokładnie robi, tego nie wiem. Pewnie coś takiego, jak bohaterowie *Kryminalnych zagadek*, choć Ruth twierdzi, że to stek bzdur, a prawdziwa praca w laboratorium wygląda zupełnie inaczej. Mówi, że to ciężka harówka i nie ma w tym nic spektakularnego. „Mamo, no i nie nosimy broni”.

– Jest specjalistką w dziedzinie medycyny sądowej? – wtrąciła Taylor.

– No tak, tak to się nazywa. Mądra dziewczynka ta moja Ruth. Na pewno chętnie by z panem porozmawiała, agencie Baldwin. Od zawsze marzyła o tym, żeby pracować w FBI, nawet próbowała się dostać do akademii, ale podobno egzaminy są strasznie trudne.

– Nie da się ukryć, że nie należą do najłatwiejszych. Czy ma pani zdjęcie Ruth? – spytał Baldwin.

Taylor nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, że niemal drży z podniecenia. Zrozumiała dlaczego. O Boże...

Anderson znów była radosną, promienną osobą. Rozpierała ją duma z córki.

– Ależ oczywiście. Wisi na ścianie w salonie obok fotografii pozostałych członków rodziny. Zapraszam, sami państwo zobaczycie.

Elegancki salon pomalowano na beżowo, a na podłodze położono gruby turecki dywan. Galeria rodzinnych zdjęć, obejmująca wiele pokoleń rodu Andersonów, zajmowała niemal całą ścianę naprzeciw wejścia do salonu. Serce Taylor waliło jak oszalałe.

Anderson pokazała fotografię wiszącą niemal dokładnie w samym środku galerii.

– Wydaje mi się, że to jest najlepsze. Zrobiono je tuż po rozdaniu dyplomów. Widzicie państwo? Ma bilet i tożę. Do twarzy jej w niebieskim, prawda?

Taylor zasłoniła usta, żeby nie zakląć siarczyście.

Kiedy się uśmiechała, fałszywa Renee Sansom była nawet całkiem ładną kobietą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Taylor zrobiło się niedobrze. Nieomal zginęli z ręki siostry Naśladowcy! Owszem, przyrodniej, ale jednak krew z krwi i tak dalej. Odnalazł ją i zmanipulował tak, że zaczęła dla niego pracować. I pomyśleć, jak strasznie się przejęłam, że może jej grozić niebezpieczeństwo, pomyślała.

Patrząc na łagodne rysy Anderson, czuła, że ogarnia ją wściekłość. Ta kobieta pośrednio przyczyniła się do śmierci przynajmniej siedmiu osób. Albo nie wiedziała, że jej córka jest psychopatką, albo miała to głęboko gdzieś.

Taylor nie mogła okazać emocji. Przełknęła rosnącą w gardle gulę i przykleiła uśmiech do twarzy. Zacisnęła pięści i poczuła, jak paznokcie wbijają się w spodnią część dłoni. Muszą dowiedzieć się czegoś więcej o Ruth, zdobyć informacje o jej przeszłości, wycisnąć coś z jej matki. No i zapytać, jak się skontaktować z jej córką. Opanowała się i przywdziała maskę chłodnej profesjonalistki. Tyle że słowa uwięzły jej w gardle. Na szczęście Baldwin pośpieszył z pomocą. Wyczuł, że zatkało ją na amen i przejął inicjatywę. Był w tym naprawdę dobry.

– Pani Anderson, chcielibyśmy porozmawiać z Ruth. Przyznam, że zaintrygowała mnie pani opowieść o jej pracy i aspiracjach. Dobrych, wykwalifikowanych techników nigdy dość. W Jednostce Analiz Behawioralnych, w której pracuję, każdy zespół dysponuje jednym, czasem dwoma specjalistami w dziedzinie medycyny sądowej. Jeśli nie znajdę miejsca u siebie, być może będę mógł ją polecić innemu zespołowi, a przynajmniej załatwię rozmowę kwalifikacyjną. W akademii wkrótce zaczynają się zajęcia. Jeśli się okaże, że Ruth będzie nam odpowiadała, mogłaby się dostać na uczelnię bez egzaminów.

– Naprawdę? – Oczy Anderson załśniły.

Nie, ona niczego nie podejrzewa, pomyślała Taylor. Jest zbyt prosta, zbyt bezpretensjonalna. Najpewniej nie ma pojęcia, czym naprawdę zajmuje się córka, chociaż niewykluczone, że

wyczuwała, iż nie wszystko jest tym, na co wygląda. Albo może Ruth po postu jest świetną aktorką? Tak czy owak, Anderson była matką zabójczyni, maniackalnej morderczyni. Co takiego kryło się w genach Rogera Copelanda, że płodził szaleńców? Betty była osobą psychicznie niestabilną, to prawda, ale Stephanie Anderson sprawiała wrażenie normalnej, zdrowej umysłowo kobiety, czyli szaleństwo przechodziło na kolejne pokolenia wraz z męską pulą genów. Dwie różniące się pod każdym względem kobiety: Betty i Stephanie. Obie urodziły morderców. Wspólnym mianownikiem jest nasienie Rogera Copelanda.

– Z chęcią z nią o tym porozmawiam – mówił Baldwin. – Tyle że musiałbym to zrobić szybko, bo tak ważne stanowisko nie może długo pozostawać nieobsadzone. Czy ma pani jej numer telefonu albo adres mejlowy?

– Ależ oczywiście, że mam. – Anderson nie posiadała się z radości. – Zjrzę do notesu, mam tam wszystko zapisane. Nigdy nie potrafię nauczyć się numerów telefonów na pamięć. Dzięki Bogu za szybkie wybieranie. – Zerknęła na zegarek. – Może od razu spróbujemy? Przyznam, że nie rozmawiałyśmy od dłuższego czasu, bo Ruth nie odbiera telefonów. Jest bardzo zapracowana, biedactwo.

– To może ja zadzwonię? – Baldwin błysnął uśmiechem. – Zrobimy jej niespodziankę.

– Och, agencie Baldwin, wspaniały z pana człowiek. Ruth będzie przeszcześliwa.

Anderson ruszyła z powrotem do kuchni. Kiedy odwróciła się do nich plecami, wyraz twarzy Baldwina uległ błyskawicznej przemianie, miejsce promiennego uśmiechu zajęła marsowa mina. Zanim poszli za Anderson, Taylor chwyciła go za rękę, a on szepnął jej do ucha:

– Copeland najwyraźniej lubi, kiedy wszystko zostaje w rodzinie.

– Myślisz, że pani Anderson nie udaje? Naprawdę nie ma o niczym pojęcia?

– Sądzę, że nie wie, kim... czym stała się Ruth. Mamy mało

czasu. Pani Anderson na pewno będzie chciała porozmawiać z córką. Nie wolno nam dopuścić do tego, żeby Ruth skontaktowała się z Copelandem. On nie może wiedzieć, że depczemy mu po piętach.

– A może to dobry moment, żeby wywabić go z kryjówki? – podsunęła Taylor.

– No nie wiem...

– Baldwin, to małe miasto. Agent FBI i policjantka z Nashville spotkali się z komendantem policji, a całe Forest City już o tym plotkuje. Jeśli Copeland utrzymuje kontakt z kimkolwiek stąd, już o nas wie.

– Myślę, że się mylisz. Moim zdaniem woli trzymać się tak daleko od tego miejsca, jak to tylko możliwe.

Usłyszeli kroki i odsunęli się od siebie.

– Już – powiedziała radosnym głosem Anderson. – Ma pan coś do pisania?

– Tak, naturalnie – odparł Baldwin i wyjął z kieszeni niewielki czarny i bardzo elegancki notatnik. Dostał go w prezencie od Taylor, a że oprawa i delikatny papier przypadły mu do gustu, często z niego korzystał. Taylor pomyślała, że musi zamówić kolejny, bo w tym kończyły się kartki. – Słucham – powiedział, otwierając notatnik.

Anderson podała mu zestaw informacji o córce: telefon domowy i do pracy, adres domowy i poczty elektronicznej. Ruth Copeland Anderson mieszkała w Raleigh w stanie Karolina Północna i pracowała w policji w sąsiedniej miejscowości Durham. Zdrajczyń w szeregach stróżów prawa. Już wiedzieli, kto zniszczył materiały i ślady zabezpieczone w przyczepie w Asheville i na łodzi Fitz.

Anderson podała Baldwinowi telefon.

– Proszę nacisnąć „memory”, a potem „1”. Dodzwoni się pan do niej do domu.

Taylor zauważyła, że Baldwin zamarkował wciskanie przycisków. Odchrząknął i przyłożył słuchawkę do ucha. Po chwili pokręcił głową.

– Włącza się sekretarka. Zostawię wiadomość. Dzień dobry. Ruth, mówi doktor John Baldwin z FBI. Właśnie rozmawiałem z twoją matką i wiem od niej, że jesteś zainteresowana pracą u nas. Zadzwoń, proszę, pod numer 703-555-54-94, umówimy się na rozmowę. Nie zapomnij zadzwonić do mamy. Do zobaczenia.

Niezły podstęp, pomyślała Taylor. Baldwin nawet nie nacisnął „połącz”. Kiedy zostawiał wiadomość dla Ruth, numer jej telefonu nadal widniał na wyświetlaczu. Oddał aparat pani Anderson.

– Szkoda. Jeśli się do pani odezwie, proszę jej przypomnieć, żeby do mnie zadzwoniła. Musimy się zbierać – dodał. – Dziękujemy za czas, który zechciała nam pani poświęcić.

Taylor z trudem się opanowała. Koniecznie chciała wyjść z tego domu, zadzwonić do Roddiego Halla z SBI i przekazać mu informacje o Ruth po to, by jego ludzie mogli pojechać do Raleigh i ją zaaresztować. Oczywiście zakładając, że Ruth po wydarzeniach w Nags Head wróciła do Raleigh. Czy będzie z nią brat? Istniała taka szansa. Taylor mogła się założyć o tysiąc dolarów, że Copeland nie podejrzewa, że policja dowiedziała się o miasteczku, w którym się wychował, i poznała historię jego trudnego dzieciństwa.

Uprzejmie pożegnali się z Anderson. Chyba niczego nie wyczuła, a nawet jeśli tak, to nie dała tego po sobie poznać. Taylor przypuszczała, że Anderson szła przez życie, przymykając oko na dziejące się dokoła zło, jak to prawdziwa dama z Południa.

Wyszli na ulicę.

– Dobra robota – powiedziała Taylor.

– Poproszę, żeby odłączyli jej telefon. Nie sądzę, żeby Ruth wróciła do domu. Jeśli ma choć trochę oleju w głowie, dawno wzięła nogi za pas – odparł Baldwin.

Taylor usiadła po stronie pasażera. Czowała się zadowolona z siebie. Anderson machała do nich, stojąc na ganku okazałego domu. Taylor odpowiedziała gestem dłoni, mając nadzieję, że gospodyni błędnie zinterpretuje chłodny uśmiech na jej twarzy.

Mamy cię, sukinsynu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Wrócili do centrum Forest City. Woleli odjechać sprzed domu Anderson, żeby nie wzbudzać podejrzeń, siedząc w aucie i wykonując gorączkowe telefony.

Zaparkowali przed dużym kamiennym blokiem, który, jak informował wyryty na nim napis, był pomnikiem ofiar wojen światowych. Baldwin zadzwonił do SBI i przekazał Roddiemu Hallowi informacje o Ruth Anderson. Roddie ucieszył się z rozwiązania kolejnej zagadki. Powiedział, że dobrze zna szefa policji w Durham. Obiecał, że najdalej za godzinę oddział specjalny zamelduje się w domu Ruth i w laboratorium. Dodał, że odezwie się, kiedy będzie coś wiadomo.

Baldwin zakończył połączenie i z uśmiechem zwrócił się do Taylor:

– Dzięki Bogu za Wendy Heinz. Gdyby nie skojarzyła tych stylów pisma...

– Dzięki niej ruszyliśmy z kopyta. Jak długo Hallowi zajmie zdobycie akt Ewana Copelanda z zakładu poprawczego?

– Zajmie się tym, jak tylko zorganizuje oddział specjalny. Będzie musiał zwrócić się o pomoc do biura prokuratora okręgowego. Spokojnie, to dobry agent, przecież ci mówiłem.

– Cieszę się, że masz takich znajomych... Jest dopiero siódma – dodała po chwili.

Wziął ją za rękę.

– Z twojego tonu wnioskuję, że nie jest to zaproszenie.

– Nigdy nie jest za wcześnie, żeby położyć się do łóżka.

– Hm. Mamy rezerwację, ale możemy też wrócić do Nashville. – Pieścił palcami jej dłoń.

– Jedno i drugie jest kuszące. Byłoby miło przespać się w Holiday Inn, ale powrót do domu to też niezły pomysł.

Moglibyśmy prowadzić na zmianę. Zdrzemnąłbyś się.

– Jestem za, ale wszystko zależy od ciebie.

Uśmiechnęli się do siebie. Czują się jak człowiek uratowany

z katastrofy, któremu kręci się w głowie i który nie dowierza, że przeżył. Znała to uczucie, pojawiało się zawsze wtedy, kiedy śledztwo szło po jej myśli. Wyciągnęła rękę i przygładziła Baldwinowi sterczące we wszystkie strony włosy.

– Ale w sumie może jednak powinniśmy zostać w Karolinie Północnej, tak na wszelki wypadek? Stąd do Raleigh jedzie się raptem dwie godziny, a Hallowi na pewno się przyda dodatkowa para agentów, nie uważasz?

– Tylko byśmy zawadzali. Hall wie, co robi.

– Skoro tak myślisz. – Westchnęła. – Komendant Morgan podał nam adres domu, w którym wychowywał się Copeland. Może pojedziemy tam, czekając na telefon od Halla?

– Okej, niech ci będzie. – Westchnął teatralnie i puścił jej rękę. – Pojedziemy rzucić okiem.

– Dziękuję, kochanie. Obiecuję, że ci to wynagrodzę.

– Trzymam za słowo. – Wcisnął pedał gazu.

Pięć minut później byli na miejscu.

Stary dom Copelandów stał przy bocznej uliczce w okolicy, która lata świetności przeżywała w piątej albo szóstej dekadzie dwudziestego wieku. Teraz wydawała się zmęczona zadzieraniem nosa.

Było ciemno choć oko wykol. Białe światło jedynej latarni padało tylko na fragment ulicy i nie docierało na podwórze. Wyjęli latarki i oświetlając drogę, ruszyli w stronę niepozornego domku.

Popękany, porośnięty chwastami i zasypany śmieciami betonowy chodnik prowadził na miniaturowy ganek. Domek miał niewielkie rozmiary i był parterową konstrukcją z desek, dużo mniej okazałą niż okoliczne budynki. Z zewnątrz można było ocenić, że oprócz łazienki i salonu mieścił kuchnię oraz dwie bardzo małe sypialnie, których okna wychodziły na obskurną werandę. Taylor zaświeciła do środka, zobaczyła korytarz, salon oraz drzwi zapewne prowadzące do łazienki. Sypialnia rodziców znajdowała się prawdopodobnie z tyłu.

Skęcili za róg, omietli latarkami pustą przestrzeń. Podwórze na tyłach domu sąsiadowało z torami kolejowymi, od stalowych

szyn odgradzała je tylko niska druciana siatka. Za domem natknęli się na mały schron przeciwsztormowy, do którego prowadziły drzwi, dawniej intensywnie niebieskie.

Dwa domy dalej rozszczękał się pies. U sąsiadów po obu stronach posesji zapaliło się światło.

– Kto tam? – odezwał się kobiecy głos. – Allen, to ty?
Spóźniłeś się.

– Zmywamy się – szepnął Baldwin.

Taylor pokiwała głową i wyłączyła latarkę. Idąc najciszej, jak się dało, wrócili tą samą drogą wzdłuż bocznej ściany domu. Baldwin prowadził.

Odezwał się drugi kobiecy głos, tym razem z prawej. I był to głos bardziej zdecydowany:

– Widzę was! Dzwonię po Morgana. Ani mi się wazcie, gówniarze, zbliżać się do mojego podwórka. Mam broń i nie zawaham się jej użyć. – Trzasnęły drzwi, pies przestał szczekać.

Taylor, czując się jednak głupio, że nie wiadomo po co kręci się w ciemnościach wokół opustoszałego domu, już chciała zawołać, że nie ma potrzeby dzwonić po komendanta Morgana, bo ona też jest z policji, kiedy nagle potknęła się o coś twardego. Upadła na kolana i ciężko sapnęła. Baldwin pomógł jej wstać i poświecił, żeby zobaczyć, o co zawadziła.

Był to metalowy słupek, jakie wbija się w ziemię, żeby przywiązać do niego psa. Pokuśtykała do auta i pozwoliła Baldwinowi obejrzeć nogę.

Ostrożnie podwinął spodnie i ciepłą dłonią dotknął obolałego miejsca.

– Wystraszyłaś mnie. Kto to widział tak się potykać?

– Powiedz ludziom, żeby nie wbijali palików pośrodku podwórza.

Ponownie odezwał się głos z sąsiedniego domu, tyle że tym razem zabrzmiał zdecydowanie bliżej:

– Dobrze wam tak. Po co wężycie?

Baldwin obrócił się na pięcie, jednocześnie sięgając po broń i unosząc latarkę, której światło padło na obcą postać, oślepiając ją.

Postać okazała się starszą kobietą o szarych jak popiół, zebranych w kok włosach, ubraną w białą podomkę frotté z nadrukiem z brązowych szczeniactów. Celowała do Taylor i Baldwina ze starego remingtona. Taylor nie słyszała, żeby kobieta naładowała broń, więc najwidoczniej starsza pani dzierżyła strzelbę wyłącznie na pokaz, bo chciała zrobić groźne wrażenie. Czasem wystarczył tylko charakterystyczny dźwięk ładowanej strzelby, by przeciwnik spasował.

Taylor zagryzła wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem, bo sytuacja była absurdalna.

– Proszę pani, prosimy nie strzelać. Jesteśmy z policji. W kieszeni mamy odznaki. Nazywam się John Baldwin, pracuję w FBI, a to jest porucznik Taylor Jackson z policji w Nashville.

– A, no to dobrze. – Z uśmiechem opuściła broń i wyciągnęła rękę. – Sharon Potts, jestem pielęgniarką. Zerknę na tę nogę. To trochę moja wina, bo was przestraszyłam. Pani taka trochę nerwowa, co?

Taylor westchnęła i pokazała ranę. Baldwin poświecił latarką, a Sharon Potts przesunęła palcami po rozciętej skórze. Taylor syknęła, kiedy złapała ją za nogę i wykręciła, po czym wyprostowała się i wytarła dłonie o podomkę.

– Nie ma nic złamanego. Ale nieźle się pani poobcierała, rana jest dość głęboka. Zapaskudzi pani temu dżentelmenowi całe auto krwią. Obejdzie się bez szwów, ale przydałaby się woda utleniona i bandaż. Nie zaszkodzi też zastrzyk przeciw tężcowi. Macie apteczkę?

– Tak, ale nie ma w niej zastrzyku przeciwtężcowego – powiedział Baldwin.

Taylor usłyszała rozbawienie w jego głosie. Sharon pielęgniarka wyraźnie poprawiła mu humor. Zaraz jednak spoważniała. Jeśli Naśladowca gdzieś tu jest i obserwuje... Ale nie, wyczułaby go. Nie zdołałby się podkraść.

– No to zawieź ją pan na pogotowie. O tej porze nie powinno być tłoku. – Sharon odwróciła się, zakasłała jak stara gruźliczka i ruszyła w stronę domu, oparłszy remingtona na ramieniu.

– Pani Potts, proszę zaczekać! – krzyknęła Taylor.
– Nie ma za co – odparła, nie odwracając się ani nawet nie zwalniając. Machnęła ręką.
– Nie, to znaczy tak... dziękuję. Ale nie o to chodzi. Od jak dawna pani tu mieszka?
Zatrzymała się i odwróciła.
– Od dość dawna. A co?
– Znała pani sąsiadów? Copelandów?
Potts posłała Taylor przeciągłe spojrzenie. W ciemności jej twarz była jak maska, groteskowa i sztywna. Nagle się uśmiechnęła.
– Najlepiej będzie, jeśli wejdziecie do środka. Zaparzę herbatę.

I zaparzyła tanią czarną z torebki, ale przynajmniej napój był gorący. Taylor przyssała się do kubka. Pani Potts przyłożyła jej lód do nogi i zabezpieczyła go... ręcznikiem papierowym. Taylor zapewniła ją, że pół roku wcześniej miała szczepienie na tężec. Zresztą była to prawda, ponieważ przepisy wymagały, by wszyscy funkcjonariusze regularnie poddawali się szczepieniom.

Baldwin usiadł przy niewielkim drewnianym stole, gdzie wyglądał jak olbrzym. Sharon Potts mierzyła metr pięćdziesiąt i miała meble dostosowane do swego wzrostu. Wszystko w jej domu wydawało się małe, kompaktowe i racjonalne. Czysto, prosto i przytulnie. Zero zbędnych sprzętów. Jaka właścicielka, takie wnętrze.

Pani Potts szybko przeszła do rzeczy. Taylor odniosła wrażenie, że choć pracowała z ludźmi, czuła się potwornie samotna.

– Oczywiście, że pamiętam Copelandów. A kto ich nie pamięta? Betty była chora, brakowało jej piątej klepki. Wiedzieliśmy o tym i próbowaliśmy pomóc. Ale niektórzy rodzą się tacy, jacy się rodzą, i cóż poradzisz? Znałam jej matkę Barbarę, świeć Panie nad jej duszą. Strasznie się bała o tę małą, kochała ją ponad wszystko, ale nigdy nie wiedziała, w co nowego Betty się wpakuje. Myślę, że kochała ją zbyt mocno i nie dostrzegała wad.

Ale wiecie, jak to jest. Nigdy nie wiadomo, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. Jak dla mnie, to Barbara pozwoliła się pożreć raczysku, żeby nie musieć patrzeć na to, co wydała na świat. Rak piersi, późna faza, a to taka młoda kobieta była, miała raptem czterdzieści lat. Umarła, kiedy Betty miała jakieś siedemnaście lat i była tuż przed końcem szkoły. Myślę, że wtedy Betty okropnie się przestraszyła, bo matka była jedyną osobą, do której mogła się zwrócić.

– A ojciec?

– Pływał we flocie handlowej. – Parsknęła gniewnie. – Czyli tak naprawdę nikt nie wiedział, kim był ojciec Betty. Edward Biggs ożenił się z Barbarą, kiedy Betty miała jakieś trzy latka. Dostała jego nazwisko. Jego oczkiem w głowie była knajpa, a że Betty była wyjątkowym urwisem, to jakoś się ze sobą nie dogadywali. Wkrótce zmarł. Barbara starała się, jak mogła. To była dobra kobieta. Po jej śmierci Betty została całkiem sama. No więc poznała Rogera Copelanda i zaszła z nim w ciążę. Wiedziała, że Roger się nią zaopiekuje, bo był honorowym mężczyzną.

– Jak wyglądało ich życie? – spytała Taylor.

– Ano tak jakoś... Wprowadzili się zaraz po ślubie. Wtedy tu było inaczej, ładniej. Idealne miejsce, żeby założyć rodzinę. Poza tym umówmy się, na więcej nie było go stać, wiecie, dziecko w drodze, knajpa z grillem ledwie ciągnęła i w ogóle. – Zadumała się na moment. – Z zewnątrz wszystko wyglądało normalnie, ale mówię wam, że w tym domu działo się coś złego. Niech mnie Bóg pokarze, jeśli mówię nieprawdę. Pracowałam w szpitalu, pracuję tam od ponad trzydziestu lat, i widziałam, jak chłopcy trafiali do nas z różnymi dziwnymi chorobami. A Betty zachowywała się jak lekarz, wiedziała wszystko o tych dolegliwościach. Siedziała z nosem w *Anatomii* Graya. Nalewała sobie szklaneczkę mrożonej herbaty, wychodziła na ganek i zaczytywała się w tej książce jak w kryminale.

– Zespół Münchhausena – mruknął Baldwin.

– Rogera wiecznie nie było, a chłopcy... biedni chłopcy. Robiliśmy, co tylko można było zrobić, pomagaliśmy, staraliśmy

się być życzliwi. Dokarmialiśmy ich i proponowaliśmy pomoc przy praniu, sprzątaniu i tak dalej, ale Betty nie pozwalała nam się do nich zbliżyć. W domu biła chłopców, traktowała ich jak zwierzęta, a na zewnątrz odgrywała rolę troskliwej matki. Chłopcy byli przez nią zastraszani. Zresztą nie tylko oni. Roger też. Myślę, że bał się ją porzucić.

– Autorytarna osobowość – skomentowała rzecz oczywistą Taylor.

– Zła osobowość. Kiedy chłopcy leżeli w szpitalu, nie odstępowała ich na krok, a personel traktowała jak bandę idiotów. Upierała się, że sama będzie podawała leki swoim dzieciom. Tej samej zimy, kiedy umarła moja mama, najstarszy z synów Betty zachorował. Nie było mnie tutaj, bo musiałam wziąć wolne, żeby być przy mamie w hospicjum. Po powrocie zastałam rodzinę Copelandów w rozsypce. Roger nie żył, Edward nie żył, Betty siedziała w więzieniu, biedny Errol siedział w wariatkowie, a Ewan został sam jak palec i próbował związać koniec z końcem. Potem umieścili go w rodzinie zastępczej, a wtedy to już całkiem się rozsypał. – Jej oczy nabrały gniewnego blasku. – Ta szmata, którą Roger zapłodnił, powinna była zająć się jego dziećmi, ale wolała wyjść za Andersona i zadbać o własną skórę i o bękart. Znienawidziłam ją za to, choć wiem, wiem, że to grzech. Ale gdyby naprawdę kochała Rogera, tak jak twierdziła, to przygarnęłaby chłopców. Kiedy Errol się zabił, bawiła w Myrtle Beach z przyjaciółkami. Ewanowi nie miał kto pomóc zorganizować pogrzebu braciszka. Pamiętam, jak znalazłam go, gdy siedział na grobie. Spojrzał na mnie pustym wzrokiem. Po tym, jak skrzywdził tę dziewczynę i zniknął, o rodzinie Copelandów mówiło się coraz mniej i stopniowo jej historia stała się taką trochę legendą Forest City. Bank zajął dom, nikt w nim nie zamieszkał. Nie udało się go sprzedać. Założę się, że słyhać tam krzyki chłopców.

Taylor przeszedł dreszcz. W zamyśleniu sączyła mocną, gorącą herbatę.

– Jaki on był? – spytał Baldwin.

Pani Potts wyraźnie ucieszyła się z towarzystwa w tę zimną noc. Była urodzoną gawędziarką. Zakręciła się po kuchni, zrobiła następną herbatę i wyjęła ciastka. Żołądek Taylor zaburczał z radości, na co gospodyni uśmiechnęła się i podsunęła jej talerz.

– Jaki był Ewan? Taki jak matka.

– To znaczy?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, stukając palcem o blat, wreszcie odparła:

– Miał nierówno pod sufitem. Do wszystkiego strasznie się przykładał. Aż serce pękało, kiedy się obserwowało jego wysiłki. Starał się nad sobą panować. Odnosiłam wrażenie, że wiedział, że postępuje źle i pewne rzeczy robi nie tak, jak trzeba, a mimo to nie potrafił się opanować. Potknęła się pani o metalowy słupek, prawda? Kiedy Ewan miał jakieś dziesięć lat, Copelandowie mieli psa, ot, zwykłego kundla, nic specjalnego. Ewan znalazł go w lesie przy torach. Uwielbiał tego psiaka, spał z nim, włóczył się, bawił. A kiedy go zastrzelił i kiedy biedny pies leżał, wył i umierał na podwórzu, wykrwawiał się i patrzył na swojego zbawcę i oprawcę w jednym, Ewan stał nad nim i płakał. Byłam tego świadkiem... I wiedziałam już na pewno, że to zły chłopiec, zły do szpiku kości. Ale wcale nie chciał taki być. O nie. Myślę, że coś go do tego zmuszało.

Taylor odłożyła nadgryzione ciastko na talerz.

– Widziała pani, jak zastrzelił psa?

– Tak. Właśnie wróciłam z dyżuru. Usłyszałam strzał i spojrzałam w stronę, z której się rozległ. Ewan stał tam zapłakany i zasmarkany. Pamiętam, że spojrzał na mnie ze zbolaną miną i powiedział: „Musiałem. Był chory”. To nieprawda, psu nic nie dolegało. Zabił go, bo chciał to zrobić.

– Utożsamia ból z miłością, ponieważ nauczyła go tego matka cierpiąca na zastępczy zespół Münchhausena – stwierdził Baldwin. – Dla takich ludzi jedynym sposobem na okazanie miłości jest zadanie drugiej osobie fizycznego bólu. Tak zwracają na siebie uwagę.

– To ma ręce i nogi. Betty naprawdę kochała swoich

chłopców, temu nikt nie zaprzeczy. Ale też ich nienawidziła. Nie ma innego wytłumaczenia. Bo niby czemu wciąż ich raniła?

Spojrzenia Taylor i Baldwina spotkały się. Powoli zaczęli lepiej rozumieć wroga. Jeśli nie zachowają ostrożności, zrozumienie może się łatwo przerodzić we współczucie. Naraz Taylor poczuła, że śledztwo zbyt długo tkwiło w martwym punkcie i w końcu nadszedł czas, by ruszyło z kopyta. Pora zetrzeć tego sukinsyna z powierzchni ziemi.

– Pani Potts, bardzo nam pani pomogła – powiedziała. – Dziękuję za opatrzenie nogi. Niestety, musimy się zbierać.

Zaprotestowała, ale niezbyt energicznie, i odprowadziła gości do drzwi. Na pożegnanie resztę ciastek wręczyła Taylor, która przyjęła je z wdzięcznością. Potrzebowała kalorii, była potwornie głodna pomimo obfitego późnego obiadu. Obiecali zajrzeć do pani Potts, kiedy znów będą w mieście. Wsiedli do bmw Baldwina i odjechali.

Pętla na szyi Naśladowcy coraz bardziej się zaciskała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Do: troy14@ncr.tr.com

Od: crypto@ncr.zk.com

Temat: Kansas City

Troyu, wjeżdżam do Kansas City. Długo się jechało, ale dotarłem. Wszystko jest pod kontrolą.

ZK

Znowu autostrada. Szare, ciągnące się w nieskończoność pasy asfaltu. Żałował, że nie miał więcej czasu, mógł bowiem zjechać z międzystanowej i poszaleć po wiejskich drogach między polami kukurydzy. Jak to szło? *Get your kicks, on Route 66*. Czy droga nr 66 przebiega przez Missouri? Wydawało mu się, że tak, ale nie umiał sobie przypomnieć. Przytrzymał kierownicę kolanami i sięgnął po leżący na fotelu pasażera notatnik. Jednym okiem zerkając na drogę, zapisał: „Sprawdź Route 66”. Taki już z niego ciekawski typ. Pomimo początkowych problemów, w sumie lubił się uczyć. Miał kiepską pamięć, którą od czasu do czasu musiał sobie odświeżać.

W Denver poszło znakomicie. Najlepiej spośród trzech miast, które odwiedził. Denver przebiło nawet San Francisco, w którym był jego pierwszy raz. Skoro mowa o pierwszym razie, to sądził, że najważniejszym wydarzeniem w życiu była utrata dziewictwa, ale Denver przyćmiło nawet to. A będzie jeszcze lepiej, dużo lepiej. Stawał się coraz bardziej pewny siebie. To pomagało. Chaos i fontannę krwi w Las Vegas złożył na karb strachu. Na tremę. Bał się, że kiedy przyjdzie co do czego, nie stanie na wysokości zadania. Nakręcił się tą myślą, a potem nerwy zrobiły swoje i zbyt prędko sięgnął po nóż. Pośpieszył się i nie zdążył ujrzeć przerażenia w oczach ofiar w chwili, gdy ulatywało z nich życie.

Za to Denver... o Jezu, w Denver wszystko było perfekt! Cherry Creek Reservoir to raj dla mordercy-artysty: kręte ścieżki, zaśnieżone szlaki. Czerwone plamki krwi na białym płótnie świata. Elegancko. A jednak nie malował obrazu w stylu Jacksona

Pollocka. Zaraz, jak on się nazywał? Jackson czy Johnson?

Sięgnął po notatnik.

Sto sześćdziesiąt kilometrów do Kentucky. Dojedzie na czas. Przekrzywił głowę na lewo, potem na prawo, skulił się, po czym rozciągnął mięśnie. Czuł się skrępowany w aucie, uwięziony jak w pudle. Potrzebował czegoś większego, jakiegoś modelu, w którym czułby się swobodnie. Miał kumpla, który kupił priusa. Gdy przejechał się nim, wytrzymał godzinę, potem pojawił się skurcz uda.

Już niedaleko. Finał podróży.

Nieustraszony wódz z rozmysłem wybierał ofiary. Troy zapewniał, że dziewczyna odpowie na ogłoszenie zamieszczone na stronie Craigslist. Rolki? Zimą? Zastanowił się, skąd ten gość to wszystko wie, ale darował sobie dywagacje. Dowie się we właściwym czasie. Kiedy wygra, mistrz podzieli się sekretami fachu i wieloletnim doświadczeniem, a także wręczy nagrodę i wyjawi prawdziwe imię. Póki co kazał zwracać się do siebie per Troy, ale nie brzmiało to dobrze, nie kojarzyło się z kimś, kto mógłby wymyślić operację zakrojoną na tak szeroką skalę. Troy obiecał nagrodę dla zwycięzcy. Triumfator zgarnie wszystko, cały milion dolarów. Kupę szmalu. Ach, ile rzeczy można zrobić, mając pełną kieszeń!

Ktoś, kto jest wygrany, jest również wybrany. Troy weźmie zwycięzcę pod swoje skrzydła, doszlifuje diament, wprowadzi w tajniki zabijania i ciuciubabki z policją.

Na razie sam nie był pewien, czego chce. Wizja, by zostać seryjnym mordercą, kusila go, choć przede wszystkim pragnął zgarnąć pieniądze. Mówiąc szczerze, nie przewidział, że tak bardzo się wciągnie.

Troy... Troja! – zaświtało mu nagle. Starożytne miasto, koń trojański, wojna o kobietę. Jak ona się nazywała? Hera? Nie, to zdaje się bogini, żona Zeusa. Halley? Też nie – tak nazywała się dziewczyna, którą ostatnio zabił. Helena? Tak! Helena.

Zapisał w notatniku, tak na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Za kwadrans dwudziesta pierwsza. Tę godzinę pokazywał świecący na zielono zegar na desce rozdzielczej auta Baldwina, który siedział za kierownicą i stukał w nią palcami, zastanawiając się, co dalej. Wracać do Nashville? Jechać na północ, do Raleigh? Może lepiej się nie wychylać, dopóki Roddie Hall nie zadzwoni z informacjami o Ruth Anderson?

– Smutna historia. – Taylor związała niesforne włosy w byle jaki kucyk, nie przejmując się tym, że połowa się zbuntowała i opadła na kark.

Baldwin uwielbiał jej włosy. Wyciągnął rękę, zdjął gumkę trzymającą kucyk w rozchełstanym wiechciu i schował dłoń w kosmykach.

– Rzeczywiście smutna, dawno takiej nie słyszałem, ale w sumie niezaskakująca. Znęcanie się pod pozorem miłości... Nic dziwnego, że stał się mordercą. Przemoc była jedyną formą kontaktów międzyludzkich, jaką znał.

– Ale to nie może być usprawiedliwieniem dla jego czynów.

– Masz rację, nie może być. Wiele dzieci jest bitych i wykorzystywanych, niestety, a mimo to nie wyrastają na morderców. – Spojrzał na Taylor. Nastrój sprzed rozmowy z pielęgniarką prysł.

– No więc skąd się to bierze? – spytała.

– Byłbym bardzo bogatym człowiekiem, gdybym znał odpowiedź na to pytanie. Każdy umysł jest inny. Bywa, że ludzie, którzy dorastali w komfortowych warunkach, popełniają okrutne czyny, a ci, którzy mieli ciężko i stykali się z przemocą, stają się normalnymi, pełnymi miłości i wartościowymi członkami społeczeństwa. Natura przeciwko wychowaniu. Myślę, że geny mają coś do powiedzenia. Zapewne istnieje wrodzona predyspozycja do przemocy, ale decyzję, by zabić, podejmuje człowiek, nikt i nic nie robi tego za niego.

– Jakie są szanse, że mężczyzna spłodzi dwoje morderców z

dwiema kobietami?

– Mikroskopijne. Nigdy nie słyszałem o podobnym przypadku. Założę się jednak, że geny Betty odegrały pewną rolę w tym, kim stał się Ewan. Gdybym miał więcej czasu, z czystej ciekawości z chęcią zbadałbym historię obu rodzin. No, ale sprawę utrudnia to, że nie wiadomo, kto był prawdziwym ojcem Betty. – Rozmasował jej kark, a Taylor pomrukiwała zadowolona. – Jak noga?

– Dobrze. Pani Potts to fachowa pielęgniarka. Nic nie czuję.

– Zaaplikowała ci lek z lidokainą, która czasowo odbiera czucie w bolącym miejscu.

– Sprytnie.

Wzięła go za rękę i złożyła pocałunek po wewnętrznej stronie dłoni. Poczul impuls rozkoszy. Doprowadzała go do szaleństwa. Ale jak tu myśleć o pieszczotach w takich okolicznościach?

Zadzwoiła komórka Baldwina, na co podskoczyli jak nastolatki, których policjant nakrył na obściskiwaniu się w samochodzie. Taylor zachichotała, a Baldwin sięgnął do kieszeni. Dobrze, że Taylor czuła się lepiej, bo melancholia wyjątkowo jej nie służyła.

– Hall – mruknął i odebrał połączenie. – Baldwin.

– Jak przypuszczałeś, Anderson zniknęła. Wszystko wskazuje na to, że wyjechała przed kilkoma dniami. Sąsiedzi widzieli ją po raz ostatni w sobotę. Komendant policji w Durham załatwił nakaz przeszukania. W mieszkaniu znaleźliśmy tonę materiałów, między innymi mejle z instrukcjami dotyczącymi Nags Head. Niestety nie wiemy, gdzie się udała, ale za to wiemy, gdzie zdążyła być. Trzeba przyznać, że jest pracowita.

Baldwin włożył do odtwarzacza *Flutterby*, debiutancki krążek australijskiej piosenkarki Butterfly Boucher, jednej z jego ulubionych wokalistek. Przeskoczył od razu do czwartego utworu. Był to *Another White Dash*, idealny kawałek na podróż samochodem. Zaczął nucić pod nosem. Taylor zasnęła tuż przed Knoxville i nie zamierzał jej budzić.

Hall sądził, że Ruth Anderson nie ma już w Raleigh ani nawet w Karolinie Północnej, na jej komputerze znalazł bowiem wiadomość od nieznanego nadawcy, zawierającą polecenie, aby w razie kłopotów „przyjechała do N”.

„N” jak Nashville.

Jasne, „N” mogło oznaczać mnóstwo miejsc lub osób, ale logika nakazywała skojarzyć tę literę ze stolicą stanu Tennessee. Powrót Ruth do Nags Head nie wchodził w grę, ponieważ toczyło się tam intensywne śledztwo w sprawie masakry na posterunku, a zdjęcia Ruth pokazywano we wszystkich programach informacyjnych. Baldwin zastanawiał się, co Anderson pomyślała o małym oszustwie, którego się dopuścił, ale uznał, że nie warto zawracać sobie tym głowy. Zrobił to, co musiał, koniec, kropka.

Minęła północ. Do Nashville dotrą około trzeciej nad ranem. Będą mieli kilka godzin na odpoczynek. Aresztowanie siostry Naśladowcy pomoże im szybciej doprowadzić sprawę do pomyślnego zakończenia. Oczywiście o ile znajdą Ruth. Zadzwoił do Buddy’ego Morgana i zdał relację z postępów śledztwa. Dodał, że komendant powinien obserwować dom Andersonów, w razie gdyby Ruth odwiedziła matkę bądź próbowała się z nią skontaktować. Morgan obiecał pomoc.

Szosa I-40 jechało się wyjątkowo płynnie, nawet pomimo robót drogowych i konwojów ciężarówek. Cisza i spokój. Blask księżyca odbijał się od śniegu pokrywającego szczyty gór. Granie porastały nierówne szeregi drzew, które wyglądały jak maszerujący umęczeni żołnierze po długiej, wycieńczającej bitwie. Baldwin też był zmęczony. Emocjonalne napięcia kilku ostatnich dni dawały mu się we znaki. Kariera, życie u boku Taylor, zagrożenie jej życia, świadomość, że jego syna wychowuje jakiś obcy mężczyzna... było tego zbyt wiele. Potrzebował przerwy, oddechu, urlopu, ale takiego prawdziwego, gdzieś z daleka od Nashville. Z daleka od wszystkiego. Wyzna Taylor prawdę, kiedy już nic nie będzie im zagrażało. I wtedy – oby! – ona mu wybaczy.

Zabrzącał telefon Taylor. Poruszyła się i otworzyła oczy.

– Gdzie jesteśmy?

– Minęliśmy Crossville. Przepraszam, chciałem, żebyś sobie pospała, ale zapomniałem wyłączyć twój telefon.

Zerknęła na wyświetlacz.

– W porządku. To Lincoln. – Przeciągnęła się i odebrała. – Cześć, Linc. Co tam?

Baldwin odwrócił głowę i popatrzył na profil Taylor w świetle księżyca. Kilka razy mruknęła „aha”, po czym wyjęła notatnik i zaczęła pisać. Uwielbiał to, jak w kilka sekund z zaspanej kotki zmieniała się w czujną i skupioną panią porucznik.

Rozłączyła się i powiedziała:

– Mamy problem.

Jej słowa sprawiły, że mina mu zrzędła. No tak, byłoby za pięknie.

– Co znowu?

– Zaraz się dowiesz. Pozwól, że zadzwonię i włączę głośnik.

Wybierała numer, który chwilę wcześniej zapisała w notesie. Położyła telefon na desce rozdzielczej i włączyła głośnik. Baldwin usłyszał trzy sygnały, po których odebrała kobieta. Nie sprawiała wrażenia wyrwanej ze snu.

– Halo?

– Pani Keck? – odezwała się Taylor.

– Porucznik Jackson? Colleen. Proszę mi mówić po imieniu.

– W porządku, Colleen. Jeden z moich kolegów powiedział, że zadzwoniłaś i poprosiłaś o rozmowę ze mną. Słucham, o co chodzi?

– Nie pamiętasz mnie, prawda? Przed kilkoma laty spotkałyśmy się na balu związku zawodowego policjantów. To było przed twoim awansem. Poznałyśmy się dzięki mojemu mężowi Tommy’emu. To było, zanim... zginął.

– Jasne, że pamiętam – po chwili ciszy odparła Taylor. – Przepraszam cię, już sobie przypominam. Jak się masz, Colleen? Co słychać u Flynna?

– Ach, a więc naprawdę pamiętasz. W takich sytuacjach ludzie przeważnie kłamią.

– Musisz mi wybaczyć ten spóźniony zapłon, ale jadę na

oparach. Co mogę dla ciebie zrobić?

– No więc... Tommy mówił, że jeśli będę miała kłopoty, mam się do ciebie zwrócić. Miał o tobie bardzo dobre zdanie.

– Tommy był porządnym gościem. Szkoda, że go straciliśmy... Masz kłopoty, Colleen?

– I to jeszcze jakie. Czy słyszałaś o blogu prowadzonym przez niejaką Felon E?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nashville, stan Tennessee

– Ruth, Ruth, Ruth. Zawiodłem się na tobie.

Skuliła się ze wstydu. Drewno wrzynało jej się w kolana.

– Ewanie, to nie moja wina. Uwierz mi. Byłam wyjątkowo ostrożna. Wszystko dokładnie zaplanowałam. Naprawdę nie było takiej możliwości, żeby powiązali mnie z tobą.

Podobała mu się ta wyraźnie wyczuwalna nuta paniki w głosie Ruth. Spodziewała się, że ją zabije. Postanowił nie wyprowadzać jej z błędu. Doskonale wiedziała, jaka czeka ją kara za niepowodzenie.

– A jednak to zrobili. Jak ci się wydaje, jak im się to udało, hm? Bo ja na pewno im tego nie ułatwiłem.

Kłęczała przed nim. Złapał ją za włosy i lekko pociągnął. Skrzywiła się, ale nie pisnęła. Silna, mała Ruth. Zrobiłaby dla niego wszystko. Była gotowa kłamać, kraść, zabijać. Taka siostra to skarb.

– Odpowiedz, Ruth. Co o mnie wiedzą?

– Nic – wychrypiała. – Przysięgam, że nic. Na mój trop wpadli przypadkiem. Ktoś musiał mnie rozpoznać na zdjęciach. Pokazywali nagranie z kamer na posterunku w Nags Head. Ktoś skojarzył twarz i wskazał na mnie. Wiem, że to nie Newt ani Harvey. Zabiliśmy Newta, jak tylko opuściliśmy Karolinę Północną.

– Zabiliście Newta? Nie dałem pozwolenia.

– Przepraszam. Musiałam to zrobić. Bałam się...

– Czego?

Oczy Ruth się zaszklily.

– Że kazałeś mi mnie zabić. Albo Harveya. Nie mogłam ryzykować.

– Nie ufasz mi, Ruth? Przecież jestem twoim bratem.

Mangusta kontra kobra.

– Oczywiście, że ci ufam, Ewanie, ale Newt zachowywał się

dziwnie, cały czas sprawdzał pocztę. Spanikowałam, pomyślałam, że może być kretem, wiesz, że pracuje dla policji. Harvey chciał to zrobić, więc się zgodziłam.

No proszę, Ruth ma charakterek. Był pod wrażeniem. Okazała się mądrzejsza, niż przypuszczała.

– Panujesz nad Harveyem? Nie chcemy niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Pamiętaj, że to mój plan i moja gra, a nie jego.

– Tak, tak. Kazałam mu się nie wychylać.

– Nie kłam, Ruth. Czytałem o tym zaginionym chłopaku. Wiem, że w Halloween byłeś z Harveyem w Nashville. Mam nadzieję, że nie zabawiliście się bez mojej wiedzy, co?

– Nie, nie.

Pociągnął mocniej i poczuł, że włosy zostają mu w ręku. Wreszcie jęknęła. Wprawdzie cicho, ale jęknęła.

– Okej, przyznaję, zrobiliśmy to. Ale chłopak sam się prosił. Był pijany. Przecież wiesz, jak Harvey reaguje na pijanych chłopaczków snujących się po ulicach. Przepraszam, przepraszam. Nie bój się, nie znajdą go i nie powiążą go z tobą. Harvey wywiózł go za miasto.

Mój Boże, nikomu już nie można ufać, pomyślał.

Przysunął się do niej i parsknął prosto w twarz. Jego ślina wylądowała na jej ustach i nosie.

– Nie miałaś prawa podejmować takiej decyzji! – Osłabła i zgarbiła się, a on jeszcze mocniej pociągnął ją za włosy. – Masz rację. Zajmę się Harveyem. Zabiję go jeszcze dziś.

Dobrze. Wreszcie zrozumiała. Gdy ją puścił, upadła.

Usiadł na krześle, patrząc, jak Ruth masuje się po karku. Ostrożnie usiadła na podłodze, krzyżując nogi, jak robiła to w dzieciństwie.

– Przyrzekam – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Co znajdą u ciebie w mieszkaniu?

– Nic, nic...

Gdy odwróciła wzrok, zorientował się, że nie mówi wszystkiego. Głupia dziewczucha.

– Powiedz, Ruth. Co takiego wpadło w ręce policji? Mów!
Zaczęła płakać. Objęła się rękami i zaczęła kołysać do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu, jak łódź na wzburzonym morzu.

Wciągnął powietrze nosem. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby stracić panowanie nad sobą. Ruth ucieknie, kiedy ujrzy prawdziwe oblicze jego wściekłości. Zamknie się w sobie i godzinami będzie się kołysała jak dziecko z chorobą sierocą. Tak jak kiedy była mała. Chodził za nią, kiedy wracała ze szkoły. Porywał ją i zabierał do lasu. Bawili się i grali, głównie w szachy, bo warcaby i tryktrak były za proste. Potrafiła dochować tajemnicy, ale zdenerwowana zamykała się w sobie, uciekała do swojego maleńkiego świata. Tym razem nie mógł na to pozwolić, bo mimo wszystko potrzebował jej pomocy. No trudno.

Kucnął przy niej i odezwał się łagodnie:

– Przepraszam, Ruth. Miałem ciężki dzień. Nie chciałem na ciebie nakrzyczeć. – Jednak pojednawszy ton nie był jego mocną stroną. Pociągnęła nosem i odwróciła głowę. Postanowił spróbować inaczej: – Możesz mi powiedzieć. Obiecuję, że nie będę zły.

Nie podniosła głowy, tylko powiedziała cicho:

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Otoczyła nogi ramionami i gdyby mogła, najchętniej zapadłaby się w sobie.

– Na biurku w mieszkaniu został laptop. Nie wzięłam go ze sobą, bo myślałam, że wrócę do domu. Ale wszystko zdarzyło się tak szybko... Potem Harvey upatrzył sobie tego chłopaka, straciliśmy trochę czasu i musieliśmy jechać do Nags Head. – Przerwała, czując, że Ewan za moment wybuchnie.

– Laptop. A w nim wszystkie mejle?

– Tak.

Mejle prowadzące bezpośrednio do niego. No cóż, i tak nadeszła pora, by opuścić kryjówkę. Zbliżał się finałowy etap planu. Niech uczestnicy gry wykonają ostatni ruch. Okaże się, czy

rzeczywiście są tak dobrzy, jak się spodziewał.

Ruth znów zaczęła się kołysać, tym razem dużo szybciej. Trzeba wyrwać ją z tego stanu, zanim trans się pogłębi.

– Posłuchaj, Ruthie, jest ktoś, kto musi umrzeć jeszcze dziś. Nie chodzi o Harveya. Możesz go sobie zatrzymać, bo wiem, że go lubisz. Nie cieszysz się?

Łypnęła na niego. Krwiożercza bestyjka. Wiedział, że się ożywi na wspomnienie o zabijaniu.

– Kto? – spytała cichym, dziecięcym głosem.

– Colleen Keck. Blogerka. Jej czas dobiegł końca.

Ruth przestała się kołysać i podeszła do niego na czworakach. Posłała mu dziki uśmiech. Spojrzała na niego z dołu, psią minką prosząc o pozwolenie, którego udzielił. Pogłaskała go po nodze i powiedziała:

– Harvey obserwuje ją, od kiedy wróciliśmy z Karoliny Północnej. Nawet w tej chwili waruje na jej ulicy. Szybko załatwi sprawę.

– Nie, kochanie. Chcę, żebyś ty to zrobiła.

– Czemu? Nie to, żeby nie chciała, przecież wiesz, ale sądziłam, że Keck miała żyć aż do samego końca. Zmieniłeś zdanie?

Wstał i podszedł do okna. Ruth siedziała na podłodze niczym porzucony kwiat lotosu.

– Owszem, zmieniłem zdanie. To mój przywilej.

– Ale zawsze powtarzałeś, że należy trzymać się planu...

– Ruth, żadnych „ale”.

– Myślałam, że mam zabić tę drugą.

Obejrzał się przez ramię.

– Po tym bałaganie, którego narobiłaś w Karolinie Północnej? Nie, Ruth. Nie ma nagrody dla tych, którzy zjebią sprawę. – Nastąpił powrót do kołyski. – Och, nie dąsaj się, Ruthie. Keck to będzie czysta przyjemność zabijania, zobaczysz. Zawadza mi, bo zrobiła się zbyt cwana. Lada moment wszystkiego się domyśli. Ci krety, którzy komentują jej stronę, już zepsuli niespodziankę. Trzeba ją zlikwidować, zanim zdąży kogoś

zaalarmować. Zabijając ją, wyświadczysz mi przysługę. Wiesz, co się dzieje, kiedy wyświadczasz mi przysługę, prawda?

– Mogę poprosić o przysługę w zamian.

– Zgadza się, maleńka. Grzeczna dziewczynka. No już, leć, ukatrup dla mnie tę wścibską suczkę.

– Tak jest, Ewanie. – Wstała. – Jeśli tego chcesz.

– Chcę. Zmykaj. Mam coś do zrobienia. Aha, Ruth... Wiesz, co robić, jeśli cię złapią.

Zbladła, ale odparła:

– Tak, bracie.

Kiedy wyszła z mieszkania, ciężko westchnął. Może jednak powinien był pozwolić jej umrzeć w Karolinie Północnej? Jednak nie. Co się stało, to się nie odstanie, a błędy Ruth jedynie przyspieszą wprowadzenie planu w życie. Jackson jest sprytna, ale cudów nie ma. Wiedział, że siostra mówiła prawdę i rzeczywiście pilnowała jego tajemnic. Ostrożnie i gruntownie zacierał wszelkie ślady. Co rok nowa tożsamość. Nowe miasto. Nowa twarz. Ruth była jedyną żyjącą osobą, która знаła jego prawdziwe nazwisko. Reszta rodziny leżała w grobie. Matka, ta pieprzona wariatka, nawet nie pamiętała, że miała dzieci. Raz, przed trzema laty, pojechał ją odwiedzić, ale tylko po to, by się upewnić, że nadal jest świrnięta. I przekonał się, że szaleństwo i leki na raka zamieniły jej mózg w papkę. Widziała diabły siedzące na ramionach strażniczek, które zmuszały ją do kąpieli, bo nie myła się ze strachu przed wodą. Zamieniła się w Meduzę, włosy miała splątane w śmierdzące, zapuszczone kołtuny. Wpadła w pułapkę własnego umysłu i nie potrafiła się z niej wydostać.

Nie musiał się jej obawiać. Nikt nie odkryje prawdy. Ta suka z internetu jest już martwa.

Pozostały jeszcze trzy pionki na szachownicy. Zbliżały się do niego. Który z nich wygra grę? Który dostąpi zaszczytu spotkania z mistrzem? Który pionek przemierzy całą szachownicę, wykona wszystkie zadania i będzie miał okazję popatrzeć, jak mistrz zabija Jackson metodą odpowiadającą zwycięskiemu profilowi?

Osobiście wybrał *modus operandi* swoich trzech ulubionych

morderców. Odebranie życia Taylor którymkolwiek z nich będzie czystą przyjemnością.

Nagroda w wysokości miliona dolarów kusiła graczy, to pewne. Motywowała ich. Gdyby miał na kogoś postawić, jako najbardziej prawdopodobnego zwycięzcę wskazałby młokosa z Bostonu. Kiedy z nim rozmawiał, chłopak wydawał się dojrzały i bardziej opanowany od pozostałych. Był bardziej skoncentrowany. Nie zależało mu na pieniądzach, ponieważ miał ich w bród. Zupełnie inaczej niż Kalifornijczyk. Tkwił po uszy w długach, bank zajął mu dom, gość spalił za sobą wszystkie mosty. Dołożył mu drogi, trochę to nie fair, owszem, ale drażniła go interesowność tego typu. Niestety, kandydat z Long Island jechał po bandzie. Był nieprzewidywalny, może nawet szalony. Więc chyba Boston zatriumfuje.

Poczuł dreszcz podniecenia. Nowy uczeń.

Uśmiechnął się pod nosem, patrząc, jak Ruth wsiada do samochodu i odjeżdża. Kiedy byli dziećmi, mówiła słowa, które wtedy nie miały dla niego żadnego sensu, lecz później, gdy dorósł, nabrały znaczenia.

A słowa były takie:

– Nie nalegaj na mnie, abym opuściła ciebie i abym odeszła od ciebie, gdyż gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkaasz, tam ja zamieszkaam, twój naród będzie moim narodem, a twój Bóg będzie moim Bogiem^[1].

Był Bogiem Ruth. I stanie się Bogiem Taylor Jackson. Czas na finał. Nudził się. Rozumiał niecierpliwość bostonboya, ale czasem wyzwania bywają nużące. Sprawy należy doprowadzać do końca, nie wolno pozwolić, by pozostawały otwarte.

Odwrócił się od okna. Sięgnął po smycz z identyfikatorem. Zawiesił ją sobie na szyi i spojrział na uśmiechniętą twarz na zdjęciu, na twarz, którą sam ledwie rozpoznawał.

Tak, Taylor, już prawie pora.

8 listopada

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Oczom Taylor ukazała się panorama Nashville. Zobaczyła światła biurowca AT&T, nazywanego przez mieszkańców Batman Building, bo dwie wieńczące go iglice przypominają uszy gacka. Niedaleko nowy, subtelny Pinnacle z dyskretnym logo na samej górze. Kiedy jechali Shelby Street Bridge, niebieskie, czerwone i żółte światła odbijały się w wodach rzeki Cumberland, której nurt mienił się i połyskiwał w zalotnym tańcu.

Baldwin zawiózł ich prosto na posterunek. Taylor zwołała całą ekipę, wyrwała wszystkich z ciepłych łóżek. McKenzie powitał ich w biurze Wydziału Zabójstw, ziewając i częstując kawą i domową mieszanką herbat autorstwa jego partnera Hugh. Baldwin wybrał kawę i poszedł do jednego z pokoi przesłuchań, żeby zadzwonić w kilka miejsc. Pięć minut później zjawił się Marcus z miną, jakby tego dnia nie zmrużył oka. Jedynie Lincoln wyglądał nienagannie i świeżo w śnieżnobiałej koszuli od Armaniego, ciemnych dżinsach, czarnych mokasynach z frędzlami i w ciemnofioletowej zamszowej marynarce.

- Modniś – podsumował McKenzie, wręczając mu kawę.
- Mógłbym ci pomóc, wiesz? Moglibyśmy się wybrać na zakupy. Styl na obdartusa wyszedł z mody kilka lat temu.
- Co, chcesz być moją dziewczyną?
- Nie, kochanie, nie zamierzam wygryźć Hugh.
- To moja żona, głąbie. Mężowie nie chodzą na zakupy z żonami, tylko z kochankami.
- Trafiony, zatopiony – stwierdził Marcus ze śmiechem.
- Chłopcy, chłopcy – ostrzegła Taylor – bawcie się grzecznie, bo mamusia zabierze zabawki. Renn, podziękuj Hugh za herbatę. Jak zawsze wyborna.
- Podziękuję. Hugh mówi, że jesteś mu dłużna kolację.

Taylor się uśmiechnęła. Cieszyła się, że McKenzie znalazł wspólny język z Marcusem i Lincolnem. Był bardzo zdolnym policjantem i u obu zasłużył sobie na szacunek. Ponieważ bardzo

go ceniła, zaproponowała mu stałe członkostwo w swoim zespole. Szacunek i przyjaźń to jednak dwie różne rzeczy. Ta trójka świetnie się dogadywała. To dobrze, przynajmniej nie musiała się przejmować przepychankami w ekipie. Może Fitz wróci do wydziału? Przyjęłaby go z otwartymi ramionami. Ale zrozumiałaby, gdyby po „przygodzie” z seryjnym mordercą w ogóle zrezygnował ze służby, tym bardziej że już wcześniej się nad tym zastanawiał. Razem z Susie wybrali się na wakacje, żeby przemyśleć wspólną przyszłość.

Przełknęła nerwowo. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, co przeżywa Fitz. Nie знаła Susie zbyt dobrze, ale jej śmierć głęboko nią wstrząsnęła. Że też Fitz musi leżeć sam w tym wielkim szpitalu... Zapagnęła pojechać do niego, uściskać go, zapewnić o swojej miłości. Później. Zrobi to jutro. Zrugałby ją, gdyby się dowiedział, że zamiast skupić się na śledztwie, przejmuje się jego stanem zdrowia.

Ponieważ w biurze Wydziału Zabójstw urzędowali funkcjonariusze nocnej zmiany, Taylor zaprowadziła swoją ekipę do konferencyjnego. Zdążyła włączyć światło, kiedy zadzwoniła jej komórka. Nie znała numeru, który pojawił się na wyświetlaczu, ale i tak odebrała. Może to ktoś z nowymi informacjami o sprawie? W słuchawce odezwał się mężczyzna. Jak przez mgłę pamiętała jego głos.

– Mówi Paul Friend. Jestem producentem z Fox News. Pracowaliśmy razem przy okazji sprawy Królewny Śnieżki.

Ach tak! Paul Friend wyprodukował odcinek programu, w którym wystąpiła. Był głosem w słuchawce, który dawał jej znać o zmianach kamery.

– Pamiętam. Cześć, Paul, co u ciebie słychać?

– O tej nieludzkiej porze? Pochrapywanie sąsiadów. Żartuję. Posłuchaj, dostaliśmy niepotwierdzoną informację o znalezieniu ofiar pewnego nietypowego morderstwa w San Francisco. Miejsce zbrodni upozorowano tak, że przypomina pierwszą zbrodnię Zodiaka. Wysłano nawet list do „Chronicle” i tak dalej. Okazuje się, że ofiary udzielały się na blogu Felon E. Ze swoich źródeł

wiem, że rozmawiałaś z właścicielem bloga. Chcielibyśmy zrobić o tym reportaż dla pasma porannego. Czy możesz potwierdzić?

– Co potwierdzić?

– Że anonimowy bloger wie, że Zodiak wybiera ofiary spośród osób udzielających się na blogu, ale nie podzielił się tą wiedzą z policją ani nawet nie ostrzegł internautów. Powinienem dodać, że w Nowym Jorku ktoś popełnia morderstwa, które dziwnie przypominają zbrodnie Syna Sama. Zastrzeleni mężczyźni również aktywnie uczestniczyli w życiu bloga Felon E. Przy ciałach znaleziono karteczkę z wiadomością: „Istnieją inni Synowie. Boże, dopomóż światu”. A ponieważ David Berkowitz, jak sądzę, nie uciekł z więzienia...

Jasna cholera! Taylor gotowa była kląć jak szewc, ale powiedziała tylko:

– Przykro mi, ale nic nie wiem na ten temat.

– Nie? Wydawało mi się, że kto jak kto, ale akurat ty zrozumiesz konieczność ostrzeżenia ludzi przed szalejącym naśladowcą słynnego mordercy. Zwłaszcza że być może wiesz, kto za tym wszystkim stoi. No, pani porucznik, tylko słówko, całkiem prywatnie. Pracowałaś nad sprawą Królowny Śnieżki, brałaś udział w masakrze w Karolinie Północnej... Przecież gołym okiem widać, że coś jest grane. Śledzę sprawy i wiem, że pomocnikowi Królowny Śnieżki udało się uciec. Przyczał się, ale czuję, że to on. Musisz się ze mną zgodzić.

– Panie Friend, wysnuwa pan zdecydowanie zbyt daleko idące wnioski.

– Hm... – Zamilkł na chwilę. – Gramy w jednej drużynie, chcę wam pomóc. Chcę, żebyście złapali morderców. Kto wie, ilu ich jest? Chcę, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Przykro mi, Paul, ale naprawdę nic nie wiem. Mówię poważnie, dowiaduję się o tym wszystkim od ciebie.

– Nie bądź taka. Współpracuj. Mogę pomóc.

– Serio, Paul, nie słyszałam o tych morderstwach. Musisz potwierdzić te informacje u innego źródła. Dobranoc. Albo raczej miłego dnia. – Rozłączyła się i zwróciła się do pozostałych: –

Musimy działać. I to natychmiast.

– Właśnie skłamałaś prasie – powiedział Marcus, unosząc brwi. – Niegrzeczna dziewczynka.

– Później dasz mi klapsa. Na początek musimy zapewnić bezpieczeństwo Colleen Keck. Kto oprócz nas wie, że dzwoniła? Dyspozytornia?

– Chyba nikt więcej. Lincoln z nią rozmawiał. To on do ciebie dzwonił.

– Możemy mieć przeciek. Uważajcie na każdego, kto będzie się interesował tą sprawą. Dowiedzmy się, co takiego odkryła pani Keck.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Do: troy14@ncr.tr.com

Od: 44cal@ncr.ss.com

Temat: Charleston

Troyu, gra gitara.

44

– Mógłbym to zrobić tu i teraz.

– Jebany McDonald. Cholerne bachory. Mam pod ręką kałacha i pełny magazynek. Posłałbym serię. Na pewno zwróciliby uwagę.

Nie, stary, to kiepski pomysł. Za mało ich. Potrzebujesz więcej, dużo więcej.

Policzył: czternaście sztuk. Anioł miał rację, czternaście to zbyt mało do masowego morderstwa z prawdziwego zdarzenia. Ten brudas w Teksasie – szło mu nawet nieźle, dopóki nie dał się, tępy gnojek, postrzelić i nie został sparaliżowany. Nie, samobójstwo przez wystawienie się glinom nie wchodziło w grę. Nie chciał umierać, jeszcze nie teraz. Tak wiele miał do zrobienia. Tyle książek do przeczytania. Zwłaszcza jeśli uda mu się trafić do celi skazańców, o tak, wtedy będzie miał dużo czasu do zabicia. Do zabicia, he, he.

Uwielbiał czytać.

Ja też lubię. Pamiętasz tę książkę o maniacu, który przeciął kobietę na pół?

– Cicho bądź. Myślę.

Musiał się upewnić, że zanim da się poprowadzić własnemu gniewowi, znajdzie się na terytorium stanu Tennessee. Bo w Tennessee zbrodniarzy woleli ukatrupiać, a celną śmierć to był jego cel. Zarechotał. Pozwoli, by gniew nim pokierował. Będzie jak w *Upadku*, tym filmie z Michaelem Douglasem, którego bohaterowi przepalił się bezpiecznik i który wpadł w szal i walił na oślep w słusznej sprawie. Pomysł niezły, ale pod koniec Douglas okazuje słabość. To było, zanim zrobił sobie lifting. Ożeż kurwa, co z niego

za facet, skoro robi sobie lifting?

Z przyjemnością wyeliminował tych pedziów w parku w Waszyngtonie. Nie spodziewali się go, Mściciela, że spadnie na nich z góry i otworzy ogień. Ich miny były bezcenne. Pewnie woleliby, żeby do nich dołączył. I był na dole. Miękkie chujki.

Anioł zaczął skandować:

Miękkie chuje siedzą na trawie, pif-paf i po zabawie. Łup i trup. Łup i trup. Cała sala wali z nami, tralala...

Przyszła mu do głowy pewna myśl. Wielka, piękna myśl. Mógłby znaleźć bar dla gejów. Zawsze pełno w nich ludzi. Kupa zboczonych dupków. Znał jeden taki bar w Nashville, całkiem spory lokal, mógłby pójść i postrzelać. Położyć trupem Jednego-Po-Drugim. Och, to by było!

Dostał gęziej skórki. I natychmiastowej erekcji. Czemu wcześniej o tym nie pomyślał?

Anioł zamilkł. Widać upajał się wizją rozjebki w barze. W dupie z grą. I w dupie z tym chorym popaprańcem, który dyktuje zasady. Koniec robienia wszystkiego pod dyktando innych. Teraz on przejmuje kontrolę.

Zresetował odbiornik GPS. Zamiast zgodnie z wytycznymi zatrzymać się w Louisville i zlikwidować miękkiego współpracownika senatora, ruszył od razu w kierunku Nashville.

Dobry plan, stary. Wreszcie chwytasz.

Zapalił papierosa, wziął do ręki buteleczkę z lekarstwem, potrzymał ją w dłoni, po czym otworzył okno i wyrzucił. Po chwili posłał za nią niedopalonego papierosa. Idę na całość, pomyślał. Koniec udawania. Koniec prochów. Koniec gierek. Walić cel, pieprzyć tę całą Jackson. I tak miał ją w dupie.

Jadę do was, cwele.

Zajeb geja, zajeb geja, zajeb geja, mamrotał Anioł. *Juuuuu,* zawył.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Colleen nie mogła znaleźć wjazdu na parking policyjny, o którym mówiła porucznik Jackson, więc zamiast tego wybrała podziemny przy James Robertson Parkway, dokładnie naprzeciwko posterunku. Zjechała po pochylni, zaskoczona ilością światła w środku. Jasno, jak na środek nocy.

Dla pewności zostawiła auto pod jedną z licznych lamp. Zrzuciła na ramię torbę z laptopem, zabrała śpiącego na tylnym siedzeniu Flynnna i pobiegła do windy. Wprawdzie parking był pusty, nie widziała żywej duszy, ale lepiej nie ryzykować. W kieszeni kurtki miała jeden z pistoletów Tommy'ego i była gotowa go użyć, gdyby komuś przyszło do głowy skrzywdzić ją albo Flynnna.

Na ulicach pusto. Po prawej stronie w żółtym świetle latarni na moście migotały ciemne wody Cumberland. Colleen nie mogła pozbyć się wrażenia, że ktoś ją obserwuje. Poczowała dotknięcie śliskiego, zimnego palca. To strach. Przytuliła Flynnna do piersi – trudno, jeśli się obudzi. Przebiegła przez ulicę i weszła po schodach prowadzących do drzwi posterunku. Mogła przysiąc, że kątem oka widzi postać ukrytą w cieniu. Zadzwoiła i rozpaczliwym gestem pomachała do strażnika. Kiedy wpuścił ją do środka, pośpiesznie zamknęła za sobą drzwi.

– Wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi – szepnęła. – Może pan spojrzeć, czy na zewnątrz nie ma nikogo... podejrzanego?

– Dobrze, proszę pani, ale normalni ludzie raczej nie biegają po ulicach w środku nocy. Pani Keck, prawda?

Lekko się wzdygnęła. Kiedy ktoś zwracał się do niej w ten sposób, robił to w jej mniemaniu zbyt oficjalnie. Jestem zbyt młoda na wdowę, ale za stara na panienkę na wydaniu, myślała z odrobiną goryczy. „Pani Keck” brzmiało strasznie poważnie. U Flynnna w szkole dzieci nazywały ją „panią Colleen”, co w ich ustach – dodatkowo wymówione ze staroświeckim południowym akcentem – brzmiało uroczo, zarazem oficjalnie i familiarnie.

Oczywiście była to forma zarezerwowana dla kobiet. Nigdy nie słyszała, żeby ktokolwiek mówił „panie Tommy”.

Strażnik patrzył na nią zdziwiony.

O Jezusie, mam nadzieję, że nie powiedziałam tego wszystkiego na głos! – pomyślała spanikowana. Ale raczej nie, strażnika zdziwiło jej milczenie.

– Tak, to ja. Przyszłam na spotkanie z porucznikiem Jacksonem.

– Zgadza się, mam panią na liście. Przykro mi z powodu męża. Czekają na panią. Proszę zapukać do tamtych drzwi, o tam. Ktoś panią wpuści.

– Dziękuję.

W ostatniej chwili powstrzymała się przed wręczeniem mu napiwku. Roześmiała się w duchu. Przepracowała jako dziennikarka tyle lat i tyle razy wciskała ludziom dwudziestkę w zamian za informację, że weszło jej to w krew.

Flynn, o cudzie, do tej pory się nie obudził. Głęboki sen miał po ojcu. O ile Colleen nocą budził najmniejszy szmer, o tyle Tommy’ego nic, nawet tornado, nie było w stanie wyrwać z objęć Morfeusza. Nigdy nie słyszał budzika. Flynn był taki sam. Łatwo zasypiał, z trudem się budził.

Zapukała do drzwi. Otworzył je wysoki, nienagannie ubrany czarnoskóry mężczyzna. O mały włos parsknęłyby śmiechem, bo kto tak wygląda o trzeciej nad ranem? Gdy uśmiechnął się do niej szeroko, zauważyła przerwę między przednimi zębami. Wyglądał jak gwiazda rocka, wyleciało jej nazwisko, miała jego płyty, no ten, jak mu tam, Lenny coś tam, Lenny... Lenny... Kravitz, o właśnie!

Widział, jak Colleen próbuje skojarzyć twarz, i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Widocznie zdążył się przyzwyczaić. Ale to całkiem naturalne, zwłaszcza w Nashville, światowej stolicy muzyki country. Miasto przyciągało słynnych muzyków i piosenkarzy, a także aktorów i aktorki, skuszonych złudzeniem prywatności. Ludzie wprawdzie oglądali się, kiedy Nicole Kidman z mężem Keithem Urbanem i ich córką Sunday Rose wchodziła do Starbucksa, ale nigdy się nie narzucali i ograniczali się jedynie do

uśmiechu i pozdrowień. Zawracanie gwieździe głowy, gdy przyszła na kawę z rodziną, i nagabywanie o autograf nie było uprzejme, dlatego nikt tego nie robił.

Mężczyzna zaprosił ją do środka.

– Colleen Keck, zgadza się? Detektyw Ross. Przepraszam za całe to zamieszanie.

– I nawzajem. Pojawiło się coś nowego?

– Nie, na razie nic. – Zamknął za nią drzwi. – Zebranie dopiero się zaczęło. Porucznik Jackson rozmawia z informatorami. Spodziewa się też, że uraczy nas pani małym wystąpieniem.

– No tak, oczywiście. Gdzie mogłabym położyć Flynna? Nie chciałabym, żeby się obudził i usłyszał, co mam do powiedzenia.

– Jasne, coś wykombinujemy. Poproszę jednego z dyżurujących policjantów, żeby go przypilnował i dał znać, kiedy mały się obudzi. Chłopaki mają spokojną noc.

– Dziękuję. Od razu widać, że jest pan ojcem.

– Nie, nie mam dzieci. Ale moja mama była dziennikarką, a tata pracował na nocnych zmianach, więc przywykłem do budzenia się w różnych nietypowych miejscach. Zawsze lubiłem, kiedy był przy mnie ktoś, kto mnie pocieszył, że mama zaraz przyjdzie.

Podeszli do drzwi prowadzących do pokoju zebrań. Ross zabrał Flynna od Colleen i wyszedł innymi drzwiami.

Dostrzegła Taylor Jackson w drugim końcu pomieszczenia. Siedziała na szerokim blacie i rozmawiała przez telefon, machając długą nogą. Na drugiej chyba siedziała. Wyglądała jak blond żuraw. Przy stole dwóch mężczyzn przeglądało materiały. Jeden był całkiem do rzeczy, szczupły, miał opadające na czoło brązowe włosy. Drugi był bardziej powściągliwy, miał siwiejące blond włosy. Dokąd ten przystojny detektyw zabrał Flynna? Przystojny? Skąd jej to przyszło do głowy?

Colleen odetchnęła głęboko. Będzie dobrze.

Jackson skończyła rozmawiać. Schowała telefon do kieszeni i podeszła do Colleen. Co prawda nie uśmiechnęła się, ale minę miała zdecydowanie przyjazną.

– Witaj – powiedziała, wyciągając rękę, którą Colleen uścisnęła.

– Miło cię znów widzieć.

– Rozbierz się. Siadaj. Lincoln się tobą zajął?

– Tak, dzięki. Obiecał położyć Flynna w bezpiecznym miejscu. Zaraz przyjdzie.

Jackson przekrzywiła głowę, ale nic nie powiedziała. Cholera. Chyba niedobrze to zabrzmiało. Zupełnie jakby była zazdrosna o detektywa Rossa. Właściwie to nawet tak się... czuła. A przecież poznali się przed pięcioma minutami. Hormony. To na pewno wina hormonów. Matka Natura. Zawsze była napalona, kiedy zbliżały się te dni.

Colleen, na Boga, opanuj się! – nakazała sobie w duchu. Czuła się dziwnie pobudzona. Mało snu, dużo stresu plus solidna dawka strachu równa się nerwowa głupawka. Spróbowała ratować sytuację, przybierając profesjonalny ton:

– No więc, pani porucznik, co my tu mamy?

Jackson odwróciła się i podeszła do stołu.

– Kłopoty. Całe mnóstwo kłopotów. Chcę, żebyś opowiedziała nam wszystko, co wiesz na temat tych morderstw.

– Od czego mam zacząć?

– Może od tego, skąd zaczerpnęłaś informacje o zabójstwach w San Francisco?

– Hm... – Colleen pokręciła głową. – Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć. Mam swoje źródła. Jeśli je ujawnię, stracę ich zaufanie.

Jackson zmierzyła ją wzrokiem i westchnęła.

– W porządku, jeszcze do tego wrócimy. W takim razie po prostu zacznij od początku i powiedz nam wszystko, co możesz.

Colleen widziała, że porucznik Jackson stara się ukryć gniew. Przez z pozoru łagodne słowa przebijało rozdrażnienie. Och, wcale nie miała jej tego za złe. To oczywiste, że chce poznać nazwiska informatorów. Ale Colleen nie zamierzała dzielić się tą wiedzą, dopiero wtedy, gdy okaże się to absolutnie konieczne.

– Tknęło mnie, że coś się święci, kiedy dostałam informację

z San Francisco, że ktoś popełnił morderstwo wyglądające na kopię zbrodni Zodiaka. Należy pamiętać, że wbrew pozorom to się stosunkowo często zdarza. Ludzie lubią go naśladować. Wciąż odbieram fałszywe alarmy, że „Zodiak wrócił”. A jednak tym razem coś mi podpowiadało, że ta sytuacja jest inna. I bardzo szybko przyszły kolejne mejle, doniesienia z Bostonu i Nowego Jorku. Z początku myślałam, że to jakiś chory żart, ale zaczęłam grzebać, sprawdzałam źródła i zawsze wychodziło to samo. Dwa dni temu w trzech miastach uderzyli naśladowcy trzech słynnych morderców. Skopiowali zbrodnie popełnione przez Dusiciela z Bostonu, Syna Sama i Zodiaka. Wczoraj rano doszło do masakry w Nags Head, która, o czym jestem przekonana, wiąże się z tymi zabójstwami.

– Jesteś o tym przekonana, tak? Nikt z nas, stróżów prawa, nie wpadł na to, żeby skojarzyć wydarzenia w Karolinie Północnej z morderstwami, o których opowiadasz, ale ty, była dziennikarka, detektyw amator prowadząca stronę poświęconą przestępczości, dysponując niepełną wiedzą, błyskawicznie rozpracowałaś schemat. I postanowiłaś opublikować swoje teorie na blogu, sprowadzając na siebie gniew jakiegoś wariata, który cię prześladowuje.

Colleen lekko uniosła głowę. Nie lubiła, gdy traktowano ją w sposób protekcyjny, aczkolwiek rzeczywiście brzmiało to wszystko trochę absurdalnie.

– Mów, co chcesz, ale ja wiem, że mam rację. Tak jak mówisz, prowadzę bloga o przestępczości. I widzisz, czasem się zdarza, że przestępcy, o których piszę, czytają moje słowa. Naprawdę. Żyjemy w wolnym kraju. Rzecz polega na tym, że pomagam organom ścigania w rozwiązywaniu spraw, bo ludzie nie ufają policji, czy raczej systemowi. Myślą, że jeśli złożą zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa albo doniosą na kogoś, kto według nich zrobił coś nielegalnego, to sami będą mieli kłopoty, zostaną wciągnięci w sprawę. Natomiast ja udostępniam im wolne forum, na którym anonimowo mogą się podzielić uwagami, spostrzeżeniami i informacjami z organami ścigania.

Policja z tego korzysta. Jestem dobra w dedukcji. Owszem, jestem samoukiem, ale pamiętaj, że przepracowałam kilka lat jako dziennikarka śledcza i byłam żoną gliniarza. Dobrego gliniarza. Tommy nauczył mnie wszystkiego, co sam potrafił. A jego, o ile pamiętam, uczyłaś ty.

– Racja. – Taylor posłała jej krzywy uśmiech.

– Nie obwiniaj mnie za to, co się stało. Ja tylko dostrzegłam pewien schemat i opowiedziałam o swoich przemyśleniach. To wszystko. Tak samo postąpiłby każdy dobry oficer śledczy.

Jackson przeczesła palcami włosy. Colleen poczuła się zazdrosna, bo im bardziej rozczochna była fryzura pani porucznik, tym seksowniej wyglądała. Natomiast kiedy ona miała potargane włosy, wyglądała, jakby od kilku dni ich nie czesała...

Jackson związała kucyk i z roztargnieniem zaczęła się bawić długopisem.

– Spokojnie, Colleen, nikt nie ma do ciebie pretensji.

Wprawdzie wolałabym, żebyś przyszła ze swoimi spostrzeżeniami do mnie, zanim podzieliłaś się nimi z internautami na blogu, ale stało się, za późno na żale. – Urwała na moment. – Chcemy wiedzieć, co się dzieje i dlaczego ktoś wykorzystuje ciebie i stronę Felon E. Udało nam się potwierdzić, że wszystkie ofiary ostatniej serii zabójstw udzielały się w dyskusjach na twoim blogu. Czy rzuciłaś swoim użytkownikom jakieś wyzwanie? Na przykład zorganizowałaś konkurs?

– Przed wyjściem z domu przejrzałam archiwa. Kilka razy pisałam o Zodiaku, zwłaszcza kiedy David Fincher kręcił o nim film, ale o Dusicielu z Bostonu i Synu Sama nie opublikowałam ani jednego postu. Nigdy też nie urządzałam konkursów na stronie, bo to nie moja bajka. Natomiast nie wiem, o co ci chodzi z tym wyzwaniem. Sprecyzuj, w czym rzecz.

– Czy zdarzyło ci się rzucić oskarżenie pod adresem konkretnej osoby albo poprosić użytkowników, żeby przyjrzel się wnikliwie jakiejś sprawie, sprawcy albo ofierze?

Musiła się zastanowić. Szybko usiłowała sobie przypomnieć, czy coś takiego miało miejsce, ale nie. Pokręciła

głową.

– Nie, nic takiego nie pamiętam, a pamięć mam dobrą.

– Czemu więc morderca postanowił wykorzystać twój blog?

Dlaczego właśnie ty?

No właśnie: dlaczego ja? – powtórzyła w duchu. Obląkany fan? Morderca, którego pomogła posłać za kratki i który wyszedł z więzienia?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie mam zielonego pojęcia. Powiedziałam wam wszystko, co wiem. Napisałam artykuł, zamieściłam go w sieci na swoim blogu, a teraz ktoś przez to zabija moich użytkowników.

– Myślę, że nie chodzi o ten konkretny artykuł. Prowadzisz stronę nie od wczoraj. Sądzę, że po prostu natknęłaś się na coś, czego nie powinnaś odkryć.

– Coś w tym może być... Wczorajszy atak nie pozostawia wątpliwości, że ten, kto jest odpowiedzialny za serię zabójstw, wie o istnieniu mojego bloga. Umieścił pod moimi postami dobrych kilkaset komentarzy o treści: „Wiem, kim jesteś”. A nikt, naprawdę nikt nie wie, kim jest Felon E.

– Jak widać, ktoś jednak wie. Na przykład twoi informatorzy. Naprawdę wszystko robisz całkowicie anonimowo?

Jackson miała irytujące przyzwyczajenie, mianowicie kiedy mówiła, pochylała się do przodu i naruszała przestrzeń osobistą rozmówcy. Była to sprawdzona metoda przesłuchań. Przesłuchiwany ma poczuć, że się z nim liczysz i uważnie słuchasz jego słów. Colleen miała świadomość, jak niewiele umyka Taylor Jackson. Jednocześnie odczytuje komunikaty werbalne i niewerbalne, śledzi język ciała. Tommy wspominał, że Jackson jest wyśmienitą policjantką. Colleen musiała się z tym zgodzić i przyznać, że niewiele mogło się przed nią ukryć.

– Wszystko, co robię, jest anonimowe. Staram się na wszelkie sposoby chronić swoją tożsamość, zwłaszcza przed informatorami. Nazywają mnie Felony. To taki żarcik...

– ...z nazwy bloga. Tak, zrozumiałam. Skoro nie wiedzą, kim naprawdę jesteś, jak przekonujesz ich do współpracy?

– Na różne sposoby. Najczęściej wystarczy już to, że jestem gotowa ich wysłuchać. Niektórzy żądają pieniędzy. Zdarza się, że temu czy owemu zapłacę dwadzieścia dolarów za jakąś informację, ale nigdy nie kupuję tematów w ciemno. Informator przekazuje mi wiadomości i otrzymuje zapłatę, dopiero kiedy potwierdzę ich prawdziwość. Ale zdziwiłabyś się, jak wielu ludzi chce pomagać za darmo. Zależy im wyłącznie na tym, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Z iloma policjantami z Nashville współpracujesz?

Colleen nieomal parsknęła śmiechem. Na szczęście zdążyła się opanować, widząc kamienną twarz Jackson. Pani porucznik nie podobała się myśl, że Felon E mogła mieć informatorów w policji, a nawet w jej wydziale, czemu trudno się dziwić. Przecież nikt nie chce, żeby jego zespół był dziurawy jak sito.

– Z żadnym z twojego wydziału, jeśli o to ci chodzi. Nic więcej nie powiem o źródłach. Nie mają związku ze sprawą. Powinniśmy skupić się na tym, że ofiarami są użytkownicy mojego forum.

– Myślę, że w przypadku akurat tej sprawy wszystko może mieć z nią związek. Mamy przeciek. Niedawno zadzwonił do mnie jeden z dziennikarzy z Nowego Jorku i zaczął wypytywać o szczegóły śledztwa. To nie jest dobra pora na żarty, Colleen. Zamknij stronę – powiedziała Jackson.

– Nie – odparła sztywno.

– Bądź rozsądna. Narażasz swoich czytelników. Dostarczasz im informacje i zapewniasz rozrywkę, a teraz zapewnij im bezpieczeństwo.

– Nie zrobię tego. Nie ugnę się tylko dlatego, że jakiś wariat uwziął się na mnie.

– Uwziął się na ciebie? Właśnie na ciebie? On zabija twoich użytkowników, nie ciebie. Pozbawia cię źródła zarobku. A ile byłby wart twój blog bez czytelników? Niewiele, prawda? Colleen, posłuchaj mnie uważnie. Igrasz z ogniem. Masz dużo do stracenia. Ten człowiek nie cofnie się przed niczym. Pozbędzie się ciebie. Nie liczysz się dla niego. Jesteś jedynie środkiem prowadzącym do

celu. Wykorzysta cię, a kiedy przestaniesz być mu potrzebna, zabije cię. Po drodze zginie wielu niewinnych ludzi. Musisz, po prostu zamknąć blog.

– Nie. Absolutnie się nie zgadzam. Nie dam się sterroryzować ani szaleńcowi, ani policji. Jeżeli zamknę stronę, dla wszystkich działających w naszej branży będzie to sygnał, że można nas zastraszyć i wykurzyć z interesu. Muszę stawić czoło prześladowcy, muszę to zrobić w imieniu nas wszystkich.

Jackson zamilkła, po czym westchnęła i powiedziała:

– W porządku. Przykro mi, że tak uważasz. W takim razie jesteśmy zmuszeni zrobić to za ciebie.

W Colleen zawrzało. Zaczęła podniesionym głosem:

– Ani mi się...

– Za późno – wpadła jej w słowo Jackson i skinęła w stronę drzwi, przy których stał przystojny detektyw Ross, który lekko zmarszczył brwi.

– Ale jak...

– Lincoln jest jednym z naszych najlepszych informatyków. Zablokował twoją stronę i uruchomił system powiadomień, który każdemu z użytkowników wyśle wiadomość z informacją o przyczynach zamknięcia bloga i prośbą o zachowanie szczególnej ostrożności.

– Nie możecie tego zrobić. To niezgodne z prawem. Ochrona danych...

– Komentarz pozostawiony w internecie staje się częścią domeny publicznej.

– Nie, nie, to nie tak. To prywatna strona. Komentarze nie są dostępne dla wszystkich, a jedynie dla tych, którzy się zarejestrują, wyrażą zgodę na przetwarzanie danych i zobowiążą się do przestrzegania regulaminu, który pomógł mi napisać prawnik specjalizujący się w prawie własności intelektualnej. Prowadzę bardzo restrykcyjną politykę prywatności, już nie wspominając o regulaminach firmy hostingowej i systemu zarządzania treścią. Osoby będące moimi użytkownikami oczekują, że uszanuję ich prawo do prywatności. Nie możecie z nikim się kontaktować bez

mojej zgody. Albo bez nakazu.

– Colleen, proszę cię, daj spokój. To tylko blog. A jeżeli skupiona wokół niego społeczność jest naprawdę tak zamknięta, to nasz morderca z pewnością znajduje się na liście użytkowników. Musisz nam dostarczyć listę nazwisk. – Gdy zaczęła protestować, Jackson podniosła rękę i uciszyła ją. – Daruj sobie. Ciesz się, że nie oskarżyliśmy cię o utrudnianie śledztwa. Koniec zabawy. Usiądź, odetchnij głęboko, rozluźnij się i zacznij mówić. Przyszłaś do mnie po pomoc, pamiętasz? Ale jeśli nie masz nic więcej do dodania, to przestań marnować mój czas.

Colleen przeszła ją lodowatym spojrzeniem i wycedziła:

– Suka z ciebie.

Jackson roześmiała się i pokiwała głową, po czym znów spoważniała.

– Może i tak. Ale wiesz, bardziej mnie obchodzi życie niewinnych ludzi niż to, czy zostaniemy przyjaciółkami. Rozumiemy się? Możemy wreszcie przejść do rzeczy? Nie wiem, Colleen, czy do ciebie dociera to, że giną ludzie, a tobie i twojemu synkowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Pomyśl o Flynnie. Zastanów się, co zrobiłby Tommy.

Colleen czuła się pokonana. Doskonale знаła to uczucie, kiedy ktoś ją ogrywał. Podziwiała bezwzględność Jackson. Odwołanie się do zmarłego męża i bezpieczeństwa dziecka było ciosem poniżej pasa, lecz skutecznym. Opanowała złość, usiadła przy stole, wyjęła z torby laptopa i włączyła go. Po czym zaczęła czytać na głos, z niekłamaną radością obserwując zdumienie na twarzy pani porucznik, kiedy nazwiska użytkowników zaczęły się zgadzać z nazwiskami ofiar Naśladowcy. Liczba morderstw na jego koncie gwałtownie wzrosła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Taylor zostawiła Colleen, która na przemian mamrotała przekleństwa i posyłała kokieterijne spojrzenia Lincolnowi, w pokoju zebrań i znalazła cichy kąt na końcu korytarza. Lamy fluorescencyjne dawały zbyt dużo światła, albo po prostu była przemęczona. Zerknęła na zegarek, był już prawie wczesny ranek. Przesłuchanie zajęło niecałą godzinę. Colleen opierała się, jak mogła, ale w końcu wszystko wyśpiewała. Brakowało jednak odpowiedzi na pytanie, dlaczego akurat Colleen? W internecie działało sporo blogów poświęconych przestępstwom, w tym kilka prowadzonych przez osoby mieszkające w Nashville. Czemu więc ona? Czy było coś jeszcze, czego nie dostrzegli? Element, który się zawieruszył... Tylko jak go odnaleźć?

Taylor oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Jaką grę prowadzi Ewan Copeland? Czy to on jest odpowiedzialny za morderstwa w Nowym Jorku, San Francisco i Bostonie? Niemożliwe, żeby znajdował się w trzech miejscach jednocześnie. Mógł popełnić jedną z tych zbrodni, ale nie wszystkie. Nasuwał się tylko jeden wniosek: zgromadził wokół siebie uczniów, skompletował ekipę zabójców, a nawet wciągnął do niej własną siostrę. Taylor przeszedł dreszcz.

Ale im większa grupa, tym większe prawdopodobieństwo błędu i przecieku. Właśnie w tym upatrywała szansę. Wykorzystać słabość jednego z jego zwolenników, a potem zakończyć ten koszmar. Wystarczy jeden celny strzał i świat odetchnie z ulgą.

Wróciła myślami do swego sekretnego planu. Zaczeka... i zabije Copelanda, gdy tylko upewni się ponad wszelką wątpliwość, że to właśnie on jest Naśladowcą. Wyobraziła sobie, jak to będzie wyglądało: Copeland błaga o litość, ona jest głucha na jego prośby i naciska spust. Koniec.

Oddzielenie się od grupy i od Baldwina, by zrealizować plan, nie powinno stanowić problemu, w końcu podstęp, sztuczki i celowe wprowadzanie w błąd niemal każdego dnia stosowała w

swojej pracy.

Wszystko, co się wydarzyło do tej pory, było tylko przygrywką, sukinsynu, pomyślała nienawistnie. Nie pozwolę ci nikogo więcej skrzywdzić.

Boże, ależ była zmęczona.

– Wszystko w porządku?

Słyszac głos Baldwina, nagle otworzyła oczy. Podkrađ się do niej. O Jezu, czyżby zasnęła na stojąco?

– Tak. Przestraszyłeś mnie.

– Przepraszam. Myślałem, że boli cię głowa. Bo marszczysz brwi, jak to robisz, gdy coś cię boli.

Kciukiem dotknął dwóch zmarszczek, które pojawiały się między jej brwiami, kiedy była zdenerwowana albo kiedy skupiała się na czymś. Żartował, że wyglądają jak tory kolejowe. Jedyne nierówności na doskonale gładkiej skórze. Jej matka miała idealną cerę, podobnie jak babcia. Dużo kolagenu. Obie ładnie się zestarzały i Taylor miała nadzieję, że tak samo będzie w jej przypadku.

Ale to prawda, że czuła ból. Ból duszy. Krwawiła tam, gdzie Taylor odkroiła kawałek, gdy postanowiła, że zemsta jest jedynym sposobem na zachowanie zdrowia psychicznego. Ukryła nóż, którym tego dokonała, w bezpiecznym miejscu. Później będzie czas, by się nad sobą rozczulać.

– Wszystko dobrze. Tylko się zastanawiałam. A co u ciebie?

– Czekam na telefon. To cholernie frustrujące, kiedy wiesz, że nic nie możesz zrobić.

– Hej, przecież coś robisz. Jesteś tutaj. – Odepchnęła się od ściany. – Chcesz colę?

– Nie, wolę coś ciepłego, kawę. W pokoju przesłuchań zimno jak w psiarni.

– Przykro mi, że musiałeś tam siedzieć. Celowo panuje tam niska temperatura, dzięki temu podejrzani szybciej przyznają się do winy. A kiedy w sądzie odtwarzają nagranie z przesłuchania, z trudem zachowuję kamienną twarz, kiedy widzę, jak skuci kajdankami podejrzani próbują rozgrzać dłonie... No, przyznaj, że

to zabawne.

– Taylor, moja droga, urodzona sadystka z ciebie.

– Ba!

Szli, dotykając się ramionami. Taylor ta chwila bliskości przyniosła pociechę i przypomniała jej, że choć w tym, co zamierzała zrobić, będzie sama, to miała do kogo się zwrócić, gdyby się wycofała albo gdyby potrzebowała azylu.

– Jak Colleen Keck? – spytał Baldwin.

Stanęli przed automatem z napojami. Baldwin wyjął banknot jednodolarowy, włożył go do maszyny, wybrał dietetyczną colę i podał ją Taylor. Podziękowała i zanim odpowiedziała, otworzyła puszkę i napiła się solidnie.

– Kazałam Lincolnowi zamknąć blog, ale nic więcej nie mogę zrobić. Colleen nie współpracuje tak, jak bym chciała. Bardziej zależy jej na ochronie swoich źródeł niż na tym, żebyśmy złapali Naśladowcę. Jeśli się nie zgodzi na wykorzystanie danych osobowych użytkowników zarejestrowanych na stronie, będę musiała wystąpić o nakaz, a to, jak wiadomo, trochę trwa. Blefowałam, mówiąc, że zdążyliśmy się skontaktować z użytkownikami, ale Colleen nie jest głupia i wie, że nie zrobilibyśmy tego, nie mając oficjalnego pozwolenia. Zostawiłam z nią Lincolna, bo wygląda mi na to, że wpadł jej w oko. Jeżeli i to nie pomoże, poproszę ciebie, żebyś ją trochę zmiękczył.

– Co ukrywa?

– Żebym to wiedziała! Uzyskałam od niej dużo informacji, powinnam skontaktować się z posterunkami w innych miastach, ale wiem, że nie powiedziała mi wszystkiego. Jest coś jeszcze... tylko co? I dlaczego nam o tym nie mówi?

– Z którymi posterunkami?

– Na razie w Bostonie i Nowym Jorku. Dzwonił Paul Friend z Fox New i powiedział, że przygotowują reportaż o morderstwach. Wkrótce wszyscy się dowiedzą.

– Czy musimy w to wciągnąć Halla i ludzi z Karoliny Północnej?

– Zdaniem Colleen tak. Według niej te sprawy coś łączy.

– Też tak myślę – powiedział Baldwin. – Nie mamy twardych dowodów, ale...

– No właśnie. – Taylor milczała przez chwilę. – Cholera, ale się porobiło. Siostra Copelanda w Karolinie Północnej. Jego kumple od brudnej roboty rozsiani po całym kraju. On się wyraźnie popisuje. Pokazuje nam, że kontroluje sytuację. Wyprzedza nas o dwa kroki. Zresztą w tym cały problem, że nie nadążamy. Do diabła, dlaczego blogerka rozpracowuje moją sprawę?

– Twoją sprawę? A nie policji i FBI?

– No, przynajmniej tę część związaną z Keck. Blogerka z Nashville podlega moim kompetencjom. Musimy się dowiedzieć, skąd morderca wie, że za Felon E kryje się Keck. I musimy to zrobić szybko. Sądzę, że Copeland posługuje się Colleen, bo między nią a mną istnieje jakiś związek. Szkoliłam jej męża, wprowadziłam go dwa tygodnie, ale zawsze to coś. Potem zdałam egzamin na sierżanta, wskoczyłam w cywilne ciuchy, a jego przejął inny oficer. Dwa lata później Tommy Keck zginął na służbie podczas rutynowej kontroli na I-40. Istnieje nagranie wideo z tego zdarzenia. Keck podszedł do samochodu, który zatrzymał do sprawdzenia. Kierowca wyciągnął broń i zastrzelił go. Odjechał, zostawiając Tommy'ego na poboczu w kałuży krwi. Mówili o tym we wszystkich wiadomościach. Kilka tygodni wcześniej Colleen urodziła dziecko, a Tommy dopiero co wrócił do służby po urlopie tacierzyńskim. Okropna zbrodnia. Taka... bezsensowna.

– A teraz Colleen Keck jest pionkiem w grze. O ruchach decyduje Ewan Copeland. Powinniśmy przyjrzeć się jej przeszłości. Skąd ona pochodzi?

– Nie wiem. Natomiast niepokoi mnie to, że Naśladowca wciąga do swojej gry coraz więcej ludzi, pojawia się coraz więcej postaci drugoplanowych... Tommy nie żyje od dłuższego czasu, Colleen wprowadziłam, ale spotkałyśmy się raptem parę razy, w tym na pogrzebie. Kiedy weszła do biura, nawet jej nie poznałam. Wygląda... inaczej.

- Strata bliskiej osoby zmienia człowieka.
- Tak, to oczywiste. Ale Tommy zginął przed czterema laty. Wtedy jeszcze nie byłam na celowniku Copelanda. Zainteresował się mną dopiero podczas sprawy Królowny Śnieżki. No, chyba. Pamiętasz? Doszliśmy do wniosku, że musiał zobaczyć mnie w telewizji na początku śledztwa.
- Może tak, a może nie. To tylko przypuszczenia. Teraz musimy uwzględnić również Kecków... Nie wiem, Taylor. Niewykluczone, że wasze drogi przecięły się dużo wcześniej.
- Nie, to niemożliwe. Jak?
- Naprawdę nie wiem, ale myślę, że powinniśmy przejrzeć archiwa policji i FBI, może coś znajdziemy.
- Jakie archiwa?
- Wszystko, co ma jakikolwiek związek z tobą. Przed wszystkim raporty z aresztowań. Wyślę zapytanie do Quantico, niech przeszukają bazę danych Programu Ścigania Brutalnych Przestępców. Jesteś na celowniku Naśladowcy. Popisuje się, żeby zwrócić twoją uwagę. Nie zastanawiałaś się, dlaczego to robi?
- Codziennie o tym myślę.
- Sądzę, że powinniśmy zmienić nasze podejście do sprawy. Zgromadźmy wszystkich w jednym miejscu. Niech każdy zabierze głos.
- Oba zespoły? Twój i mój? Chcesz stworzyć wspólną grupę operacyjną?
- Zbladła. Czyżby Baldwin przeczuwał, co zamierzała zrobić, i dlatego próbował odwrócić jej uwagę sprawami proceduralnymi? Przejrzał ją? Powołanie grupy operacyjnej oznaczało, że powstanie wiele poziomów odpowiedzialności w ramach jednego zespołu. A ustalanie hierarchii odpowiedzialności zajmuje czas, którego nie miała i na który nie mogła sobie pozwolić, jeżeli naprawdę chciała zlikwidować Copelanda.
- Różne sprawy, różne jurysdykcje. Tak będzie najprościej, jeśli chodzi o koordynację zadań. Niech inni zajmą się pozostałymi stanami. My skupmy się na Tennessee. Na tobie.
- Cholera, a jednak coś podejrzewał. Obracała puszkę w dłoni.

– Nie jestem przekonana. Poza tym, jak wiesz, grupa operacyjna to droga impreza, a ja nie mogę decydować o tak kosztownych przedsięwzięciach. Ty zresztą też nie, skoro zostałeś zawieszony. Zadzwońię do Emily Callahan z Nowego Jorku i wypytam, co wiadomo w sprawie tamtejszych morderstw. Potem złożę raport komendant Huston i wyciągnę z łóżka Julię Page, niech zajmie się wątpliwościami Colleen w sprawie ochrony danych osobowych.

– Callahan. Zawsze ją lubiłem. Pozdrów ją ode mnie.

Zamiast pojechać w podróż przedślubną do Włoch, trafili do Nowego Jorku, gdzie razem z Emily Callahan, ówczesną panią detektyw trzeciego stopnia ze 108. posterunku na Long Island, próbowali rozwiązać sprawę Królowy Śnieżki, czyli sukinsyna, który namaścił czy też stworzył Naśladowcę. Zginął, padając ofiarą własnego aktu stworzenia. Taylor miała nadzieję, że wkrótce Naśladowca podzieli los swego mistrza.

Gdy poszli do pokoju socjalnego, postanowiła zmienić temat:

– Myślałam, że będziesz chciał być obecny przy rozmowie z Colleen.

– Rozmawiałem z Kevinem, który analizuje twardy dysk z komputera Ruth Anderson. Mam nadzieję, że coś znajdzie.

Taylor zawsze miała ochotę posadzić Lincolna Rossa i Kevina Salta naprzeciw siebie i kazać im rozwiązać jakieś kosmicznie trudne zadanie informatyczne, żeby przekonać się, który z nich szybciej sobie poradzi. Postawiłaby na Lincolna, ale Kevin wart był każdego centa, którego płacił mu Baldwin.

– Możesz wydawać takie polecenia? Jesteś zawieszony...

– Mogę – odparł z uśmiechem. – Tak się złożyło, że moja ekipa współpracuje z agentem Hallem. Przewieźli materiał dowodowy z Karoliny Północnej do Quantico. Chwilowo moje obowiązki przejął Garrett. Obawiam się, że póki co nie mam tam nic do powiedzenia.

– Tak? A jednak Kevin przekazuje ci wszystkie szczegóły... Baldwin znów się uśmiechnął.

– No, musiał się wymknąć do łazienki, żeby zadzwonić...

Kiedy wrócę do pracy, chyba będę musiał go awansować. Analiza komputera zajmie trochę czasu. Okazuje się, że Ruth Anderson kontaktowała się z całą masą ludzi.

– Na pewno również z Ewanem Copelandem. Czy na tej podstawie uda nam się ustalić jego lokalizację?

– Copeland od lat skutecznie zaciera za sobą ślady, więc sądzę, że namierzenie go zajmie nieco więcej niż parę godzin. Kevin to wprawdzie geniusz, ale pracuje w pojedynkę. Z tego co wiemy, Copeland nie używał prawdziwego nazwiska, od kiedy wyszedł z poprawczaka. Oficjalnie Ewan Copeland zapadł się pod ziemię.

– Racja.

– Wiesz co? Proponuję, żebyśmy pojechali do domu, wzięli prysznic i spróbowali choć trochę się przespać. Ledwie trzymasz się na nogach. Ziewasz tak, że zaraz mnie połkniesz.

– Wcale nie ziewaaa... – Oczywiście ziewnęła tak przeciągle, że aż strzeliło jej za uszami.

– Jasne... Dzwon, do kogo masz dzwonić, i jedziemy do domu.

Miał rację, więc choć niechętnie, ale się zgodziła. Panował chwilowy zastój: robota papierkowa, analizy w trakcie, brak nowych informacji.

Uznała, że najrozsądniej będzie wykorzystać tę chwilę względnego spokoju i nadrobić zaległości we śnie, bo kto wie, kiedy znów nadarzy się okazja. Jeżeli ekipa na coś trafi, to przecież zadzwoni.

– Julia Page zajmie się nakazem, a to trochę potrwa. Callahan zjawi się w biurze dopiero za jakieś dwie godziny, nie ma sensu zrywać jej wcześniej. Masz rację, odrobina snu nie zaszkodzi. Powiem chłopakom, że wychodzę. Za pięć minut będę na parkingu.

Zaczekała, aż Baldwin zniknie za rogiem, po czym poszła do swojego gabinetu.

Powinna wyjść na zewnątrz i wywabić mordercę. Przejść się ulicą bez obstawy. Sprowokować go. Może oddałby strzał i

ujawnił się. Na pewno nie było go w budynku policji. Tutaj nic jej nie groziło. Ale na zewnątrz...

Gdyby to było takie proste. Na pewno wiedział, że Taylor wróciła do Nashville i poluje na niego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Na widok zjazdu z obwodnicy Taylor ucieszyła się jak dziecko.

Od dawna zastanawiała się nad kupnem mieszkania w centrum, kusily ją nowe osiedla, na przykład Gulch, Terrazzo czy The Icon, z ochroną i basenami na dachach. Większość dorosłego życia spędziła w domku na wzgórzach nieco na zachód od miasta, a kiedy z Baldwinem się zaręczyli, kupili dom na tyle duży, by mieli osobne gabinety i by znalazło się oddzielne pomieszczenie na stół do bilardu. Uwielbiała ten dom, przestronny i widny, urządzony w ich ulubionym eklektycznym stylu, ale w takich chwilach jak ta, kiedy podróż autem zajmowała dwadzieścia ciągnących się jak flaki z olejem minut, wolałaby mieszkać bliżej posterunku. Byłoby miło dla odmiany w drodze do domu przejechać lub przejść piechotą raptem kilka przecznic, zamiast wlec się na drugi koniec miasta. Zwłaszcza wtedy, kiedy była zmęczona.

Z wiekiem bezsenność coraz mocniej dawała się Taylor we znaki. Zauważyła, że funkcjonowała jak we mgle, jakby była nie do końca rozbudzona. Stres i bezsenne noce nie pozwalały o sobie zapomnieć, dokuczało notoryczne zmęczenie, kładła się spać jedynie wtedy, kiedy wykończona padała już na twarz. Niedobrze. Brak odpoczynku może się zemścić. Któregoś dnia, kiedy będzie biegła, upadnie i nie wstanie, bo zbyt mało odpoczywała. Choć wcześniej wcale nie potrzebowała dodatkowego odpoczynku. Wystarczyły jej trzy, cztery godziny snu na dobę.

Być może była to kwestia wyjątkowego charakteru śledztwa, wyjątkowej brutalności zbrodni, męki Fitza, napięcia, wyzwania, którego się podjęła, pragnienia wyeliminowania zagrożenia. Cierpiała na niedobór snu. Niepokoiło ją to. Wiedziała bowiem, że koniecznie musi zachować jasność umysłu, było to ważne szczególnie teraz. Doszła do wniosku, że ponieważ nie wie, jak długo sprawa będzie się ciągnęła, nie ma na co czekać i trzeba o

siebie zadbać. Najmniejszy błąd, wynikający choćby z nieuwagi będącej skutkiem zmęczenia, w starciu z Copelandem może ją kosztować życie. A zatem nie mogła sobie pozwolić na błędy. Nie teraz, kiedy była już tak blisko celu.

Po zakończeniu śledztwa poprosi Sam o coś na sen. A jeśli nie Sam, to ostatecznie Baldwina, chociaż nie lubiła przyznawać się przed nim do słabości. Wolą, kiedy podziwiał jej siłę, bo dzięki temu czuła się jeszcze silniejsza, jeszcze pewniejsza siebie. Nie, lepiej porozmawia z Sam. Wystarczy symboliczna dawka, tylko tyle, żeby naładowała baterie.

W drodze do domu Baldwin milczał. Lubiała to ich wspólne milczenie, tak jak przepadała za rozmowami. To, że mogła przy nim milczeć, pozwalając, by bez zbędnych słów przepływała między nimi energia i różne tam fluidy, było dla niej oznaką miłości. Baldwin miał w sobie spokój, wewnętrzne opanowanie, które tak bardzo ją pociągało, bo te same cechy odnajdywała w sobie. Istnieli w cichej symbiozie, wirowali w milczącym tańcu.

Baldwin wjechał do garażu i uśmiechnął się do Taylor.

– Idź na górę. Zaraz przyjdę.

Posłusznie skinęła głową. Idąc po schodach, czuła, że robi to ostatkiem sił. Właśnie wschodziło słońce, blade promienie przesączały się przez rolety. Zasłoniła zasłony i pokój utonął w ciemności. Zdjęła ubranie i naga padła na łóżko. Zasnęła, zanim zdążyła przyłożyć głowę do poduszki.

Baldwin wysiadł z samochodu, wszedł do domu i zrobił rundę po kuchni, jadalni, salonie, korytarzu i wrócił do kuchni. Zdawał sobie sprawę, że powinien położyć się spać, bo tak samo jak Taylor brakowało mu snu. Był potwornie zmęczony, a jednak nie mógł przestać myśleć o Copelandzie i Taylor. Zastanawiał się, czy to możliwe, że znalazła się na celowniku Naśladowcy dużo wcześniej, niż początkowo sądził. Ta myśl nie dawała mu spokoju. I zmieniała podejście do śledztwa.

Wlał wodę do czajnika. Herbatka ziołowa pomoże odzyskać spokój. Napędzały go kofeina, adrenalina i strach. Nie poradziłby sobie z bólem, gdyby stracił Taylor, gdyby została ranna albo

zabita z jego winy. Najchętniej wsadziłby ją do samolotu i wywiózł jak najdalej od tego miejsca, na przykład na jakąś niewielką, egzotyczną wyspę, gdzie przekupiłby lokalną policję albo wynajął ochroniarzy, by ją pilnowali, i kazał jej przeczekać do złapania mordercy.

Kuszące, choć nierealne.

Przypomniawszy sobie o czajniku. Gotuj się, kurna, gotuj, pomyślał i postanowił, że czekając na wodę, zajrzy do skrzynki pocztowej. Cały dzień byli w Karolinie Północnej, a kiedy wpadli na chwilę do domu, jakoś nie miał głowy do listów. Wyłączył alarm, żeby jego pikanie nie obudziło Taylor, i wyszedł, mrużąc oczy przed ostrymi, oślepiającymi promieniami wiszącego nisko nad horyzontem słońca.

Ze skrzynki pocztowej prawie się wysypywało. Jak zwykle. Szybko przejrzał stos korespondencji. Rachunek, rachunek, reklama karty kredytowej, jedna dla niego, jedna dla Taylor, katalog ze sklepu, w którym nigdy nie robili zakupów, rachunek, jakaś gazetka. Westchnął. Same śmieci.

Wylądowałyby tam, gdzie ich miejsce, czyli w koszu, gdyby Baldwin nie potknął się o schodek, a listy nie wypadły mu z ręki. Rozsypały się po całym ganku. Dopiero wtedy ją zobaczył. Ukryła się pomiędzy dwoma katalogami. Czerwona koperta, a na niej odręcznie napisane: „Taylor”. Nie była zaklejona. Otworzył ją. W środku znajdowała się kartka walentynkowa.

Wyjął ją i przeczytał:

*Na górze róże,
na dole fiołki,
Colleen i ty
to martwe aniołki.*

Do kartki było doklejone plastikowe przezroczyste etui zawierające płytę CD.

Rzucił kartkę na ziemię, wbiegł do domu, zatrzaskał za sobą drzwi i pognał na górę, pokonując po trzy stopnie naraz.

W pogrążonej w ciemności sypialni panowała cisza, którą mącił jedynie regularny, głęboki oddech Taylor.

Dzięki Bogu, cała i zdrowa, spokojnie śpi.

Za to Baldwin był wstrząśnięty. Przez kilka chwil stał jak sparaliżowany i przyglądał się śpiącej Taylor, po czym wyszedł z sypialni i w ciszy sprawdził całą górę, łącznie z łazienką i szafami. Nikogo i niczego nie znalazł, żadnych pułapek, żadnych obcych przedmiotów. Cholerny sukinsyn znowu pogrywał sobie z nimi.

Zszedł na dół i przeszukał cały parter. Wyszedł i posprzątał listy rozsypane na ganku. Podniósł kartkę walentynkową, zignorował osobliwe życzenia i skupił się na płycie.

Za pomocą koperty z ofertą kart kredytowych American Express i katalogu w usztywnianych okładkach udało mu się odwrócić etui. Dopiero teraz zobaczył, że na płycie znajduje się napis wykonany czarnym, grubym markerem. Liczby i litery. Zanim zdążył się zastanowić, co takiego oznaczają, poczuł, jak jeża mu się włosy na głowie. Ktoś za nim stał.

Zastygł.

To koniec. Dał się zaskoczyć na progu własnego domu, choć przecież starał się zachować najwyższą ostrożność. Drzwi wejściowe otwarte, alarm chwilowo wyłączony. Morderca miał doskonałe wyczucie czasu. A on... Do diabła, jak mógł postąpić tak głupio i stracić czujność, akurat kiedy Taylor była najbardziej narażona na atak?

Cisza. Żadnych dźwięków. Brak huku wystrzału.

Obejrzał się przez ramię.

Stało za nim dwóch mężczyzn. Wielcy, wysportowani, umięśnieni faceci w czarnych okularach i z kaburami pod pachą. Stali bez ruchu. Nie sięgali po broń.

Powoli podniósł się, pozbierał listy i wygładził spodnie. Pomylił się w ocenie sytuacji. Beztrosko wyszedł po pocztę bez broni, potem pobiegł do domu, nie zamykając drzwi. Tak bardzo zagubił się w rozmyślaniach, że zapomniał, o jaką stawkę toczy się gra.

Mężczyźni nadal się nie poruszyli.

– Słucham panów? – odezwał się w końcu.

– Czy z panią Jackson wszystko w porządku, proszę pana?

„Proszę pana”, „pani Jackson”. Pełen szacunek. Bardzo oficjalnie. Poczuł, że znów może oddychać. Powstrzymał się przed wydaniem z siebie wielkiego westchnienia ulgi. Najpewniej byli to ochroniarze od Price’a. Najpewniej...

– Taylor śpi. A z kim rozmawiam?

– Nazywam się Wells, a mój kolega Rogers. Pani Jackson wynajęła nas w charakterze ochrony osobistej. Nie zgłosiła się na ostatni meldunek.

Baldwin nie zamierzał ryzykować. Nie zachował ostrożności w Karolinie Północnej i skończyło się masakrą.

– Dokumenty. – Szybko je sprawdził. Zdjęcia się zgadzały, na legitymacjach widniała litera „P” z symbolem dolara, czyli logo agencji Price’a. Wyglądało na to, że wszystko w porządku.

Postawniejszy z mężczyzn wykonał ledwie dostrzegalny ruch. Baldwin zauważył, że jego dłoń spoczęła na rękojeści pistoletu.

– Gdzie jest pani Jackson? – spytał.

– Mówiłem już, że śpi. Nic jej nie jest. Nie stójmy tak, wejdźmy do środka – odparł Baldwin.

Posłuchali go, chociaż nie pracowali dla niego, tylko dla Taylor. Może poinstruowała ich, aby słuchali również jego poleceń? Nie, to nie w jej stylu. Że też musiała załatwić sobie tę dodatkową ochronę... jakby FBI jej nie wystarczało. Jakby on jej nie wystarczał.

Pokręcił głową. Wszedł do kuchni i zatrzymał się. Ochroniarze z firmy Price’a posłusznie stanęli w drzwiach. Byli od niego niżsi, ale szersi w barach. Silniejsi i sprawniejsi.

– Herbaty? – zapytał.

Obaj odmówili. Widocznie tacy faceci nie pijają herbaty. Prędeż kwas z baterii z lodem, pomyślał z przekąsem.

– Proszę wybaczyć, ale musimy zobaczyć panią Jackson i upewnić się, że rzeczywiście jest cała i zdrowa – powiedział Wells.

– Pan Price wydał nam wyraźny rozkaz.

– Niedawno zasnęła. To był długi dzień i...

– Rozumiem, ale...

– Nie mam zamiaru budzić jej po to, żeby zaspokoić ciekawość pana Price’a, jasne? – Starał się, żeby jego głos brzmiał łagodnie, ale zaczynał mieć tego po dziurki w nosie.

Wells wyczuł wrogość, rozważył za i przeciw, po czym skinął głową.

– Proszę poczekać – powiedział i wyjął telefon. Baldwin usłyszał głos Price’a w słuchawce. Wells zdał szefowi raport, kilka razy mruknął „aha”, po czym podał aparat Baldwinowi. – Pan Price.

Baldwin wziął od niego telefon.

– Cześć, Mitchell.

– Witaj. Sądziłem, że będziesz bardziej zdenerwowany.

Taylor powiedziała mi, że odwołała swoich ludzi. Wydaje mi się, Baldwin, że ona się boi, ale nie chce się do tego przyznać.

– Mogłeś dać mi znać, że dzwoniła do ciebie.

– I narazić się na jej gniew? O nie. To sprawa Taylor. I jej pieniądze.

– Masz rację. Sama decyduje, komu ufać. Nie będę zwracał ci głowy, chciałem się jedynie upewnić, że panowie Wells i Rogers naprawdę są od ciebie.

– Owszem, są. Uważaj na siebie, Baldwin. I uważaj na nią.

Baldwin oddał telefon Wellsowi, który schował aparat do kieszeni.

– Jeżeli pan pozwoli, zaczekamy, aż pani Jackson się obudzi.

– Pewnie. Usiądźcie. Obudzę ją o siódmej.

Nie usiedli. Wells oparł się o kuchenny blat, złożony na piersi masywne ramiona. Jego milczący partner Rogers stał jak posąg, wpatrując się w podłogę, jak gdyby w jednej z desek zobaczył wyjątkowo interesujący sęk. Od czasu do czasu podnosił głowę, jakby oczekiwał pozwolenia na dalsze naśladowanie słupa soli.

Baldwin wzruszył ramionami i postanowił nie przejmować się nimi. Nie czuł się komfortowo w ich obecności. Sytuacja powoli wymykała się spod kontroli, przesypywał się piasek w klepsydrze. Wyczuwał niepewność i swoistą nieuchronność. Finał

śledztwa zbliżał się wielkimi krokami, na których długość nie mieli zbytniego wpływu, co bardzo go martwiło.

Zadzwoił do Lincolna Rossa i zapytał o Colleen Keck. Była zła jak osa za to, że policja zatrzymała ją na posterunku, ale między policjantami przynajmniej była bezpieczna. A więc kartka walentynkowa to kolejna pusta groźba. Poprosił Lincolna, żeby nadal pilnował Colleen, i rozłączył się.

Położył listy na blacie w kuchni, z szuflady wyjął gumowe rękawiczki i włożył je. Byczki przyglądały mu się z zainteresowaniem.

Plastikowe etui było zaklejone taśmą. Kopertę z kartką i płytą ktoś wrzucił prosto do ich skrzynki, to oczywiste, skoro na przesyłce nie było znaczków ani stempli, w ogóle niczego, co mogłoby pomóc w namierzeniu nadawcy. Sprytne. Przeszedł go dreszcz, gdy pomyślał, że Naśladowca wie, gdzie mieszkają i w każdej chwili może się dostać do domu.

– Panowie, czy któryś z was obserwował wczoraj nasz dom?

– Nie, proszę pana – odparł Wells. – Pojechaliśmy za wami do Forest City. Kawał drogi, powiem panu.

– Pasma Błękitne nie zrobiło na was wrażenia?

– Wolę Skaliste, to są prawdziwe góry. Ale desant z ośmiu kilometrów nad Hindukuszem, to dopiero coś. – Na jego ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Rogers wreszcie okazał jakieś zainteresowanie.

Najemnicy, pomyślał Baldwin. Proste chłopaki, które po odejściu z wojska załapały się do agencji ochrony. Zawodowi twardziele. I tacy mają pilnować jego narzeczonej! Nie wiedział, czy dziękować, czy się wściekać.

– Pytam, bo w czasie gdy nas śledziliście, morderca podrzucił list do skrzynki.

– Powinniśmy to zgłosić, proszę pana – oznajmił Wells, sięgając po telefon.

– Chwila, moment. Najpierw przekonajmy się, co to takiego.

Jedno, co można powiedzieć o byłych żołnierzach zawodowych, to że potrafią słuchać rozkazów.

Baldwin poszedł do spiżarni i przyniósł niewielką skrzyneczkę zawierającą podstawowe narzędzia technika kryminalistyki. Ot, prosty przenośny zestaw. Wyjął opakowanie argentoratu, proszku do zdejmowania odcisków palców, i pędzelek. Przygotował etui na płytę CD i potraktował ją proszkiem. Czysta. Skalpelem przeciął taśmę, po czym bez większych nadziei sprawdził płytę i wnętrze pudełka. Znow to samo. Idealnie czysto. Zero odcisków.

Wyjął płytę i przeczytał, co było na niej napisane. Niezrozumiały ciąg liter i cyfr. Wprawdzie z szyframi radził sobie całkiem nieźle, przecież zaliczył odpowiedni kurs, ale tym razem nic mu nie przychodziło do głowy.

Przepisał ciąg do notesu i poszedł do salonu, gdzie stała wieża marki Bose. Włożył płytę do odtwarzacza i nacisnął „play”. Ustawił minimalną głośność, żeby nie obudzić Taylor.

Usłyszał znajome dźwięki. Pokręcił głową. Ależ prostacka ta wiadomość, pomyślał.

To był kawałek z lat pięćdziesiątych, znany utwór The Platters *The Great Pretender*. Jakoś nigdy wcześniej nie przyszedł mu do głowy w takim kontekście, ale to faktycznie idealny kawałek dla prześladowcy-naśladowcy.

Oh yes, I'm the great pretender... I'm lonely, but no one can tell... You've left me to dream, all alone.

Właśnie, *pretender* – naśladowca słynnych zbrodniarzy i pretendent do tytułu najbardziej bezwzględnego.

Poczuł wzbierającą złość. Ten cholery wariat działał mu na nerwy.

– Co to znaczy, proszę pana? – spytał Wells.

Przyszli za nim do salonu. Byli zaniepokojeni. Nagle Baldwin uświadomił sobie, że ścisnął plastikowe etui tak mocno, że pękło. Z rozciętego palca zaczęła kapać krew, najpierw powoli, kropelka za kropelką, a potem już cienką strużką. Do diabła, zaklął w duchu, ładnie się załatwiłem.

Wcisnął „stop”, zignorował ofertę pomocy ze strony Wellsa i Rogersa i poszedł do kuchni. Sięgnął po ściereczkę i owinał nią

palec. Wrócił do salonu, żeby obejrzeć plamę na podłodze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Taylor usłyszała głosy i muzykę. Co się dzieje? Zmusiła się do otworzenia oczu. Spała. To dobrze. Usiadła na łóżku. Poczowała się zaskakująco świeżo. Dwie godziny odpoczynku to zawsze więcej niż nic. O dziwo, nie śniły jej się mroczne, ponure koszmary, jak zwykle to się działo, ale szczęśliwy, uśmiechnięty mężczyzna w habicie rdzawego koloru. Mnich. W wyciągniętej ręce trzymał cienki sznurek, pokazywał, żeby zawiązała go sobie wokół nadgarstków, zachęcał bezzębnym uśmiechem.

– Ochrona – mówił.

Ochrona. Dotknęła nadgarstka. Nic.

Gdyby tylko sny miały taką moc.

Wysunęła się spod kołdry, ubrała się i zeszła na dół.

Pośrodku salonu stał Baldwin i krwawił, a po obu jego stronach stało dwóch potężnych facetów. Co oni robią w naszym domu? I skąd ta krew? Jasna cholera!

– Dzień dobry – odezwała się.

Aż podskoczyli. Mężczyźni instynktownie sięgnęli po broń, ale widząc Taylor, rozluźnili się. Baldwin machnął na nich ręką.

– Twoja ochrona – powiedział.

Zaskoczył ją chłodny ton jego głosu. Coś się musiało wydarzyć, kiedy spała.

Spojrzała Baldwinowi w oczy, zignorowała irytację i wątpliwości, które w nich ujrzała, i zwróciła się do ochroniarzy:

– Panowie, jak widzicie, nic mi nie dolega. Może zaczekacie na zewnątrz? Niedługo ponownie wybieramy się na posterunek.

– Tak jest, proszę pani – odparł Wells.

Odwrócili się na pięcie i zmyli się po cichu.

Kiedy zostali sami, Taylor podeszła do Baldwina.

– Co się stało? – zapytała.

– Zaskoczyli mnie, kiedy poszedłem po pocztę. Niezłe byczki.

Wzruszył ramionami. Wyczuwała skrępowanie w jego

ruchach. Coś ukrywał, ale nie naciskała. Widziała, że bije się z myślami. Nie szkodzi, powie jej, kiedy przyjdzie czas. Poszedł do kuchni, a ona podreptała za nim.

– Pokaż rękę – powiedziała.

– Nic mi nie jest – odparł, ale i tak pokazał.

Taylor spłukała krew pod wodą. Rozcięcie nie było głębokie, ale w czułym i bardzo ukrwionym miejscu. Rana powoli zaczynała się zasklepiać.

– Przeżyjesz. Na wszelki wypadek przemyjemy to wodą utlenioną. Co się stało?

– Ktoś nam przysłał prezent.

Wyjęła apteczkę, znalazła wodę utlenioną, polała i oczywiście zaszczypało. Odczekała chwilę i zabandażowała ranę.

– Jak noga? – spytał Baldwin, przypominając sobie wydarzenia z Forest City, kiedy z kolei Taylor wymagała opatrzenia.

– W porządku. W ogóle nie boli. – Kiedy o niej pomyślała, noga dała o sobie znać. – Później zmienię opatrunek. – Pocałowała jego dłoń. – Lepiej?

– Zobaczymy – odparł dziwnym tonem. Cofnęła się o krok. Był zdenerwowany, starał się ukryć rozdrażnienie. Był zły na nią czy na coś innego?

– Co znalazłeś w skrzynce?

Zgiął rozcięty palec, zacisnął pięść i stwierdził, że prawie nie czuje bólu.

– Znajomy przysłał nam prezent. Tylko że, niestety, nie wiem, co chciał przez to osiągnąć. Chodź, sama zobaczysz.

Kartka walentynkowa leżała na blacie w kuchni, tam gdzie ją zostawił. Taylor otworzyła ją za pomocą długopisu, żeby nie zostawić odcisków palców, i przeczytała. Z zaskoczeniem stwierdziła, że wiadomość nie zrobiła na niej większego wrażenia. Widać uodporniła się na groźby Naśladowcy. Dla Copelanda to była tylko gra, nic więcej, tylko głupia gra. Nic dziwnego, że tak rozżłościł Baldwina. Pogrywał z nimi, drażnił się.

Baldwin zaprowadził ją do salonu i włączył płytę. Z

głośników popłynęła muzyka.

– The Platters? – spytała z wahaniem.

– Zgadza się. Ale to nie wszystko. Jest jeszcze napis na płycie. Copeland sam ją wypalił.

– Pokaż.

Nacisnął „eject” i wysunęła się tacka. Podał płytę Taylor.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział.

Przeczytała ciąg cyfr i liter i zgodziła się z Baldwinem. Na pierwszy rzut oka zestaw był chaotyczny, nic z niego nie wynikało.

– Tablica – rzuciła, kierując się do swojego gabinetu. Wytarła tablicę i przepisała wszystko z płyty, wdychając drażniący zapach markera i ciesząc ucho zgrzytliwymi piskami. Nie wiedzieć czemu uwielbiała pisać po białych tablicach.

Zrobiła krok do tyłu i przyjrzała się cyfrom i literom.

148NAD77HCBOTM4482901QRE

– Może to VIN? – pomyślała na głos.

– Nie – odparł. – Numer identyfikacyjny pojazdu składa się z siedemnastu znaków, a tu masz dwadzieścia cztery.

– Bilet lotniczy? Na dole drukują długi ciąg cyfr i liter, z pozoru bezsensowny, a tak naprawdę będący kodem zawierającym numer lotniska, datę, numer miejsca i tak dalej.

– Ciekawe.

Zaczęli kombinować, dzielić litery i cyfry na grupy, zapisywać je od końca, ale nic z tego nie wynikało. Nie były to ani kody lotnisk, ani daty, ani nic, co miałoby jakikolwiek sens.

Baldwin coraz bardziej się denerwował.

Taylor zmasała wszystko poza oryginalnym ciągiem znaków.

– Spójrzmy na to inaczej. On chce nam coś powiedzieć.

Według niego uczestniczymy w grze. Wiemy, że ma pomocników. W ostatnim czasie popełniono trzy morderstwa będące kopiami słynnych zbrodni... A więc podzielmy ciąg na trzy części.

Napisała:

148NAD77 HCBOTM4 482901QRE

– Nadal nic to nie znaczy.

W głowie Taylor zapaliła się lampka.

– Pokaż tę płytę – powiedziała.

Baldwin podał dysk. Przyjrzała się rozmieszczeniu znaków i naniósła nowy podział:

148NAD77HCBOTM4482 901QRE

– Wydaje mi się, że między pierwszym ciągiem a sześcioma ostatnimi znakami jest przerwa. Jeżeli teraz to, co otrzymaliśmy, podzielimy na trzy części, otrzymamy coś takiego...

148NAD 77HCB OTM4482 901QRE

– Numery rejestracyjne? – mruknęła.

Baldwin aż nabrał powietrza. Włączył komputer stojący na biurku i już po chwili jego palce śmigają po klawiaturze.

Zalogował się do bazy FBI.

– Dobra jesteś! To musi być to! Zadzwoń do Kevina, niech się temu przyjrzy. – Uśmiechnął się do niej.

Czy zareagowałby tak samo, gdyby się dowiedział, że planowała zabić człowieka z zimną krwią? Odsunęła od siebie tę myśl.

Włożyła płytę do napędu swojego laptopa i wyszła z pokoju, żeby nie przeszkadzać Baldwinowi. Poszła do pokoju gościnnego, usiadła na łóżku i kliknęła „play”. Zabrzmiała muzyka. Taylor wsłuchiwała się w tekst piosenki. Poczwała ciarki. Zupełnie niewinna piosenka została na zawsze skażona przez psychopatę.

Kiedy utwór się skończył, zapadła grobowa cisza. Taylor podniosła rękę, żeby wyjąć płytę z napędu, ale zawahała się. Coś usłyszała. Pochyliła się nad komputerem i zwiększyła głośność do oporu. Szelest, jakby ktoś składał foliową torebkę, potem kasznięcie. Nasłuchiwała. Cisza. Nagle odezwał się głęboki głos:

– Nie spóźnij się, Taylor. Będziemy czekać.

Krażek się zatrzymał.

Zamarła. „Będziemy czekać”. My, czyli kto? Ewan Copeland i Ruth Anderson? Ewan i jego morderczy naśladowcy?

Wróciła myślami do ostatniego ciągu znaków – tego, który odstawał od reszty.

901QRE

„Będziemy czekać”.

Nagle ją olśniło. To było jak cios obuchem w głowę. Zawołała Baldwina. Słyszała, jak przeprosza rozmówcę i obiecuje oddzwonić. Po chwili już był przy niej.

– Co się stało? Jesteś blada jak ściana.

– Pomyliłam się. Ten ostatni zestaw znaków. To nie jest numer rejestracyjny.

– W takim razie co?

– Nie wiem, co oznacza „E”, ale 901QR to 901 Quaker Run. Dotarło do niego.

– O mój Boże.

– Adres Sam. Baldwin, on dopadł Sam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Do: bostonboy@ncr.bb.com; 44cal@ncr.ss.com;
crypto@ncr.zk.com

Od: troy14@ncr.tr.com

Temat: Gra skończona

*Panowie, jest mi niezmiernie przykro, że muszę przekazać
wam tę niemiłą wiadomość, ale obawiam się, że zostaliście
zdemaskowani.*

*Zarządzam zmianę planów. Pomijamy cele pośrednie i
spotykamy się w ustalonym miejscu.*

Chodźcie do tatusia. Pośpieszcie się.

Naśladowca

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Taylor nigdy do tej pory nie czuła się tak rozpaczliwie bezradna. Panikowała, mimo to starała się zachować spokój. Sięgnęła po telefon, wybrała numer przyjaciółki.

Od razu włączyła się poczta. Zakończyła połączenie i wyszukała numer domowy Sam Loughley. Odebrał Simon. W tle płakały bliźniaki. Próbowwała nadać swojemu głosowi swobodny ton.

– Cześć, Simon. Jest Sam?

– Cześć. Nie, w tym tygodniu ma nocną zmianę. Pewnie jest zarobiona po łokcie w czyichś trzewiach. Poza tym rano jest umówiona do lekarza, więc powinna wrócić w domu dopiero około dziesiątej. Słuchaj, przyjdziecie z Baldwinem w Święto Dziękczynienia? Przepraszam, to nie miało zabrzmieć jak pytanie. Przyjdziecie z Baldwinem w Święto Dziękczynienia. Sam nie może pić, a dobrze wiesz, co się z nią dzieje, kiedy w święta jest w ciąży. Poprzednio było to samo.

Taylor starała się opanować mdłości. Wszystko w porządku. Nic jej nie jest. Sam jest w pracy. W laboratorium nic się jej nie stanie.

– Z chęcią, Simon. Na pewno przyjdziemy. Muszę kończyć. Jak znajdę Sam, to powiem jej, że rozmawialiśmy o Święcie Dziękczynienia, okej?

– Wszystko w porządku? Wydajesz się zdenerwowana.

– Prowadzę śledztwo. Dużo stresu. Znasz to.

– Tak, znam. W takim razie trzymaj się. Do zobaczenia we czwartek, tak?

– Oczywiście... Ucałuj ode mnie bliźniaki.

Rozłączyła się i po omacku poszukała dłoni Baldwina. Wziął ją za rękę i mocno ścisnął.

– Nie powinnaś mu powiedzieć, co się dzieje? Simon ma mocne nerwy. Na pewno nie spanikuje.

– Nawet nie wiemy, czy rzeczywiście coś jej grozi. Nie ma

sensu niepotrzebnie go straszyć.

– Masz rację. Wszystko będzie dobrze. Zadzwoń do laboratorium i poproszę, żeby ją poprosili do telefonu.

Nagle przyszła jej do głowy przerażająca myśl.

– Zaczekaj – powiedziała. – A może jego celem są Simon i dzieci? Muszę załatwić im ochronę. – Czowała, że to fałszywy trop, ale każde działanie jest lepsze niż bezczynność.

Zadzwoiła do McKenziego.

– Cześć. Słuchaj, mamy nakaz, możemy dobrać się do użytkowników bloga Colleen – powiedział głosem zachrypniętym ze zmęczenia.

Nie pozwoliła mu się rozgadać.

– Chcę cię prosić o przysługę. Tylko nie zadawaj żadnych pytań. Pojedź do domu Sam i przypilnuj Simona i dzieciaki, dobrze? Nie dopuszczaj do nich nikogo, absolutnie nikogo.

Zrozumiałeś?

– Tak. Wszystko w porządku, Taylor?

– Dostałam list, z którego wynika, że coś może grozić Sam. Nie jestem pewna, ale wolę nie ryzykować. Weź broń, zabierz kogoś ze sobą, zrób, jak uważasz, ale przede wszystkim bądź dyskretny. Nie chciałabym wystraszyć Simona.

– Gdzie jest Sam?

– Tego jeszcze nie wiem. Szukam jej. Podobno miała nocną zmianę. Jadę do laboratorium, ty zajmij się Simonem i bliźniakami, okej?

– Będę u nich za dziesięć minut. Zadzwoń i powiedz, co z Sam.

– Tak zrobię. Dzięki, Renn. – Rozłączyła się.

Baldwin też zakończył połączenie.

– W laboratorium nikt nie odbiera – oznajmił.

Taylor ponownie wybrała numer komórki Sam. Nic.

Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Poczwała wypełniającą ją porażającą ciszę. Nie pozwoli, żeby coś się stało Sam. Nie, nie ma takiej możliwości. To jej praca, jej odpowiedzialność. A także szansa, na którą liczyła. W głębi duszy wiedziała, że morderca nie

zabije Sam. Jeszcze nie teraz. Najpierw będzie się drażnił z Taylor, będzie kazał jej jeździć z miejsca na miejsce, miotać się i zastanawiać, gdzie jest Sam. Nic nie zrobi, dopóki nie upewni się, że Taylor patrzy. Potrzebował publiczności, a także, w pewnym sensie, jej przyzwolenia. Albo strachu. Porwanie Fitz'a miało na celu wyłącznie zwrócenie uwagi Taylor. Zbliżał się ostatni akt przedstawienia.

Taylor nie zamierzała pozwolić wodzić się za nos. Miała plan. Od pewnego czasu przygotowywała się na tę chwilę.

– Niech szukają samochodu Sam – powiedziała. – Kris znajdzie jej numery w aktach. Jadę z nią porozmawiać, muszę zobaczyć grafik Sam i sprawdzić, nad czym pracowała w nocy. Spróbuję odtworzyć jej dzień. Znajdę ją.

– Jadę z tobą.

– Nie.

– Słucham? – zdziwił się.

– Baldwin, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Dowiedz się, dlaczego w całą tę sprawę jest zamieszana Colleen Keck. Zakładam, że ona również jest lub będzie celem Naśladowcy.

– Taylor, jemu chodzi o to, żeby cię wywabić. Sam jest tylko pretekstem.

– Przecież mam dwóch ochroniarzy. Pilnują mnie, z nimi jestem bezpieczna. Przecież widziałeś, że sprawnie działają.

– Tak, ale...

– Żadnych ale, kochanie. Musimy się rozdzielić. Oboje mamy nad czym pracować, a czasu coraz mniej.

– Taylor...

Zamknęła mu usta pocałunkiem, namiętnym i gwałtownym, wręcz brutalnym. Wpiła się w niego, jakby od tego zależało jej życie. Odwzajemnił pocałunek i zamknął ją w żelaznym uścisku. Kiedy w końcu się rozdzielili, Taylor z trudem złapała oddech. Odczekała chwilę, żeby uspokoić wściekle bijące serce, i powiedziała tylko jedno słowo:

– Proszę.

Spojrzał jej w oczy i zrozumiał, co chciała powiedzieć. Puścił

ją, choć niechętnie.

– W porządku, Taylor. Zrobimy, jak chcesz. Ale uważaj, na miłość boską, bądź aż do przesady ostrożna.

– Będę. – Zamierzała dotrzymać słowa i z przesadną ostrożnością wycelować Ewanowi Copelandowi w głowę, a następnie nacisnąć spust.

Wpadła w rytm: wybrać numer, zadzwonić, rozłączyć się, wybrać numer, zadzwonić, rozłączyć się. Może Sam zapomniała włączyć telefon? Może padła jej bateria? Może zostawiła aparat w szufladzie biurka w pracy? Istniało wiele niewinnych wytłumaczeń, dlaczego nie odbierała. Ale Taylor wiedziała, że tylko się oszukuje. Wiedziała, że jej najlepsza przyjaciółka wpadła w łapy Ewana Copelanda.

Usłyszała, jak Baldwin wyjeżdża z garażu. Nie sądziła, że uda się go przekonać, ale Baldwin zaskakująco szybko przystał na jej plan. Stało się tak chyba po raz pierwszy, od kiedy zostali parą.

Sejf – wymienili go na nowy, lepszy, po pierwszym liście od Naśladowcy, kiedy zorientowali się, że morderca wie, gdzie mieszkają – miał dwa zamki: tradycyjny na klucz i dodatkowy szyfrowy. W sejfie Taylor trzymała sporo ważnych rzeczy, wołała podwójnie się zabezpieczyć.

Klucz trzymali w szufladzie w biurku Baldwina, co wprawdzie nie gwarantowało najwyższego poziomu bezpieczeństwa – zwłaszcza że szufladę zamykali na kluczyk, który... zostawiali w zamku – ale było wygodne, kiedy chcieli szybko otworzyć sejf. Zresztą i tak nie zaglądali do niego przesadnie często. Sejf służył przede wszystkim do przechowywania broni i ważnych dokumentów.

Postanowiła, że weźmie rugera i starą berettę kaliber 9. Oba pistolety niedawno były czyszczone i testowane, najpierw na targach, gdzie je kupili, a potem w pobliskim lesie. Pewna, ale też niezbyt kosztowna broń, po której nie będzie płakała. W sejfie mieli również walthera PPK i kilka innych, nie wspominając o strzelbach i karabinach, ale akurat ten arsenał był zarejestrowany na nią lub na Baldwina.

Kiedy stanie oko w oko z Naśladowcą, przyda jej się broń niezarejestrowana i taka, której będzie mogła się bez żalu pozbyć. Wszyscy policjanci, których znała, trzymali w domu przynajmniej jeden egzemplarz takiej broni. Pistoletów tych nigdy nie używała, nigdy nie zabierała ich do pracy.

Tym razem to co innego. Tym razem zamierzała zabić – z rozmysłem, z zimną krwią – i musiała być przygotowana na każdą ewentualność. Jeśli nie uda jej się sprawić, by wyglądało to na obronę własną, będzie musiała starannie zatrzeć ślady. Poczula się brudna, zbrukana, jak jeszcze nigdy, ale powiedziała sobie, że ten człowiek, ten morderca, zagraża jej, a także jej rodzinie i przyjaciółom. Jest niczym wściekły pies. Należy go uśpić.

I ona to zrobi.

W gabinecie Baldwina panował idealny porządek: czyste, uprzątnięte biurko, papiery ułożone w zgrabny stosik, klawiatura i myszka równo. Uśmiechnęła się pod nosem. Jak to u pedanta, pomyślała. Doskonała, symetryczna i przemyślana kompozycja rzeczy na biurku stanowiła odzwierciedlenie precyzji umysłu Baldwina i świadczyła o jego wyjątkowych umiejętnościach.

Zupełnie jak u Sam. Oboje byli dla niej oparciem. Jeśli coś się stanie jednemu z nich...

Zamierzała dopilnować, żeby nic się nie stało.

Klucz do sejfu był ukryty pomiędzy teczkami z dokumentami. Złapała uchwyt szuflady i pociągnęła. Poczula opór. Zamknięta. Otworzyła ją kluczami od domu. Znalazła kluczyk do sejfu i zaczęła zamykać szufladę. Nagle usłyszała dziwne szuranie, jakby w prowadnicach utknęła kartka papieru. Poruszyła szufladę do przodu i do tyłu. No tak, coś szura i szeleści. Kartka. Pochyliła się i zajrzała do środka. Coś tam utkwilo. Wysunęła szufladę tak daleko, jak tylko się dało, i włożyła rękę. Pomacała i natrafiła na coś przyklejonego od spodu do blatu biurka.

Pociągnęła za róg – ten, który odstawał i powodował szuranie – i taśma, która trzymała znalezisko na miejscu, puściła. Powoli odkleiła to coś. Nie chciała tego uszkodzić. Było dla niej jasne, że skoro Baldwin skrzętnie to ukrył, miało pozostać

tajemnicą.

Pomyślała, że raz kozie śmierć. Baldwin się nie zorientuje. Chciała – tak na wszelki wypadek, w razie gdyby jednak coś się stało – przekonać się, co takiego przed nią ukrywał.

W końcu wyjęła znalezione zdjęcie. Obróciła je obrazkiem do góry i nagle zakręciło jej się w głowie.

Na fotografii widniał chłopiec. Miał około dwóch lat. Pozował w stroju piłkarza. Miał ognistorude włosy, okrągłą, bladokremową buzię i kilka piegów. Kiedy zobaczyła oczy chłopca, wszystko stało się jasne. Miały barwę żywej zieleni, jak trawa po wiosennym deszczu. Jasne. Szerokie. Olśniewające.

Oczy Baldwina.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że ma przed sobą zdjęcie dziecka, którego ojcem był jej narzeczony.

Zabrakło jej tchu i pomyślała, że za chwilę zemdleje.

Baldwin miał syna.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Pod Taylor ugięły się nogi. Przewornie odsunęła się od biurka i jego ostrych kantów. Ściskając w dłoni fotografię, osunęła się na podłogę.

Syn. Baldwin ma syna! – tętniło jej w głowie.

A więc to był ten sekret. To była ta wielka tajemnica, którą o mały włos wyznał w drodze do Karoliny Północnej. Nic dziwnego, że nie potrafił ubrać tego w słowa. Bo jak powiedzieć kobiecie, którą się kocha, że ma się dziecko z inną? Zresztą jeśli naprawdę kocha się drugą osobę, jak w ogóle można ukrywać przed nią coś takiego?

Dlaczego nic nie powiedział?

Poczuła, jak wzbiera w niej złość. Od jak dawna wie? Od początku? Od kilku dni? Kiedy wrócił z Quantico z przesłuchania, po którym go zawieszono, zachowywał się dziwnie. Czy właśnie wtedy się dowiedział? Czy też przez ostatnie dwa lata beczelnie ją okłamywał?

Kim była matka tajemniczego dziecka?

Szybki rachunek i odrobina kobiecej intuicji pozwoliły jej błyskawicznie ustalić odpowiedź. Charlotte Douglas, nie było innej możliwości. Przesądziły rude włosy. No, chyba że Baldwin zaliczał wszystkie rude, jakie mu się nawinęły.

Mój Boże. Baldwin miał dziecko z Charlotte i nie powiedział o tym. Zakładając, że zdjęcie jest aktualne i chłopiec rzeczywiście ma około dwóch lat, musiało się to stać już po tym, jak się poznali.

Kim był mężczyzna, za którego Taylor chciała wyjść?

Wiedziała, że ma swoje tajemnice, ale kto ich nie ma. Zresztą nawet trochę lubiła tę jego zagadkowość, miała bowiem wymówkę, by zataić część prawdy o sobie. Nie powiedziała mu wszystkiego o swoim życiu. Tak było lepiej. Tymczasem on przyznał się do wielu rzeczy. Był tajnym agentem CIA.

Zrekrutowano go w bardzo młodym wieku. Znał trzynaście języków. Zamierzał zostać etykiem medycyny, ale Garrett Woods,

Wielki Manipulator, przekonał go, by wybrał zawód analityka FBI. Wiedziała, że Baldwin jest silny, czuły i szaleńczo w niej zakochany. Co do tego nie miała wątpliwości.

Ale że jest kłamcą? I oszustem?

Przełknęła gulę w gardle, zdumiona własną reakcją. Kiepski moment na roztrząsanie niewierności. Musiała znaleźć Sam.

Wstała zaskoczona, że jest w stanie się utrzymać na nogach, choć były jak z galarety.

Ostrożnie umieściła zdjęcie na poprzednim miejscu. Wróć do tematu, to pewne jak słońce, ale w swoim czasie. W tej chwili inne sprawy miały priorytet.

Zerknęła na zegarek. Straciła trzy minuty.

Poczuła się pusta. Rana na sercu, wyżłobiona przez odkrycie tajemnicy narzeczonego, paliła żywym ogniem. Otworzyła sejf, wyjęła broń, włożyła ją do torby i wszystko dokładnie pozamykała. Myślała tylko o jednym. Musi znaleźć Sam. Wróciła jej ostrość umysłu.

Ochroniarze czekali cierpliwie obok garażu. Kiwnęła im głową, po czym wsiadła do toyoty 4runner i ruszyła. Kiedy dotarła do skrzyżowania, wyjęła telefon i zadzwoniła do Lincolna. Nadal był na posterunku z Colleen Keck. Oficjalnie zatrzymał ją na przesłuchanie, a w rzeczywistości zapewniał jej bezpieczeństwo.

– Lincoln, czy Sam odzywała się do ciebie? – zapytała.

– Od wczoraj nie. Przysłała raport z sekcji zwłok Petera Schechtera. Wysoka zawartość alkoholu we krwi, ale brak śladów narkotyków. Zanim znalazł się w wodzie, ktoś go dusił i robił to z dużym, hm, zjawstwem. Na szyi prawie nie było śladów. Możliwe, że chłopak jedynie stracił przytomność, a właściwą przyczyną śmierci było utopienie. Miał wodę w płucach, więc zapewne wciąż oddychał, kiedy znalazł się pod wodą. Czemu pytasz?

– Posłuchaj mnie uważnie. Masz pilnować Colleen. Wyślij Marcusa do Fitza, niech trzyma przy nim straż. Jadę do zakładu medycyny sądowej. Sam nie odbiera telefonu.

– Chyba nie sądzisz, że...

– Owszem, sędzę. Myślę, że ją dopadł. Przysłał mi zaszyfrowaną wiadomość, która zawierała jej adres.

– Oglądałaś poranne wiadomości?

– Nie, a co?

– Wszędzie mówią o blogu Colleen. Do redakcji gazet w Las Vegas i Denver przyszły listy od Zodiaka. Na miejscu zbrodni w Nowym Jorku znaleziono list od Syna Sama. Centrala policji w Bostonie została całkowicie zablokowana. Ludzie dzwonią, bo boją się imitatora Dusiciela.

– A to sukinsyn... San Francisco, Las Vegas, Denver. Naśladowca Zodiaka przemieszcza się na wschód.

– Tak. Potwierdziliśmy, że wszystkie dotychczasowe ofiary były użytkownikami bloga Colleen.

– Czy mamy doniesienia o innych zbrodniach? Według Colleen szaleńców jest trzech. Bóg jeden wie, ilu tak naprawdę bierze udział w grze.

– Nie, ale wciąż sprawdzamy.

– Zadzwońię do Nowego Jorku. Emily Callahan powinna wiedzieć, co się dzieje.

– Ręcznie poszukam podobnych morderstw. Zapytanie do bazy danych Programu Ścigania Brutalnych Przestępców potrwa zbyt długo. Na razie.

– Czeka... – powiedziała Taylor.

– Tak?

– Masz mapę?

– Zaraz... – Rozległo się kliknięcie. – Już.

– Przyjrzyj się trasie Zodiaka. Dokąd może zmierzać?

– Zakładając, że nadal będzie jechał na wschód, za mniej niż dwadzieścia cztery godziny dotrze do Nashville.

– Dobra. Załóżmy, że pozostali mordercy również kierują się w stronę Nashville, to jaką trasą mogliby jechać?

– Na południe od Bostonu, to będzie przez... Waszyngton albo Filadelfię. Cholera, tak samo z Nowego Jorku.

– Lincoln, posłuchaj, musisz przeszukać całe Wschodnie Wybrzeże. Ogranicz się do dużych miast. Dzwoń do Wydziałów

Zabójstw i pytaj, czy w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin popełniono morderstwa przypominające te, o których już wiemy. Poproś kogoś o pomoc, bo to dużo pracy. I nie spuszczaaj oka z Colleen. Obie jesteśmy celem Naśladowcy, choć nie mam zielonego pojęcia dlaczego.

– Znamy jego prawdziwe nazwisko, prawda? Spytałaś ją, czy je rozpoznaje?

– Nie! Ale ze mnie idiotka. Poproś ją do telefonu.

– Jasne, zaczekaj chwilę. – Szuranie, potem kliknięcie. – Jesteś na głośniku.

– O co chodzi? – spytała Colleen. – Czemu nie możemy z Flynnem pojechać do domu?

– Ponieważ nadal grozi wam niebezpieczeństwo. Na razie zostanieie na posterunku pod okiem Lincolna, dobrze?

– Jak długo mamy tu siedzieć? Muszę...

– Colleen, proszę, nie utrudniaj. Chcę ci zadać pytanie. Czy znasz osobę o nazwisku Ewan Copeland?

Usłyszała, jak Colleen gwałtownie nabiera powietrza.

– Dlaczego o niego pytasz?

O Jezuu, co się dzieje? – pomyślała Taylor.

– Skąd go znasz? Odpowiedz, Colleen.

– Nie mogę uwierzyć, że trzymałaś mnie tu przez całą noc tylko po to, żeby rzucić mi tym nazwiskiem w twarz. Jesteś okrutną, złą kobietą, Taylor. Nie rozumiem, dlaczego Tommy chciał, żebym ci zaufała. Doskonale wiesz, skąd go znam, bo inaczej byś nie pytała. Nic dziwnego, że nie miałaś odwagi zapytać mnie o to twarzą w twarz.

– Zaraz, chwileczkę. Colleen, spokojnie. – Lincoln wyłączył głośnik i przyłożył telefon do ucha. – Taylor, o co chodzi?

– Nie mam pojęcia. – W tle usłyszała przeklinającą Colleen. – Ale jedno jest pewne. Traciłam czułą strunę. Daj Colleen do telefonu.

– Nic z tego. Ona się pakuje.

– Nie! Lincoln, zatrzymaj ją za wszelką cenę. Jeśli będzie trzeba, przykuj ją kajdankami do kaloryfera. Biorę wszystko na

siebie.

Znajdowała się na Gasser Drive i szybko zbliżała się do zakładu medycyny sądowej.

– Teraz muszę się skupić na Sam. Postaraj się uspokoić Colleen i wyciągnij z niej, skąd zna Ewana Copelanda, okej?

– Postaram się. Informuj mnie w sprawie Sam.

– Dobrze. Dzięki za wszystko, Lincoln.

Miliony myśli wirowały w głowie Taylor. Od razu powinna była zapytać Colleen o Ewana, ale widocznie wczoraj w nocy była tak zmęczona, że kiedy dodawała dwa do dwóch, wychodziło pięć. Przypuszczała, że drogi Colleen i Ewana musiały się przeciąć, ale nie podejrzewała, że blogerka zareaguje tak gwałtownie na jego nazwisko. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Baldwina, powiedzieć mu, gdzie jest i co się stało, ale nie była jeszcze gotowa, by usłyszeć jego głos. Nie po tym, co odkryła. Starła się stłumić złość i odsunąć od siebie świadomość, że została zraniona. Najpierw Sam, powiedziała sobie. Potem reszta rozpadającego się świata.

Znalazła numer Emily Callahan. Po chwili w słuchawce odezwał się głos koleżanki.

– A niech mnie, Taylor Jackson! Co u ciebie słyhać? Jesteś w Nowym Jorku?

– Cześć, Emily. Nie, niestety. Jestem w Nashville, prowadzę śledztwo.

– Ach, więc to telefon w sprawach zawodowych. Rozumiem. Jak ci mogę pomóc?

Właśnie to lubiła w Callahan. Przede wszystkim profesjonalistka, dopiero potem przyjaciółka. Taylor zawsze czuła, że przy niej może się otworzyć, Callahan była bowiem pełną współczucia, inteligentną kobietą, której można było się zwierzyć. Przed awansem i przenosinami do Nowego Jorku, do Wydziału Zabójstw 6. posterunku na Manhattanie, pracowała w Long Island City.

– Emily, czy zajmujesz się sprawą strzelaniny w Washington Square Park?

– Chodzi ci o tę, w której zabito homoseksualną parę? Nie, ale znam funkcjonariusza, który nad nią pracuje. Czemu pytasz?

Taylor poświęciła kilka minut na zreferowanie wyników śledztwa. W tle było słycać klikanie, znak, że Callahan przeglądała materiały na służbowym komputerze.

– Niedaleko znaleziono dwa niedopałki. Jeśli wyrzucił je morderca, być może uda się uzyskać DNA. Na miejscu znaleziono również liścik, ale to nieoficjalna informacja. Gdyby się rozeszło, że grasuje naśladowca Syna Sama, wybuchłaby panika, a akurat tego najmniej nam potrzeba.

– To zrozumiałe. Próbuję ustalić, dokąd udał się morderca, oczywiście zakładając, że opuścił Nowy Jork. Czy zdarzyły się podobne zbrodnie?

– Nic o tym nie wiem. Zamordowani mężczyźni byli żonaci, a swój romans utrzymywali w najgłębszej tajemnicy. Jeśli natkniemy się na zdarzenie podobne do tego, oczywiście natychmiast dam ci znać. Myślisz, że w Nowym Jorku zrobił swoje i zmierza do Nashville?

– Bardzo możliwe. Niestety mamy niewiele informacji.

– Wiesz co? Dopilnuję, żeby wyniki badań DNA wysłano do FBI w Nashville. Zakładam, że Baldwin razem z tobą pracuje nad sprawą?

– Baldwin nie, ale jego zespół tak. Znasz Pietrę Dunmore, prawda? Rozmawialiście.

– Tak. Pamiętam ją. W porządku dziewczyna. Prześlę jej wyniki, i to migiem.

– O rany, Emily, powiedz, jak cię można ukraść policji nowojorskiej?

– Wybudujcie parę drapaczy chmur. W Nashville przeraża mnie puste niebo.

Roześmiały się. Callahan obiecała na bieżąco podsyłać informacje.

Taylor schowała telefon i włączyła kierunkowskaz. Była na miejscu. Czas poznać prawdę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Preston Pylant miał naprawdę zły dzień. Wstąpił do McDonalda, a wszędzie wokół cholerne, wrzeszczące bachory umazane lodami. Kto kupuje dzieciom lody zimą? A kiedy poszedł do toalety, załatwił swoje i wychodził z kabiny, capnęły go gliny. Nawet nie pozwolono mu umyć rąk. Może to lubią, parszywe dranie? Lubią łapska brudne po tym, co robił w kiblu. Zamknęli go w małym, zimnym pokoju obłożonym boazerią. Serio? Kto w tych czasach używa boazerii? Geje, ot co, lubią takie ozdoby.

Anioł, rzecz jasna, miał swoje zdanie. Jak zawsze.

Zastrzel ich, stary. Powystrzelaj jak kaczki. Pokaż im, co sądzisz o tym, że cię zamknęli w tej zasranej norze.

Dobry pomysł.

– Nie mówcie mi, co mam robić. Co to ma być?! – krzyczał.

Na próżno. Po godzinie skrępowali go. Nie podobało mu się to. Aniołowi też nie. Już kiedyś przez to przechodził. W szpitalu krępowwały go pasy, za nic nie mógł się uwolnić, choć się rzucał i wierzgał. Anioł nadawał przez cały dzień, no kurwa, cały dzień:

W lewo, stary, nie, bardziej w prawo, tępak z ciebie, kolego. Głupek i pojeb.

Nie chciał wracać do szpitala. Wolał pójść do więzienia. Cela skazańców, do tego zmierzał. Nie do szpitala. Wszędzie, tylko nie do szpitala.

Anioł wrzeszczał, jego głos narastał, wchodził w coraz wyższe rejony, brzmiał, jakby ktoś szorował styropianem po szybie. Wiedział, co to oznacza. Że musi zażyć tabletkę. Dlaczego nie chcą mu dać tabletki?

Papieros. To pomoże. Fajki zawsze go uspokajały.

Gość w durnym kapeluszu znowu nadawał. Kapelusz wyglądał jak tobogan. Miał kiedyś tobogan. Zjeżdżał na nim z górki na ulicę przed swoim domem w Queens.

– Proszę się uspokoić. Przed nami długi dzień.

– Pies kazał mi to zrobić.

– Oczywiście, Preston. Opowiedz mi o tym.
– To tylko gra.
Anioł powtórzył za nim dziesięć razy głośniej:
Tylko gra. Tylko gra. Tylko gra.
Zamknij się, aniele.
– Proszę pana, pan nic nie rozumie. Jesteśmy jego uczniami.
Wie pan, jak ten bogaty gość z Nowego Jorku. On nam mówi,
kogo i jak zabić, a my wypełniamy instrukcje.
– Jak on się nazywa? – zapytał mężczyzna. Na jego
identyfikatorze widniało: „Sierżant Green”.
Preston się zaśmiał. Sierżant Green. Jak z filmu *Soylent
Green*. Zielona pożywka. Złapała go zielona pożywka. *Ty, anioł,
widziałeś?*
– Jak się nazywa mężczyzna, który cię wynajął?
– No przecież Troy. Jesteś w czarnej dupie, skoro tego nie
wiesz.
– Troy. A dalej?
Boazeria. Kto dziś kładzie boazerię?
– Preston?
– Troy Land. Jak Babes in Toyland, te muzykanty, nie?
Wybiera cele z bloga. Kazał nam czytać, żebyśmy wiedzieli, kim
są, zanim ich zabijemy. Mówi, że to wiktymologia czy coś. Mogę
już iść?
– Nie, Prestonie. Musisz zostać ze mną i powiedzieć mi
wszystko, co wiesz.
– Wiem, że pies kazał mi to zrobić. Można wygrać milion
dolarów. Jak zabijemy wszystkie cele, dostaniemy kupę forsy i
będziemy mogli popatrzeć. Bo lubimy popatrzeć, nie? Nie?
Stary, zapytaj o cel.
Dobry pomysł, aniele.
– Ej, a zna pan Taylor Jackson? – odezwał się Preston. –
Chciałbym ją poznać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Wjeżdżając na parking, Taylor poczuła, jak spada jej kamień z serca. Kolejny fałszywy alarm. Należące do Sam bmw 330ci, bardzo podobne do tego, którym jeździł Baldwin, stało na swoim miejscu. Przypomniała sobie, jak pewnego razu Baldwin zabrał się z Sam jej wozem jako pasażer, a po przejeździe postanowił kupić identyczne auto. Kiedy ich samochody, srebrne i szare bmw 330ci, stały na podjeździe przed domem Taylor i Baldwina, Taylor skomentowała:

– Sąsiedzi pomyślą, że szpanujemy.

Wolała swojego SUV-a, bo był praktyczniejszy.

Widocznie Sam padła bateria w telefonie i dlatego nie odbierała. Taylor też się to zdarzało. Tyle nerwów, spekulacji, nie wiadomo co. Copeland kazał jej się uganiać za duchami. To takie typowe dla niego. Chciał, żeby się nie zastanawiała, tylko reagowała. Dla niego to gra. Taka, w której satysfakcję przynoszą kolejne trupy.

Obejrzała się przez ramię, upewniając się, że nie zgubiła ludzi Mitchella, po czym weszła do budynku i od razu skierowała się do biurka Kris. Radosna blondynka rozmawiała przez telefon. Na ustach miała szeroki uśmiech, bawiła się kosmykiem włosów. Od razu widać, że to rozmowa prywatna. Taylor opanowała irytację i spojrzała na zegarek. Zakład zasadniczo był zamknięty, więc Kris mogła sobie rozmawiać, z kim miała ochotę.

Kiedy zauważyła Taylor, rzuciła coś do słuchawki i zasłoniła ją dłonią.

– Dzień dobry, pani porucznik. W czym mogę pomóc?

– Szukam Sam.

– Musiała wyjść już dawno. Miałam kilka raportów do dokończenia i zamiast siedzieć wczoraj po godzinach, przyszedłam dziś wcześniej, a jej już nie było. Próbowwała pani dzwonić?

– Nie odbiera. Na pewno jej tu nie ma? Na parkingu stoi samochód.

– Tak, na pewno. – Kris zmarszczyła brwi. – Pamiętam, że wczoraj miała jakieś problemy z autem. Śpieszyła się na kolację o dziesiątej, a nie chciało zapalić. Pewnie Simon po nią przyjechał. Ale dobrze, że pani o tym przypomniała, załatwię holowanie. Wiem, z którego warsztatu korzysta.

Taylor żołądek podszedł do gardła.

– Kris, odłóż telefon.

Widząc jej minę, recepcjonistka wykonała polecenie, nawet nie żegnając się z rozmówcą.

– Pani porucznik, co się stało?

– Nie wiemy, gdzie jest Sam. Byłaś w jej biurze? Sprawdzałaś w budynku?

Kris wzięła identyfikator i wyszła z za biurka.

– Nie, ale możemy to zrobić teraz. Mój Boże, mam nadzieję, że nic się jej nie stało. Dzwoniła pani do Simona? – Podeszła do drzwi, przeciągnęła kartą przez czytnik i otworzyła je.

Weszły do części biurowej, do gabinetu Sam dotarły niemal biegiem. Drzwi były wyłamane. Taylor weszła do środka. Pusto.

– Rozmawiałam z Simonem – powiedziała. – On też nie wie, gdzie jest Sam, ale nie dzwoń teraz do niego. Powiedział, że Sam miała nocną zmianę, a potem była umówiona u lekarza.

– No tak, na USG.

O Boże, Sam! – dudniło Taylor w głowie. Odetchnęła głęboko. Spokojnie. Znajdziesz ją. Wszystko będzie dobrze.

Zaczęła przerzucać rzeczy na biurku Sam.

– Gdzie kalendarz? Nie mogę znaleźć.

– W sieci. Oszczędzamy na papierze. Sam chciała dać dobry przykład.

– Włącz komputer. Muszę zobaczyć kalendarz. Potem pójdź na blok sekcji zwłok i zapytaj o Sam.

Kris usiadła przed komputerem. Cała dygotała. Zbliżał się atak paniki. Taylor wzięła ją za rękę.

– Spokojnie. Oddychaj. Znajdziemy ją. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

– Oby – powiedziała Kris przez łzy. – Przepraszam, że to

trwa tak długo, ale Sam wyłączyła komputer, czego nigdy nie robi. Zawsze przełączamy je w tryb uśpienia, oczywiście z ochroną hasłem, a ona wczoraj go całkiem wyłączyła i...

– Cholera jasna! Kris, zostaw to. Odejdź, niczego nie dotykaj. Zamknij biuro. Wejdź do kalendarza ze swojego komputera.

Kris szybko wstała.

– Dlaczego?

– Powiedziałaś, że Sam nigdy nie wyłącza komputera.

– No tak. W trybie uśpienia zużywają mniej energii. Robimy to w ramach programu dbania o środowisko...

– Nie wolno niczego ruszać. Będziemy musieli zdjąć odciski palców i pobrać próbki DNA.

– O Jezu – jęknęła Kris.

Taylor położyła jej dłonie na ramionach.

– Kris, posłuchaj mnie. Jesteś mi potrzebna. Wróc do swojego biurka, wejdź do kalendarza Sam i powiedz mi, co wczoraj robiła. Chcę wiedzieć, z kim miała się spotkać. I muszę mieć listę wszystkich pracowników z nocnej zmiany. Okej? Dasz radę? – Gdy recepcjonistka, biorąc się w garść, pokiwała głową, Taylor dodała: – Świetnie, Kris. Rób swoje, a ja pójdę do bloku sekcji zwłok i się rozejrzę. Może Sam nadal pracuje. Zaraz wrócę.

W klepsydrze przesypywał się piasek.

Taylor patrzyła, jak Kris szybkim krokiem rusza w kierunku swojego stanowiska pracy, po czym użyła swojej karty i weszła do bloku, w którym panowała przyprawiająca o gęsią skórę cisza. Wpadające przez świetlik promienie porannego słońca oświetlały leżące na wózku instrumenty. W pomieszczeniu nie było nikogo. Nikogo żywego.

Poczuła narastającą falę paniki. Zamknęła oczy, wzięła się w garść i powoli podeszła do stalowych drzwi, za którymi znajdowała się chłodnia. Przechowywano w niej zwłoki w plastikowych workach, umieszczone na łózkach na kółkach. Wyjeżdżały na nich na autopsję. W razie potrzeby łóżka można było ustawiać jedno na drugich.

Drzwi otworzyły się z sykiem, zimne powietrze wyleciało na korytarz. Zobaczyła dziesięć worków ze zwłokami, które przypominały kokony. Jak gdyby gąsienice przeobrażały się w poczwarki, a ich dusze twardniały i zamieniały się w skrzydła.

Po kolei otwierała każdy worek, rozpaczliwie szukając swojej przyjaciółki wśród zamrożonych ciał. Sprawdzała każdego trupa i szła dalej.

Koniec rzędu, ostatni worek. Odetchnęła głęboko i szybkim ruchem rozsunała zamek błyskawiczny.

Mężczyzna.

Opanowało ją poczucie ulgi.

Pierwszy raz tak się ucieszyła na widok martwego mężczyzny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

W oczekiwaniu na telefon od Kevina, Baldwin chodził w tę i z powrotem, nerwowo zerkając na zegarek. Żałował, że przystał na plan Taylor, wolałby mieć ją na oku, zwłaszcza kiedy stało się jasne, że szalencie czai się w pobliżu. Wyjrzał przez okno. Jasne słońce poranka znikало za szarymi, złowieszczymi chmurami. Wcześniej, idąc przez parking, czuł, że zanosi się na śnieg, może nawet na śnieżycę, jakby jeszcze było mało zamieszania.

Taylor miała dobry pomysł z podziałem ciągu znaków napisanych na płycie. Okazało się, że rzeczywiście są to numery rejestracyjne. Figurowały pod nimi auta należące do firm prowadzących wynajem samochodów. Kevin zajął się namierzaniem trefnych wozów.

Minęło dwadzieścia minut. Czemu tak długo?

Baldwin sprawdził telefon. No dzwoni! Ale milczał.

Usiadł przy biurku i włączył laptopa. Przejrzał kilka stron z newsami. Jasna cholera. Wszystkie serwisy z wiadomościami, po prostu wszystkie pisały o naśladowcach, atakując czytelnika nagłówkami:

Grasują seryjni mordercy!

Zmasowany atak morderców!

Czy wiesz, gdzie jest twoje dziecko?

Nie rozmawiaj z nieznajomymi!

Szokujący powrót starej gwardii morderców!

Postanowił przeczytać jeden z artykułów, choćby po to, żeby przekonać się, w jakim tonie pisze prasa. Dziennikarzom czasem udawało się dotrzeć do nowych, nieznanych policji informacji. Może teraz też tak było. Kliknął ostatni link na liście wyników.

Artykuł, jak się Baldwin spodziewał, był utrzymany w sensacyjnym tonie i zawierał wprawdzie nienowe, ale za to zaskakująco dokładne informacje.

Anonimowa blogerka Felon E, prowadząca stronę poświęconą przestępczości, sama padła ofiarą przestępcy. Fani

komentujący teksty zamieszczane na popularnym blogu znaleźli się na celowniku morderców-naśladowców. Policja na razie milczy, ale źródła zbliżone do komendy głównej twierdzą, że śledztwo w tej sprawie prowadzi również FBI. Od poniedziałku zabójcy pozbawili życia trzynastu osób w całym kraju.

Sztab zespołu koordynującego śledztwo znajduje się w Komendzie Głównej Policji w Nashville w stanie Tennessee, a na jego czele stoi porucznik Taylor Jackson. Felon E mieszka i prowadzi swój blog w Nashville, obecnie zaś przebywa pod opieką policji. Na razie nie wiadomo, czy blogerka jest podejrzana, czy postawiono jej jakieś zarzuty. Proces, o ile do niego dojdzie, może mieć ogromne znaczenie dla internetowego dziennikarstwa obywatelskiego.

Z artykułów opublikowanych na stronie Felon E wynika, że pierwsze ofiary naśladowców słynnych seryjnych morderców, imitatorów Zodiaka, Syna Sama i Dusiciela z Bostonu, znaleziono w Kalifornii, Nowym Jorku i Bostonie. Do pierwszego zabójstwa doszło w poniedziałek. Niezależne źródła podają, że Zodiak zabił również w Las Vegas, w Nevadzie i w Denver w Kolorado. Redakcje „San Francisco Chronicle”, „The Las Vegas Sun” i „The Denver Post” otrzymały listy, w których morderca przyznał się do odebrania życia pięciu osobom: osiemnastoletniej Vivi Waters i dziewiętnastoletniemu Ike’owi Sharpowi, którzy zostali zastrzeleni w zakątku zakochanych na obrzeżach San Francisco; trzydziestopięcioletnim Colinowi i Sherry Barkerom, zadżganym w swoim domu w Las Vegas; oraz dwudziestoletniej Halley Marshall, która odpowiedziała na ogłoszenie o sprzedaży rolek, zamieszczone na popularnej stronie Craigslist, i została zastrzelona nad Cherry Creek Reservoir.

W Bostonie trzydziestoczteroletnia June Earhart została zamordowana w sposób przypominający metody Dusiciela z Bostonu. Informator, który nie chce ujawniać swojej tożsamości, powiedział naszemu dziennikarzowi, że szal, który nosiła ofiara i którym została uduszona, zabójca zawiązał w kokardę, aczkolwiek nie udało nam się tego potwierdzić. Niecałe dwadzieścia cztery

godziny temu w Pittsburghu w stanie Pensylwania popełniono kolejne bardzo podobne morderstwo, którego ofiarą okazała się trzydziestojednoletnia Frances Schwartz, maklerka giełdowa. Z Indianapolis otrzymaliśmy doniesienie o jeszcze jednej ofierze Dusiciela, dwudziestośmioletniej Mary Jane Solomon.

Mieszkańcy całego kraju masowo ruszyli do sklepów po nowe zamki do drzwi i broń w celu zapewnienia bezpieczeństwa sobie i swoim najbliższym.

Prześledzenie krwawego szlaku naśladowcy Syna Sama jest trudniejsze, ale udało się ustalić, że po zamordowaniu czterdziestojednoletniego Barry'ego Teterboro i pięćdziesięcioletniego Martina Bassa w manhattańskim Washington Square Park, zabójca przeniósł się do Waszyngtonu, gdzie w Lyndon B. Johnson Memorial Grove zastrzelił dwie kolejne ofiary: czterdziestotrzyletniego Josepha Conleya i czterdziestoletniego Nicholasa Anche'a. O dalszych poczynaniach imitatora Syna Sama na razie cisza.

Falę zbrodni należy powstrzymać, to oczywiste, ale wiele osób zastanawia się nad pobudkami kierującymi poszczególnymi mordercami, jak również zadaje sobie pytanie, dlaczego akurat teraz trzech...

Artykuł był znacznie dłuższy, ale Baldwin miał dość.

Zamknął przeglądarkę i palcami przeczesał włosy. Tacy dziennikarze, jak autor tego tekstu, w pogoni za sensacją nie wahają się pisać półprawd i podawać faktów wyssanych z palca, ale Baldwin musiał przyznać, że pismak miał dobre źródło, na pewno kogoś z policji. Dobrze, że przynajmniej nie powiązał fali zbrodni z Naśladowcą, tylko skupił się na blogu Felon E i imitatorach. Jak na razie udawało się utrzymywać to w tajemnicy, ale ponieważ w artykule wymieniono Taylor jako prowadzącą śledztwo, było kwestią czasu, kiedy media dokopią się do sprawy Naśladowcy. A zatem należało się pośpieszyć.

Miał dość siedzenia beczynnie. Chciał działać. Nie lubił stać z boku. Zamiast być widzem, wolał się angażować. To przekłete zawieszenie utrudniało mu działanie. Utrudniało, ale nie

uniemożliwiało.

Zadzwoił do Salta, który odebrał po pierwszym sygnale.

– Ale masz wycucie! Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Powiedz, że masz dla mnie dobre wieści.

– Mam. Wszystkie trzy auta zostały wynajęte przez internet na to samo nazwisko i opłacone tą samą kartą kredytową, której posiadacz ma skrzynkę pocztową w Nashville. Fizycznego adresu brak.

– Najprawdopodobniej fałszywa. Tak samo jak nazwisko...

– ...Troy Land. Nawet na pewno fałszywe. Nie potrafię znaleźć takiej osoby. No, ale to chyba oczywiste, że nie posłużył się prawdziwym nazwiskiem. Uruchomiłem wyszukiwanie. Skoro podpowiedział nam numery rejestracyjne wynajętych przez siebie samochodów, to znaczy, że nie próbuje się ukrywać.

– Na to wygląda, dlatego też możemy z góry założyć, że dowód tożsamości, którego użył, był podrobiony. A nazwiska kierowców?

– Firma wynajmująca samochody powiedziała, że kiedy zobaczy nakaz, przekaże mi wszystkie informacje o klientach, jakich sobie zażyczę. Załatwiamy nakaz, ale wiesz, to trwa. Tymczasem przeglądamy dzienne rejestry pod kątem indywidualnych wypożyczeń. Firma przestawiła się na podpisy elektroniczne, więc jeśli są prawdziwe, to mam nad czym pracować.

– Super. Coś jeszcze?

– Mamy potwierdzenie, że morderstwa w Filadelfii i Indianapolis wskazują na *modus operandi* naśladowcy Dusiciela z Bostonu. Napada na kurierów UPS, kradnie samochód i przebiera się w służbowy uniform, po czym dzwoni do drzwi ofiary pod pretekstem dostarczenia przesyłki. Każdy z nas otworzy kurierowi, prawda? Jak do tej pory znaleziono trzech martwych pracowników UPS. Nie wiem, czy zaglądałeś do internetu albo włączałeś telewizor, ale w mediach rozpętała się burza.

– Tak, widziałem. Trudno, żeby było inaczej, skoro ofiarami są użytkownicy popularnej strony. Wystarczyło, żeby jedna osoba

napisała o tym na Twitterze.

– Śledztwo jest w pierwszej piątce najgorętszych tematów w sieci. Internauci masowo tagują swoje wpisy #naśladowcy. Ale wiesz co? To chyba dobrze. Przyda się rozgłos, bo ludzie będą ostrożniejsi. Policja i agencje zostały postawione w stan pogotowia, a cała sieć patrzy sobie na ręce. To utrudnia Naśladowcy działanie. Myślę, że to początek jego końca.

– Obyś się nie mylił. Świetna robota. Pracuj dalej. Połączysz mnie z Charlainie? Chciałbym ją o coś zapytać.

– Już się robi. Dam znać, jak tylko wpadnę na jakiś trop.

– Dzięki, Kevin.

– Na razie.

Rozległo się długie bipnięcie i w słuchawce zapadła cisza, a po chwili odezwała się Charlainie Shultz.

– Czołem, szefie! Co u ciebie? – zabrzmiał jej przyjemny południowy akcent. – Powiedz, że szefostwo poszło po rozum do głowy i pozwoli ci wrócić do służby. Pusto tu bez ciebie.

– Nie, moja droga, nic z tych rzeczy. Ale wiem, że Garrett robi, co może.

– Jak się trzyma Taylor?

– Znośnie. W sprawie wyniknęło coś nowego. Pojechała to sprawdzić. Ale zanim o tym opowiem, chciałbym ci zadać pytanie. Otóż wśród świadków nie ma zgodności co do wyglądu Ewana Copelanda. Istnieją jego zdjęcia z młodości, ale każda z osób, która widziała go jako dorosłego człowieka, zapamiętała go inaczej. Jak myślisz, z czym to jest związane?

Charlainie odparła bez wahania:

– Ciekawe, że o to pytasz. Właśnie pracuję nad pewną teorią. Copeland od co najmniej dziesięciu lat zmienia miejsce zamieszkania, prawda? Nie wiemy, czy jest gdziekolwiek zatrudniony. Jego siostra wprawdzie ma stałą pracę, ale czy jej zarobki wystarczyłyby na utrzymanie siebie i podróżującego po kraju brata? Policyjni technicy laboratoryjni nie zarabiają kokosów. Roger Copeland miał polisę na życie, ale opiewającą na niewielką sumę. Przypuszczam, że te pieniądze dawno się

rozeszły. Przecież Roger umarł ponad piętnaście lat temu. Matkę utrzymywało państwo, zmarła mniej więcej pół roku temu. Rak piersi. Lekarze jednoznacznie wskazali naturalną przyczynę śmierci. Ostatniego gościa przyjęła trzy lata temu. – Szelest papierów. – Nazywał się Thomas Keck.

– Ożeż ty... Przecież to nazwisko męża naszej słynnej blogerki! Ale nie ma takiej możliwości, żeby Thomas Keck przed trzema laty odwiedził matkę Ewana Copelanda, ponieważ zginął na służbie cztery lata temu.

– Czyli kolejna fałszywa tożsamość. Nic nowego. Ten Copeland to niezły numer.

– Co ty nie powiesz.

– To jeszcze nie wszystko. Zaczęłam przeglądać materiały, jakimi dysponujemy w związku z wcześniejszymi przestępstwami Copelanda. Wszystkie jego ofiary, mężczyźni i kobiety, były osobami samotnymi. Nigdy nie atakował osób pozostających w związku. Niektóre ofiary pochodziły z bogatszych kręgów. Pomyślałam, że może okradał tych ludzi. I wiesz, na co się natknęłam?

– Strzelaj.

– Że wspólnym mianownikiem pięciu ofiar Copelanda jest prawnik, który się nazywa Roger Anderson. Występował jako jeden ze spadkobierców. Jego nazwisko pojawia się na wypłatach z rachunków depozytowych.

– Roger to imię ojca, a Anderson nazwisko siostry. Ewan kazał się uwzględnić w testamencie. No proszę.

– Jest jeszcze coś. Pieniądze, które w ten sposób wpływały na jego konta, spokojnie wystarczały mu na utrzymanie. Garrett porozmawiał, z kim trzeba, żeby ominąć tajemnicę bankową, i z pomocą informatyka uzyskał dostęp do szczegółów. Copeland żyje z odsetek i mądrze inwestuje. Posługując się kartą bankomatową, od czasu do czasu wypłaca niewielkie ilości gotówki. Ma też książeczkę czekową. I to ona jest najciekawsza. Okazuje się, że na przestrzeni dziesięciu lat wszystkie чеки Copeland wystawił na jedną i tę samą osobę.

– Kim jest ta osoba?

– Lekarzem w McLean w stanie Wirginia. Chirurgiem plastycznym. Specjalizuje się w rekonstrukcji twarzy, usuwaniu blizn po oparzeniach i tego typu zabiegach. Doskonale mu się wiedzie, kariera kwitnie. Nasz doktor znajduje czas, by udzielać się charytatywnie i jeździć do Ameryki Południowej, by tam za darmo leczyć z rozszczepe podniebienia.

– Ewan Copeland ma brzuch pokryty bliznami po operacjach, które przechodził jako dziecko – powiedział Baldwin. – Wiemy, że coś ukrywa. Sądziłem, że może chodzić o jakąś szpecącą deformację, ale teraz przyszło mi do głowy, że Ewan poszedł do chirurga plastycznego, bo chciał usunąć blizny, zrobić sobie przeszczep skóry, jedna operacja, druga... i uzależnił się.

– To ma sens. Doskonale wiesz, jak dużą rolę odgrywa ból w przypadku ofiar zastępczego zespołu Münchhausena. Ból równa się miłość i akceptacja. Staje się podstawową potrzebą, nawet jeśli jest zadawany samemu sobie. Copeland może cierpieć na dysmorfofobię. Nikt nie pamięta jego wyglądu, ponieważ wciąż się zmienia. Zmienia skórę, twarz, nawet budowę ciała. Nigdy nie jest i nie będzie zadowolony z własnego wyglądu, toteż nieustannie się przeobraża. Ma pieniądze, czuje nieodpartą potrzebę zmian. Popełniając przestępstwo, za każdym razem pokazuje ofierze i świadkom swoją nową twarz, w sensie dosłownym nową. Żaloszny, chory człowieczek z idealną cerą. Sukinkot.

– To dlatego jest mu obojętne, czy na miejscu zbrodni znajdziemy jego DNA – powiedział Baldwin po chwili zastanowienia. – Między kolejnymi morderstwami zmienia twarz. Zidentyfikowanie go na podstawie zdjęć lub zeznań świadków mija się z celem.

– Zgadza się.

– Porozmawiasz z tym lekarzem?

– Już się z nim umówiłam. Kiedy wymieniłam nazwisko Rogera Andersona, natychmiast odwołał wszystkie wizyty. Na pewno się domyśla, że będzie miał kłopoty.

– Pamiętaj, że ten chirurg może być kolejną ofiarą

Copelanda. Jeszcze go nie zabił, ponieważ wciąż jest mu potrzebny. Bądź ostrożna. Copeland na pewno dysponuje systemem wczesnego ostrzegania, na wypadek gdyby ktoś wpadł na trop jego doktorka.

Baldwin usłyszał, jak Charlaine zamyka laptopa i wstaje od biurka. Była gotowa do akcji.

– Liczę na to, że jest zbyt zajęty realizacją swojego planu, by zauważyć, że skradamy się za jego plecami.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Colleen miała po dziurki w nosie siedzenia na posterunku. Flynn marudził, domagał się ulubionych naleśników. Ale detektyw Ross był nieugięty i powtarzał, że opuszczenie budynku policji absolutnie nie wchodzi w grę. Musieli się zadowolić krokietami z fast foodu, dostarczonymi przez jeden z patroli, ale Flynn nadal kategorycznie domagał się naleśników, o czym nie omieszkął z płaczem poinformować całego Wydziału Zabójstw Policji w Nashville.

Bez komputera Colleen czuła się jak bez ręki. Ross zabrał jej sprzęt i zamknął ją i Flynną w pokoju przesłuchań. Nie była aresztowana, ale też nie mogła wyjść. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego policja sądzi, że może mieć cokolwiek wspólnego z tą szaloną grą w mordowanie.

Ewan Copeland.

Kiedy usłyszała to nazwisko, poczuła, jak włosy stają jej dęba. Postanowiła udawać, że go nie zna. Powiedziała sobie, że wtedy wszystko będzie w porządku. Złapią go i będzie mogła wrócić do domu, do swojego życia.

Próbowała uciszyć marudnego synka. Czekala, siedziała beczynn timer. W pewnej chwili zaczęła ćwiczyć oddychanie, tak jak się uczyła na zajęciach jogi. Nabrać powietrza, licząc do czterech, zatrzymać je w płucach, licząc do czterech, wypuścić, licząc do czterech, nie oddychać, licząc do czterech. Powiedziała Flynnowi, żeby za nią liczył, niech to będzie dla niego zabawa. Po pięciu powtórzeniach trochę się uspokoił. Po ośmiu zasnął, spocony i przyklejony do jej ramienia. Przytuliła do piersi jego rozluźnione ciało. Pomyślała, że najchętniej też zwinęłaby się w kłębek.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Stał w nich Lincoln Ross. Była na niego wściekła, ale kiedy zobaczyła, że jego smutna mina zamienia się w czarujący uśmiech, odwzajemniła go wbrew sobie. Serce Colleen podskoczyło.

– Widzę, że naleśniki zrobiły swoje – powiedział cicho.

– Nie, chyba go zahipnotyzowałam – odparła, tłumiąc śmiech.

– Na mnie też podziałało. Jeszcze nigdy nie czułem się tak spokojny w pracy.

Uświadomiła sobie, że ją obserwował. Czekał, aż Flynn się uspokoi, i dopiero wtedy przyszedł. Była mu wdzięczna. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Colleen, musimy porozmawiać. Flynn śpi, prawda?

– Tak. O co chodzi? Możemy wreszcie wrócić do domu? Lincoln usiadł na krześle po drugiej stronie stołu.

– Obawiam się, że jeszcze nie.

Odetchnął głęboko, a ją opadło okropne przeczucie, że wydarzy się coś złego.

Była gotowa. Najgorszą wiadomość swego życia usłyszała przed czterema laty, kiedy dowiedziała się, że Tommy nie żyje. Gorsza byłaby jedynie wiadomość, że coś się stało Flynnowi, ale trzymała synka w ramionach, więc nie o to chodzi. O czymkolwiek Ross chciał porozmawiać, nie mogło jej to zranić. Wszystko będzie dobrze.

– Słucham.

– Powiedz mi, Colleen, gdzie się wychowywałaś?

– W Blacksburg w Wirginii. Skąd to pytanie?

Przeszył ją wzrokiem. Brwi nad jego jasnobrązowymi oczami lekko drgnęły.

– Czy kiedykolwiek byłaś w Forest City w Karolinie Północnej?

O nie! Nie, nie, nie! – wykrzyczała bezgłośnie.

– Nie przypominam sobie.

– Colleen... – Widział, jak przytuliła twarz do szyi Flynnna. Wyczuł, że ogarnia ją panika. – Colleen – powtórzył Lincoln. – Forest City. Czy pamiętasz osobę o nazwisku Emma Brighton?

Oni nie wiedzą. Oni nie wiedzą. Boże, proszę, spraw, żeby nie wiedzieli! – modliła się w duchu.

– Nigdy nie byłam w Forest City w Karolinie Północnej, detektywie Ross. – Podniosła głowę i wyzywająco spojrzała mu w

oczy.

– Colleen, sprawdziłem twoje odciski palców. Wiem, że nazywasz się Emma Brighton. I wiem, co on ci zrobił.

To nazwisko momentalnie przywołało niechciane wspomnienia, zagrzebane tak głęboko w pamięci, że Colleen uwierzyła, że to wszystko przydarzyło się komuś innemu. Komuś, kogo nie знаła. I było jedynie zasłyszana opowieścią, plotką, wprawdzie przerażającą, ale dotyczącą kogoś innego. Z takimi przypadkami stykała się na co dzień jako Felon E. Ze zgwałconymi kobietami, z umierającymi dziećmi. Dla nich walczyła, oni zasługiwali na sprawiedliwość.

Poczuła, jak naleśniki, które niedawno zjadła, podchodzą jej do gardła. Ross siedział naprzeciwko i milczał, wpatrując się w nią. Jak to możliwe, że uznała go za atrakcyjnego faceta? Do końca życia będzie pamiętała, jak wypowiada to imię, jak różowy język dotyka zębów, jak usta otwierają się i zamykają. Jak padają słowa. Emma. Emma. Emma.

Płakała. Jak to się stało?

– Colleen, wszystko w porządku? Przepraszam, że o to pytam, ale musimy wiedzieć. To bardzo ważne. Twoja reakcja na nazwisko Cope...

– Milcz! Nie chcę tego słyszeć! – Nagle wstała. – Wychodzę. Natychmiast.

Flynn zaczął płakać. Przytuliła synka do piersi i ruszyła w stronę drzwi. Ross zerwał się z krzesła, ale Colleen była szybsza. Pobieгла korytarzem na oślep, łzy zalewały jej oczy.

Przed laty poddała się terapii metodą EMDR, polegającej na leczeniu pacjenta ze stresu, fobii i złych wspomnień poprzez kontrolowanie ruchu jego gałek ocznych. Terapia poskutkowała. Colleen mogła żyć dalej. Pozbyła się okaleczonego kawałka duszy, wyrzuciła go z siebie podczas sesji, podeptała i kopnęła pod kanapę. Dzięki EMDR nie kuliła się i nie załamywała, słysząc słowo „gwałt”. Dzięki terapii mogła wyjść za mąż i odnaleźć radość, a nawet pozwolić sobie na chwile zapomnienia w związku, również w jego fizycznym aspekcie. Dostała nowe życie, wolne od

strasznych, przytłaczających wspomnień, od tego, co się wydarzyło owej tragicznej nocy. Dostała nowe nazwisko, niezbrukane, wolne od przemocy. Zaczęła od początku. Nikt nie znał jej przeszłości. Nikt, nawet Tommy.

Za pomocą dwóch słów ten pieprzony policjant zniweczył lata pracy.

Rozluźniła ramiona. Do drzwi już blisko.

Emma. Cholerna Emma zgwałcona krwawiąca na podłodze pocięta rozharatana między nogami jej brzuch czterdzieści ran ostrym narzędziem najostrzejszym jakie miał pod ręką jej dziewictwo jej płeć jej krew na dywanie kierowca karetki krzyczy jej naćpana matka pogardliwym wzrokiem wszyscy wiedzą wszyscy co jej zrobił nigdy nie ucieknie przed bólem krzykami krwią Brighton.

– Zatrzymajcie ją! – usłyszała głos policjanta, ale na twarzach, które mijała, malowało się zaskoczenie, co dawało jej przewagę. Wypadła przez drzwi i pognąła na ulicę. Zbiegła do garażu podziemnego, w którym zostawiła samochód. Nawet nie zauważyła, że zanim wybiegła z posterunku, przy drzwiach zgubiła Flynna.

Nie miała pojęcia, kim jest Flynn.

Wiedziała tylko, że musi uciekać, uciekać, uciekać. Jak najdalej.

Samochód. Jest. Kluczyki. Pomacała się po kieszeniach. Są. Otworzyła drzwi i usiadła za kierownicą.

Emma Brighton.

Zobaczyła twarz z przeszłości. Słodki uśmiech, kręcone włosy.

Emma Brighton.

Szczęśliwa dziewczyna. Zanim została zhańbiona i upokorzona.

Colleen nie poczuła ostrza, które przecięło jej gardło. W ogóle nic nie poczuła.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Ewan Copeland paznokciem drapał zaschniętą plamę krwi na stole.

Dużą część życia strawił na czekaniu. Kiedy matka znowu go skrzywdzi. Kiedy ojciec wróci do domu. Kiedy otworzą się kraty celi. Kiedy leki przeciwbólowe zaczną działać. Kiedy zejdzie opuchlizna. Kiedy kobieta przywiązana do krzesła wreszcie się obudzi.

Miał mnóstwo czasu, ale do jasnej cholery, bez przesady. Miał ochotę się zabawić. Znudziło go czekanie. Cierpliwość jest cnotą, no tak, ale on to już chyba powinien dostać Oscara.

Zdrapał plamki ze stołu i zastanowił się. Wczoraj wieczorem rozpoczął przedstawienie i dotarł do połowy. Lubił dobrą, szybką akcję. Szybką jak on sam.

Poczytać? Obudzić ją?

Decyzje, wiecznie decyzje.

Wstał, podszedł do torby i wyjął kapsułkę z amoniakiem, którą zwędził w pracy. Przełamał ją i przesunął pod nosem skrupowanej kobiety. Poruszyła się i jęknęła. Postawił kapsułkę na stole. Może się jeszcze przydać.

– Cześć, Samantha. – Poruszyła się. Jej głowa zawisła na piersi, czarne włosy kontrastowały z kremową skórą. Jeszcze się nie obudziła. – Samantha... Samaaantho... pobudka.

Poklepał ją otwartą dłonią po policzku. Nie spoliczkował jej, zrobił to delikatnie. Głowa przekrzywiła się na lewo, zamrugła, ale w zwolnionym tempie, bo ciężkie powieki nadal opadały. Brązowe oczy wyraźnie nie mogły złapać ostrości. Ponownie zamrugła.

Klepnął ją jeszcze raz, trochę mocniej, wierzchem dłoni w drugi policzek, z przyjemnością patrząc, jak skóra robi się czerwona. Otworzyła oczy. Widział, że Samanta próbuje zorientować się w sytuacji. Stał przed nią wyprężony, przekrzywiając głowę jak ciekawski szczeniak. W dłoni trzymał

długi nóż. Naraz opanował ją strach. Właściwa, słuszna reakcja. Niczego innego się nie spodziewał. Strach był dobry. Lubił strach. Co prawda wolałby zobaczyć go w szarych oczach Taylor, ale cóż, jak się nie ma, co się lubi...

Uwielbiał patrzeć na zakneblowane usta.

– Witaj, Samanto – powiedział.

Wydała krzyk stłumiony przez knebel. Ewan pokręcił głową.

– Nie krzyczymy, dobrze? Ja na ciebie nie krzyczę i proszę cię o to samo. Uspokój się, to nic ci się nie stanie.

Czubkiem noża dotknął jej obojczyka i przesunął ostrzem po skórze, widząc, jak jej oczy wypełniają się łzami. Sam Loughley nie była głupia i doskonale wiedziała, co się dzieje. Pociągnęła nosem i zamknęła oczy. Zawsze zamykają oczy. Miał taką fazę, że przyklejał im powieki do brwi, ale jakoś nie mógł znieść wiecznie gapiących się oczu. Kiedy rzęsy opadały i sprawiały, że łzy płynęły po policzkach, to jednak było to bardziej kobiece, bardziej niewinne. Płacz przy otwartych oczach był... dziwny. Jakby płakała lalka. Nie lubił lalek.

– Samantho, wiesz, na czym polega twoja rola, prawda? – Otworzyła oczy. Dostrzegł w nich pogardę i dumę. To dobrze. Będzie walczyła za przyjaciółkę. – To nie powinno zająć dużo czasu. Twoi przyjaciele niepokoją się i próbują ustalić, gdzie się podziewasz. Wszystko zaplanowałem już dawno temu, i to tuż pod waszym nosem. Taylor będzie cię szukała. Nie jest głupia, na pewno się domyśli, gdzie cię znaleźć. Wierzę w nią. Tak jak ty. A my, czekając na nią, troszkę się zabawimy. Co ty na to? Brzmi fajnie?

Oczy znów się zamknęły.

Skoro się obudziła, skoro miał publiczność, to miał ochotę pogadać. Ciekawe, jak Ruth daje sobie radę. Wątpił, żeby było mu dane jeszcze ją zobaczyć, ją i tego jej porypanego kumpla Harveya, który kiedy wyczuł niebezpieczeństwo, dał nogę z miasta, uciekł nocą jak szczur. Chłopak, którego zabił, nie miał zostać odnaleziony, przynajmniej jeszcze nie teraz. Tymczasem kretyn nie dość, że spieprzył sprawę i źle ukrył ciało, to jeszcze

podrzucił fałszywy trop, na który nikt nie dał się nabrać. Po kiego Ruth ciągnęła go ze sobą? Nie powinien był na to pozwolić. Błąd. Jeden z niewielu, ale jednak błąd. Świadczył o braku perfekcji.

Przez pewien czas znów będzie sam, dlatego chciał skorzystać z towarzystwa, skoro już je miał.

– Powiedz mi, Samantha, jak wam się razem dorastało? Czy już wtedy była tak silna, jak teraz? Czy może ty byłaś silniejsza? Jak się całe dni spędza z trupami, to człowiek musi być silny, nie? Lubisz to, prawda? Lubisz grzebać w trupach. Lubisz zapach wnętrzności. Lubisz brać do ręki ich jądra i zaglądać do wszystkich dziurek, co? Poznajesz ciała na wylot. Przynosisz pracę do domu, do rodziny, do dzieci. I dzielisz się z najbliższymi kawałkami trupów, których dotykasz, bo przecież żadne mycie i szorowanie nie wymaże tego, co zostaje w głowie. Mam rację? Czy kiedy pieprzysz się z Simonem, myślisz o skalpeli przecinającym ciało? Lubisz to uczucie, Sam? Krojenie, cięcie. Na twoich oczach soczysta tkanka ustępuje pod ostrzem.

Nóż zawisł na wysokości brzucha Sam. Przeciął materiał bluzki i dotknął skóry. Wbił się lekko. Ewan Copeland z rozkoszą patrzył, jak Sam gwałtownie nabiera powietrza, gdy ból się rozchodzi. Z ranki pociekła strużka krwi. To tylko zadrapanie. Przesunął nóż niżej, wsunął go między nogi. Przejechał palcem po ostrzu i zebrał czerwone krople. Wbił wzrok w połyskujący metal i przez chwilę patrzył jak oniemiały. Potrząsnął głową. Wytarł palec o stół w tym samym miejscu, w którym zdrapał stare plamy. Wyglądały jak świeża, intensywnie czerwona farba.

Podobała mu się ta kobieta. Nie walczyła, nie wrywała się. Siedziała spokojnie.

Postanowił sprawdzić, jak daleko sięga jej odwaga.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Taylor biegiem wróciła do biurka Kris.

– Nie ma nikogo. Znalazłaś kalendarz?

– Tak. Zadzwoiłam do lekarki. Sam nie przyszła na wizytę.

Proszę spojrzeć. – Kris ustąpiła jej miejsca. Stała za plecami

Taylor i wskazała ekran komputera. – To był zwyczajny dzień.

Późnym popołudniem przywieziono trzy ciała. Szefowa planowała popracować nad nimi w nocy. O dziesiątej zwołała zebranie nocnej zmiany. Wtedy też zorientowała się, że auto padło. Wybierała się na kolację, ale ponieważ samochód nie chciał zapalić, machnęła ręką i poprosiła jednego z pracowników, żeby wyskoczył po coś do jedzenia. To była typowa dwunastogodzinna zmiana.

– Czy Stuart pracował zeszłej nocy? – Pytała o Stuarta Charisse’a, ulubionego asystenta Sam, diablo inteligentnego milczka, ślepo posłusznego szefowej.

– Tak. Wszedł chyba o drugiej.

– Zadzwoń do niego.

Kris telefony wszystkich pracowników zakładu wprowadziła do pamięci telefonu, więc tylko podniosła słuchawkę, wdusiła odpowiedni przycisk i przełączyła na głośnik.

– Tak? – odezwał się zaspany głos.

– Stuart, mówi Kris. Jest ze mną porucznik Jackson.

Szukamy Sam. Widziałeś się z nią?

– Po tym, jak wyszedłem – ziewnął głośno – nie miałem z nią kontaktu. Wiem, że nie pojechała na kolację. Miała skoczyć coś zjeść z Ilesem.

– Z Barclayem? – spytała Kris. – Był tu wczoraj?

– No tak. Mieli spotkanie oceniające, czy coś takiego. Zdaje się, że postanowili pogadać przy kanapce z Subwaya.

– Dziękuję, Stuart – powiedziała Taylor i rozłączyła się.

Zobaczyła, że Kris zbladła.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona.

– Przecież Barclay wyjechał. Rozmawiałam z nim, kiedy

pani przyjechała. Jest na Florydzie. Jego matka się rozchorowała, więc pojechał jej pomóc.

Pieprzony Barclay Iles, pomyślała Taylor, patrząc uważnie na Kris.

– Od jak dawna się spotykacie? – spytała.

Kris wykręciła dłonie, aż zbieleły. Zmarszczyła czoło.

– Prawie od roku. To świetny facet. Przecież pani go zna.

Poleciałam go Sam. Uznałam, że sprawdzi się w tej pracy, bo studiował medycynę, jest mądry i w ogóle. Koledzy go lubią. Uwielbia Sam, panią też uwielbia. Ciągłe o pani mówi, że jest pani dla niego bohaterką, że chciałby być taki jak pani. Nawet byłam trochę zazdrosna, ale to głupstwo, po prostu nie czułam się pewnie, przeszło mi. Dlaczego miałyby mnie okłamywać? O co chodzi?

No właśnie, o co chodzi? Taylor przypomniała sobie postać Ilesa. Na gruncie zawodowym po raz pierwszy spotkali się całkiem niedawno, ale Iles od kilku miesięcy kręcił się po posterunku, był obecny na miejscach zbrodni, pracował w zakładzie medycyny sądowej, miał dostęp... do wszystkiego! Do danych o pracownikach policji, do ich grafików i adresów.

A to sukinsyn.

– Kris, posłuchaj mnie uważnie. Myślę, że Barclay nie jest tym, za kogo się podaje. Jest kimś bardzo groźnym. Proszę cię, żebyś powiedziała mi wszystko, co o nim wiesz. Wszystko. Potrzebuję jego numer telefonu, adres domowy, zdjęcia, rzeczy. Wszystko. I to natychmiast.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Chodźcie do tatusia. W ustalonym miejscu. Gra skończona.

Bill Reiser odebrał wiadomość na smartfonie. Patrzył na panoramę Nashville. Miał nadzieję, że nie oznacza to, że nie będzie mógł zlikwidować swojego ostatniego celu.

Dotarł do zjazdu z autostrady i skręcił w Ellington Parkway. Pięć minut później był już na Gass Boulevard i jechał w wyznaczonym kierunku. Zaskakująco szybko zbliżał się do celu.

Nawigacja oznajmiła, że dotarł na miejsce.

Co jest, do kurwy nędzy? Po prawej miał siedzibę TBI. Wszyscy w tym stanie znają ten skrót. Biuro Śledcze w Tennessee. Czyli coś bardzo tu jest nie tak. Misja samobójcza? Miał zastrzelić człowieka w budynku federalnym? W TBI?

O nie, nie ma mowy. Jeszcze nie zwariował.

Minął budynek. Kilkaset metrów dalej stał kolejny. Postanowił, że zatrzyma się na znajdującym się przed nim parkingu i zastanowi się, co dalej. Wyśle Troyowi Landowi mejla z odmową wykonania zadania. Za kogo on go uważa? Za skończonego kretyna?

Wjechał na parking, zobaczył białą furgonetkę zakładu medycyny sądowej i uświadomił sobie, gdzie się znalazł. Kostnica. Nie no, super.

Zaparkował. Wyjął telefon i zaczął pisać wiadomość, kiedy nagle w lusterku wstecznym zobaczył błysk latarki. Gliny w cywilu. Kurwa. Może to teren prywatny?

Lewą nogą wsunął broń pod siedzenie. Spokojnie, rozegraj to spokojnie, nakazywał sobie. Przyjmij mandat i spływaj. Przecież nie zrobił nic złego. Znaczą się, nie teraz.

Mówiąc precyzyjniej, nie zrobił nic złego od mniej więcej piętnastu godzin.

Widział, jak rosły gliniarz zbliża się do auta z lewą ręką na kaburze. Prawą dłonią dotknął samochodu. Czytał gdzieś, że gliny celowo zostawiają odciski palców na karoserii podejrzanego auta,

żeby było łatwiej je zidentyfikować, w razie gdyby zostali porwani albo postrzeleni przez kierowcę.

Mógł go zastrzelić.

Mógł zastrzelić gliniarza.

Poczuł adrenalinę. Policjant zastukał w szybę i gestem pokazał, żeby ją opuścić.

Poczekaj, zastanów się! – myślał gorączkowo Bill. Przekonaj się, o co chodzi. Pewnie po prostu każe ci odjechać. Nie rób głupstw. Przyjmij mandat. Pamiętaj, że nadal możesz wygrać grę. Tyle kasy. Jedna wypłata i będziesz mógł zapomnieć o całym tym głównianym roku porażek. Jesteś już blisko. Nie schrzań tego.

Opuścił szybę. Policjant ustawił się tak, że zaglądał mu przez ramię. Poczuł na twarzy chłodny wiatr.

– Proszę wysiąść z samochodu.

– Dlaczego, panie władzo? Co takiego zrobiłem?

– Proszę wysiąść z samochodu i podnieść ręce do góry.

Niedobrze. Zagryzł wargę. Będzie miał tylko jedną szansę. Spojrzał w lusterko. Drugi glina zbliżał się od strony pasażera. Trzymał w ręku pistolet.

Bill zrozumiał. Troy miał rację. Zostali zdemaskowani, gra skończona. Policja już wiedziała. Jezus, co teraz? Jest ich tylko dwóch. W magazynku komplet naboju. Trzeba szybko działać.

Gliniarz nie będzie czekał.

– Proszę natychmiast wysiąść z auta. Proszę pokazać ręce – odezwał się drugi policjant.

Byli niespokojni. Mówili podniesionymi głosami. Naprawdę nie miał wyboru. Nie zamierzał pójść do więzienia. Może uda mu się wykić? Przekonać ich? Przekupić? Nie, raczej nie. Nie wyglądali na takich, którzy mieli ochotę dyskutować.

Lewą dłonią powoli otworzył drzwi. Wychodząc, podparł się prawą ręką. Palcami musnął zimny metal.

– Ręce!

Teraz. Wyszarpnął broń spod fotela i wycelował w tego policjanta, który stał bliżej. Nacisnął spust. Zobaczył szare niebo. Że co? Ponownie nacisnął spust, ale broń nie wypaliła.

Krzyki, wrzaski.

Aha.

Dopiero teraz poczuł ból, potworne pieczenie w klatce piersiowej. Żużel śmierdział benzyną. Po niebie leciało stado gęsi. Słyszał ich klangor. Uśmiechnął się. Zawsze lubił gęsi. Dziadek trzymał je na farmie, mieszkał w północnej Kalifornii. Zawsze się zastanawiał...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Lincoln podniósł chłopca, którego Colleen Keck, nie, poprawka, Emma Brighton, upuściła na twarde, zimny beton przed głównym wejściem do budynku policji. Flynn płakał i był w takim szoku po upadku, że nawet nie zauważył braku matki.

Lincoln pogłaskał chłopca po plecach, po czym oddał go przechodzącemu zastępcy szeryfa, mówiąc:

– Proszę go zabrać do Wydziału Zabójstw. Zaraz wracam. Muszę sprowadzić jego matkę.

Zastępca obrzucił Lincolna zaskoczonym spojrzeniem, ale bez słowa zabrał Flynną.

Lincoln przeciął ulicę i pobiegł w stronę parkingu podziemnego. Nie widział Colleen, musiała gnać jak oparzona. Nie wiedział, na którym poziomie zaparkowała, więc wbiegł na znajdujący się na równi z powierzchnią ulicy. Betonowe, oświetlone potężnymi świetlówkami ściany lśniły w upiornej ciszy. Było wcześniej, na parkingu stało mało samochodów. I nie było widać żywej duszy. Lincoln nie słyszał odgłosu silnika.

Coś było nie tak. Wyczuł to. Wyjął broń. Zapach krwi. Świeżej krwi.

Zrobił trzy ostrożne kroki. Nagle z prawej wyskoczyła kobieta. Wypadła jak przepiórka z krzaków, brakowało tylko ujadającego aportera. Nie towarzyszył temu żaden dodatkowy dźwięk, żadne ostrzeżenie, było słycać jedynie tupot stóp. To nie Colleen, uświadomił sobie Lincoln. Kobieta trzymała w ręku nóż. Pędziła w jego stronę z gotowym do ataku ostrzem. Przestał myśleć, pozwolił działać instynktowi. Wycelował i trzykrotnie nacisnął spust, oddając precyzyjne, doprowadzone do perfekcji latami ćwiczeń na strzelnicy strzały.

Kobieta upadła i jęcząc, zwinęła się w kłębek u jego stóp. Nóż z brzękiem upadł na beton. Lincoln potrząsnął głową. Huk wystrzałów odbił się od ścian pustego parkingu. Lincolnowi zabręczało w uszach i naraz poczuł się, jakby nurkował.

Niewyraźne, stłumione głosy, krzyki, echa.

Trafił ją niżej, niż celował. Adrenalina sprawiła, że strzelając, lekko opuścił służbowego glocka. Albo może podniósł go pod złym kątem? Trzeba to będzie sprawdzić na strzelnicy. W sumie nieważne, liczyło się jedynie to, że Lincolnowi nigdy wcześniej nie zdarzyło się użyć broni na służbie. Zrobi się niezły bajzel, to pewne. Policjanci rzadko zabijają cywilów na parkingu przed posterunkiem. Poczul kropelki potu na karku.

Kobieta przestała jęczeć.

Kopnął nóż tak, że znalazł się poza jej zasięgiem, i zbadał puls rannej. Był słaby. Jeśli nie otrzyma pomocy lekarskiej, na pewno umrze.

Rozejrzał się. Gdzie jest Colleen? Cholera, tak szybko wypadł z biura, że nie zabrał ani krótkofalówki, ani komórki. Telefon został na biurku.

Samotnie naprzeciwko wind stała stara honda civic. Od drzwi kierowcy prowadziła jasna strużka. Czyżby paliwo? Drzwi były uchylone.

Colleen.

Tupot stóp. Krzyki. Ktoś usłyszał strzały. Ludzie zaczęli się schodzić.

Podszedł do samochodu szerokim łukiem, by nie zdeptać ewentualnych śladów. Colleen siedziała pochylona nad kierownicą. To nie paliwo, to krew, gęsta, jasna. Z tętnicy. Obawiał się najgorszego, bo rana na szyi była bardzo głęboka. Ale w pewnej chwili jej pierś drgnęła. Podszedł do niej jak najostrożniej i dotknął dłoni, która wciąż ścisnęła kierownicę, jak gdyby Colleen sądziła, że może po prostu odjechać i uciec śmierci.

– Colleen?

– Tommy, to ty?

Miała chrypiący głos. Lincoln znalazł jej telefon i zadzwonił na posterunek. Złożył oficjalne zawiadomienie. Poinformował, że brał udział w strzelaninie. Poprosił o wsparcie, karetkę, całą resztę.

– Tommy, nie powinienes... – odezwała się Colleen – ...nie powinienes przychodzić. Flynn. Trzeba się zająć Flynnem.

Lincoln zdjął marynarkę i przyłożył ją do rany na szyi Colleen.

– Nie mów nic, Colleen – powiedział. – Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Usłyszał jęk syren. Dokoła stali ludzie, ale zignorował ich. Skupił się na Colleen.

Pokręciła głową i utkwiała spojrzenie w Lincolnie.

– Tommy. Tak się cieszę, że... że tu jesteś. Tęskniłam. Przy tobie byłam taka szczęśliwa... i bezpieczna. – Uśmiechnęła się. W ostrym świetle jej twarz była blada jak ściana.

– Colleen... – niemal wyszeptał, a ona położyła mu palec na ustach. – Nie, nie odchodź. Colleen, trzymaj się. Flynn na ciebie czeka. Proszę, Colleen, nie rób mi tego. Nie waż się umierać. Pomoc już w drodze.

– Tommy, kocham cię.

Zamknęła oczy i odeszła. Poczul tę chwilę, w której duch opuścił ciało. Pomyślał, że nigdy tego nie zapomni, głosów ludzi i przymkniętych oczu Colleen, jakby jej dusza wiedziała, dokąd leci. Nie zapomni też krwi przesączającej się przez gruby, ciemny materiał marynarki, zapachu zakurzonego betonu wymieszanego z zasychającą krwią. Walczył ze łzami. Potem ktoś go pociągnął za ramię. Ratownicy przystąpili do akcji. Ale on już wiedział, że jest za późno. Za późno dla nich wszystkich.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Taylor wychodziła na parking przed zakładem medycyny sądowej, kiedy usłyszała strzały. Natychmiast sięgnęła po glocka.

– Pani porucznik, słyszała pani? – pisnęła Kris.

– Słyszałam. Ukryj się w biurze. Zamknij drzwi za sobą.

Kris zniknęła w korytarzu. Tam będzie bezpieczna, bo żeby z recepcji dostać się na wewnętrzne bloki, trzeba mieć kartę.

Taylor wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła, że jej ochroniarze stoją nad leżącym na ziemi mężczyzną. Zagrożenie zostało zneutralizowane. Schowała broń i wyszła.

– Co się stało? – krzyknęła. – Kto to jest?

Wells odwrócił się, spojrzał chłodnym wzrokiem i powiedział:

– Na pewno jeden z naśladowców. Tablice się zgadzają.

Sięgnął po broń. Nie miałem wyboru.

Spojrzała na leżącego z rozłożonymi rękami i nogami mężczyznę. Na ustach miał lekki uśmiech. Oczy niewidzącym wzrokiem patrzyły w niebo. Nie znalazła w sobie współczucia dla tego człowieka.

– Który to?

Rogers rzucił Taylor portfel zabitego.

– Prawo jazdy wystawiono na nazwisko William Reiser.

Przypuszczam, że to kopia Zodiaka, gość z Kalifornii.

– Co on tu robi? Przyjechał, żeby mnie zabić?

– Tego nie wiemy. Widzieliśmy, jak jechał z tamtego kierunku. Zatrzymał się przed siedzibą TBI. Potem ruszył, zaparkował tutaj i wyjął telefon.

Podał jej aparat. Nacisnęła przycisk i ekran ożył. Pisał mejla do kogoś o imieniu Troy.

Przewinęła w górę, a kiedy zobaczyła wiadomość, na którą odpowiadał, przeszedł ją dreszcz.

Chodźcie do tatusia.

Wiadomość od Copelanda. Wells miał rację, to był jeden z

imitatorów.

– Dobra robota – pochwaliła, po czym wyjęła swój telefon i wybrała numer komendant Huston.

Zanim zdążyła się odezwać, usłyszała w słuchawce wściekły głos Huston:

– Jackson, co tu się wyprawia, do ciężkiej cholery? Przed chwilą na parkingu zamordowano kobietę, którą kazałaś pilnować Lincolnowi.

Taylor zatkało. O Boże. Colleen!

– Jak to się stało? – zdołała wydukać.

– Pracujemy nad tym. Wybiegła z budynku i wpadła w zasadzkę. Lincoln zastrzelił mordercę. Przyjeżdżaj natychmiast.

Lincoln zabił podejrzanego. Zrobił to po raz pierwszy w życiu. Musi być w rozsypce. Naśladowca nie oszczędzał nikogo z otoczenia Taylor.

Odetchnęła głęboko i powiedziała:

– Przykro mi, ale teraz nie mogę. Proszę przysłać śledczych na parking przed zakładem medycyny sądowej. Zbliżył się do mnie jeden z naśladowców. Zastrzelił go pracownik agencji Mitchella Price’a. Wynajęłam dwóch jego ludzi jako ochronę osobistą.

– Kolejna strzelanina? Boże drogi, Taylor.

– Wiem, pani komendant.

– Nie ruszaj się stamtąd. I bądź ostrożna.

– Tak jest. – Zakończyła połączenie i od razu zadzwoniła do Kris, która odebrała po pierwszym dzwonku. – Kris, już wszystko w porządku. Możesz wyjść. – Zawahała się. – Posłuchaj, muszę jechać. Zadzwoń po technicznych, dobrze?

– Dobrze, ale pani porucznik, czy nie powinna pani...

– Kris, muszę odnaleźć Sam. Proszę, zrób to dla mnie.

– W porządku.

Rozłączyła się i spojrzała na Wellsa.

– Muszę jechać.

– Rozumiem. Co mamy robić? Pojechać z panią?

Naśladowców jest więcej, prawda?

– Zostańcie tutaj. Wells, zadzwoń do Price’a i opowiedz mu,

co zaszło. Będziesz musiał złożyć zeznania, ale spokojnie, nie zostaniesz pociągnięty do odpowiedzialności, skoro ten – zerknęła do dokumentów – Reiser jako pierwszy wyciągnął broń. Potem skontaktuj się ze mną.

– Czy jest pani pewna? Zostanie pani bez wsparcia. Ci mordercy – trącił trupa nogą – są blisko, bardzo blisko. Wolałbym, żeby się pani nie oddalała.

– Wells, zostańcie. Złóż zeznania. To rozkaz.

– Tak jest.

I już. Była wolna. Ochrona spełniła swoje zadanie. Pierwszy etap gry miała za sobą.

Dzięki, Copeland, pomyślała. Sama bym tego lepiej nie wymyśliła.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Komórka Baldwina zadzwoniła, kiedy wychodził z biura. Numer z Quantico. Kevin Salt. Odebrał, zamykając biuro na klucz.

– Cześć, masz coś dla mnie?

– Mam. Pracujemy pełną parą. Do każdego z domów wysłaliśmy ekipę. Zorganizowałem dodatkowy personel do przeglądania akt na komputerze. Charlaïne pojechała porozmawiać z chirurgiem plastycznym. Jak widzisz, prowadzimy działania na skalę krajową.

Ach, potęga biura. Pożałował, że sam nie może kierować akcją.

– Okej. Mów, co odkryliście.

– Samochód w Kalifornii wynajęto na nazwisko Williama Reisera. Zakładamy, że to naśladowca Zodiaka. Ma czyste konto, jak dotąd się nie wychylał. Jest programistą z Doliny Krzemowej. To znaczy był, bo w zeszłym roku dostał wymówienie z pracy. Gracz wcielający się w Syna Sama z Nowego Jorku to Preston Pylant z Long Island. Prawdziwy świr, wielokrotnie przejawiał anormalne zachowanie. Może być schizofrenikiem. Lista jego chorób psychicznych jest imponująca. Mamy go w bazie, dziesięć lat temu siedział za napaść. – Zaszleściły kartki. – W Bostonie auto wynajął niejaki Richard Cooper. Wszystkie informacje, które posiadamy na jego temat, wskazują, że może chodzić o Richarda Coopera zatrudnionego w UPS, a więc mamy związek z morderstwami. Jest tylko jeden problem.

– Mianowicie?

– Richard Cooper, który pracuje w UPS, od tygodnia przebywa na Florydzie i tam też wykonuje swoją pracę. To nie może być ten sam człowiek.

– Masz rację, nie zgadza się. Najpewniej skradziono mu tożsamość. To było do przewidzenia. Copeland załatwił mu lewe dokumenty.

– W porządku. Ale dlaczego w taki sam sposób nie

zabezpieczył całej trójki?

– Możliwe, że to zrobił, tylko my nic nie zauważyliśmy. Możesz to jeszcze zbadać?

– Jasne. Pójdę tym tropem i sprawdzę, kto miał dostęp do kont Richarda Coopera, a także przyjrę się pozostałej dwójce. Być może jeden z morderców jest bardziej wyrafinowany niż jego koledzy i lepiej zaciera ślady.

Akurat tego im było trzeba. Kolejnego cwane go zabójcy...

– Sprawdź to.

– Okej. Doszło do podwójnego morderstwa w Waszyngtonie, w parku przy George Washington Memorial Parkway, niedaleko lotniska Reagana. Wiesz, o który park chodzi?

– O Lyndon B. Johnson Memorial Grove? Kojarzę. Ten park jest ponoć ulubionym miejscem schadzek gejów.

– Tak, to ten. Policja wprawdzie oczyściła go z dilerów narkotyków, ale nie z amatorów seksu na wolnym powietrzu. W każdym razie wczoraj zastrzelono tam dwóch mężczyzn.

Przypomina to tę sprawę w Nowym Jorku.

– Czytałem w sieci. Czy oficjalnie powiązano te dwa morderstwa?

– Tak. Każda z ofiar dostała dwie kulki w głowę. Kaliber 44. Balistycy potwierdzają, że użyto tej samej broni.

– Dobra robota.

– To nie wszystko. Drogówka z Tennessee zauważyła poszukiwany samochód i przekazała informację dalej. Policja aresztowała Pylanta w McDonalddie przy szosie I-40 na obrzeżach Knoxville. Podobno zachowywał się „niespokojnie”. I zaczął mówić.

– Mówi? Bingo. Co powiedział?

– Jak już wspominałem, niewykluczone, że Pylant cierpi na schizofrenię, więc powinniśmy podchodzić z rezerwą do jego zwierzeń... W każdym razie twierdzi, że bierze udział grze o bardzo wysoką stawkę. Szykował się na grubszą akcję, bo miał w wozie więcej amunicji, niż antyterrorysty zużywają na ćwiczeniach.

– Trzymają go w Knoxville?
– Tak. Dowiem się, czy zaczął mówić z sensem, i oddzwonię.
Teraz przynajmniej wiemy, który naśladowca skąd pochodził i dokąd zmierzał.

– No tak... Do Nashville.
– Zgadza się.
– Kevin, jesteś mistrzem. Daj znać, kiedy dowiesz się czegoś więcej.

– Jasna sprawa. U ciebie wszystko gra?
– O tyle, o ile. Nie czuję się najlepiej, siedząc na ławce rezerwowych, jak się zapewne domyślasz.
– Wyobrażam sobie. Aha, Garrett chciał z tobą porozmawiać. Prosił, żebyś do niego zadzwonił.

– Zrobię to. Dzięki.
Baldwin się rozłączył i spojrzał na zegarek. Postanowił, że zanim zadzwoni do Garretta, sprawdzi, co u Taylor.

Wybrał jej numer. Natychmiast odebrała.
– Wells zastrzelił naśladowcę Zodiaka na parkingu przed zakładem medycyny sądowej – poinformowała bez zbędnych wstępów. – Wiemy wreszcie, jak wygląda Ewan Copeland. Barclay Iles, technik kryminalistyki, pamiętasz go? To on. Ewan Copeland od prawie roku pracował w zakładzie.

Baldwin odnalazł w pamięci twarz Ilesa. To oznaczało, że morderca przez niemal rok wodził ich za nos, bawił się ich zabawkami u nich na podwórku i... przez cały czas miał Taylor w zasięgu ręki. Strach Baldwina przerodził się we wściekłość. Nie usłyszał, co powiedziała Taylor.

– Co? Możesz powtórzyć?
– Spotykał się z Kris. To ona poleciła go Sam. Iles miał przygotowanie zawodowe, ale nie wiem, czy to też nie było kłamstwo. Baldwin, posłuchaj, ja z nim pracowałam. Ramię w ramię. Jedliśmy razem posiłki, pracowaliśmy do późna, śmialiśmy się. Szanowałam go. Sam współpracowała z nim od dobrych kilku miesięcy. Stał się częścią naszego życia, przyczał się, obserwował, czekał na odpowiedni moment.

W jej głosie wychwycił ślady paniki, ale co się dziwić.

– Spokojnie. Gdzie jesteś?

– Wyszłam z zakładu.

– Gdzie mieszka Barclay Iles?

– Oficjalnie u Kris, ale ma własne mieszkanie, nie wiemy gdzie. Kris nie widziała go od kilku dni. Powiedział jej, że ma chorą matkę i wyjeżdża na Florydę. Unieruchomił samochód Sam i wywiózł ją. Baldwin, on ją ma. Zdobyłam sporo informacji, ale nie jestem w stanie drania namierzyć. Bez Lincolna...

– Jak to bez Lincolna? Co się z nim stało? – Usłyszał odgłos włączanego silnika.

– Jadę do centrum. Lincoln brał udział w strzelaninie.

Colleen Keck nie żyje. Nie znam wszystkich szczegółów, wiem tylko tyle, że wybiegła z budynku policji i wpadła w zasadzkę.

Wszystko się waliło. Uznał, że nie może zostawić Taylor samej.

– Spotkamy się na posterunku. Jedź ostrożnie. Nie martw się, dobrze? Dusiciel z Bostonu nadal jest na wolności, ale policja z Knoxville złapała faceta, który może być naśladowcą Syna Sama. Podobno zaczął śpiewać. Być może wie, gdzie Copeland przetrzymuje Sam. Znajdziemy ją, przysięgam ci to.

– Oby. – Rozłączyła się.

Znalazł się na parkingu. Usiadł za kierownicą i włączył ogrzewanie. Był tak poruszony, że dopiero kiedy wyjeżdżał z parkingu, uświadomił sobie, że kończąc rozmowę, Taylor nie powiedziała „kocham cię”. Zawsze mówiła, i on też mówił, to był ich rytuał. Oboje mieli niebezpieczną pracę. Taylor kiedyś zwierzyła się, że nie chciałyby umrzeć, nie powiedziawszy najbliższemu, że ich kocha. Myślał tak samo. Kiedy miał szesnaście lat, zginęli jego rodzice. Owego feralnego wieczoru przed wyjściem z domu powiedzieli mu, jak bardzo go kochają, a on nie odpowiedział. Od tamtej pory, choć minęło wiele lat, nadal prześladowało go poczucie winy.

Dlatego ponownie wybrał numer Taylor. Nie odebrała.

Co się dzieje, do diabła?

To stres. Żyła w ciągłym napięciu. Jej najlepsza przyjaciółka zaginęła i stała się przynętą w nierównej, perwersyjnej grze. Nie miała czasu na telefony.

Zostawił jej wiadomość – powiedział, że ją kocha – po czym zadzwonił do Garretta.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Taylor zignorowała dzwonek telefonu.

Nie chciała skłamać, mimo że Baldwin okłamywał ją od Bóg jeden wie jak dawna. Nie chciała być taką kobietą. Taką, która mówi, że wybiera się na zakupy z koleżankami, a w rzeczywistości spotyka się z kochankiem w parku. Taką, która zanim odezwie się do faceta, oblicza jego wartość. Taką, która mówi „kocham cię”, nie wierząc w te słowa. Nie była taką kobietą. A jednak skłamała, wprowadziła Baldwina w błąd w bardzo ważnej sprawie, a mianowicie dokąd się wybiera i co zamierza zrobić.

Dobrze zrobiłaś, Taylor, umacniała się w duchu w tej decyzji. Wiesz, że próbowałby cię zatrzymać. Niech zostanie tam, gdzie jest bezpieczny. Poza tym bądźmy szczerzy, nie chcesz, żeby widział, jak mordujesz człowieka.

Kiedy Kris jej wyznała, że mieszka z Barclayem/Ewanem, zbladła. Dla niej, dla jej planu byłoby prościej, gdyby mieszkał sam. Ale przecież wszystko robił tak, żeby nie było łatwo. Siedziała w samochodzie, oddychając głęboko, myśląc, podejmując decyzję. Przeczuwała, a tak naprawdę wiedziała, dokąd Copeland zabrał Sam. Na jego miejscu właśnie tam chciałyby zakończyć tę historię. Znał Taylor na tyle dobrze, by wiedzieć, że się domyśli. Doskonale przygotował scenę na ostatni akt przedstawienia.

Zadzwoiła do Julii Page, asystentki prokuratora okręgowego. Mogła ją poprosić o przysługę, nie czując się przy tym niezręcznie.

– Taylor! Dobrze, że jesteś cała i zdrowa. Właśnie się dowiedziałam o strzelaninie.

– O której?

– To było ich więcej? Chodzi mi o Colleen Keck.

– Jeden z morderców-naśladowców pojawił się na parkingu przed zakładem medycyny sądowej. Został... unieszkodliwiony.

– Boże drogi! Ty go zastrześliłaś? Zrobił coś Sam? Znalazałaś

ją?

– Nie, jeszcze nie. Julio, przecież wiesz, że niechętnie sięgam po broń.

Akurat. Gdyby nadarzyła się sposobność, od razu by sprzątnęła tego faceta. Oto kim się stała: kobietą owładniętą żądzą zemsty.

– Na razie nie wiem nic więcej o Sam, ale pracuję nad tym. Posłuchaj, Julio, czy masz kontakt z Joshuą Fortnightem?

W słuchawce zapadła cisza. Po chwili Julia odchrząknęła.

– Wiem, gdzie przebywa. Po śmierci ojca uznał, że nie chce mieszkać sam. Nie było komu się nim zająć, służbę zwolniono, o dom i posiadłość zaczęły się bić banki i spadkobiercy. Wygląda na to, że komplikacje związane z testamentem na wiele lat zablokują możliwość sprzedaży nieruchomości. Na szczęście udało się uzyskać pieniądze na opiekę lekarską nad Joshuą. Umieściliśmy go w domu opieki, najlepszym, na jaki starczyło środków. To dom opieki Guardian, znajduje się przy Antioch Pike.

– Świetnie. Dziękuję, Julio.

– Powinnam o czymś wiedzieć?

– To nic takiego. Chciałam mu zadać kilka pytań. Sprawa, nad którą pracuję, wiąże się z jego ojcem. Muszę coś wyjaśnić.

– Okej. W takim razie powodzenia.

Taylor wiedziała, że Julia starała się dbać o Joshuę, chorego na zespół Treachera-Collinsa. Joshua był niewidomy, prawie całkiem głuchy i miał w znacznym stopniu zdeformowaną twarz. To, że prowadził względnie normalne życie i nic więcej mu nie dolegało, zakrawało na cud. Jego matka Carlotta Fortnight zmarła podczas porodu. Jego ojciec Eric Fortnight, znany jako Królowna Śnieżka, zginął z ręki Taylor. Jego siostrę Charlotte Douglas, której Baldwin zrobił dziecko, zamordował Copeland...

Historia rodziny Joshuy należała do wyjątkowo tragicznych. Niesamowite, co ten chłopak przeżył. Uratował swego ojca przed mordercą, którego ów sam stworzył. Na chwilę przed przybyciem Taylor i brygady antyterrorystycznej Joshua zranił Copelanda w ramię.

Ród Fortnightów był chory, to nie ulegało wątpliwości.

Przejechała Ellington Parkway. Zawróciła i ruszyła drogą I-24 na wschód. Zajęła lewy pas. Od domu opieki, w którym przebywał Joshua, dzieliło ją dziesięć minut.

Joshua. Niewinny chłopak w gnieździe morderców.
Owieczka rzucona lwom na pożarcie.

Joshua mógł znać odpowiedzi na nurtujące Taylor pytania.

Znajdzie Sam i uwolni ją z rąk tego bydlaka Copelanda. Nie zamierzała się poddawać. Nie pozwoli się przytłoczyć problemom. Później przyjdzie czas na opłakiwanie zmarłych, na żałowanie niewinnych ofiar.

Zabrzącał telefon. Może lepiej wyłączyć to cholerstwo, żeby nie rozpraszało uwagi?

Zerknęła na wyświetlacz. Połączenie międzynarodowe, prefiks +44. Aha, to Memphis.

Co, do diabła? Po co dzwoni? Powinna odebrać? Nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Witam serdecznie, agencie Highsmythe.

Usłyszała westchnienie ulgi. Memphis przemówił brytyjskim akcentem z wyższych sfer:

– Tak się cieszę, że się do ciebie dodzwoniłem. Czy wszystko w porządku?

– A czemu miałoby nie być w porządku?

– Taylor, wyobraź sobie, że zdarza mi się oglądać wiadomości. Wszędzie o tobie mówią. Wygląda na to, że macie niezły Sajgon. Uważasz na siebie, prawda?

– Spokojna głowa, wicehrabio. Jestem ostrożna, jak zawsze.

– Nie zapominaj, że widziałem cię w akcji. Ostrożność, śmiem twierdzić, nie należy do zbioru twoich cech. Jesteś groźna jak lwica.

Roześmiała się. Memphis zawsze umiał poprawić jej nastrój, nawet kiedy była na niego wściekła.

– Mówię poważnie, wszystko gra. Dzwonisz, żeby mnie o to zapytać?

– Dzwonię, bo martwię się o ciebie – stwierdził po prostu.

Poczuła wyrzuty sumienia, jak za każdym razem, kiedy Memphis wyjawiał jej swoje uczucia. Kiedyś okazał wyjątkową... słabość w stosunku do niej, a potem, gdy Scotland Yard wysłał go do Quantico w charakterze współpracownika w sprawach związanych z kontrterroryzmem, Taylor obawiała się, że będzie chciał tę słabość zamienić w związek. Ale nie, Memphis trzymał się na dystans. Zachowywał się z klasą. Przez większość czasu był grzeczny. Baldwin nie wiedział, że Memphis do niej dzwonił i że czasem, kiedy miała ochotę się pośmiać, odbierała.

Z wielką chęcią śmiechem odpędziłaby podły nastrój, ale nie teraz. To naprawdę nie był odpowiedni moment.

– Wszystko w porządku, zapewniam cię. Memphis, muszę kończyć. Właśnie badam pewien trop w sprawie i dojeżdżam na miejsce.

– Uważaj na siebie, Taylor. Musicie wreszcie przylecieć do Anglii. Chętnie pokażę wam kraj.

– Sądziłam, że pracujesz w Quantico, ale zobaczyłam, że dzwonisz z Wielkiej Brytanii...

– No tak, wróciłem na stare śmieci. Rozumiesz, królowa wezwała mnie do kraju, uznawszy, że kolonia już nie potrzebuje mojej pomocy.

Nie wyczuwała goryczy w jego głosie, ale przyszło jej na myśl, czy za powrotem Memphisa do ojczyzny przypadkiem nie stał Baldwin. Był szaleńczo zazdrosny, więc obecność Memphisa w Quantico musiała doprowadzać go do wściekłości, choć był przecież bardzo cierpliwym człowiekiem.

– Przykro mi. Wiem, że lubiłeś tę pracę.

– Tak, tak... Ale człowiek nie może mieć wszystkiego, nieprawdaż?

I proszę, znów przekroczył granicę. Typowe dla Memphisa. Nie potrafił się długo powstrzymać. Był dla niej utrapieniem przez duże U.

– Porozmawiamy później, dobrze? Miłej nocy.

Rozłączyła się i wyrzuciła z myśli zarówno Memphisa, jak i Baldwina. Postanowiła skupić się wyłącznie na Nashville.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Baldwin miał gabinet w biurze FBI w Nashville i korzystał z niego, załatwiając bieżące sprawy. Największą jego zaletą było to, że znajdował się blisko centrum. I blisko Taylor. Gdy rano chciało się wjechać do miasta od wschodniej strony, trzeba było swoje odstać w potężnym korku. Nie inaczej było i tym razem. Baldwin postanowił, że jakoś wykorzysta to ślimacze tempo i zadzwoni do Garretta.

– No, najwyższa pora – burknął Garrett. – Wierne pieski nie doniosły, że masz się odezwać?

– Nie mam wiernych piesków, jedynie lojalnych i pracowitych kolegów, którzy pamiętają, by mnie o wszystkim informować, nawet kiedy jestem zawieszony.

– Tak, jasne. Powiedz Saltowi, że w to uwierzyłem.

– Garrett, poważnie. Tu się wszystko sypie. Ochroniarze Taylor zastrzelili naśladowcę Zodiaka, który zaparkował przed biurem Sam. A Sam zniknęła. Kobieta, która mogła nas doprowadzić do mordercy, nie żyje. Nie jest dobrze.

– Wiem o tym. Właśnie dlatego musimy pogadać. Rozmawiałem z dyrektorem. Zostajesz czasowo odwieszony. Na boisku dużo się dzieje i szkoda, żeby nasz najlepszy zawodnik grzał ławę. Tylko trzymaj się z dala od mediów. Znajdź morderców-naśladowców i zamknij wreszcie tę sprawę. Na czym stoimy?

Wreszcie! – ucieszył się Baldwin.

– Rozpracowuję Ewana Copelanda. Okazało się, że zatrudnił się w zakładzie medycyny sądowej jako technik, podając się za Barclaya Ilesa. Znamy jego siostrę. Nazywa się Ruth Anderson, pochodzi z Raleigh w Karolinie Północnej. To ona strzelała w Nags Head, SBI zajmuje się tą sprawą. Anderson jest poszukiwana, a Copeland musi być gdzieś blisko. Wysłał Taylor płytę CD zawierającą numery rejestracyjne samochodów, którymi poruszali się mordercy będący na jego usługach. Celowo ich zdemaskował.

Nie wiemy, czy to już dawno zaplanowany ruch, czy też po prostu się nimi znudził. No i zamordowano blogerkę piszącą o przestępstwach.

– Słyszałem. Salt mówi, że aresztowano jednego z imitatorów. Chcę, żebyś go przesłuchał.

– Ale on siedzi w areszcie w Knoxville, a ja jestem potrzebny tu, gdzie toczy się gra, czyli w Nashville.

– Baldwin, pionek biorący udział w tej grze czeka na ciebie w celi w Knoxville. Rusz się.

– Ale...

– Baldwin, twój powrót do służby ma charakter warunkowy. Dyrektor chce się dowiedzieć, dlaczego trzech mężczyzn doszło do wniosku, że warto się wcielić w słynnych seryjnych morderców. To jest wyścig, również z mediami. Mamy dużo, cholernie za dużo trupów w całym kraju i dwóch aktywnych morderców. Ten, którego aresztowano w Knoxville, miał bezpośredni kontakt z Naśladowcą. Dyrektor żąda odpowiedzi i wymaga rezultatów. Jego zdaniem klucz do sprawy siedzi w areszcie w Knoxville. Dlatego tam pojedziesz. To rozkaz.

– Tak jest. Zajmę się tym.

– A potem się odezwij. Tylko żadnych kamer, jasne?

– Jasne.

– To dobrze... Aha, jeszcze jedno. Tym razem to sprawa osobista.

Baldwin wiedział, co to oznacza. Chodziło o wieści o dziecku, które Charlotte rzekomo usunęła.

– Chłopiec przebywa za granicą. Został adoptowany. Na razie wiem tylko tyle, ale szukam dalej.

Z Baldwina uszło powietrze.

– Ale jest cały i zdrowy, prawda?

– Nie wiem. Nie widziano go od co najmniej dwóch lat. Po śmierci Charlotte liczne agencje przystąpiły do działania, zresztą sam wiesz, jak działa rządowa ośmiornica. To zdjęcie, które masz, jest dość stare. Naprawdę robię, co mogę.

– Wiem, Garrett. I szczerze ci dziękuję.

Zakończyli rozmowę. Wreszcie coś się ruszyło na drodze. Dotarł do węzła z I-440. Dalej ruch odbywał się dużo płynniej. Chmury rozstały się, ukazując panoramę centrum. Typowa dla Nashville pogoda. Najpierw zanoszą się na burzę, a po chwili niebo błękitnieje. Chłodne promienie słońca odbijają się od przeszklonych budynków. Miasto wyglądało zwyczajnie. Spokojnie.

Bardzo mu się nie spodobało, że miał pojechać do Knoxville. Bał się, nie powinien zostawić Taylor bez opieki. Nie dawało mu spokoju nawet to, że się rozdzielili, żeby popracować nad różnymi wątkami śledztwa. Czuł, że powinien być przy niej, pomagać w tropieniu Copelanda i Sam, a nie tłuc się do Knoxville.

Tyle że ignorując rozkazy, znalazłby się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Zaprzepaściłby wszystko, na co pracował przez lata.

Tydzień wcześniej nie wahałby się ani chwili. Powiedziałby: – Do diabła z FBI! – i stanąłby u boku Taylor.

Ale teraz nie wolno mu było zapomnieć o synu. Pomoc Garretta w jego poszukiwaniach była nieoceniona. Czy zatem mógł odwrócić się plecami do szefa, który był jego przyjacielem, i do wciąż nieodnalezionego potomka i podążać własną drogą?

Nie przypuszczał, że będzie musiał podejmować tego rodzaju decyzje. Czuł, że akurat ten test obleje, i to koncertowo.

Skrećąc w stronę centrum, zadzwonił do Kevina i poprosił o załatwienie śmigłowca. Skoro już musi udać się do Knoxville, zrobi to szybko i bez oglądania się na koszty biura.

Kiedy dotarł do centrum, okazało się, że wokół posterunku panuje chaos. Policja zamknęła ulicę dojazdową do mostu, tak że musiał zaparkować naprzeciwko knajpy Hooters i resztę drogi pokonać na piechotę. Szedł szybko, zastanawiając się, co się dzieje. Na miejscu zobaczył kilka karettek, ale sanitariusze stali beczynnie. Minęły go dwa wozy straży pożarnej. To wszystko z powodu Colleen Keck, czy też wydarzyło się coś jeszcze?

Na krótką chwilę opanowała go panika. Gdzie się podziewa Taylor?! Wyjął telefon, żeby do niej zadzwonić, i puścił się biegiem. Ale usłyszał tylko pocztę głosową. Ożeż ty! Wyłączyła

telefon? Ewan Copeland wykonał ostatni ruch?

Zza zakrętu wyjechała furgonetka lekarza sądowego. Baldwin zignorował czerwone światło i przebiegł przez ulicę. Na rogu stał Marcus Wade i rozmawiał z Lincolnem Rossem, który oddawał broń komendant Huston. Baldwin rozejrzał się. Ani śladu Taylor.

– Gdzie Taylor?! – krzyczał, podbiegając do nich. – Nic jej nie jest?

Joan Huston, spokojna i opanowana kobieta, spojrzała na niego. W jej oczach dostrzegł smutek.

– Witam, doktorze Baldwin. O ile wiem, pani porucznik nic nie dolega. Mamy dwa trupy, naszego świadka i osoby, która najprawdopodobniej pozbawiła ją życia. Detektyw Ross został zmuszony do użycia broni w obronie własnej. Przykro mi, doktorze, że muszę pana prosić o opuszczenie tego miejsca. Prowadzimy śledztwo. To sprawa lokalnej policji, FBI nie ma tu nic do roboty.

Miała rację. Nie miał ani powodu, ani prawa tu być. Ale przecież znali się nie od dzisiaj, Lincoln i Marcus byli jego dobrymi kumplami. No i co z Taylor? Powinna już dojechać.

Spojrzał na szarego jak ściana Lincolna. Stojący przy nim Marcus mówił coś przyciszonym głosem. Potem położył mu rękę na ramieniu i dał znać Baldwinowi. Następnie odwrócił się i ruszył w stronę posterunku. Baldwin pobiegł za nim. Poszli naokoło budynku, a kiedy dotarli do bocznego wejścia, zatrzymali się na schodach, żeby porozmawiać.

– Co się dzieje? – zapytał Baldwin.

– Kobieta miała nóż, zaatakowała go. Linc nie miał innego wyjścia, musiał użyć broni. Kiepsko z nim. Sprawa teoretycznie jest prosta, bo to ewidentna obrona własna. Dla nas ewidentna, niestety problem polega na braku świadków. Lincoln spotka się z psychologiem, a potem pojedzie do domu. Dostanie dzień, może dwa wolnego. – Marcus przeciągnął kartą w czytniku. – A gdzie Taylor?

– Właśnie próbuję się dowiedzieć. Miałem nadzieję, że

znajdę ją na posterunku. Umówiliśmy się tutaj. Taylor szuka Sam i sądzi, że Copeland ją uwięził. – Zamilkł na moment, po czym spytał: – Wydawało mi się, że siedzisz u Fitza?

– Siedziałem, ale kiedy dowiedziałem się o zniknięciu Sam, natychmiast wróciłem do biura. Zostawiłem przy nim dwóch ludzi. Ten dzień robi się coraz bardziej porypany...

– Co się stało, że Colleen Keck wybiegła z budynku?

Kiedy weszli do środka, Marcus ruszył do biura Taylor. Dał znak Baldwinowi, by poszedł za nim. Zamknął drzwi, żeby mogli w spokoju porozmawiać, i przystąpił do rzeczy:

– Lincoln sprawdził jej odciski palców. Okazało się, że w rzeczywistości nazywała się Emma Brighton i pochodziła z Forest City, rodzinnego miasta Copelanda.

– Więc jednak – powiedział Baldwin. – Taylor wydawało się, że Colleen rozpoznała nazwisko Copelanda, i uznała, że najpewniej istnieje między nimi jakiś związek.

– Właśnie tego Lincoln próbował się dowiedzieć. Jego zdaniem Colleen, to znaczy Emma, była ofiarą gwałtu, którego dopuścił się szesnastoletni Ewan. Mieszkała z nim w pogotowiu opiekuńczym.

– O do diabła... – Baldwin walnął się w czoło. – Teraz to ma sens. Nic dziwnego, że Copeland wziął ją na cel. Chciał doprowadzić do końca niezamknięte sprawy. Emma Brighton zaczęła nowe życie pod nowym nazwiskiem, wyszła za męża, urodziła dziecko. Nie mógł tego ścierpieć. – Przyszło mu do głowy coś jeszcze. – Nigdy nie wyjaśniono zagadki śmierci jej męża, prawda? Założę się, że Copeland miał z tym coś wspólnego.

– Niewykluczone... Keck zatrzymał samochód w ramach akcji przeciwko handlarzom narkotyków i został zastrzelony. Wszystko zarejestrowała kamera, wszystko oprócz twarzy zabójcy. Wiadomo, że chodziło o mężczyznę. Balistycy nie wpadli na żaden trop, strzał oddano z czystej broni.

– To zabójstwo na kilometr śmierdzi Copelandem. Dotarł do informacji, że Emma Brighton zmieniła nazwisko na Colleen Keck. Dowiedział się, za kogo wyszła. Trzy lata temu wykorzystał

nazwisko Keck podczas odwiedzin u matki. Poświęcił mnóstwo czasu, by odnaleźć Emmę Brighton, po czym zaczął systematycznie niszczyć jej życie. Wiemy, że Copeland od lat regularnie zmieniał twarz. Ostatnio podawał się za Barclaya Ilesa i pracował w zakładzie medycyny sądowej. Jedną z moich profilerek właśnie przesłuchuje chirurga plastycznego, z którego usług korzystał Copeland.

– Pieprzysz!

– Mówię serio. – Uderzyła go kolejna myśl. – Nazwa bloga. Felon E. E jak Emma. Ciekawe, czy zrobiła to celowo. Po śmierci męża nie mogła się pozbierać. Ale powiedz, kim była ta, którą zastrzelił Lincoln? Ta, która zamordowała Colleen?

– Próbujemy to ustalić. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów.

Baldwin wydeptał ścieżkę od drzwi do okna, zanim w końcu się odezwał:

– Te wskazówki na płycie... Numery rejestracyjne, adres Sam... Została nam jedna litera, której nie umieliśmy dopasować. E jak Emma Brighton. E jak Felon E.

– Zgadza się.

– Jak zginęła?

– Podcięto jej gardło.

Nagle go olśniło.

– Marcus, posłuchaj, chyba wiem, kogo Lincoln zastrzelił na parkingu. Jeśli mam rację, jeśli to faktycznie ona, to sprawa morderstwa Colleen Keck właśnie stała się sprawą FBI.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Hotel bardzo się mu podobał. Richard Cooper uznał, że jest wystarczająco zmęczony drogą, w której przebywał od kilku dni, presją wiernego naśladownictwa, wysokością stawki, o którą toczyła się gra, polowaniem i zabijaniem, by pozwolić sobie na odrobinę szaleństwa. Zameldował się, po czym skorzystał z siłowni i poćwiczył mięśnie, następnie wypocił się w saunie, a na koniec wziął odświeżającą kąpiel z dodatkiem zielonej herbaty, po której poczuł się świeży i pachnący. Zamówił zdrowy lunch, czyli warzywa, papaję, ananasa i niewielką porcję grillowanego łososia. Czuł się doskonale. Paskudne żarcie, na które był skazany w drodze, nie służyło mu i nie pasowało do jego stylu życia. Ten pochłaniany w pośpiechu tłusty i ciężki fast food... po prostu obrzydliwość. Dbął o siebie, jego ciało było świątynią. Nie pił i nie palił, bardzo rzadko, tylko w wyjątkowych sytuacjach, sięgał po lekarstwa. Traktował swój organizm z atencją, nie tolerował sztuczności, cenił naturalność, cenił świeże i pełnowartościowe potrawy i produkty, które można było samemu wyhodować, zebrać lub upolować.

Zwłaszcza upolować.

Odstawił pusty talerz na wózek, który wytoczył na korytarz. Nie lubił, kiedy zapach jedzenia unosił się w pokoju. Przekręcił klucz w zamku, upewniając się, że drzwi są zamknięte. Usiadł w skórzanym, doskonale wyprofilowanym fotelu i postanowił pooglądać telewizję. Zamierzał obejrzeć wiadomości, potem poczytać i pójść na spacer, choć to ostatnie stało pod znakiem zapytania, bo na dworze nie było zbyt przyjemnie. Szkoda, że gry nie zorganizowano latem. Hotelowy basen pod gołym niebem kusił, ale nie w taką pogodę.

Sięgnął po pilota schowanego w szufladzie dębowego stolika i włączył telewizor. Genialny wynalazek ta kablówka, wiadomości na wyciągnięcie ręki dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Zamarł, kiedy zobaczył migający u dołu ekranu czerwony

pasek „z ostatniej chwili”. Lekko zwiększył głośność. Spiker ze zdumiewającą precyzją opisał kilka ostatnich dni z życia Richarda Coopera. Został zdemaskowany.

Co innego nagłe wezwanie od Troya. Bardzo mu się nie spodobała ta jego zagrywka, bo jak to tak, bez ostrzeżenia? Długo i starannie przygotowywał atak w Cincinnati, a nie lubił rezygnować z powziętych planów. Lecz oto szczegóły gry trafiły do mediów.

Zmienił kanał. Sprawdził na kilku kolejnych. No tak, wszędzie o tym trąbią. Nagle usłyszał swoje nazwisko. Oczywiście nieprawdziwe, przecież nie był takim durniem, by się nim posługiwać, lecz to, którego używał na potrzeby gry.

Nazwisko, pod którym zameldował się w hotelu.

Nie poddał się panice. Opuścić hotel, i to natychmiast! – tak brzmiała jego pierwsza myśl. Zostawi wynajęty samochód na parkingu – wieczorem przezornie wyczyścił go ze śladów – i pozbędzie się telefonu. Zaszedł tak daleko, bo nie jest głupi, aczkolwiek teraz, w chwili słabości, podał swą inteligencję w wątpliwość, nie mógł bowiem uwierzyć, że z własnej woli został współnikiem człowieka w oczywisty sposób zmierzającego ku samozagładzie. Ów człowiek kazał się nazywać Troyem Landem, co oczywiście było pseudonimem.

W pośpiechu spakował torbę, a raczej klasyczny worek marynarski, i ubrał się. Włożył bejsbolówkę, którą miał na głowie podczas meldowania się w hotelu, żeby kamery nie zarejestrowały twarzy. Zabrał też ze sobą szlafrok i pościel. Co prawda nie leżał na łóżku, tylko przysiadł na brzegu, ale nawet to mogło wystarczyć, by policja znalazła jego DNA. Wyczyścił fotel i podłogę. Zawsze jadł w rękawiczkach, więc przynajmniej o odciski palców nie musiał się martwić. Mimo to umył naczynia i sztućce w gorącej wodzie z mydłem. Ostrożnie otworzył drzwi. Pusto. Na szczęście pokojówka nie zdążyła zabrać wózka. Wrzucił wszystko do worka. Pozbędzie się tego, kiedy wyjedzie z miasta.

Nie przepadał za Południem, było zbyt spokojne. Świergolące ptaki i uśmiechnięci ludzie. Nawiazują kontakt wzrokowy, zagadują i oczekują odpowiedzi. I doskonale widzą,

kiedy próbujesz ich ignorować. Niebezpieczne połączenie. Lubił miejski pośpiech i tłok. Tłumy ludzi, którzy mają zbyt wiele na głowie, by obdarzyć go spojrzeniem. Pasował do miasta. Był raczej wysoki, miał brązowe oczy i włosy. Nie był przystojny, ale do brzydkich też nie należał. Nie posiadał żadnych cech charakterystycznych. Strzygł się u zwykłego fryzjera i robił zakupy w zwykłych spożywcach, co jednak nieco utrudniało zdobywanie organicznego pożywienia, którego jego organizm tak bardzo potrzebował. No, ale trudno, trzeba być gotowym na pewne wyrzeczenia. Sklepy specjalistyczne odwiedzało mniej ludzi, toteż obsługa zapamiętywała stałych klientów.

Postanowił, że „pożyczy” jakiś samochód z parkingu i pojedzie do Atlanty. Tam się przesiądzie, kupi coś niedrogiego i nierzucającego się w oczy i wyruszy na Florydę. Celem było Miami, portowe miasto, gdzie kupi bilet do Ameryki Południowej.

Ale nigdzie nie popłynie. Zmyliwszy trop, wróci do Indianapolis, do miłej kelnerki, która podała mu stek. Tak, to dobre miejsce, by zacząć wszystko od nowa.

Gra dawała mu dużo przyjemności, to prawda. Ale się skończyła. Trudno.

Mógł przejechać obok biura niedoszłej ofiary. Pomachać jej przez szybę. No szkoda. Byłoby miło popatrzeć na jej śmierć.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Taylor nie przepadała za domami opieki. To była kwestia uprzedzenia. Jej dziadek chorował na alzheimera, kiedy nazywano go po prostu starczą demencją, a domy opieki były ponurymi miejscami wypełnionymi ciszą przerywaną jękami i mamrotaniem do siebie. Była mała, kiedy dziadek umarł, ale doskonale zapamiętała odpychającą woń domu opieki i wiedziała, że nigdy jej nie zapomni. Zaniedbanie, smutek, rozkład, zapach moczu i słodka, drożdżowa woń rychłej śmierci... oto wspomnienia Taylor z domu opieki.

Dlatego tak bardzo zaskoczyło ją to, że kiedy przekroczyła próg Guardian, poczuła róże. Przyjemny, radosny zapach, czysto, uśmiechnięte twarze. Zupełnie inny świat.

Podeszła do biurka recepcji, podała swoje nazwisko i cel wizyty. Ubrana w różowy fartuch zdobny w białe i fioletowe serduszka pielęgniarka uśmiechnęła się od ucha do ucha, słysząc nazwisko Joshuy Fortnigha. Joshua przyjmował niewielu gości.

Na terenie domu opieki znajdował się mały ogród, właściwie miniszklarnia, w której rosły róże, storczyki, a także irysy i hortensje. Kwiaty, jak wyjaśniła pielęgniarka, dają pensjonariuszom dużo radości. A także zapewniają zajęcie, zwłaszcza zimą, kiedy większość czasu pensjonariusze spędzają w budynku, i zamiast do parku lub do zoo jeżdżą na wycieczki do centrum handlowego.

Joshua, jak się okazało, miał słabość do kwiatów. Jego specjalnością była hodowla trudnych w hodowli i bardzo wymagających storczyków. Dwa razy dziennie grał im piękne melodie na flecie, aczkolwiek jego głuchota postępowała, co było związane z chorobą, toteż coraz rzadziej trafiał w dźwięki.

– Proszę go nie denerwować – powiedziała pielęgniarka. – Jemu jest u nas bardzo dobrze.

Nie denerwować go... Siostrzyczka sama będzie w nerwach, kiedy się dowie, że Taylor zamierza zabrać biednego Joshuę w

podróż do koszmarnej przeszłości. Niestety, nie miała czasu na podchody.

Pielęgniarka przyprowadziła go po dziesięciu minutach. Szedł, wspierając się na jej ramieniu i powoli suwając stopami. Odwracał zdeformowaną twarz. Posadziła go na stołku w szklarni, uśmiechnęła się, dodała mu odwagi, głaszcząc po ramieniu, i wyszła.

Siedział tyłem do Taylor, nie odwracał się. Nagle odezwał się. Połykał słowa, chwilami bełkotał i wydawał syczące dźwięki.

– Pamiętam cię – powiedział, trzymając w bladych dłoniach doniczkę z białym storczykiem. Palcem pomacał ziemię. Widać wszystko było w porządku, bo pokiwał głową.

– Nazywam się Taylor.

– Masz broń. Czuję metal.

– Jestem policjantką.

– Wiem. Zabiłaś mojego ojca.

Wzdrygnęła się. Kontakt twarzą w twarz z tymi, którzy przeżyli dramatyczne wydarzenia, nigdy nie jest łatwy.

Przebywanie w tym samym pomieszczeniu z dzieckiem ohydneho seryjnego mordercy, który wykorzystał ją i zmusił, by go zabiła, wymagało od Taylor dużo siły.

– Joshuo...

– Nie, nie mów tego. To był zły człowiek.

Łagodnie powiedziane. Eric Fortnight był chorym sukinsynem, którego od zabijania powstrzymało dopiero reumatoidalne zapalenie stawów. Po prostu ciało odmówiło współpracy. Kiedy nie mógł już wytrzymać, kiedy niespełnione pragnienie zabijania nie dawało mu żyć, zwrócił się do swojej córki socjopatki o pomoc w znalezieniu asystenta. Mordercy, który będzie zabijał w jego imieniu. Ucznia.

Charlotte wybrała Ewana Copelanda.

– Dobrze ci tu, Joshuo?

– Brakuje mi ptaków.

Gdy odwrócił się do niej, gwałtownie wciągnęła powietrze. Jego twarz wyglądała jak roztopiony wosk. Miał oczy na

wysokości policzków, patrzyły w dół i na zewnątrz, jak u ptaków, które tak kochał. Nos przypominał główkę szpilki z dwiema dziurkami. Nie miał brody. O dziwo, usta wyglądały normalnie, były wprawdzie nieco zbyt szerokie, ale za to pełne i mięsiste, jasnoczerwone. Widać było powiększony od choroby język. Wyglądało to, jakby wgrzyzł się w krwistoczerwone jabłko. Twarz jak z horroru.

Taylor wiedziała, że był niemal ślepy, więc nie mógł zobaczyć przerażenia w jej oczach. Zamknęła oczy i odetchnęła, starając się ukryć zdenerwowanie.

– W domu miałeś ptaki?

– Tak. I ogród. Ale większy i nie pod dachem. Tęsssksnię za nim.

– Możemy usiąść?

Skinął głową i ruszył do niewielkiej kamiennej ławki stojącej pod półką zastawioną fioletowymi storczykami. Poszła za nim. Usiedli. Joshua sięgnął pod ławkę i wyjął niewielką brązową walizeczkę. Taylor poznała futerał na flet.

– Kwiaty lubią muzykę. Gram im dwa razy dziennie.

– Na pewno. – Dotknęła jego dłoni, zanim zdążył otworzyć walizeczkę. – Joshuo, posłuchaj mnie. Mam przyjaciółkę, moją najbliższą przyjaciółkę, która znalazła się w niebezpieczeństwie. Czy pamiętasz tego mężczyznę, którego postrzeliłeś rok temu?

– Troy. Nienawidzę go.

– Naprawdę nazywa się Ewan. Porwał moją przyjaciółkę.

– Musi wypić piwo, którego nawarzył. Ojciec zawsze mówił, że to się sssstanie. Zabił moją siossstrę. Zabił Charlotte.

– Tak, zabił ją – powiedziała Taylor, przełknąwszy ślinę. – A ja bardzo się boję, że to samo chce zrobić mojej przyjaciółce. Wydaje mi się, że zabrał ją do twojego dawnego domu. Pomożesz mi, Joshuo? Pomożesz mi dostać się do środka? Pomożesz mi ją uratować?

– To już nie jessst mój dom. Należy do banku. Nie mogą go ssssprzedać, bo nikt nie chce mieszkać tam, gdzie mieszkał sssseryjny morderca. Na bramie wisi kłódka.

– Wiem o tym. I wiem też, że to ty uwolniłeś Jane Macias i pomogłeś jej uciec z tego domu. Jane powiedziała, że istnieje tunel, tylne wejście do domu. Nie miałam okazji się przekonać, czy mówiła prawdę, czy sobie to wymyśliła. Pomogłeś jej, bo wiedziałeś, że to, co robili twój ojciec i jego uczeń, było złe. Teraz moja kolej, by powstrzymać mordercę przed czynieniem zła. Jeżeli uda mi się dostać do środka, nie zwracając jego uwagi, dopilnuję, by już nigdy więcej nikogo nie skrzywdził. Jeśli mi pomożesz, zabiorę cię do parku i zobaczysz ptaki. Chciałbyś?

Milczał. Zastanawiał się nad odpowiedzią.

Wreszcie głęboko westchnął i powiedział:

– Do domu prowadzi ścieżka. Z tyłu. Od strony ogrodu. Wytłumaczę, jak masz iść. On na pewno ją trzyma na ssstrychu. Zawsze lubił ssstrych. Pokażę ci, jak wejść do środka, żeby się nie zorientował.

Taylor poczuła ulgę. Dostała całe królestwo, choć liczyła jedynie na klucz do niego.

Baldwin stał nad stygnącym ciałem Ruth Anderson. Lincoln oddał trzy podręcznikowe strzały, wszystkie trafiły w pierś. Ruth leżała na plecach na zimnym betonie. Jedną nogę miała podwinętą, drugą wyprostowaną. Baldwin nie mógł się pozbyć myśli, że sprawiedliwości stało się zadość. Kiedy ostatni raz widział Ruth, celowała do niego z pistoletu, udając Renee Sansom z SBI. Zasłużyła sobie.

W normalnych okolicznościach przeżywał każdą śmierć, żałował każdego człowieka, ale nie tym razem. Z chęcią zagłębiłby się w mózg Ruth Anderson, w myśli i emocje, i zbadał jej oraz jej brata motywę, poobserwował ich i próbował rozgryźć psychikę. Ale cóż, taka śmierć, jaka spotkała Ruth, była odpowiednim zakończeniem smutnego, żalosego życia psychopatki.

Zastanowił się, czy Ewan wie, że Ruth nie żyje. Wysłał siostrę z misją zabicia Colleen, wiedząc, że przebywała na posterunku. Baldwin założył, że Ewan zaplanował całą akcję w najdrobniejszych szczegółach i doskonale wiedział, że posyła Ruth na śmierć, a w najlepszym razie do więzienia. Wiedząc, że jest

osobą nie zrównoważoną, zapewne liczył na to, że zginie podczas wykonywania zadania. Ryzykował, ale zależało mu na pozbyciu się Ruth, na uwolnieniu się od wszystkiego, co mogło utrudnić swobodną ucieczkę.

W Karolinie Północnej Ruth towarzyszyło dwóch mężczyzn. Jeden z nich nie żył, drugi zniknął. Czyżby chodziło o naśladowcę Dusiciela z Bostonu? Wszystko jest możliwe. Baldwin wspomniał o tym z rozmowie z Joan Huston.

– Doktorze Baldwin, co mamy zrobić z ciałem? – zapytała.

– Wystarczy, że przewieziecie je do zakładu medycyny sądowej, pani komendant. Domyślam się, że wciąż nie ma żadnych wieści o doktor Loughley?

Huston dała znak technikom, którzy cierpliwie czekali, aż Baldwin zakończy oględziny zwłok. Wreszcie podeszli do ciała, wyjęli zestawy do zbierania dowodów oraz aparaty fotograficzne i zabrali się do pracy.

– Doktor Loughley? Co z nią? – spytała Huston, kiedy przeszli kilka kroków.

Och, Taylor, pomyślał Baldwin. Co ty kombinujesz?

Musiał być bardzo ostrożny, przecież nie chciał wpuścić narzeczonej w kłopoty. Miał jednak mocne przeczucie, że jest już za późno, bo Taylor już w nie wpadła na własne życzenie.

– Pani komendant, czy dziś rano rozmawiała pani z porucznik Jackson?

– Krótko, po strzelaninie przed zakładem medycyny sądowej. Kazałam jej zostać na miejscu. Zasadniczo jest wyłączona z pracy operacyjnej, wie pan, po wydarzeniach z zeszłego tygodnia. Teoretycznie nie wolno jej prowadzić żadnych spraw. Proszę powiedzieć, co się stało doktor Loughley.

– Zniknęła, pani komendant. Przypuszczam, że stoi za tym Ewan Copeland. To on zlecił swojej siostrze, Ruth Anderson, zamordowanie Colleen Keck.

– Dlaczego nic o tym nie wiemy? – Huston gwałtownie wyprostowała plecy. – Doktor Loughley to nie byle kto, tylko szefowa patologów.

– Porucznik Jackson nie mówiła?
– Nie, do cholery! A czy jej zespół wie o tym?

Tylko ostrożnie, napomniął sam siebie.

– Niestety nie potrafię powiedzieć, czy i ile wiedzą.

Komendant Huston było do twarzy ze wściekłością. Baldwin wiedział, że Taylor całkowicie ufa szefowej i zawsze może na nią liczyć, choć wcale nie łączyły ich zażyłe stosunki. Baldwin postanowił zaryzykować. W tej chwili najważniejsze było bezpieczeństwo Taylor i Sam, karierą pani porucznik mogli zająć się potem.

– Pani komendant, Ewan Copeland porwał Sam Loughley, jestem o tym przekonany. Porucznik Jackson postanowiła odnaleźć ich w pojedynkę. Myślę, że dla niej to sprawa osobista.

– Oczywiście, że osobista! Ten człowiek od pewnego czasu próbuje zniszczyć jej życie. Rani jej przyjaciół... Mój Boże, proszę spojrzeć na sierżanta Fitzgeralda, który leży w szpitalu z wyłupionym okiem. – Ruszyła szybkim krokiem, ale Baldwin ją dogonił, by usłyszeć: – Nie wiem, dlaczego nie zwróciła się z tym do mnie. Przecież wiedziała, że bym jej pomogła. Nie możemy jej stracić, jest zbyt cenna. – Zatrzymała się i złapała Baldwina za rękę. Zdumiała go siła jej uścisku. – Doktorze Baldwin, proszę powstrzymać Taylor, zanim zrobi coś głupiego. Czy może mi pan to obiecać?

– Mogę, pani komendant. Obiecuję.

– Więc proszę wziąć tylu ludzi, ilu pan potrzebuje, i odnaleźć ją. Odnaleźć oboje. Jak najszybciej.

ROZDZIAŁ PIĘDZIESIĄTY TRZECI

Taylor zignorowała dzwonek telefonu.

Znów Baldwin. Znów próbował się z nią skontaktować, ale nie odebrała. Potrzebowała czasu. Nie była szalona ani głupia. Kiedy dotrze do Belle Meade, domu Fortnightów, zadzwoni i powie, gdzie jest. Baldwin zjawi się z odsieczą, ale wtedy będzie już za późno. Ułożyła swoją wersję zdarzeń, która brzmiała tak:

– Usłyszałam krzyk, wiedziałam, że Sam jest w środku. Nie miałam innego wyjścia, musiałam wyeliminować... – Nie, to złe słowo. – Musiałam zastrzelić podejrzanego, zanim skrzywdzi doktor Loughley lub jej nienarodzone dziecko.

Powtórzyła te słowa. Brzmiały jak zeznanie w sądzie. Suche konkrety, krótko i rzeczowo. Podstawowa zasada: nie odpowiadać na pytania, których nie zadano, po to, by nie skłamać.

Wiedziała, że będzie musiała zeznawać, to oczywiste. Liczyła, że adwokat ze związków będzie dzielnie za nią walczyła. Baldwin wkrótce zorientuje się, gdzie jej szukać. Nietrudno się domyślić, że Copeland będzie chciał zakończyć wszystko tam, gdzie się zaczęło, czyli w domu Królowy Śnieżki. Najważniejsza dla niego była symetria.

Porwanie Sam służyło jedynie zwróceniu uwagi Taylor, zwabieniu jej w to miejsce, aby wreszcie morderca i glina mogli stanąć oko w oko.

Dobrze, że pozbyła się ochroniarzy, każąc im zaczekać przed budynkiem zakładu medycyny sądowej na przyjazd śledczych. Gdyby teraz musiała ich odprawić, twierdząc na przykład, że akurat to zadanie musi wypełnić sama, wypadłoby to zbyt podejrzanie. Zaplanowała, jak się ich pozbędzie. Zatrzymają się na kawę, pójdzie do toalety, wymknie się przez okno i niezauważona odjedzie. Miała nadzieję, że dadzą się nabrać na ten prosty chwyt, ale na szczęście nie musiała tego robić. Mogła się rozluźnić i skupić na ostatecznej rozprawie z Copelandem.

Czerwone światło, na pasie do skrętu sznur samochodów, po

lewej stacja firmy Shell. Skręciła, przejechała obok dystrybutorów i wyjechała na Woodmont Boulevard. Jeszcze raz w lewo. Zaczęła wspinać się pod górę. Wykonała zabroniony manewr, ale nie przejęła się naruszeniem przepisów, jednym z wielu tego dnia.

Ponownie zabrzączał telefon. Zerknęła. Baldwin nie odpuszczał. Mruknęła ze złością i odsunęła od siebie aparat.

Wjechała w labirynt uliczek Belle Meade, dotarła do Iroquois Avenue i przecięła Belle Meade Boulevard. Była już prawie na miejscu.

Powinna skupić się na celu, a zamiast tego ilekroć na wyświetlaczu pojawiało się „Baldwin”, widziała okrągłą twarzączkę dwuletniego rudzielca.

Do ciężkiej cholery, Taylor, weź się w garść! – nakazała sobie. Skup się, bo nieuważę przypłacisz życiem.

Odetchnęła głęboko, a gdy wypuszczała powietrze, wyobraziła sobie błagającego o litość Ewana Copelanda.

Od razu lepiej.

Dom Fortnightów stał przy Leake Avenue. Był to masywny dwupiętrowy budynek, potężna rezydencja o ciemnych oknach i szarych ścianach, po których wspinał się bluszcz. Nie chciała, żeby Copeland nabrał podejrzeń, więc skręciła w Westover Drive i zajechała od tyłu. Zatrzymała się przed domem sąsiadów.

Joshua poinstruował ją, co dalej. Miała pójść w stronę lasu i po stu metrach odnaleźć zarośniętą ścieżkę po lewej, która prowadziła do tunelu kończącego się w budynku. Dobrze, że ścieżka miała być zarośnięta, bo dzięki temu mogła podkraść się niezauważona i zaskoczyć sukinsyna. Ale czy na pewno będzie zaskoczony? Przecież liczył na to, że Taylor prędzej czy później go odnajdzie. Jediną przewagą Taylor było to, że przyjechała sama. Copeland zapewne spodziewał się, że nadciągnie armia policjantów, w tym negocjatorzy, a porucznik Jackson proponuje, by wziął ją na zakładnika i wypuścił Sam. Sądził, że będzie chciała go aresztować i postawić przed sądem, by sprawiedliwości stało się zadość. Bo przecież była policjantką, która zawsze przestrzega prawa.

Tymczasem zaplanowała coś zupełnie innego. Nie wiedział, co jest jej najmocniejszą stroną. Nie miał pojęcia, że miłość uczyniła ją ślepą na niebezpieczeństwo.

Że była gotowa zapomnieć o przepisach, zasadach, regułach, byle skończyć z tym raz na zawsze, po cichu, bez świadków. Byle go unieszkodliwić na amen.

Że zamierzała go zabić już w chwili, gdy po raz pierwszy wszedł z butami w jej życie, zadrwił z niej, zaczął bawić się z nią w kotka i myszkę.

Poczuła wzbierającą złość. Spokojnie, spokojnie. Gniew zwiększał ryzyko popełnienia błędu, a na to nie mogła sobie pozwolić.

Już pora.

Zaparkowała przed podjazdem sąsiadów i wysiadła z samochodu. Poczuła ciężar rugera. Nie była do niego przyzwyczajona. Nieczęsto nosiła kaburę pod pachą. Berettę włożyła do drugiej, przypiętej do pasa kabury i przesunęła do tyłu. Na biodrze miała glocka. Wyjęła koszulę ze spodni, by przykryła trzecią, ukrytą sztukę broni, i włożyła obszerną skórzaną kurtkę, którą nosiła przeważnie do grubych swetrów. Wszystko na swoim miejscu.

Ewan będzie wypatrywał jej od przodu budynku, więc postanowiła zakraść się od tyłu i dostać się na strych schodami dla służby, prowadzącymi do niewidocznego od strony podjazdu małego pomieszczenia na trzecim piętrze. Joshua powiedział, że właśnie tam Copeland ukrył Jane Macias, dziennikarkę, którą porwał, by sprawić przyjemność Królowi Śnieżce. Joshua wyprowadził ją z domu tą samą drogą, którą teraz Taylor chciała się do niego dostać.

Odezwała się komórka. Znów dzwonił Baldwin. Tym razem odebrała.

– Gdzie się, do diabła, podziewasz? – krzyknął do słuchawki.
– Wydzwaniam od godziny!

– Cześć, Baldwin – powitała go neutralnym tonem. Pierwsza zasada, to nie denerwować się. – Wiesz, gdzie jestem. Idę po Sam.

– Kurwa mać, ani mi się waź! Nie pójdziesz tam sama! Nie ruszaj się, zaraz będziemy.

– Nie.

Wróciła do auta. Nie chciała, żeby sąsiedzi usłyszeli tę kłótnię i nabrali podejrzeń.

– Taylor – zaczął łagodniejszym tonem. W tle słyszała głosy. Ktoś z nim był, pewnie antyterrorysty. Nie dziwiła mu się. W innych okolicznościach postąpiłaby tak samo. – Taylor, proszę, nie rób tego. Powiedz mi, gdzie jesteś. Pozwól sobie pomóc.

– Chcesz mi pomóc? Dobrze. Może na początek powiesz mi całą prawdę?

– O co ci chodzi? Taylor, czy on cię więzi? Czy każe ci to mówić? Powiedz „tak”, jeśli to prawda.

– Nie. Chodzi mi o twojego syna. O dziecko, o którym jakoś zapomniałeś mi powiedzieć. Twoje i Charlotte, zgadza się?

Nastąpiła martwa cisza, aż wreszcie znów odezwał się Baldwin:

– O Jezu... Skąd wiesz?

Włączyła głośnik i położyła telefon na desce rozdzielczej. Zaczęła wiązać włosy w kok, nie chciała bowiem, żeby wpadały jej do oczu, kiedy będzie celowała do Copelanda.

– To nie ma żadnego znaczenia. Dobrze wiesz, gdzie jestem. Muszę to zrobić. Muszę to zakończyć. Nie mogę pozwolić, żeby następnym osobom stała się krzywda.

– Taylor, proszę. Nie idź tam sama. Nie chcę, żeby coś ci się stało. Albo żebyś zrobiła coś, czego będziesz żałowała.

– Jak śmiesz mnie pouczać? Nie dbam o to, czy będę czegokolwiek żałowała. Ten człowiek więzi moją przyjaciółkę. Kto wie, może już ją zabił? Jest mój i tylko mój. Zamierzam rozprawić się z nim raz a dobrze. – Dała się ponieść, ale było jej z tym tak dobrze, że machnęła ręką. – Miałeś swoją szansę, Baldwin. Mogłeś mi zaufać. Niestety, ja tobie nie potrafię już ufać. Teraz ufam tylko Sam. Nie wierzę, że przez tyle czasu liczyłam na ciebie. Popęłniłam błąd. Dlatego zamierzam zrobić to po swojemu. Mam dość słuchania twoich rozkazów. Wiesz, gdzie jestem.

Przyjedź, jeśli chcesz, ale kiedy dotrzesz na miejsce, na pewno będzie już po wszystkim.

Zaczął protestować, ale zignorowała go i wyłączyła telefon. Ostatnie, co usłyszała, to przekleństwo pod adresem kogoś, z kim jechał samochodem.

Wyciszyła aparat i schowała go do kieszeni. Wysiadła z wozu. Dotarcie tutaj trochę im zajmie. Liczyła na to, że będzie miała dość czasu, aby zainscenizować zdarzenia. Do domu Fortnightów wpadnie policjant i zobaczy, jak Copeland rusza na nią, a wtedy ona strzela i zabija napastnika. Potrzebowała świadka, kogoś, kto potwierdzi, że działała w obronie własnej.

Plan był ryzykowny, ale innego nie miała. Najważniejsze to kontrolować sytuację tak długo, aż wszystko rozegra się po jej myśli.

Ruszyła podjazdem sąsiadów, wzdłuż którego rósł wiecznie zielony żywopłot. Joshua powiedział, że zimą sąsiedzi wyjeżdżają z miasta, i rzeczywiście okna domu były puste i zimne, dokoła ani żywej duszy.

Gdzieś w oddali śpiewały ptaki. Te, które Joshua tak uwielbiał. Zmarzły jej ręce. Zaciśnęła pięści i chuchnęła w nie. Z drzew spadły wszystkie liście, obnażając patykowate kształty. Drzewa rosły tak blisko siebie, że splecione tworzyły parawan uniemożliwiający sąsiadom podglądanie. Latem, z zielonym listowiem, tworzyły tak gęstą przeszkodę, że nie pozwalały dojrzeć nawet kawałka sąsiedniego domu. Pomiedzy gałęziami Taylor dostrzegła zarys szarego monolitu.

Znalazła ścieżkę.

Ruszyła nią, ostrożnie stąpając po szeleszczących liściach, by nie narobić hałasu. Nie chciała, żeby zobaczył ją wścibski sąsiad i wziął za złodziejkę.

To, co robiła, przeczyło wszystkiemu, czego uczono ją w akademii. Ale wiedziała, że tak będzie najlepiej. Nie знаła innego sposobu, by raz na zawsze położyć kres koszmarowi.

Joshua kazał wypatrywać spróchniałego pnia. Był sztuczny, maskował pulpit sterowniczy spryskiwaczy ogrodowych. Jest tutaj.

Podniosła pień i zobaczyła klapę, która wyglądała jak wejście do schronu przeciwburzowego. Joshua wyjawiał, że klucz jest w wewnętrznym sęku fałszywego pnia. I był na miejscu. Otworzyła klapę i podniosła ją. Poczowała zapach stęchlizny, woń ziemi i długo niewietrzonego pomieszczenia. Włączyła latarkę, poświeciła do środka i zobaczyła schodki.

Zerknęła przez ramię na lodowato niebieskie niebo i weszła do tunelu.

Śpiew ptaków nagle ucichł.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Baldwin zatrzymał samochód i objął głowę rękami.

– Myśl – powiedział głośno, a w duchu dodał: Taylor, gdzie jesteś?

– Co się stało? – spytał Marcus. – Co powiedziała?

– Że wiem, gdzie jest. Coś jej się ubzdurało.

– Na moje ucho mówiła całkiem sensownie.

– Słyszałeś? – Po tym nie będzie między nimi żadnych tajemnic.

– Wyraźnie zrozumiałem słowa „dziecko” i „Charlotte”.

Taylor była wściekła, więc nietrudno się domyślić, o co chodziło. Dedukcja, nie? Czyli zrobiłeś dziecko Charlotte?

Baldwin przeczesał włosy palcami.

– To nie takie proste, ale mówiąc krótko, taka jest prawda. Dowiedziałem się o nim w zeszłym roku. Od tamtej pory próbuję je odnaleźć.

– W zeszłym roku? I nie powiedziałaś jej? Nic dziwnego, że jest wkurwiona.

– Dzięki, nie zauważyłem... – mruknął Baldwin. – Wiem, że powinienem był jej od razu powiedzieć. Wiem! Bałem się, że ją stracę, że mi nie wybaczy. I wygląda na to, że miałem rację.

– Wydaje mi się, że Taylor nie lubi urządzić przedstawień. Myślę, że gdybyś z nią porozmawiał i był całkiem szczery, toby ci wybaczyła.

– Spieprzyłem to. Cholera, wiem o tym doskonale... A teraz pojechała na pieprzoną misję samobójczą. Tylko dokąd? Dokąd Copeland zabrał Sam? To musi być ważne dla niego miejsce, a jednocześnie takie, którego Taylor się domyśliła. Może chodzi o coś z przeszłości? Cholera jasna, powiedziała, że wiem, gdzie to jest. No to gdzie?

Marcus zastanowił się i powiedział:

– Tam, gdzie wszystko się zaczęło. W domu Królowy Śnieżki.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Taylor zeszła po czterech schodkach prowadzących do tunelu, kucnęła i zamknęła klapę.

Ciemno, cicho. Promień latarki oświetlał ściany i podłogę tunelu. Posuwała się szybko, ignorując zapach zgnilizny. Latem smród byłby nie do wytrzymania. Było jej zimno, czuła się jak zmrożony kawał mięsa.

Odmierzyła trzydzieści kroków i w odległości niecałych piętnastu metrów na wprost ujrzała drzwi do domu. Zatrzymała się i obróciła w prawo. Klucz leżał na występie skalnym kilkadziesiąt centymetrów od drzwi, dokładnie tak jak mówił Joshua. Kilka razy odetchnęła głęboko.

Teraz już nie ma odwrotu.

Przez szparę pod drzwiami przesączało się światło. Taylor włożyła klucz do zamka i przekręciła. Drzwi otworzyły się cicho, bez skrzypnięcia, jakby ktoś regularnie je oliwił. Pułapka? Może. Ale musiała zaryzykować. Zobaczyła tonący w ciemności korytarz. Błysnęła latarką, ujrzała schody i szybko zorientowała się, na jakie przeszkody mogła się natknąć po drodze. Ruszyła przed siebie.

Zamknęła oczy i zanurzyła się w ciemności. Przyzwyczaiła się do niej. Pachniało stęchlizną i wilgocią. Dom stał opuszczony prawie od roku. Panował tu spokój, który dopiero niedawno został zakłócony.

Otworzyła oczy i zobaczyła zarys schodów dla służby. Wąskie, strome, mroczne, zupełnie inne niż te wielkie i imponujące, znajdujące się naprzeciw głównego wejścia.

Schody dla ludzi drugiej kategorii. Obecnie dla niej w sam raz.

Szła powoli, w ciszy, panując nad oddechem. Ściągnęła z ucha pajęczynę, nasłuchiwała. Joshua twierdził, że Copeland ukrył się na strychu. Trzy piętra w górę. Taylor dotarła do pierwszego, kiedy usłyszała płacz.

Sam.

Miała ochotę rzucić się biegiem, ale opanowała się i tylko trochę przyśpieszyła kroku. Na drugim piętrze uchwyciła głos Copelanda. W każdym razie musiał to być jego głos. Zatrzymała się, żeby posłuchać. Zacisnęła zęby. Musiała zorientować się, w którym miejscu jest oprawca, żeby przypadkiem nie postrzelić Sam, kiedy wpadnie do pokoju z bronią w ręku.

Pokonała cztery schodki. Postanowiła trzymać się planu o użyciu broni w samoobronie. Wyjęła glocka. Drzwi były uchylone. Przez szczelinę wypływało światło.

Sam płakała z bólu. Copeland – Taylor nadal mogła tylko założyć, że to on – mówił o swojej siostrze, chodząc tam i z powrotem. Taylor poczuła krew, ale ulżyło jej, że Sam żyje i ma na tyle siły, by płakać. To znaczyło, że nie złamał jej do końca, że cokolwiek jej zrobił, a na pewno nie było to przyjemne, nadal była na tyle przytomna, by się bać. Taylor widziała wiele brutalnie traktowanych kobiet, które milczały, nie płakały, tylko patrzyły pustym wzrokiem.

Kolejne dwa schodki. Jeszcze tylko dwa dzieliły ją od drzwi. Już wyraźnie słyszała Copelanda. Mówił, wciąż mówił, nie przestawał mówić.

– Wiesz, Sam, moja siostra Ruth była dobrą dziewczyną. Pusta jak komora maszyny losującej przed zwolnieniem blokady, ale kiedy się poznało ją bliżej, okazywała się słodkim, troskliwym i miłym dziewczęciem. Nie zameldowała się, więc zakładałam, że nie żyje. Powiem ci szczerze, miałem nadzieję, że będę mógł się z nią pożegnać. Może przyjdzie jej duch i przemówi do mnie? Jak myślisz, Sam, czy duch twojego dziecka będzie chciał z tobą rozmawiać?

Taylor ugryzła się w język. Jeszcze jeden schodek. Widziała przesuający się cień. Wsłuchać się w głos, wybrać moment, kiedy Copeland będzie odwrócony plecami do drzwi, i wtedy zaatakować.

Ostatni schodek, a Copeland wciąż gadał:

– Moja matka była chorą suką, wiesz? Cięła mnie, bo lubiła

widok krwi. Potem mnie biła, bo krwią brudziłem pościel. Dłonie miałem czerwone i opuchnięte, bo wybielaczem próbowałem wywabić plamy z krwi. Spójrz na mnie. No, gdzie ta Taylor? Powinna już tu być na czele swojej kawalerii. A ten słodziak doktor Baldwin przy jej boku. Byłaś zazdrosna, kiedy się spiknęli? Musiało być ci ciężko dzielić się przyjaciółką.

– Pierdol się, Copeland – powiedziała Sam.

Zuch dziewczyna, pomyślała Taylor. Kroki oddaliły się, głos przycichł, znak, że Copeland oddalił się w głąb pomieszczenia. Teraz. Teraz!

Kopnięciem otworzyła drzwi i wpadła do środka, trzymając broń w wyciągniętej ręce. Nie przewidział tego. Odwrócił się do Taylor ze zdziwionym wyrazem twarzy. Uśmiechnęła się z satysfakcją. A więc jednak zaskoczyła go, złapała. Ruszył w jej stronę, ale zamachnęła się pistoletem i trafiła go ręką w skroń. Poprawiła kopnięciem z półobrotu. Trafiła w lewy policzek. Głowa mu odskoczyła. Taylor usłyszała trzask. Coś mu złamała, na policzku pojawiła się krew. Jakiś taki delikatny ten policzek. Wreszcie mu się przyjrzała. Iles. W niczym nie przypominał mężczyzny, którego widziała w barze Control. Zmienił się nie do poznania, wręcz trudno było uwierzyć, że chodziło o tego samego człowieka. Miał gładką, nienaturalnie opaloną skórę, prosty i wąski nos, kwadratową szczękę. Kiedy upadł, dołożyła mu raz jeszcze.

Złapał ją za nogi, ale wyswobodziła się i sprzedała mu solidnego podwójnego kopniaka w klatkę piersiową, aż zabrakło mu tchu. Zerknęła na Sam: twarz wykrzywiona w bólu, kremowy sweter cały we krwi. Siedziała z rękami do tyłu, przykuta kajdankami do krzesła. Taylor zobaczyła amoniak. A więc ten bydlak cucił ją, kiedy z bólu traciła przytomność. Miała krew na brzuchu i między nogami, czerwona ciecz kapiała na podłogę.

O Boże.

Dziecko.

Spóźniła się i nie zdołała uratować ich obojga.

Czując wzbierającą falę gniewu, spojrzała na Copelanda.

Próbował się podnieść. Z całej siły skoczyła mu na udo i ucieszyła się, kiedy wrzasnął z bólu. Złamana kość udowa znacznie go spowolni. Złapał się za nogę, wyjąc jak ranione zwierzę. Był na granicy przytomności. Taylor odetchnęła głęboko i odzyskała panowanie nad sobą. Wycelowała do Copelanda z glocka, a on otworzył szeroko oczy.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

– No to zagrajmy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Baldwin prowadził, a Marcus wzywał wsparcie. Nie chcieli ryzykować, choć Baldwin czuł, że przybędą za późno. Taylor zrobi wszystko, by uratować Sam, na przykład wpadnie do domu Fortnightsów, plując ogniem, i da się zabić.

Naprawdę sądziła, że zamordowanie Copelanda ujdzie jej na sucho? Czy dlatego od paru dni milczała? Powinien był zorientować się, że wzięła na siebie ostateczne rozwiązanie kwestii Naśladowcy.

Gdyby tylko mniej martwił się sobą i swoimi problemami, zauważyłby, że się wycofała. Przecież zawsze potrafił ją rozgryźć, domyślić się, gdy coś było nie tak. Jego wina, jego bardzo wielka wina.

Zabrzącał telefon. Baldwin spojrzął na wyświetlacz. Dzwoniła Charlaïne Shultz. Odebrał.

– Co jest?

– Wysłałam ci najnowsze zdjęcie Ewana Copelanda. Chirurg plastyczny twierdzi, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat przeprowadził na nim co najmniej pięć operacji zmieniających rysy twarzy.

– Znamy jego obecną tożsamość. Zaczekaj, sprawdzę, czy chodzi o tę osobę. – Otworzył zdjęcie załączone do wiadomości i na ekranie telefonu ujrzał Barclaya Ilesa. – To on. Świetna robota, Charlaïne. Wiemy, gdzie jest. Później ci wszystko opowiem.

– Trzymaj się, szefie.

– Okej. Dzięki.

Pędzili West End Avenue. Rano w stronę centrum w każdy powszedni dzień toczy się sznur aut, które często zatrzymują się na światłach na żądanie, ponieważ akurat o tej porze, przed rozpoczęciem zajęć, studenci Uniwersytetu Vanderbilta wybierają się na poranny jogging i chcą się przedostać przez ulicę z jednego parku do drugiego. Na szczęście godziny szczytu kończyły się. Baldwin i Marcus kierowali się w stronę przedmieść, toteż ruch

był umiarkowany i nie utknęli w korku. Minęli Centennial Park. Na drodze zrobiło się zupełnie pusto. Baldwin zignorował czerwone światło na skrzyżowaniu West End Avenue i Murphy Road. Czas, decydował czas. Zerknął na zegarek. Dwie minuty temu Taylor się rozłączyła.

– Mamy potwierdzenie, że Iles to Copeland – poinformował Marcusa.

– Nie mogę uwierzyć, że pracował z nami prawie rok. – Marcus pokręcił głową. – Cwany gnojek.

Baldwin westchnął. Nawet jeśli będą przejeżdżali na czerwonych, dotarcie do Belle Meade zajmie co najmniej pięć minut.

– Boże, proszę, nie zabieraj mi jej – wyszeptał. – Pozwól mi dotrzeć na czas.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Copeland się bał. Gdy Taylor spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich ból i strach. Doskonale. O tym marzyła.

Unieruchomiła go na tyle skutecznie, że mogła sobie pozwolić na to, by wyprowadzić stamtąd Sam. Nie odrywając wzroku od Copelanda, spytała:

– Sam, możesz wstać?

– Nie wiem... – wyszłochała. – Boże, Taylor, straciłam nadzieję...

– Skrzywdził cię?

– Straciłam dziecko.

Łamiący się, cichy głos przyjaciółki sprawił, że Taylor pękło serce. Przecież Sam była silna, nieustraszona i dobra. Winą za to, co jej się stało, Taylor obarczyła siebie. Nigdy sobie tego nie wybaczy.

Kolejne życie na sumieniu Copelanda. Walczyła ze sobą, czuła przemożne pragnienie pociągnięcia za spust już teraz i wysłania sukinsyna na tamten świat. Nie, jeszcze nie. Nie chciała, żeby Sam to widziała.

Była przykuta kajdankami do oparcia krzesła. Trzymając Copelanda na muszce, Taylor wyjęła kluczyk i rozpięła kajdanki. Świdrował ją spojrzeniem, w którym brakowało pewności siebie.

Pomogła wstać Sam, która zachwiała się, ale odzyskała równowagę. Mocno złapała się ramienia Taylor.

Podeszły do drzwi, idąc tyłem i nie spuszczać oka z Copelanda.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. Zobaczysz. Zejdź po schodach. Na końcu będą drzwi, a za nimi krótki tunel, który prowadzi do ogrodu. Baldwin już jedzie. Pokaż mu, którędy ma wejść. Idź.

– Taylor, dziękuję – powiedziała cicho Sam. Zrobiła kilka niepewnych kroków, trzymając się za brzuch, otworzyła drzwi i wyszła.

Zamknęła za nią drzwi. Taylor i Copeland zostali sami.
Usłyszała syreny.

On na ich dźwięk wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu i powiedział:

– Nadjeżdża twój chłoptaş.

– Zamknij mordę. Nie waź się do mnie odzywać. Masz słuchać.

– Nie chcesz się dowiedzieć, dlaczego ciebie wybrałem? –
Gdy zawahała się, wziął jej milczenie za zgodę. Splunął krwawą śliną i wyjaśnił: – Śmiałaś się ze mnie.

– Nigdy się nie spotkaliśmy.

– Nieprawda. Zatrzymałaś mnie niedługo po tym, jak zabiłem Tommy’ego Kecka. Wszystkich was wysłali na patrole, mieliście znaleźć zabójcę, pamiętasz? Zdążyłem zmienić auto, nie mieliście szans mnie namierzyć. Zatrzymałaś mnie i przepytowałaś, jak należało. Wtedy zaprosiłem cię na kolację, a ty roześmiałaś mi się w twarz, pieprzona suko.

– Skrzywdziłaś tylu ludzi, zabiłaś ich tylko dlatego, że nie chciałam pójść z tobą na kolację? Jesteś szalony. Chory i szalony.

– Nie, nie chodzi o kolację, ale o to, jak mnie potraktowałaś. Jakbym był gównem, w które przypadkiem wdepnęłaś. Jakbym był niczym, zerem. Jakbym nie zasługiwał nawet na to, żeby z tobą porozmawiać. Wiesz, czekałem cztery lata, by ci powiedzieć, że to wszystko twoja wina. Że ci ludzie zginęli przez ciebie. Zabiłaś ich. Przyjaciela pozbawiłaś oka, wyrwałaś dziecko z łona przyjaciółki. Wszystko to sama zrobiłaś, Taylor. Gdybyś okazała odrobinę uprzejmości, gdybyś była trochę miłsza, odjechałbym w swoją stronę i nigdy byśmy się nie spotkali.

Głosy, krzyki od strony podjazdu. Przyjechały posiłki. Trzeba to zrobić szybko. Trzymając Copelanda na muszce, podeszła do okna i wyrzała. Żeby tylko nie usłyszeli strzałów.

Odwróciła głowę na ułamek sekundy, ale to wystarczyło. Zaatakował ją od tyłu, uderzając w dolną część pleców. Jęknęła, obróciła się i zamachnęła nogą. Poczowała, że w coś trafiła, i po chwili usłyszała dźwięk łamanej kości.

Stęknął z bólu, złapał się za ramię i przewrócił na bok. Z całej siły kopnęła go w żebra, kilka łamiąc. Powietrze uszło mu z płuc.

Kierowała nią wściekłość, wszechogarniająca furia. Czyniła ją silną, potężną. Nie, powiedziała sobie. Wystarczy. Dość tego. Ogromnym wysiłkiem woli przestała okładać go pięściami. Stała nad nim, z trudem łapiąc powietrze.

Miała w sobie tyle energii, że z łatwością rozniosłaby go w pył, gdyby się w porę nie powstrzymała. Zrobiła dwa kroki do tyłu i zgięła się w pół, ciężko oddychając. Po chwili wyprostowała się i wyjęła z kieszeni pocisk dum-dum do winchestera. Znow rzuciła się na Copelanda, ale tym razem nie po to, by go bić, chociaż miała ogromną ochotę skopać mu na miazgę tę paskudną gębę. Usiadła na nim okrakiem. Nie podniósł głowy, patrzył w podłogę.

Odejdź, Taylor, coś jej podpowiadało. Pokonałeś go, więc odejdź.

Nie, jeszcze za mało.

– Widzisz to, sukinsynu? – warknęła, pokazując mu pocisk, który trzymała w lewej ręce. – Przysłałeś mi to. Nosiałam tę kulę, czekając na okazję, żeby wpakować ci ją między oczy. No i ta chwila nadeszła. Wielki Naśladowca jęczy i leży na zakurzonej podłodze w domu człowieka, który go stworzył. Nawet nie potrafiłeś stać się mordercą z prawdziwego zdarzenia. Musiałeś wysługiwać się innymi. Jesteś niczym, rozumiesz? Tutaj kończy się twoja historia. Niezły finał, co?

Wyjęła magazynek z pistoletu i umieściła w nim kulę do winchestera. Ponownie włożyła magazynek i wprowadziła nabój do komory. Troy, Barclay, Ewan – czy jak w końcu miał na imię – nie chciał spojrzeć jej w oczy, tylko jak tchórz wpatrywał się w zimną podłogę.

Zostało mało czasu. Byli sami, ale jeszcze tylko przez chwilę. Nikt się nie dowie. Rzucił się na nią, walczyli o pistolet, który podczas przepychanki wypalił. Brzmiało przekonująco.

Boże, świadomość tego, że mogła, po prostu nacisnąć spust i odebrać mu życie... Chciała to zrobić, i to tak bardzo, że w ustach

czuła metaliczny smak śmierci.

– Wstawaj – rozkazała.

Z trudem usiadł, a potem, opierając się o ścianę, podniósł się i wyprostował.

Przyglądała mu się uważnie. Jeszcze nie wyzbył się nadziei, że uda mu się uciec. Przewiercał ją wzrokiem, chwiał się, utrzymując ciężar ciała na zdrowej nodze.

Kiedy się odezwał, mimo bólu jego głos był mocny i drwiący:

– Po tym wszystkim, co przeszliśmy, chcesz mnie tak po prostu zabić.

– Masz inną propozycję?

– Możesz mnie puścić wolno. Szkoda, żeby nasza gra miała się skończyć. Byłaś świetnym przeciwnikiem. Zawsze chodziło wyłącznie o ciebie. Skoro nie mogę cię mieć, zadowolę się śmiercią.

– Nigdy nie będziesz mnie miał. Ale powiedz mi jedno...

– Co tylko zechcesz.

– Ci wszyscy naśladowcy... Do czego ci byli potrzebni?

– Ach, oni. W zasadzie do niczego. Lubię mieć widownię i tyle. Obiecałem zwycięzcy, że cię zabiję w taki sposób, w jaki zabijał naśladowany przez niego morderca. Faworytem był Dusiciel z Bostonu. W nagrodę byłby świadkiem, jak cię gwałcę, a potem duszę. Szkoda, że nie udało się doprowadzić gry do końca.

Palec na spuście drgnął. Wystarczyło lekko nacisnąć.

– Tak – powiedziała. – Szkoda, że go tu nie ma. Zobaczyłby, jak się kończy twoje nędzne życie. Wystarczy, że nacisnę spust. Ta kula jest przeznaczona dla mnie albo dla ciebie. Ale ja zamierzam jeszcze pożyć.

Celuj w serce. Masa krytyczna. W samo sedno.

– Żegnaj, Ewan.

Nacisnęła. Spust się poruszył. W jej głowie odezwał się głos, z którym wdała się w kłótnię:

– Taylor, to jest morderstwo, przecież wiesz. Co ty wyprawiasz? To do ciebie niepodobne. Ty tak nie postępujesz.

– Zamknij się, zamknij się, zamknij się! Nie widzisz, durniu? Wymierzam sprawiedliwość!

– Ile procent duszy musisz stracić, zanim przestaniesz być zdolna do życia? Każdy wystrzelony pocisk, każde odebrane życie niszczy kawałek twojej duszy. On jest bezbronny, on nie ucieknie. To, co chcesz zrobić, jest złe. Tak nie może być. Tak nie wolno.

Na to nie potrafiła odpowiedzieć, za to odezwał się Ewan:

– Na co czekasz? Zrób to. No już. Nudzisz mnie. Zrób to, Taylor, zrób!

Poczuła wzbierającą złość i dojmujące pragnienie, by to wreszcie zakończyć. By zakończyć linię życia mordercy. Powstrzymać ból, powstrzymać cierpienie, którego przysporzył nie tylko jej, ale przede wszystkim Fitzowi i Susie, Sam i jej nienarodzonemu dziecku, i wszystkim innym, którzy zginęli z rąk tego człowieka.

Oko za oko.

Zauważyła ruch w tej samej chwili, w której nastąpił. Copeland rzucił się na nią, ale kontrolując sytuację, uchyliła się, a on stracił równowagę. Upadł na twardą betonową podłogę i jęknął z bólu, trzymając się za nogę.

– Zrób to, ty tępą suko – warknął. – Skończ z tym wreszcie! Przecież mówię.

Zdjęła palec ze spustu.

Poczuła, jak opanowuje ją dziwny spokój.

– Nie – powiedziała. – Nie jesteś tego wart.

Schowała glocka do kabury. Usłyszała hałas za plecami i mimowolnie odwróciła głowę.

– To twój ostatni błąd, pani porucznik.

Usłyszała kliknięcie i odwróciła się do Copelanda w tej samej chwili, w której Baldwin wpadł do pokoju. Zobaczyła, jak morderca wspiera się na zdrowym ramieniu. Błyskawicznie sięgnęła po broń i wypaliła.

Chciała przesunąć się w lewo, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Ból, ból ponad wszelkie wyobrażenie. Pałacy,

obezwładniający, niszczący. Chciała dotknąć głowy, ale ręka nie słuchała.

Łzy... a więc płakała. Dotykała policzkiem twardego, zimnego betonu.

A potem już nic.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

– Taylor jest ranna! – usłyszał własny głos. – Taylor jest ranna!

Wszystko wydarzyło się tak szybko. Podjechali pod dom. W ogrodzie znaleźli zakrwawioną, zapłakaną, wycieńczoną Sam. Powiedziała, gdzie jest Taylor, a Baldwin ile sił w nogach pognął na górę.

Taylor się odwróciła, zobaczyła, jak Baldwin wpada do pokoju. Na jej twarzy nie zagościł uśmiech, a raczej satysfakcja, ulga, jak gdyby chciała powiedzieć: „Widzisz? Nie zrobiłam tego. Nie mogłam”.

I wtedy Copeland wykonał zwinny ruch. Podniósł się. W jego dłoni błysnął metal. Miał pistolet. Taylor musiała to usłyszeć albo wyczuć, bo odwróciła się do mordercy i wycelowała. Zrobiła to błyskawicznie, a jednak zbyt wolno. Baldwin natychmiast zaczął strzelać, lecz również okazał się nie dość szybki. Zobaczył, jak Taylor pada na podłogę, nie teatralnie, jak na filmach, nie z godnością, ale niczym worek kości. Z jej głowy pociekła strużka krwi. Serce mu stanęło.

Miał jedynie ułamek sekundy, by między jednym uderzeniem serca a drugim podjąć decyzję. Rzucić się do Taylor czy posłać gnoja do piachu. Jego palec spoczywał na spuście. Wycelował i nacisnął cztery razy, szybko, raz za razem, trafiając najpierw w mostek, a potem wyżej. Ostatnia kula wbiła się Copelandowi w czoło. Trysnęła krew. Ciało zważyło się na podłogę. Wiedział, że to już koniec.

Marcus wbiegł do pomieszczenia i krzyknął:

– Ranna policjantka! Ranna policjantka! – Ukląkł przy Taylor i zaczął rozpaczliwie szukać pulsu.

Baldwin nie był w stanie złapać tchu. Nie mógł oddychać. Czyżby oberwał? Nie, to adrenalina. W końcu powietrze znalazło drogę do jego płuc i naraz zrozumiał, co się wokół niego dzieje.

Rzucił broń na podłogę i ukląkł przy Taylor.

Czerwony otwór nad prawą skronią. Była to rana wlotowa. Dotknął tylnej części głowy, ale nie było rany wylotowej. Broń, z której strzelał Copeland, leżała metr dalej. Taylor go nie przeszukała, bo gdyby to zrobiła, na pewno by ją znalazła. Postąpiła niedbale. Szczęśliwie pistolet miał mały kaliber, zaledwie 6 mm, istniała więc szansa, że Taylor przeżyje.

– Posłuchaj, nie wolno ci umierać, rozumiesz? Odpowiedz, Taylor. Otwórz oczy!

Sanitariusz pociągnął go za ramię i odsunął.

– Częstoskurcz komorowy. Tracimy puls.

– Żrenice nieruchome, nie reagują.

– Natychmiast reanimujemy!

Baldwin nie oddychał. Patrzył, jak ją ratują. Stał z rękami wzdłuż ciała i bezradnie obserwował, jak masują jej serce, jak uginają się jej żebra i tworzy się dziwna wklęsłość. Przyniesiono nosze. Położono na nich Taylor i pośpiesznie wyniesiono ją z pokoju, ostrożnie manewrując na schodach. Jej ręka zwieszała się, jak gdyby machała na pożegnanie.

Zamarł. Nie był w stanie się ruszyć.

Krew na podłodze. Jej krew. Krew Taylor.

Coś w nim pękło.

Teraz już nic się nie liczyło. Nic.

Dwa tygodnie później
22 listopada

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Słyszę świergot ptaków.

Są szczęśliwe. Unoszą się kąciki ust, uśmiecham się do ptaków Joshui. Muszę wsypać ziarno do karmnika. Zawsze o tym zapominam. Widocznie Baldwin to zrobił, to dlatego się zleciały. Szczęśliwe maleństwa. Brzmią jak kardynały.

Budzę się. Czas wstawać. To moja ulubiona chwila dnia, pobudka, ten moment, kiedy już nie śpię, ale nadal mam zamknięte oczy. Słucham ptaków. Lubię zaczekać, zanim się podniosę. Lubię słuchać, jak zaczyna się dzień. Próbuję uchwycić dokładnie ten moment, w którym człowiek zdaje sobie sprawę, że już nie śpi. Czy to wtedy, kiedy słyszy pierwszy dźwięk? Kiedy po raz pierwszy otwiera oczy? Albo może kiedy zdaje sobie sprawę, że sen się skończył, że zapach świeżej pościeli i jej ciepło to coś, co jest prawdziwe, namacalne? Nie wiem, ale jeszcze trochę poleżę, nacieszę się tą chwilą.

Ptaki śpiewają coraz głośniej. O rany, świergoła, aż uszy bolą. Siedzą na parapecie? A może któryś wleciał do pokoju?

Wzdycham. Muszę otworzyć oczy i się przekonać. Już nie śpię. Morfeusz wypuścił mnie ze swych objęć. Do zobaczenia, słodki książę, do wieczora.

Uwielbiam spać. Przez lata prześladowała mnie koszmarne bezsenność. Kilka godzin snu znacznie poprawia mi nastrój. Czuję się przepysznie, jak po słodko przespanej nocy. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz mi się to zdarzyło.

Mam otwarte oczy. O rany, jak tu jasno, chyba ktoś zostawił podniesione rolety. Zamykam oczy, powoli staram się przyzwyczaić do światła. Kiedy znów je otwieram, widzę obcy sufit. Jak one się nazywają, te płyty z dziurkami? Mam takie w biurze. Jest poplamiony. Cholera, jak to się nazywa?

O, jest telewizor. Zamontowany wysoko na ścianie. To nie jest moja sypialnia. Aha, to pewnie hotel. Próbuję obrócić głowę, ale coś mnie trzyma. Super. Sen we śnie. Czasem się zdarza. Po

prostu zamknę oczy i normalny sen powróci.

Ten głupi kardynał siedzi mi na piersi. Głośny, upierdliwy ptak. Idź sobie. No już, sio!

Mm, kawa. Ładnie pachnie.

Baldwin zabrał kubek z kawą z pokoju pielęgniarek i wziął poranną gazetę. Przez ostatnie dwa tygodnie pielęgniarki przywykły się do jego obecności i pamiętały, by mu ją zostawiać. Wypracował sobie nowy rutynowy zwyczaj. Przed wyjściem z domu zawsze dzwonił do szpitala, żeby zapytać, czy nastąpiły jakieś zmiany. Przez pierwszy tydzień nie chciał odejść od łóżka Taylor, aż wreszcie musieli go usunąć siłą. Zajęło się tym dwóch roślących ochroniarzy. Wiedział, że lekarze mają rację. Nie wiadomo, kiedy Taylor się obudzi. O ile w ogóle się obudzi.

Pocisk przebił czaszkę i utkwiał w płacie skroniowym. Operacja usunięcia kuli należała do wyjątkowo trudnych. Lekarze utrzymywali Taylor w śpiączce farmakologicznej. Założyli jej stabilizator, żeby nie poruszała głową i nie zepsuła tego, nad czym w pocie czoła przez kilka godzin pracowali. Po tygodniu odstawiono leki, ale nie obudziła się.

Nikt nie potrafił powiedzieć, kiedy i czy w ogóle odzyska przytomność. Ani jak będzie się czuła, kiedy już to się stanie.

Nie wolno tracić nadziei. Musiał wierzyć, że Taylor się ocknie i znów wszystko będzie w porządku.

Wsypał dwie saszetki cukru do kawy. Potrzebował energii.

Wypadek policjanta na służbie niesie ze sobą wiele konsekwencji, przesłuchań, wyjaśnień, dociekań.

Z konsekwencjami musi się liczyć również agent FBI, który zamiast w Knoxville, gdzie miał przesłuchiwać podejrzanego, siedzi w szpitalu w Nashville przy łóżku swojej narzeczonej, a cztery kule tkwiące w ciele znalezionym na strychu domu w Belle Meade pasują do jego służbowej broni.

Dziś przepełniał go optymizm. Taylor łatwo się nie poddawała. Oczyszczili go z zarzutów, przywrócili do służby i nazwali bohaterem, agentem FBI, który uwolnił Sam i Taylor z rąk szaleńca. Nie wyprowadził ich z błędu. Kiedy patolog dostarczył

raport z sekcji zwłok Ewana Copelanda – wykazał liczne złamania kości oraz zapadnięte płuco, oczywiście nie licząc czterech kul – Baldwin zeznał, że morderca stawiał zaciekły opór. Marcus to potwierdził.

Taylor należało chronić, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Nie zamierzał pozwolić, aby ktokolwiek się dowiedział, że to ona zadała Copelandowi te wszystkie obrażenia. Baldwin go zastrzelił, to prawda, ale wcześniej Taylor spuściła Copelandowi solidne manto.

Zuch dziewczyna.

Z każdym dniem przybywało informacji o Copelandzie. Namierzono dom, który wynajął we wschodniej części Nashville. Był pusty, jedyne elementy wyposażenia stanowiły laptop, krzesło i stary, zniszczony dzbanek do herbaty oraz porcelanowa filiżanka. Nikt nie potrafił powiedzieć, dlaczego Copeland zostawił komputer. Chciał z nich zadrwić? A może zrobił to ze świadomością, że wkrótce umrze? Czy śmierć była dla niego wyczekiwaną ucieczką?

W komputerze znajdował się tylko jeden interesujący plik, a mianowicie pisany w Wordzie dziennik. Copeland prowadził dyskusje z samym sobą. Charlaine Shultz nie myliła się co do dysmorfofobii, chirurg plastyczny potwierdził prawdziwość tej teorii. Copeland sumiennie dokumentował swoje życie. W dzienniku zawarł przemyślenia z ostatnich pięciu lat, opisał w nim morderstwa, których się dopuścił, operacje, które przeszedł, oraz plany, które snuł. Z jego słów sączyła się złość i przebijało rosnące rozczarowanie światem.

Baldwin przypuszczał, że zanim przerzucił się na wersję elektroniczną, prowadził odręczne zapiski, ale nie udało się ich odnaleźć.

W pamiętniku Copeland wyraził ogromne niezadowolenie z zachowania pięknej pani policjant, która jego zdaniem obraziła go podczas kontroli drogowej przed czterema laty, wkrótce po tym, jak zabił Tommy'ego Kecka. Opisywał każdy swój ruch, każdy szczegół zbrodni. Rysował mapy, na których zaznaczał, gdzie

ukrywał ciała. Dzięki temu udało się rozwiązać aż dziesięć dotąd niewyjaśnionych morderstw sprzed lat.

Poszukiwania w systemie FBI pozwoliły przypisać Copelandowi siedemnaście gwałtów i brutalnych napaści, które łączyło to, że sprawca masakrował ofiarom brzuch. Copeland pozbył się własnych blizn, ale zostawiał je na duszach swoich ofiar.

Jedną z nich była Sam. Baldwin spotkał się z nią dwa dni po wydarzeniach w domu Fortnightów. Wracała do siebie, znów stała się po swojemu butna i bezczelna, ale w jej głosie pojawił się nieznany dotąd smutek. Strata dziecka była koszmarnym przeżyciem. Simon postanowił, że zabierze ją i bliźniaki na wakacje. Chciał przynajmniej spróbować uratować to, co zostało z dawnej Sam, choć przecież wiedział doskonale, że już nigdy nie będzie taka jak kiedyś, o co skrupulatnie zadbał Copeland.

Szedł korytarzem do pokoju Taylor. Niósł gazetę, a w plecaku miał iPada, na którym zamierzał czytać książki. Kupił trzy, miał nadzieję, że wystarczy na tydzień. Czytał je na głos, siedząc przy łóżku Taylor. Same klasyki. Dziś *Emma* Jane Austen, jedna z ulubionych powieści Taylor. *Emma*... *Emma* Brighton, biedna, wystraszona dziewczyna, ofiara Copelanda. Biedna kobieta. Pomyślał o osieroconym Flynnie.

Pomyślał też o sobie.

Otworzył drzwi.

Coś się zmieniło.

Zobaczył szare oczy. O Jezu, Taylor otworzyła oczy!

Upuścił kawę i gazetę na podłogę i pochylił się nad łóżkiem.

– Taylor! Kochanie, słyszysz mnie?

Oczy się poruszyły. Tak! Poznała go! Nacisnął przycisk wzywający pielęgniarkę. W interkomie odezwał się niecierpliwy głos:

– Słucham?

– Proszę zawołać doktora Benedicta. Obudziła się.

– Co? – Zniecierpliwienie zniknęło. – Naprawdę?

– Tak, tak! Proszę zawołać doktora.

Zmrużyła oczy i wykrzywiła usta w lewą stronę.

– O Boże, Taylor. Wiedziałem, że się obudzisz. Wiedziałem, wiedziałem. Witaj, kochanie, witaj z powrotem. – Chciała się poruszyć, ale położył jej rękę na piersi. Walczył ze łzami. – Nie, nie ruszaj się. Masz założony stabilizator. Zostałaś ranna. Copeland postrzelił cię w głowę. Leżałaś w śpiączce. Ale już wszystko dobrze, kochanie. Teraz już wszystko będzie dobrze.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję wspaniałemu zespołowi: agentowi Scottowi Millerowi, redaktorowi Adamowi Wilsonowi oraz wszystkim, dzięki którym moje książki się ukazują: MacKenziem Fraserowi-Bubowi, Megan Lorius, Deborah Kohan, Donnie Hayes, Alex Osuszek, Lorianie Sacilotto, Craigowi Swinwoodowi, Valerie Gray, Margaret Marbury, Diane Moggy, Lindzie McFall, Giselle Regus, Heather Foy, Donowi Luceyowi, Michelle Renaud, Adrienne Macintosh, Maureen Stead, Nickowi Ursino, Tracey Langmuir, Kathy Lodge, Emily Ohanjanians, Karen Queme, Alanie Burke, Tarze Kelly i Gigi Lau.

Dziękuję również koleżankom i kolegom po piórze: Laurze Benedict, Jeffowi Abbottowi, Ericie Spindler, Allison Brennan, Toni McGee Causey, Alex Kavie, Jeane Bowerman, Jill Thompson, Delowi Tinsleyowi i Andy'emu Levy'emu za to, że dzięki nim pisząc tę książkę, udało mi się nie zwariować. Specjalne podziękowania dla redaktorów strony Murderati oraz dla detektywa Davida Achorda za wsparcie. Lee Lofland oraz Alafair Burke służyli mi pomocą w kwestiach prawnych, zaś Joan Huston i Jill Thompson doradziły od strony językowej. Wszelkie błędy i nieścisłości biorę na siebie.

Prawdziwa Colleen Keck nie jest blogerką piszącą o przestępczości, lecz zwyciężczynią konkursu, która uprzejmie zgodziła się, abym wykorzystała jej nazwisko. Życzliwością wykazali się również prawdziwi Preston Pylant, Richard Cooper i Bill Reiser. Dziękuję, chłopcy, że pozwoliliście mi uczynić z Was czarne charaktery.

Wyrazy miłości dla rodziców i całej rodziny, mojego najwierniejszego fanklubu, a także dla Randy'ego, mojej drugiej połówki.

[1] Biblia Tysiąclecia, Księga Rut, 1, 16.

